



**WAR BOOK**

V L A D I M I R

W O L F F

# Trzecia Sila



VLADIMIR WOLFF

# Trzecia siła

---



© 2017 Vladimir Wolff  
© 2017 WARBOOK Sp. z o.o.

Redaktor serii: **Sławomir Brudny**

Redakcja i korekta językowa: **Agnieszka Zub**

Projekt graficzny, skład, eBook:  
**Ilona i Dominik Trzebińscy Du Châteaux**, atelier@duchateaux.pl

Ilustracja na okładce: **Jan Jasiński**

**ISBN 978-83-645-2390-8**

Wydawca: **Warbook Sp. z o.o.**  
ul. Bładnicka 65  
43-450 Ustroń, www.warbook.pl

Prawnicy i bankierzy. Dwa najgorsze rodzaje ścierwa, jakie nosiła ziemia. Zdaniem Oskara Borzęckiego wszyscy oni mogliby wyzdychać na bolesne owrzodzenie dupska. Od kiedy wziął kredyt na mieszkanie, a z żoną rozwód, nienawidził i jednych, i drugich. Wyrachowane, pierdo... Spokojnie, Oskarze, spokojnie, bo się wykończysz i skończy się tak, że dostaniesz zawału.

Ilekoć o tym myślał, dochodził do momentu, w którym ciśnienie zaczynało gwałtownie rosnać. Już nawet nie był zły na kredyt i była żoną, tylko na tych wyrachowanych piździelców, którzy obiecywali złote góry, a później zabierali całą wypłatę na pokrycie kosztów procesowych oraz odsetki od odsetek. Spirala długów wydawała się nie mieć końca, a to była tylko część problemu. Do tego dochodziły te wszystkie telefony z superpropozycjami: „Ma pan u nas kredycik? To może weźmie pan kolejny, konsolidacyjny?”. Skurwysyny! Dzwonili po pięć, sześć razy dziennie – wciąż z nową ofertą.

Podobno kiedyś był niespotykanie spokojnym człowiekiem. Aż do momentu, kiedy kolejny raz usłyszał w telefonie przymilny głosik zapewniający, że oto pojawiła się następna szansa na... Nigdy nie dowiedział się na co. Rugał pracownika banku przez dobre pięć minut słowami ogólnie uznanymi za obraźliwe, dziwiąc się, że tak potrafi. Ulga była niewielka, ale przez tydzień miał spokój. Od tamtej pory sporo się zmieniło. Już nie wysłuchiwał do końca uprzejmych bredni, które płynęły z słuchawki – bo to były brednie! Teraz, w zależności od nastroju, albo rozłączał rozmowę, albo w dosadnych słowach informował, co mogą zrobić ze swoją propozycją.

Wiedział, że nie powinien tak się zachowywać. To w końcu nie uchodziło.

Bądź co bądź był człowiekiem na stanowisku, ale co tam! Ta chwila satysfakcji, kiedy po drugiej stronie linii zapadała cisza, a on rozkoszował się twarzym brzmieniem własnego głosu, była bezcenna.

Z problemami chciał kiedyś pójść do Banacha, swojego kumpla i szefa Agencji Wywiadu, i poprosić o interwencję. Mając do pomocy paru tych kozaków, co to chodzili za generałem krok w krok, zrobiłby w tym kraju porządek. Żadne tam kosmetyczne zmiany. Ludziom od razu zaczęłoby się żyć przyjemnie.

Zacznie od adwokata byłej żony. Za każdym razem, gdy widział tę gładką pizdę w lexusie, samochodzie, który kosztował grubo ponad pół bańki, miał ochotę na... Spokojnie, Oskarze, spokojnie. Przyjdzie dzień, w którym wszystkie twoje krzywdy zostaną wyrównane. Emil nie powinien odmówić. W końcu bez niego cały ten cyrk przestanie się kręcić.

Odetchnął głębiej. Niepotrzebnie tak się denerwuje. Wstał zza biurka i zrobił parę kroków, przyglądając się panoramie miasta. Jak się dobrze nad tym zastanowić, pewne sprawy mógłby załatwić sam, niektóre numery zastrzec i sprawić, żeby odpowiedni impuls dotarł do natręta i usmażył obwody w jego smartfonie. Dobrze! To samo z mecenasem Danielem Przygońskim. Dostanie taką mikrofałę, że mu zwieracze puszcza.

– Panie dyrektorze...

Jak się nazywał ten gnojek, który próbował go nastraszyć, mówiąc, że mieszkanie nie należy do niego, tylko do banku, i że jak się spóźni z jeszcze jedną ratą, to wyląduje na bruku? Kołek? Płotek? Tak! Janusz Płotek. Bydlak, jakich mało. Nie potrzebuje Banacha, by policzyć się z takim śmieciem. „Zamienię twoje życie w piekło, tak samo, jak ty zrobiłeś to z moim. Masz inteligentny samochód? A dom pełen elektronicznych cudeniek? Już po tobie. Znaczysz mniej...”.

– Panie dyrektorze...

Niechętnie się odwrócił.

– Pan Michalak i pan Janicki czekają.

– Dobrze, pani Marzenko, niech wejdą. – Myśli o zemście Borzęcki chwi-



lowo odsunął na bok. Mogą poczekać. Przed nim zwykły dzień roboczy. Zwykły i niezwykły, bo problemy, z jakimi się borykał, były dosyć skomplikowane.

– Podać kawę?

– Tak, proszę.

– A może... – Sekretarka zawiesiła głos.

– Słucham, pani Marzenko.

– Pan coś dzisiaj jadł?

– Nie zdążyłem.

– Jak tak można? Nerwowo pan się zrobił i jakiś taki blady... W kadrach mi powiedzieli, że urlopu to pan nie brał od pięciu lat!

– Takie czasy.

– Co tam czasy! Jeszcze się pan zmarnuje.

Borzęcki przyjrzał się sekretarce uważniej. Cisowska może nie była pierwszej młodości, ale i z niego żaden adonis.

– No dobrze, to na co mogę liczyć?

– Zaraz coś zorganizuję. – Kobieta ucieszyła się. – Jak panowie skończą, wszystko będzie przygotowane.

– Będę zobowiązany.

– Proszę się nie przejmować i nie jeść tych ciastek. To akurat nic dobrego.

Borzęcki zerknął na pudełko z herbatnikami. Prawdę powiedziawszy, od ich widoku dostawał mdłości. Jakiś konkretny posiłek nie zaszkodzi.

– To później, a teraz, jeżeli można...

– Już proszę.

Cisowska znikła, a na jej miejscu pojawili się Michalak i Janicki. Jeden z nich był docentem, drugi doktorem, i to bynajmniej nie medycyny.

– Przepraszam, że panowie czekali.

Docent Marek Michalak, bardziej śmiały, podszedł do przełożonego i uściśnął jego rękę. Janicki pośpieszył za nim.

– Proszę. – Borzęcki wskazał stolik konferencyjny. – Bardzo się cieszę, że panów widzę. Mamy wiele do przedyskutowania. Szczególnie martwi mnie ten

ostatni wypadek. O ile wiem, pan Mroczek powoli wraca do zdrowia.

Michalak z Janickim spojrzeli po sobie.

– Tak, panie dyrektorze – odrzekł ten drugi. – Byłem dzisiaj u niego w szpitalu. Lekarze mówią, że jego stan jest stabilny.

– Rozmawialiście?

– Ordynator był przeciwny, ale jakoś go przekonałem.

– A sam Mroczek jak zapamiętał wydarzenia?

– Pamięta, że wszedł do sali anomalii, hmm... To znaczy...

– Wszyscy wiemy, o co chodzi.

– ...a później to już nic.

– A wcześniej?

– Wspominał o szumie i stukaniu. Myślał, że ktoś robi sobie z niego żarty...

Borzęcki z roztargnieniem podrapał się po głowie. Sala anomalii. To tam przeprowadzali eksperymenty z mini czarną dziurą. Mieli nadzieję, że nastąpi przełom... Jakoś udało się zapanować nad eksperymentem, ale wkrótce wszystko zaczęło się pieprzyć. Ludzie gadali... Właśnie – gadali. Natury zjawiska, które sprawiło, że Filip Mroczek został uniesiony w powietrze i – co tu kryć – odpłynął, nie udało się wyjaśnić do tej pory. Wieść o tym, co zaszło, lotem błyskawicy obiegła instytut. Pogłoski, już wcześniej ocierające się o fantastykę, po wypadku Mroczka jeszcze bardziej przybrały na sile. Tego, co się stało, z pewnością nie można było zlekceważyć. Jeżeli on, dyrektor Instytutu Wysokich Technologii Oskar Borzęcki, czegoś z tym nie zrobi, straci szacunek wszystkich. Kto wówczas będzie chciał pracować z takim nieudacznikiem jak on? Nikt.

Stąd dzisiejsze spotkanie.

Borzęcki spojrział na stojących przed nim rozmówców. Michalak zajmował się astrofizyką, Janicki, jak twierdził, chciał poznać naturę wszechświata. Proszę bardzo – niech poznaje! Jest pole do popisu. To, co tutaj wyprawia, przekracza wszelkie granice.

– Od czego chcecie zacząć?

– Parę standardowych badań – enigmatycznie odpowiedział docent.

– A jeżeli te nic nie wykażą?

– Panie dyrektorze, nie siejmy paniki. Rozumiem, że mamy tutaj do czynienia ze zjawiskiem, którego natury nie znamy. Mam parę podejrzeń, ale to wszystko. A tak przy okazji, chciałbym zapytać, jak będzie z finansowaniem naszego głównego projektu?

– Mówi pan o *Oceanie*?

– Tak.

– Nic nie zostało jeszcze przesądzone. Rozmowy i konsultacje trwają.

Na M/S *Ocean*, tankowiec pływający pod banderą Liberii, jak na razie wyasygnowano środki tak, że stał się w końcu własnością polskiego armatora. Jednostka zakotwiczyła na redzie Świnoujścia, czekając, aż zapadną kolejne decyzje. Przerobienie półkilometrowego tankera na pływające laboratorium, jak to wymyślił Borzęcki, wymagało środków, i to kolosalnych. Miliard to nic. Jak już wszystko zostanie ukończone, całość zamknie się w kwocie, jaka przysługiwała szkolnictwu na rok albo i więcej. Było jasne, że rząd nie wyda takich pieniędzy. Sponsorów należało szukać gdzie indziej.

Ale czy nie ma w Polsce firm wypracowujących duże zyski? Wystarczy pogadać z ich prezesami! Większość z nich potrafi logicznie myśleć. Słowo tu, słowo tam i jakoś to będzie. Oskar był pewien, że znajdzie parę osób, które mają wobec niego dług wdzięczności. Taki Banach! Pierwszy przykład z brzegu. W trakcie ostatniego kryzysu bez pomocy Borzęckiego z pewnością by sobie nie poradził. Tak naprawdę to on uratował kraj przed stoczeniem się w otchłań. W nagrodę dostał od prezydenta złoty zegarek i medal Orła Białego. Świetnie, zawiesi go sobie w kajucie nad biurkiem... Jednak zamiast błyskotek wolałby bardziej przyziemne dowody wdzięczności. Jak to mówią, łaska pańska na pstrym koniu jeździ, a jego usługi są drogie, więc niech lepiej przestaną udawać, że sprawa została zamknięta.

– Z mojej strony prośba jest taka. Proszę zachować daleko idącą dyskrecję.

– Ależ to oczywiste. – Janicki niespokojnie poruszył się na krześle.



– Panowie wiedzą, jak nasi pracownicy reagują na plotki, i choć pan Mroczek, jak się wydaje, wyszedł z opresji cało, to zaufanie do kierownictwa zostało podważone.

– W świetle ostatnich wydarzeń...

– Proszę nie mydlić mi oczu. Ja wiem, że w kraju nie dzieje się najlepiej, ale to nie znaczy, że my mamy wymówkę. Niech każdy robi to, co do niego należy.

– Chodzą słuchy, że mamy zostać placówką zmilitaryzowaną – niespodziewanie wypalił Michalak.

– Kto to panu powiedział?

– Panie dyrektorze, czy ja jestem dzieckiem? Przecież wiem, że nasze badania stanowią podstawę dla przyszłych technologii, które znajdą zastosowanie w siłach zbrojnych.

– Znajdą albo i nie znajdą.

– Generał Banach wie już o korzyściach, jakie odniesiemy, pokrywając nasze myśliwce nową powłoką antyradarową. F-16 będzie miał takie samo odbicie jak F-22.

– To nie jest sprawa dla generała Banacha, ale dla dowództwa wojsk lotniczych!

– Wszystko, co powie Banach, zrobią i tamci. Czy ja nie mam racji?

– Panie Michalak, co nowa technologia ma wspólnego z wywiadem?

– Odnoszę wrażenie, zresztą nie tylko ja, że naszą pracą interesują się właśnie oni. Niewielu naszych oficerów tutaj gości, a generał Banach bywa tu regularnie. Interesuje się tym, co robimy, a jego oficerowie nas chronią.

– Do czego pan zmierza?

– Skoro jesteśmy placówką powiązaną z organami bezpieczeństwa, to i zagrożenia są pewnie duże.

– Ale...

– Proszę pozwolić mi skończyć. – Michalak nie lubił, jak mu przerywano. Dotyczyło to również osoby dyrektora. – My tu mówimy o sprawie Mrocza

jak o wypadku, a może jego natura ma zupełnie inną przyczynę?

– Jaka?

– Jeżeli to nie wypadek, a... No nie wiem, próba zamachu?

Oskar szerzej otworzył oczy – o tym nie pomyślał. Ale jeśli spojrzeć na wydarzenia z innej strony, rzeczywiście coś w tym mogło być. Nieudany sabotaż, dajmy na to, albo ostrzeżenie: nie idźcie dalej tą drogą, bo konsekwencje mogą być straszne! Na razie ofiarą był jeden człowiek, ale co będzie dalej? W tym wypadku odpowiedzialności nie zrzuci na Michalaka i Janickiego. Sam musi o wszystko zadbać. I lepiej będzie, jeśli z problemami upora się jak najszybciej.

\*\*\*

Krzysztof Kusz, czterdziestopięcioletni kierowca osiemnastokołowego trucka, od ponad dwóch godzin odczuwał poważną niedyspozycję. Od co najmniej godziny w kabinie rozlegały się donośne beknięcia i pierdnięcia, których w żaden sposób nie potrafił stłumić. Wiedział, że jak spróbuje, będzie jeszcze gorzej. Bardzo żałował, że nie ma ze sobą żadnego ze środków tak reklamowanych ostatnio w telewizji – bierzesz jedną pastylkę i po kłopotcie, a tak męcz się, człowieku, dopóki nie dojedziesz do celu podróży.

Kusz doskonale wiedział, w czym problem. Niepotrzebnie na ostatnim postoju zjadł kebab od tureckiego sprzedawcy. Nie powinien tego robić. Aśka ostrzegła go nie raz. Młodzieniaszkiem już nie był, organizm miał swoje ograniczenia, to teraz kierowca miał za swoje.

Kolejny raz Kuszowi nieprzyjemnie się odbiło. Co ten skurwiel wpakował do środka? Trutkę na szczury? A może to wina sosów? Nie powinien brać tego pikantnego. Po ostrych przyprawach zawsze miał zgagę.

Popęlnił błąd. Zresztą, nie pierwszy raz w życiu. Na swoje usprawiedliwienie miał tylko to, że był bardzo głodny. Ciągnęli z Krakowa już dwudziestą godzinę. Trzy ciągniki z naczepami, jedna furgonetka ochrony z tyłu i SUV z przodu. Wiedział nawet, co wiozą; to nie była jakaś szczególna tajemnica: pociski morze – morze, których Polacy mieli w nadmiarze, a Rumuni potrzebo-

wali ich na wczoraj. Stąd i wyprawa na trasie Kraków – Konstanca nad Morzem Czarnym. Tam ładunek przejmą oficerowie rumuńskiej marynarki wojennej. Co z nim zrobią, to już ich sprawa. Istniała możliwość, że co najmniej kilka wystrzeli w stronę tureckich jednostek patrolowych kontrolujących akwen całkiem niedaleko od wybrzeża Rumunii.

Szkoda, że skrzyń nie wysłano samolotami lub koleją, tylko transportem kołowym, i to prywatnej firmy logistycznej. Co prawda, z armią współpracowali nie raz, ale Kusz czuł się nieswój, mając za plecami setki kilogramów materiałów wybuchowych. Kierownik coś tam tłumaczył. Oficjalnie Polska nie miała ze sprzedażą nic wspólnego. Pociski zostały przekazane spółce handlującej nadwyżkami uzbrojenia. Bukareszt przebił ofertę innych zainteresowanych i tak wszedł w ich posiadanie. Kiedy Kusz usłyszał to naciągane tłumaczenie, zachciało mu się śmiać. Akurat! Same przypadki i dobra wola zainteresowanych... Takie brednie to w gazetach mogli wypisywać. To było zlecenie rządowe i odbiorca też był rządowy. Jeżeli się mylił, to ochroniarze byli poborowymi, a nie starymi wygami. Wystarczyło na nich spojrzeć – ośmiu facetów o zakazanych ryjach; nie chciałby ich spotkać w ciemnej uliczce. Wszyscy uzbrojeni w broń automatyczną. Każdego, kto tylko się zbliżył, odpędzali natychmiast i bez zbędnych ceregieli. Polacy i Amerykanie. Gadali specyficznym slangiem, którego ni w ząb nie potrafił zrozumieć. Kij im w oko. Do Konstancy pozostał kawałek, najwyżej kilkadziesiąt kilometrów.

Nagle wzdęcie sprawiło, że mocniej chwycił się kierownicy. Jasna cholera, chyba nie da rady i będzie musiał skoczyć na stronę. Tylko czy jest tu jakiś parking? Po krzakach chować się nie będzie.

Przeszło. Ufff. Z takim postojem zawsze jest kłopot. Musiały dać znać dowódcy konwoju, że prosi o przerwę, ten zacząłby dopytywać, o co chodzi, kumple by się śmiali. Miałyby przesrane – dosłownie i w przenośni. Ale lepsze to niż jazda w zafajdanych spodniach.

Kolejny skurcz przebiegł przez jelita kierowcy. Dobrze, że pomocnika wygnał już wcześniej. Waldek to dopiero miałyby używanie! A swoją drogą, już

nigdy więcej nie weźmie tego paskudztwa do ust. Niech szlag trafi tych wszystkich arabusów, razem z ich żarciem. Namnożyło się tego dziadostwa w Europie co niemiara. Na ulicy to już co drugi zerkał na niego niespokojnym okiem. Jak tylko któryś tknie Aśkę, to takiemu nogi z dupy powyrywa. W Polsce to jeszcze nic, ale jak tylko przekroczyli granicę ze Słowacją w Łomnicy-Zdroju, to widział ich już całe tysiące. Dopiero na postoju pod Koszycami dowiedział się, że to Cyganie, a nie muzulmanie, i że Słowacja ma z nimi spory problem.

Spory – to delikatnie powiedziane. Słyszał, że do 2050 roku będzie ich więcej niż rdzennych mieszkańców. Myślał, że koledzy robią go w konia, ale nie, tak było w istocie. Słowacy prawie się nie rozmnażali, a Cyganie jak najbardziej. Statystyczna słowacka rodzina miała jedno dziecko, romska – od dziesięciu w górę. Demografia. Podobno przedmieścia wszystkich dużych i mniejszych miast już przypominają slumsy. Na wsi to samo. Cyganów pracowało niewiele, żyli głównie z zasiłków. Jakie państwo wytrzyma to, że z każdym rokiem zasiłkowiczów jest coraz więcej? Słowacy przypadną i niepotrzebna była tu wojna.

Na dobra, Słowacy Słowakami, Cyganie Cyganami, a jemu chciało się jak najszybciej do kibelka. Sięgnął do CB-radia, gdy z lewej strony wyłoniła się furgonetka volkswagena T5. Kusza mało to obchodziło, miał ważniejsze sprawy na głowie. Bordowy bolid tylko śmignął i zrównał się z wozem ochrony. Polak widział to dokładnie, bo jego ciągnik poruszał się zaraz za SUV-em. Z jedną ręką na kierownicy, a drugą trzymającą mikrofon, obserwował, co się dzieje. Tu nie było za dużo miejsca na taką jazdę. Zaraz z naprzeciwka pojawią się samochody i volkswagen będzie zmuszony zjechać na prawy pas. A ten debil co zrobi? Będzie skakać? Idiota!

Kusz poprawił bejsbolówkę na głowie. Kształt Kałasznikowa rozpoznał od razu, gdy boczne przesuwane drzwi odsunęły się na bok. Ludzie, którzy siedzieli w T5, a było ich co najmniej czterech, otworzyli skoordynowany ogień, pakując w samochód ochrony lawinę ołowiu. Jako pierwszy zginął kierowca

SUV-a. Honda CR-V odbiła najpierw w lewo, potem w prawo, zjeżdżając na pobocze. Nie jechali szybko, trochę powyżej 60 km/h, ale i tak wóz wpadł w poślizg i zaczął koziółkować.

W pierwszej sekundzie Kusz zdrętwiał, lecz szybko odrzucił mikrofon i chwycił za drążek zmiany biegów. Nie może się zatrzymać. Tym bandytom właśnie o to chodziło. Jeśli zatrzyma samochód, będzie po nim. Rozpaczliwie próbował przyśpieszyć, ale manewr szedł opornie. Ciągnik z ładunkiem to nie osobówka i rozpędu nabiera powoli.

Volkswagen wciąż trzymał się przed nim. Szkoda. Gdyby był parę metrów bliżej, mógłby spróbować staranować bydłaków, a tak pozostała tylko modlitwa.

– O w mordę, co oni robią? – Kusz poczuł przerażenie, widząc, że jeden z automatów jest skierowany w jego szoferkę. W takiej sytuacji niewiele rzeczy można zrobić. Nie mógł się schować, bo nie było gdzie. Szosa wiodła prosto, nie było szansy nigdzie zjechać, nie mógł też się zatrzymać. – Kurwa, co robić? – zaklął głośno.

Ciąg myśli Kusza został przerwany, gdy seria z Kałasznikowa roztrzaskała przednią szybę samochodu, który prowadził. Choć sam nie został draśnięty, spanikował i zaczął kręcić kierownicą, próbując wyjechać z linii ognia. Truck wjechał na pobocze, taranując drzewka i krzewy rosnące tuż przy szosie. Na kolejne minuty akcji w tym kalejdoskopie następujących po sobie wydarzeń Kusz miał wpływ tylko w niewielkim stopniu. W pierwszym odruchu próbował zasłonić twarz przed odłamkami szkła fruwającymi w powietrzu. Te sukinsyny wciąż do niego strzelały. Mimo ryczącego silnika wyraźnie słyszał kanonadę.

Ciągnik podskoczył na jakiejś nierówności, a on podskoczył na siedzeniu tak wysoko, że niemal dotknął głową sufitu szoferki. Opadł na fotel z głuchym jękiem. Głazu, który znalazł pod kołami ciężarówki, nie mógł dojrzeć w żaden sposób. Siła uderzenia była ogromna i gdyby nie pasy, z pewnością wyleciałby przez przednią szybę wprost na suchą jak beton rumuńską ziemię. Wóz prze-

chylił się i z hukiem przewrócił na bok. Koniec jazdy. Kusz żył, był świadomy, ale to mogło się zmienić w każdym momencie. Leżał teraz w jakiejś dziwnej pozycji, próbując się oswobodzić z przytrzymujących go pasów. Jego ciało dostało taką dawkę adrenaliny, że dotychczasowe dolegliwości minęły, jak ręką odjął. Bolały go żebra, ale to już zupełnie z innej przyczyny. Chrzął i wypluł na dłoń zmieszana ze śliną krew. Kurwa, jest gorzej, niż myślał.

Gdzieś z tyłu dobiegały do jego uszu pojedyncze strzały i całe serie z broni maszynowej. Tam trwała masakra. Wiedział, że jeśli nie wydostanie się stąd jak najszybciej, skończy jak reszta.

– No dalej, ruszaj się! – ponaglał sam siebie.

W pobliżu usłyszał głosy. Poliglotą nigdy nie był. Angielski czy niemiecki miał opanowany tylko na tyle, by zapytać o drogę czy kupić bilet na metro. Francuskiego czy hiszpańskiego nie znał ni w ząb. Ci tutaj zwracali się do siebie jakimiś chrapliwymi dźwiękami, nieprzypominającymi Kuszowi niczego, co słyszał do tej pory.

Przez otwory po kulach w szybie zobaczył czyjeś nogi w workowatych spodniach i solidnych traperach. Wiedział, co się teraz stanie.

Przyszli po niego. To koniec. Już nie zobaczy Aśki i dzieciaków. A miało być, kurwa, tak pięknie!

W jednym z otworów pojawiła się zamaskowana twarz, a chwilę później lufa pistoletu. Padł strzał i Kusz dostał w ramię. Bolało jak cholera. Kolejne pociski podziurawiły jego ciało jak sito, ale on już niczego nie czuł, bo po pierwszym strzale stracił przytomność.

Podobnie działo się wszędzie tam, gdzie zatrzymały się ciągniki i pojazdy ochrony. Rozkaz dla zabójców był wyraźny – nie mógł przeżyć nikt. A skoro tak, polecenie należało wykonać.

\*\*\*

Generał Emil Banach brał na swoją głowę więcej obowiązków niż inni.

Jeżeli nie on, to kto?

Najlepiej orientował się we wszystkich powiązaniach, układach i zależno-



ściach, wszak należało to do jego obowiązków. Jako szef Agencji Wywiadu Wojskowego czuwał nad bezpieczeństwem państwa i obywateli. Tak mówiły regulamin, teoria i honor żołnierza. W praktyce różnie z tym bywało. Nie raz naginał prawo w celu uzyskania doraźnych korzyści. Tu sentymenty należało odsunąć na bok. Nie był z tego dumny, po prostu dobrze wykonywał swoją robotę. Tak twierdzili nawet jego najzjadlejsi przeciwnicy. Nie będzie biegał z każdą sprawą do prokuratury, prosząc o zgodę na zainstalowanie podsłuchu czy przejrzenie czyjegoś konta bankowego. Od tego, by wrogowie nie domyślili się, że dobiera im się do tyłka, miał własnych speców, hakerów, ekspertów od inwigilacji, a jak było trzeba – to i od mokrej roboty. Tak, właśnie od mokrej roboty. Jeżeli jakiemuś frajerowi wydawało się, że istnieje tylko po to, aby zbierać informacje, to był w grubym błędzie. Bezpieczeństwo państwa to coś więcej. Na niewidzialnym froncie słabość oznacza śmierć.

I żeby wszystko do końca było jasne – nie miało znaczenia, kim byłeś: obywatelem polskim, który zbłądził, czy też agentem wrogiego państwa. Działasz na naszym podwórku, więc musisz liczyć się z konsekwencjami, również tymi najpoważniejszymi. W ciągu ostatnich lat za kraty lub do piachu trafiło więcej wrogów i zdrajców niż kiedykolwiek wcześniej.

Banach nie raz zastanawiał się, czy w swoich działaniach nie jest zbyt surowy, i za każdym razem wniosek był taki sam. Jeśli odpuści, będzie po nich. Polska i sojusznicze kraje Międzymorza zostaną rozszarpane przez sąsiadów szybciej, niż się to komukolwiek przyśniło.

Od czasów, kiedy byli państwem pogardzanym w środkowej Europie, wiele się zmieniło. Po latach stali się śmiertelnym wrogiem dla wielu, którym wydawało się, że po upadku USA nastanie na świecie nowy ład.

I nastał.

Ale nie taki, jakiego się spodziewano. We wcześniejszych układankach nikt nie traktował Polski poważnie, co najczęściej sprowadzało się do dobrej rady – lepiej siedźcie cicho, bo jeśli nie, to się doigracie.

Naprawdę, nie chciał narażać kraju na niebezpieczeństwo. Wiedział, że le-

piej żyć z innymi w zgodzie, a że zostali mocarstwem – wyszło tak, jak wyszło. W czasie kolejnego zakrętu historii pojawiły się okazje, o których wcześniej nikt nie odważył się nawet pomyśleć. Jedni słabną, drudzy idą w górę. Tak było i w ich przypadku. Powstał twór, którego jedni się bali, drudzy wyszydali, ale nikt nie mógł powiedzieć, że można się z nim nie liczyć.

Choć było już parę minut po siedemnastej i w wielu biurach dzień urzędowania skończył się godzinę wcześniej, dla Banacha trwał on w najlepsze. W domu generał nie zjawi się przed dwudziestą drugą, wróci pewnie dużo później. Ktoś musiał trzymać rękę na pulsie. Banach pełnił w końcu służbę, a nie odbębniał parę godzin na państwowej posadzie.

Właśnie chciał się ruszyć i zejść do bufetu, by coś przetrącić przed kolejnymi spotkaniami, gdy w gabinecie zjawił się jeden z zastępców – pułkownik Stanisław Osmecki. Po minie oficera widać było, że nie jest dobrze.

Generał opadł na fotel i splótł palce na brzuchu. Co tym razem? Nieszczęście o charakterze naturalnym czy takie spowodowane przez bliźniego?

– Panie generale...

– Dobra, Stasiu, mów, o co chodzi.

Osmecki przybliżył się i podał przełożonemu depeszę, która przyszła przed chwilą.

Banach sięgnął po okulary. Ostatnio wzrok mu się pogorszył. Może trzeba pogadać z Borzęckim? Ten na pewno znajdzie rozwiązanie problemu. Ostatnio wspominał o jakichś cudownych soczewkach. Dobry z Borzęckiego chłop, ale cokolwiek marudny. Wciąż głądził o tym tankowcu jak nakręcony. Napalił się na niego jak na młodą ci... No, mniejsza z tym. Dostanie to, czego chce, ale jeszcze nie teraz. Musi poczekać do przyszłego roku budżetowego. Może to i lepiej, że większość eksperymentów będzie przeprowadzana z daleka od miejsc zamieszkałych. Za którymś razem mogą nie mieć tyle szczęścia co ostatnio i Warszawa zniknie z powierzchni ziemi, pozostawiając po sobie krater o średnicy pięćdziesięciu kilometrów...

Ależ go wówczas Borzęcki wkurzył! Czy on rozumu nie ma? Jak można

igrać z życiem tylu ludzi?

W końcu wzrok generała padł na depezę przyniesioną przez adiutanta. Już w połowie czytania wiedział, że są w przededniu nowego kryzysu, nie znał tylko skali zagrożenia.

Do zdarzenia doszło pomiędzy piętnastą a szesnastą. Na miejscu trwała akcja ratunkowa, a rumuńska policja podjęła wszelkie działania mające doprowadzić do schwytania sprawców.

– Dobrze, Stasiu, przypomnij mi w paru słowach, o co chodzi.

– Mamy taką firmę, panie generale. Nazywa się Defence Groupe i ma siedzibę w Bydgoszczy. Kieruje nią Witold Sokólski. To nasz człowiek, jeżeli mogę tak rzec. Wcześniej pracował w delegaturze gorzowskiej. W służbie się nie wybił, ale miał nosa do interesów. Z pomysłem stworzenia firmy poszedł do pana poprzednika. – Osmecki zerknął na generała, ale ten zachował olimpijski spokój. – Miał kontakty, nie za dużo, ale na początek wystarczająco. Handlował bronią myśliwską i sportową. Ściągał ją z Czech i Ukrainy i rozprowadzał na naszym rynku. Później załapał się na większy kontrakt, pięćdziesiąt BMP-1 poszło do Sudanu, i chwala mu za to. Inaczej musielibyśmy ponieść koszty złomowania, a tak Agencji Mienia Wojskowego wpadło trochę grosza. Prawdziwe interesy zaczął kręcić, kiedy wylądowali u nas jankesi.

– Możesz przejść do szczegółów? – ponaglił pułkownika Banach.

– Do zarządu wsadziliśmy na wszelki wypadek naszą wtyczkę, gdyby przypadkiem Sokólskiemu zachciało się dorobić na boku. Oficjalnie są czyści. Prowadzą biznes za naszą zgodą i tak, jak chcemy. Rumunom za to zależało na tych nowych Harpoonach. Ich prośba była tej natury, że nie mogliśmy odmówić. Zresztą, im są bardziej potrzebne niż nam. Niewykluczone, że dostaną niszczyciela i trzy fregaty, żeby przytrzymać Turków za gardło.

– Tylko ich?

– Ja wiem, panie generale, że tam jeszcze pływa flota kilku innych państw, ale liczą się tylko marynarki Turcji i Rosji. Reszta może co najwyżej pomarzyć o nowych jednostkach.

– Do rzeczy, Stasiu, ostatnio zrobiłeś się strasznym gadułą.

Osmecki westchnął. Z tym starym pierdołą coraz trudniej było wytrzymać.

– Z kontraktem uwinęliśmy się w parę dni. Towar poszedł do Defence Groupe, a oni załadowali ciężarówkę, i jazda.

– Ochrona?

– Też nasza. Sprawdzeni ludzie.

– Profesjoniści, a dali się zaskoczyć.

– Czasami tak bywa. – Pułkownik rozłożył ręce. – Z pierwszych ustaleń wynika, że akcja była perfekcyjnie zaplanowana i wykonana.

– Właśnie.

To nie byli jacyś pierwsi lepsi złodzieje czy bandyci, którzy zaatakowali konwój, licząc na duże zyski. O przypadku można zapomnieć. To wyraźne ostrzeżenie – nie wtrącajcie się w nasze sprawy. Tylko kto mógł za tym stać? Rumuni? Całkiem prawdopodobne. Turcy, Rosjanie, islamiści, nacjoniści? Tego się należało dowiedzieć.

– Słuchaj, Stasiu, zajmiesz się tą sprawą – zdecydował Banach.

– Tak jest, panie generale. – Osmeckiemu nie pozostało nic innego, jak odpowiedzieć zgodnie z regulaminem.

– Powiedz, czym się tam ostatnio zajmowałeś?

– Tymi gnojami z desantu, którzy nam tu narobili bałaganu.

– Mamy wszystkich?

– Jeszcze nie. Co najmniej jeden wciąż znajduje się na wolności.

– Po trzech tygodniach? – zdziwił się Banach. – Jak to możliwe?

– Sukinsyn jest dobry. Bawi się z nami w ciuciubabkę, ale zagrozić to nam nie zagrozi. Jak się w końcu zmęczy, przyjdzie do nas na kolanach.

– Psiakrew! – zirytował się Banach, uderzając dłonią o biurko. – Prawda jest taka, że nie dość skutecznie próbujecie go odszukać.

– Kampinos przeczesaliśmy trzy razy. Mamy tam wciąż co najmniej półtora tysiąca ludzi, śmigłowce, psy...

– Jego już tam dawno nie ma!

– Łączności ani kontaktów też nie ma. Miał działać w strukturze batalionu, a został sam jak palec.

– Niemniej nie można pozwolić, by ukrywał się dalej, trzeba go złapać i postawić przed sądem.

– Przekażę sprawę majorowi Leśniewskiemu.

– Dobrze – Banach zgodził się z pułkownikiem.

– Kiedy mam jechać?

– Dokąd ty znów chcesz jechać?

– Do Rumunii.

– Tu mi jesteś potrzebny. Na miejscu. Nie będę tracił dobrego oficera, który pojedzie użerać się z tamtejszymi biurokratami.

– Myślałem...

– Daj już spokój. – Myśli Banacha pobiegły w stronę kilku ewentualnych kandydatów, którzy podjęliby się wykonania zadania. – Co sądzisz o majorze Szymańskim?

– Dobry fachowiec – Osmecki ostrożnie zgodził się z przełożonym. – Ale zajmował się głównie krajami Beneluksu, a nam jest potrzebna osoba znająca rumuńskie realia.

– Masz rację. To może kapitan Alan Harmon?

– Za niski stopniem. Musielibyśmy go wcześniej awansować – odparł natychmiast pułkownik. – A poza tym to Murzyn... No, panie generale, co jak co, ale Bukareszt może tego nie przełknąć.

– Niech się przyzwyczajają.

– Gotowi jeszcze pomyśleć, że robimy im na złość...

– W takim razie sam kogoś zaproponuj, Stasiu.

Osmecki zamyślił się. Znał co najmniej kilkunastu dobrych oficerów, którzy mogliby przypilnować postępów śledztwa. Układ rozkładał się po równo: Polacy i jankesi. Ci ostatni to już właściwie obywatele kraju nad Wisłą, zwerifikowani do granic możliwości. Swoją lojalność udowodnili podczas ostatniego puczu, stając po stronie Warszawy i legalnego rządu. Na pewno było im

trudno, ale co zrobić, takie czasy. Każdy musi dokonać wyboru i opowiedzieć się za tym, co dla niego istotne.

– Pułkownik Paul Nagato.

Banach spojrzał na adiutanta z nowym zainteresowaniem.

– A to mnie zaskoczyłeś.

– Z tego, co wiemy, wcześniej pracował na placówce w Belgradzie. Mówi po włosku i niemiecku. W 2011 zdobył nagrodę w strzelaniu z broni krótkiej. Później miał zostać zastępcą attaché amerykańskiego w Austrii.

– Rumunię zna? Był tam kiedyś?

– Nie.

– Zjedzą go na przystawkę!

– Otrzyma wsparcie. – Osmecki próbował uratować kandydaturę Paula Nagato za wszelką cenę.

– Stasiu, co ty mi tu... – Palec generała zabębnił na blacie biurka. – Potrzebujemy tam dyplomaty i rewolwerowca w jednym!

– Nagato taki jest.

– Moim zdaniem jest zbyt... Jak to powiedzieć? Gładki. Usta ma pełne wazeliny.

– Tyłek też.

– Sam widzisz.

Również do Osmeckiego docierały plotki o rzekomym homoseksualizmie oficera. Coś w tym musiało być. Takie pomówienia nie biorą się przecież z powietrza. Ciekawa rzecz, Nagato przekroczył czterdziestkę i nie był żonaty. To oczywiście o niczym jeszcze nie świadczyło, ale z pewnością dawało do myślenia. Generał chyba miał w tej materii rację. Do delikatnych misji Nagato się nie nadawał. Skoro nie on, to może... Nie, też nie. Dwumetrowy drągal z twarzą pokrytą śladami po oparzeniach, były dowódca czołgu, straszny typ, a właściwie ponury zniwiarz. Do tego, żeby kogoś postraszyć, nadaje się idealnie. Już lepiej, jak Kuźnecki pojedzie do Kijowa. Kiedy wmiesza się w szereg tamtejszego korpusu dyplomatycznego, wszyscy narobią w gacie.



- Mam! – Banach uderzył dłonią w oparcie fotela i gwałtownie wstał.
- Ale mnie pan generał nastraszył! – Osmecki ostentacyjnie złapał się za serce.
- Robisz się miękki.
- Ja? Skądże znowu.
- Nie zaprzeczaj. Wiesz, że nie lubię, jak się ze mną droczysz.
- Nigdy tego nie robię.
- Niech ci będzie.
- A ten kandydat?
- Halicki.
- Ten od Ochota Tower? – upewnił się pułkownik.
- Ten sam. – Banach zrobił parę kroków w stronę okna, wyraźnie ucieszony własnym pomysłem.
- Nie podlega nam, jest przecież żandarmem.
- Stasiu... – Generał odwrócił się w stronę przybocznego. – Nam podlegają wszyscy. Czy to się im podoba, czy nie. Wyraziłem się jasno?
- Jaśniej nie można. Tylko czy się zgodzi?
- Już twoja w tym głowa.
- Pan przecenia moje możliwości! – Osmecki wiedział, że jak Banach na coś się uprze, nie ma mowy, żeby go od tego odwieść.
- Proszę cię, nie mydl mi oczu.
- Nie jestem w stanie przypomnieć sobie szczegółów. Halicki już kilkakrotnie oddał nam znaczne przysługi. Wątpię, żeby teraz chciał się angażować w kolejną aferę.
- To nie jest oferta – sprostował Banach.
- Dobrze, panie generale, ja się tam nie będę czepiał słówek, ale proszę mi powiedzieć, czy nie mamy nikogo innego? W Jordanii został ciężko rany. Ledwie przeżył. Takie zdarzenia pozostawiają blizny nie tylko na ciele.
- Tym razem nikt do niego nie będzie strzelał.
- Ma pan taką pewność?

– Widzisz, ja w przeciwieństwie do ciebie mam wiarę w ludzi. Halicki sobie poradzi. Nie raz udowodnił, że ma analityczny umysł. Ryzyka też się nie boi. Rumuni będą się z nim liczyć.

– Skoro pan tak uważa.

– Skontaktujesz się z nim jak najszybciej i poprosisz, pamiętaj – poprosisz, o stawienie się u ciebie w pierwszym dogodnym terminie. Jak już go urobisz... No co tak patrzysz?

– Tak się zastanawiam, jaką dostanie marchewkę.

– Awans na pełnego pułkownika.

– Trochę mało.

– On ma myśleć o służbie, nie o nagrodach. – Banacha takie szczegóły mało obchodziły.

– A kij?

– Ty jak zwykle niepotrzebnie wszystko komplikujesz.

– Ja wiem, że to detale, jednak – jak się wydaje – istotne.

– Wiesz, co ci powiem? Zanim kolejny raz zaczniesz dzielić włos na czworo, po prostu do niego zadzwoń i pogadaj. Sam będziesz wiedział, jak to rozebrać. Wyważysz argumenty. Zresztą, masz w tej sprawie moje całkowite błogosławieństwo. – Nim Banach zdążył powiedzieć więcej, odezwała się jego komórka. Sięgnął po nią i sprawdził numer, a następnie odebrał połączenie. – Już myślałem, że o mnie zapomniałeś, Oskarze... Co? No widzisz, jak jest. Poczekać chwilę. – Generał odsunął aparat od ucha i przyjrzał się Osmeckiemu. – Nie masz nic do roboty?

Oficer, chcąc nie chcąc, podniósł się z fotela i ruszył ku drzwiom. Już z ręką na klamce usłyszał przeciągły jęk generała.

Borzęcki i te jego pomysły. Pewnie znów suszył Banachowi głowę o kolejną, jak to nazywał, dotację.

Że też generał ma cierpliwość do natręta. Albo chodziło o forszę, albo o posprzątanie po kolejnym nieudanym eksperymencie. To już powoli stawało się nudne. Dobrze, że on nie musi wysłuchiwać żalów profesora, ale cóż, jak nie

posmarujesz – nie pojedziesz.

Z tą myślą opuścił gabinet szefa. Przy problemach Banacha te jego to mały pikuś.

\*\*\*

– Ten będzie dobry.

– Jesteś pewna?

– Całkowicie.

Piotr Halicki zogniskował wzrok na żyrandolu, który wisiał tuż nad jego głową. Problemem nie był kształt czy wielkość, tylko cena. 1699 zł. Ktoś najwyraźniej oszalał, proponując taką kwotę. I za co? Za te kilka drutów, pałek czy ceramiczne kule? Obok wisiało jeszcze droższe badziewie, nadające się chyba tylko do galerii ze sztuką nowoczesną, a nie do sklepu z wyposażeniem wnętrz. 3999 zł. Powinien zmienić zawód i z żandarma przekwalifikować się na dizajnera.

– O co chodzi, kochanie?

– O nic. – Halicki przełknął ślinę. Wiedział, że urządzenie z Alicją wspólnego mieszkania pochłonie sporą kwotę, ale że ograbi go z oszczędności całego życia, to już nie.

Trzeba to mężnie przyjąć na klatę. Inaczej się nie da. To w końcu Alicja była tu specjalistką, a nie on. On tu robił za kartę kredytową.

– Powiedz od razu, że ci się nie podoba.

– Jest cudowny.

– Właśnie to słyszę w twoim głosie... – Dobry nastrój dziewczyny niespodziewanie prysł. Jej uśmiech zastąpiło malujące się na obliczu skupienie.

Błyskawicznie domyślił się, o co chodzi.

– Przepraszam. – Zły sam na siebie nie bardzo wiedział, jak wybrnąć z tej przykłej sytuacji.

– Ja się nie gniewam. – Odwróciła się do niego plecami, wyraźnie dając mu do zrozumienia, co może zrobić ze swoimi przeprosinami.

Stojący obok sprzedawca udał, że niczego nie słyszy, wbijając spojrzenie

w czubki swoich butów lub, co bardziej prawdopodobne, zezując w stronę Alicji.

Halicki wbił ręce w kieszenie i udawał obojętność. Jeśli teraz zacznie ją namawiać do kupna wybranej przed chwilą lampy, będzie jeszcze gorzej. Wyjdzie na palanta, który nie wie, czego chce. Choć marzył, by mieć zakup za sobą, milczał jak zaklęty. Zobaczymy, komu szybciej znudzi się ta zabawa, w końcu był mistrzem w te klocki. On, major żandarmerii, łamał wolę, życiorysy i charaktery nie takim jak ona. Ma swój honor i szybciej piekło zamarzenie, niż on ulegnie.

– Państwo pozwolą... – Sprzedawca, który w końcu przypomniał sobie o swojej roli, nieśmiało wystąpił do przodu. – Mamy w promocji... To już ostatni egzemplarz.

– Który? – burknął mało przyjaźnie major.

– O tutaj, proszę popatrzeć. Idealne rozproszenie światła. Normalnie kosztuje 600 złotych, ale w tym tygodniu jedynie 490.

Zdaniem Halickiego oba żyrandole różniły się jedynie wykończeniami i detalami, tu bańki podłużne, tam okrągłe, jakiś szlaczek na matowym szkłe. Chryste Panie, ile czasu można spędzić w takim miejscu? Zaczynały go już boleć nogi. Z samego rana, nim poszedł do roboty, przebiegł pięć kilometrów. Po godzinie urzędowania odprawa u dowódcy 12 dywizji. Potem obiad w kantine z kolegami oficerami, od którego nie mógł się wykręcić. W końcu spotkanie z Alicją i ta nieszczęsna wyprawa do Castoramy. Wydawało się, że popołudnie i wieczór będą przyjemniejsze od pierwszej połowy dnia.

– Piotrze, podejdź tutaj.

Halicki posłusznie zrobił krok w stronę dziewczyny. Alicja stała odwrócona do niego bokiem. Gdy tak z uniesioną głową przypatrywała się wiszącym lampom, lampkom i lampeczkom, wyglądała zachwycająco. Ciemne włosy spływały swobodną kaskadą na ramiona. Delikatna linia nosa i podbródka wyraźnie odcinała się od setek zapalonych żarówek. Podeszedł do dziewczyny i przytulił się do jej pleców.

– Wstrętny jesteś. – Został trzepnięty w dłoń, lecz nie było w tym złości. –  
I zachowuj się. Ludzie patrzą.

– Mam ich w...

– Ty i ten twój koszarowy język – zachichotała.

– Taki jestem. – Odgarnął jej włosy z ramienia i pocałował dziewczynę  
w kark. – Dlatego mnie lubisz.

– Muszę się jeszcze nad tym zastanowić.

Nie wiedział, jakich perfum używa, ale pachniała nieziemsko. Mógłby tak  
stać aż do zamknięcia sklepu.

– Bierzemy ten. – Wskazała na wybrany przez siebie klosz. – I już się wię-  
cej ze mną nie kłóć.

– Ty to nazywasz kłótnią? Żebyś widziała, co się działo wczoraj pod ko-  
mendanturą... – Kwestia ceny nagle przestała mieć dla Halickiego jakiegol-  
wiek znaczenie. Te kilka stów jakoś przeboleje.

– A co? – zainteresowała się Alicja.

– Mamy takiego lowelasa. Oficjalnie żona i dwie kochanki na boku, i tak  
się złożyło, że obie przyszły do niego jednego dnia.

– Nie wiedziały o sobie?

– Na to wygląda. Mało oczu sobie nie powydrapywały! – Komórka w kie-  
szeni majora odezwała się w najmniej odpowiednim momencie. – Przepra-  
szam, muszę odebrać.

Może i nie był na służbie, ale od pewnych spraw nie mógł się uchylić.

– Halicki.

– Pułkownik Osmecki.

Nazwisko nic majorowi nie powiedziało. Facet na pewno nie należał do  
szczecińskiego garnizonu, bo z oficerem tej rangi wcześniej czy później mu-  
siałyby się spotkać.

– Słucham, panie pułkowniku...

– Mam prośbę.

Prośbę? W armii takich rzeczy nie praktykowano. Dostawałeś rozkaz i na-

leżało go wykonać, a prosić to on mógł Alicję, by się zastanowiła, który żyrandol wybrać.

– Czy nie zechciałby się pan pofatygować do Warszawy?

– Kiedy?

– W najbliższym terminie. – Osoba po drugiej stronie łączy chrząknęła, jakby onieśmielona tym, co powiedziała.

– A dokąd...

– Tam, gdzie ostatnio. Zresztą, o to proszę się nie martwić.

Halicki skrzywił się. To żadna prośba, tylko rozkaz przekazany w wyjątkowo zawołanej formie.

Tam, gdzie ostatnio. Ostatni raz to on był w siedzibie Agencji, a właściwie w jednym z lokali kontaktowych, których wywiad miał co najmniej kilkanaście na terenie Warszawy. To były przeważnie zwykłe biura lub mieszkania, gdzie w spokoju można było porozmawiać, bez informowania o tym niepowołanych osób.

– Kto to? – zapytała Alicja, widząc jego niezadowoloną minę.

– Trudno powiedzieć.

– Nie wiesz, z kim rozmawiasz?

– Wiem, ale nie wiem, jak się to skończy.

– Panie majorze, liczymy na pana – Osmecki ponownie odezwał się w telefonie.

„Liczymy”, a nie „liczył”. Grubsza sprawa. Nie wykręci się z tego. Szlag trafił kolację z dziewczyną i nadzieję na przyjemny wieczór.

– Panie pułkowniku, zanim dojadę, będzie północ. Może umówimy się na jutro?

– Proszę być poważnym, śmigłowiec i pilot czekają.

– Ach tak – wyrwało się Halickiemu.

– Jest pan zdziwiony?

– Trochę.

– To uroki naszego zawodu, panie majorze. Widzimy się wkrótce.



Rozmowa została przerwana.

– Musisz jechać? – Alicja nie była zdziwiona.

– Zdaje się, że nie mam wyjścia – odpowiedział rozgniewany.

– Poczekam. Powoli się do tego przyzwyczajam. – Pocałowała go w policzek i przejechała palcami po jego włosach. – Ale teraz kupimy ten żyrandol, który wybrałam wcześniej.

– Jasne. Przecież ty zawsze masz rację.

\*\*\*

Dobrze, że przed wylotem niczego nie zjadł. Maszyną kołysało na boki, zupełnie jakby dostali się w sam środek sztormu. Sytuacji winien był niź, który niespodziewanie przyszedł z Atlantyku i w pogodzie ostatnio mocno namieszał. Na przykład teraz, u progu lata, gdy niemal wszyscy albo myśleli o wakacjach, albo je planowali, panująca aura wcale do tego nie zachęcała, tak jakby natura próbowała dorównać wydarzeniom politycznym. Nad kontynentem jeden za drugim przetaczały się obszary niskiego ciśnienia, powodując huragany o sile wcześniej nienotowanej. Owszem, dwie, trzy dekady temu też wiało, ale nie aż tak. 150 km/h to norma, i to gdzie? W Polsce. O tym, co działo się na Karaibach czy w Azji, nawet nie chciał myśleć. Tam siła wiatru przekraczała i 200 km/h. Orkany i cyklony czwartej i piątej kategorii zdarzały się częściej od tych słabszych. Anomalia goniła anomalię. Klimatolodzy w swoich ocenach różnili się jak nigdy dotąd. Jedni przepowiadali nadejście globalnego ocieplenia, drudzy wróżyli nową epokę lodowcową. Jeszcze inni kiwali tylko głowami, nie mogąc znaleźć odpowiedzi na dręczące ich pytania. A te mnożyły się jedno po drugim. Skoro przez parę lat z rzędu występowały susze lub okresy intensywnych opadów, to jaki model rolnictwa wybrać? Ten tradycyjny odchodził bezpowrotnie w przeszłość. Normalne rośliny zastępowane były przez te modyfikowane genetycznie, bardziej odporne na zmienne warunki życia. Nie mówiło się o tym głośno, ale wraz z przerwaniem globalnego handlu należało zabezpieczyć się pod jeszcze jednym względem. Do Europy nie napływał już w takich ilościach jak wcześniej tani ryż, podobnie jak owoce tropikalne czy

kawa. Cena tych produktów poszybowała w górę. Mało kto mógł sobie pozwolić na marnotrawstwo. Do łask wróciły produkty, które można było wyhodować na danym obszarze, ale i one wymagały ochrony, a tę najłatwiej było uzyskać, modyfikując ich łańcuch DNA. Ekolodzy mogli sobie krzyczeć, że to gwałt na naturze, ale to nie oni musieli zapewnić milionom obywateli dostęp do relatywnie taniej żywności. Jeśli nie będzie chleba, wybuchnie bunt. To przecież proste. Tak pokazywała historia.

Pogoda uspokoiła się, gdy byli już nad centralną Polską. Black Hawk UH-60 wyrównał lot, a na niebie pojawiły się przebłyski słońca. Halicki był tylko ciekaw, czy po rozmowie zostanie odstawiony do domu w taki sam sposób.

Zastanawiał się, do czego mógł być im potrzebny. Ludzie służb mieli ostatnio pełne ręce roboty, ale jego to nie dotyczyło. W tym samym tygodniu, w którym doszło do zaburzeń, ze szczecińskiego garnizonu znikło pięciu oficerów. Dwóch się odnalazło. Trzech należało skreślić z ewidencji. Pewnie gnili w pierdlu. Ci, którzy wrócili, nie wspominali słowem o tym, co ich spotkało. Pozostali o nic ich nie pytali, ale on wiedział. Jeśli zagrożone zostanie istnienie państwa, nikt nie będzie się patyczkował. Przypuszczał, że ktoś ich „wko-pał” lub też istniały powody, by zostali zatrzymani. Halicki nie litował się nad mężczyznami. To byli całkiem przeciętni oficerowie, jednak ze sporymi ambicjami, a w służbie jedno z drugim niekoniecznie musiało iść w parze. Wiedział, że jeśli nawet wylecą, nic się nie stanie. Można ich zastąpić kimś, kto nie wikłał się w politykę.

Halicki spodziewał się, że wylądują na Okęciu lub na którymś z lotnisk rozsianych w okolicach stolicy, skąd dojedzie na spotkanie samochodem. Zdziwił się, gdy przyziemili na dachu jednego z wysokościowców. Obsługa otworzyła drzwi, a on mógł w końcu rozpiąć pasy. Opuścił śmigłowiec, rozglądając się z ciekawością dookoła. Gdy był w Warszawie ostatnim razem... Natychmiast poczuł nieprzyjemne mrowienie w okolicach serca. Niewiele brakowało, a nie byłoby go tu dzisiaj.

– Proszę za mną.

Facet w garniturze już na niego czekał. Podali sobie dłonie i od razu został poprowadzony schodkami w dół. Takie lądowisko to całkiem niezła sprawa. Nie trzeba przebijać się przez korki, ani kombinować, jeśli pogubiło się drogę. Dowożą na miejsce i nic cię nie obchodzi.

W końcu znaleźli się w windzie i pojechali parę pięter w dół.

– Jak lot?

– Trochę kołysało – odpowiedział zgodnie z prawdą.

– Niestety, na pogodę to my wpływu nie mamy.

– A szkoda. – Podpułkownik podrapał się po szczecinie na policzku. Nawet nie zdążył się przygotować. W cywilnych łachach nie wyglądał na oficera, a już na żandarma w szczególności. No nic, zaraz się wyjaśni, czego od niego chcą, bo to chyba nie jest aresztowanie. Z zatrzymaniem nie robiliby sobie tyle kłopotu.

– To już tutaj.

Winda stanęła, więc wysiedli. Recepcja znajdowała się na wprost. Za nią ciągnął się korytarz prowadzący do biur. Urzędniczy standard. Przeszli niezatrzymywani przez strażników. Jeżeli ktoś tu pracował, to nie robił przy tym zamieszania.

Wyminęli szereg gabinetów i dotarli przed ten na końcu korytarza. Przewodnik delikatnie zapukał, ze środka dobiegło wyraźne „wejść” – i oto Halicki stanął przed obliczem Osmeckiego.

Prawdę powiedziawszy, spodziewał się starszego faceta, a ten gość stojący teraz przed nim był mniej więcej w podobnym wieku co on.

– Panie pułkowniku...

– Darujmy sobie formalności.

Za każdym razem, gdy Halicki słyszał podobne stwierdzenie od starszego stopniem, liczył się z kłopotami.

– W czym mogę pomóc?

– Pomóc? Zdaje się, że utrafił pan w sedno. – Osmecki wskazał fotele, na których usiedli. – Powiem od razu, że pomyślałem, aby pana tu sprowadzić, wy-

szedł ze strony generała Banacha. Zasłużył pan sobie na naszą wdzięczność kilkakrotnie. Pan generał podkreśla to przy każdej okazji.

– Wykonywałem swoje obowiązki.

– Obaj wiemy, jak je można wykonywać. Lepiej lub gorzej. Pan sprawdził się znakomicie.

Halicki uprzejmie przytaknął. To nie było przesłuchanie. Oni wyraźnie czegoś od niego chcieli. Pytanie tylko, czy będzie w stanie im pomóc.

– Parę godzin temu na terenie Rumunii doszło do ataku na konwój, w którym zginęli polscy obywatele.

– W mediach o tym nie mówili.

– Powiedzą. Próbujemy bagatelizować sprawę, udając, że znalezienie sprawców to rzecz Bukaresztu.

– Jaki był ładunek?

– Rakiety woda – woda. – Osmecki sięgnął po papiery leżące obok i podał je Halickiemu. – Tu jest pełna dokumentacja.

– I co mam z nią zrobić?

– Zapoznać się.

Halicki otworzył teczkę i zaczął przeglądać dokumentację. Było tego sporo. Informacje o Defence Groupe, warunki kontraktu, osoby biorące w nim udział, życiorysy ochroniarzy i kierowców...

Westchnął, pocierając czoło.

– Domyślam się, że mam pojechać do Bydgoszczy i pogadać z tym... Z tym Sokólskim? – Szybko znalazł wśród akt odpowiednie nazwisko.

– Tym to już my się zajmujemy.

– To po co zastałem wezwany?

– Poproszony, panie pułkowniku, poproszony. Otóż generałowi, i mnie również, wydaje się, że jest pan jedyną osobą, która może nas reprezentować tam, na miejscu, i współpracować z rumuńskimi organami ścigania.

– Ja?

– Nie rozumiem, skąd to zdziwienie. Co jak co, ale na łapaniu przestępców

to się pan zna jak mało kto, a i słynie pan z ciężkiej ręki i potrafi przyp... Przywalić, komu trzeba. Świat tajnych operacji też nie ma przed panem tajemnic. Może się myłę? – Osmecki zmrużył oczy, lekko się przy tym uśmiechając. – Nie chcę wyjść na lizusa, ale lista pańskich osiągnięć jest imponująca. To, czego dokonaliście na Bliskim Wschodzie, no, no... Nikt inny nie byłby w stanie nawet zbliżyć się do tajemnic, które wam udało się wykraść.

– Sznajder zwiął.

– Powoli. Nie tak szybko. – Tym razem adiutant generała szczerze się roześmiał. – Zwiął? Nic podobnego. Odszedł. Takiego słowa bym użył. Odszedł, a jak będzie trzeba, to zjawi się ponownie.

– Nie byłbym tego taki pewien.

– Jeszcze gdzieś wypłynie. Znam takich jak on. Na pewno nie będzie się chował jak szczur. Nie ten typ człowieka.

– To niebezpieczny radykał.

– Zgadzam się z panem w całej rozciągłości. Już raz go powstrzymaliśmy. Jak będzie trzeba, zrobimy to ponownie. Proszę mi wierzyć, to nie jest takie trudne.

Osmecki za bardzo rozgadał się na temat Sznajdera, co sprawiło, że Halickiemu przysłała do głowy pewna myśl. Być może polski dzihadysta spróbuje skontaktować się z kimś z organów bezpieczeństwa, a jedyną osobą, do której będzie miał zaufanie, będzie właśnie Halicki. Czy w związku z tym jego telefon jest na podsłuchu? Bo o tym, że jest monitorowany, wiedział na pewno. W każdym momencie ci, którym zależało, mogli się dowiedzieć, gdzie jest, co robi i z kim się kontaktuje, a skoro najczęściej przez komórkę rozmawiał z Alicją, to ją pewnie też wzięli pod dyskretną obserwację. Musi jej o tym koniecznie powiedzieć. I koniec z czułostkami. Taki operator ma pewnie później niezły ubaw.

– Panie pułkowniku...

– Tak? – Halicki skoncentrował się na rozmówcy.

– Mam wrażenie, że mnie pan nie słucha. – Osmecki nie wyglądał na roz-

złoszczonego, jeżeli już – to rozbawionego całą sytuacją. – Jeden z naszych kierowców, Krzysztof Kusz, żyje. Jest, co prawda, w stanie ciężkim, ale lekarze są dobrej myśli. Dowiedziałem się o tym dosłownie przed chwilą. Zdaje się, że Rumuni mają kłopot z przepływem informacji. Ambasada wysłała kogoś na miejsce, ale sam pan wie, potrzebujemy tam człowieka doświadczonego i...

Halicki uniósł brwi do góry.

– ...zaufanego, to chciałem powiedzieć.

– Niedługo braknie mam ludzi w armii.

– Proszę nie trywializować. Mówimy tu o poważnych sprawach. Pan doskonale wie, z jak delikatną materią mamy do czynienia.

Nic więcej nie było do powiedzenia. Mógł się zgodzić albo nie. Do niczego go nie zmuszano. Powiedziano, jak jest. Decyzję miał podjąć sam.

Z opowieści Osmeckiego wyłaniał się ciekawy obraz. Najwyraźniej w armii istniał podział na lepszych i gorszych, a właściwie na tych, którym ufano, i tych, których zaufaniem nie obdarzono. On trafił do tej pierwszej grupy. To dobrze. Będzie źle, jeśli odmówi. Banach go cenił. Jak się okazuje, dla wywiadu był niezastąpiony. Tylko czy on chce zostać człowiekiem generała? To jednoznaczne opowiedzenie się za jedną frakcją, ale jednocześnie przeciwko innym. Będą go ciągnąć do góry, ale jak zmieni się układ, polecą na samo dno.

Na szczęście dla siebie nie widział bezpośredniego zagrożenia mogącego zmienić układ sił. Banach może zajmować swoje stanowisko jeszcze długo. To bestia kuta na cztery nogi, a nie pierwszy lepszy wycieruch, który dorwał się do stanowiska.

– Namyslił się pan? – W głosie Osmeckiego pobrzmiewał ton zniecierpliwienia. – Czas nagli.

– Dobrze. Mam tylko jeden warunek. Będę potrzebował kogoś do pomocy.

– Ma pan na myśli konkretną osobę?

– Jak najbardziej.

\*\*\*

– Nie tak. Zejdź na prawo.

Robert Galiński dyszał jak kowalski miech. To miał być luźny sparing, a on ledwie trzymał się na nogach. Płuca paliły żywym ogniem, ramiona drżały, a nogi potrafił unieść nie wyżej jak do pasa. Żebra i głowa bolały od uderzeń.

– Na prawo, mówiłem!

Znowu się zagapił i tym razem otrzymał kopnięcie w okolice wątroby. Próbował je zablokować, ale skończyło się na tym, że przedramię prawej ręki zesztyniało z bólu. Od nadgarstka po łokieć jego rękę zdobił jeden wielki siniak.

W ostatnim momencie uchylił się przed prawym prostym i sam spróbował dosięgnąć przeciwnika nogą. Uderzenie, bez większego wysiłku ze strony rywala, zostało odepchnięte. I pomyśleć, że był od tego konusa wyższy i cięższy. Nawet nie walczyli w tej samej kategorii. On był z półciężkiej, a tamten chyba z koguciej, co i tak nie miało większego znaczenia. W pary dobrał ich trener.

– Garda.

Galiński posłusznie uniósł ręce, zasłaniając twarz rękawicami, na które spadł grad ciosów. Mikrus bił w niego jak w worek treningowy. Oto, co znaczy dobre przygotowanie, serce do walki i dziesięć lat treningów. On nigdy nie dojdzie do takiej perfekcji w kick boxingu.

– Stop! – okrzyk instruktora rozszedł się po sali. – Na dziś koniec.

Galiński wyciągnął z ust ochraniacz. Musi chwilę odsapnąć, zanim powlecze się pod prysznic.

– Za dużo kombinujesz. – Chłopak, z którym walczył, przyjaźnie klepnął Roberta po ramieniu. – Dziś było nieźle, ale musisz popracować nad rękami. Sygnalizujesz uderzenia.

– Jak?

– Opuszczasz ramię. Popatrz.

Kiedy obserwował, jakie popełnia błędy, nie potrafił wyjść ze zdziwienia, że w ogóle jeszcze stoi na nogach. Przeciwnik mógł go zmasakrować bez większego wysiłku.



- Teraz rozumiesz?
- Aha.
- Nie myśl tyle. Najważniejszy jest instynkt.
- Jasne.
- Do następnego.

Z tym kick boxingiem to był durny pomysł. Zanim nabierze wprawy, miną lata, a i wtedy nie dorówna mistrzom. Sprawa wzięła swój początek od wizyty na Helu, gdzie został obezwładniony i uwięziony. Następnym razem już nie pozwoli sobie tak pomiatać. To wstyd. Był w końcu oficerem i mężczyzną, a nie jakimś leszczem, którym można powycierać kurze.

Pamięć o tamtym zdarzeniu odcisnęła na nim swoje piętno. Przed psychologiem trochę się krył, udając dobry nastrój, ale w głębi serca czuł nienawiść do wszystkiego i wszystkich.

Cierpiał też na bezsenność. Nie musiał być lekarzem, żeby wiedzieć, co jest przyczyną tej całej emocjonalnej huśtawki. To zespół stresu pourazowego.

Sam postawił sobie diagnozę. I co? Niczego to nie zmieniło. Bał się, że jak zacznie brać leki, odbije się to na nim. Prawdę powiedziawszy, najchętniej opuściłby Trójmiasto. Gdańsk, Gdynia i Sopot przestały mieć dla niego urok. Pierdolona 13 półflotylla! Dobrze, że większość tych, którzy tam służyli, wystrzelano w Warszawie. Dla takich jak oni nie było litości.

Nim z torby wiszącej na wieszaku wyjął ręcznik i żel, sięgnął po telefon, tak na wszelki wypadek. Lepiej sprawdzić, czy nie przyszła do niego jakaś wiadomość. Do licha, siedem nieodebranych połączeń z dwóch numerów. Ktoś bardzo chciał z nim rozmawiać. Wybrał pierwszy z wyświetlonych kontaktów.

- Galiński – powiedział, gdy po drugiej stronie usłyszał burkliwe „Nareszcie!”. – Z kim...
- Dlaczego tak długo się nie odzywałeś?
- Pan pułkownik?
- A któż by inny?

Ból istnienia trochę zelżał. Człowiek, z którym rozmawiał, był dla niego wzorem. Nie pękał nigdy. Galińskiemu wydawało się, że jest ulepiony z zupełnie innej gliny niż reszta.

– Bardzo się cieszę.

– Są tacy, którzy twierdzą, że chcesz zmienić klimat.

Kapitanowi odebrało mowę. Ze swoimi problemami raczej się nie obnosił, skąd więc Halicki wie, co go gryzie?

– Tak – odpowiedział ostrożnie.

– Dobrze. W takim razie widzimy się za parę godzin. Już po ciebie jadą. Jak się spotkamy, powiem, w czym rzecz.

\*\*\*

Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak parszywie jak teraz. Owszem, miał ostre kace, kiedy to błagał Stwórcę o łaskę – aby go zabrał z tego padołu, albo żeby już minęła ta cholerna niemoc, która trzymała jego wnętrzności w stalowym uścisku.

Obiecował sobie zawsze to samo – że już nigdy więcej ani kropelki. Ale kiedy wszystko wracało do normy i szedł do sklepu oddać butelki, za każdym razem przy kasie okazywało się, że puste to oni przyjmują, ale tylko na wymianę. Chcąc nie chcąc, wracał do domu z nowym zapasem. Koło się zamykało. No, chyba że następnego dnia ruszał w trasę... Wtedy poprzestawał na jednym piwku. W firmie pilnowali, by ktoś nie przyszedł do pracy na bani. To, co się z nim teraz działo, przekraczało wszelkie granice wytrzymałości. Był jak zawieszony w otchłani i nie potrafił znaleźć punktu odniesienia. Pamięć wracała powoli, a poszczególne fragmenty jakoś nie chciały złożyć się w jedną spójną całość. Co wspólnego ma grill na działce z pędzącą szosą furgonetką?

Kusz spróbował oblizać językiem spierzchnięte wargi. Co się z nim dzieje? Jest słaby jak dziecko. O podniesieniu ręki nie było mowy. Zresztą, co tam ręka. W głowie kręciło mu się jak w kalejdoskopie. Zastanawiał się, dlaczego właściwie leży, przecież powinien siedzieć za kierownicą?

Przez ciało Kusza przebiegł dreszcz. To, co jeszcze przed sekundą było

przed nim ukryte, nagle wypłynęło na powierzchnię. Samochód ochrony został ostrzelany. Później zabrali się za niego. Ciągnik wypadł z drogi. Tego, co zdarzyło się później, nie zapomni do końca... życia? A może już nie żyje? Może jest teraz w czyścicu i pokutuje za grzechy? Tych trochę się uzbierało – wóda, kumple, a i na szlaku nie brakowało pokus. Jak on to wszystko wytłumaczy Aśce?

Przyptyw adrenaliny sprawił, że Kusz podniósł się na łokciu i rozejrzał dookoła. Widział słabo. Przed oczami wciąż wirowały mu kolorowe plamy.

Jego nagła aktywność wzbudziła zainteresowanie wśród obecnego na sali personelu.

Mężczyzna uniósł głowę, próbując zrozumieć, co ci wszyscy ludzie do niego mówią.

Dupa błada. Nic z tego nie będzie. To narzecze nie przypominało żadnego cywilizowanego języka.

– Pan nie rusac, dobrze?

Młody lekarz w białym kitlu, stojący do tej pory przy aparacie do defibrylacji, odłożył elektrody i szybko zbliżył się do łóżka pacjenta. Otaczające go pielęgniarki bezustannie do siebie paplały.

– Ja Warszawa, tam studiowac.

Z ust Kusza dobył się przeciągły jęk.

– Sam ordynator pana zsywac. Tsy kule. Pan rozumiec? Tsy. Bum, bum, bum. – Chirurg wykonał gest, jakby strzelał z karabinu maszynowego. – Pan mieć dużo strzescia.

Kolejne słowa nie zostały skierowane do Kusza, lecz do żeńskiego personelu. On oczywiście nic z tego nie rozumiał, ale domyślał się, że musiało chodzić o niego. Poczłł się trochę nieswojo, gdy wszystkie trzy pielęgniarki zaczęły uwijać się przy jego skromnej osobie. Jedna z nich sięgnęła pod szpitalną pidżamę i zaczęła gmerać tam, gdzie do tej pory dostęp miała tylko jego żona i przygodne znajome.

Pewnie chce, żeby się wysikał. Nie odmówi sobie tej przyjemności. Stęk-

nał raz i drugi, i od razu poczuł się lepiej.

– Jest tu jedna pani.

Zamiast składować odpowiedź, tylko mlasnął. Ten szpital wcale nie był taki zły. Ostatecznie może tu trochę poleżeć. Dojdzie do formy. A ten, kto twierdził, że rumuńskie dziewczyny są beznadziejne, był w błędzie.

– Pani...

– Jaka? – To krótkie słowo kosztowało go sporo wysiłku.

– Ambasada.

– Policja?

– Polica tez, ale później.

– Pić.

Życzenie zostało spełnione natychmiast. Kusz pociągnął przez słomkę solidny łyk i jego usta wypełniła upragniona wilgoć. Wciąż czuł się parszywie, ale w międzyczasie dostał zastrzyk, który dosyć szybko zaczął działać. Już nie widział świata przez welon mgły. Wiedział, gdzie dół i góra, przestało go rwać w boku, za to swędzenie pod bandażem na ramieniu i żebrach zrobiło się nie do wytrzymania.

– Proszę...

Lekarz podszedł bliżej, stając tuż przy głowie pacjenta.

– Płose mówić.

– Tu...

– Gdzie?

– Już nic.

Doktor przyjrzał się kierowcy z zainteresowaniem, nie bardzo rozumiejąc, o co tamtemu może chodzić.

„Nie ty masz mnie podrapać, tylko tamta blondyneczka” – pomyślał Kusz. „Zostałem już wymacany, to co jej szkodzi zrobić mi jeszcze tę jedną, drobną przysługę?”.

– Ambasada, pan przyjąć? Ja mogę powiedzieć, że pan nie chce. Bedzie dobre.

– Niech wejdzie. – Wiedział, że pewnych nieprzyjemnych spraw nie uniknie, chowając się za fartuchem pielęgniarki.

– Jak pan sobie zycuć.

Kusz tęsknym wzrokiem odprowadził personel pomocniczy, przygotowując się na najgorsze. Zaraz zacznie się wypytywanie co i jak. Dopiero teraz dotarło do niego, co tak naprawdę się stało.

Wszystko przez te prochy, którymi został nafaszerowany. Jego świadomość była stłumiona, zajął się jakimś nic nie znaczącymi szczegółami, a tam przecież zginęli ludzie. Jego koledzy. Może nie wszystkich lubił, ale nikt nie zasłużył na taki los. Co teraz powie ich matkom, żonom i dzieciom? Nie był lepszy od nich, więc jak to się stało, że on teraz oddycha, a oni nie?

Nawet nie zauważył, kiedy do izolatki weszła kobieta.

– Pan Krzysztof Kusz?

Przytaknął.

– Patrycja Kolska, miło mi, reprezentuję ambasadę. – Urzędniczka próbowała się uśmiechnąć, ale zupełnie jej to nie wychodziło.

Kusz od razu poczuł do niej instynktowną niechęć. Niska, w ciemnym kostiumie, o zupełnie przeciętnej urodzie, była zaprzeczeniem rumuńskich pielęgniarek.

– Lekarz powiedział, że zgodził się pan odpowiedzieć na parę moich pytań.

– To oficjalne przesłuchanie?

– Jeszcze nie. To później, i też w mojej obecności. Na razie musimy doprecyzować parę szczegółów. – Kolska ukazała żółte od nikotyny zęby. – Możemy zaczynać?

– Proszę.

Ponieważ w pobliżu nie było krzesła, urzędniczka musiała je sobie przynieść z drugiego końca pomieszczenia. Następnie ze skórzanej torby, którą wcześniej postawiła przy łóżku, wyjęła kołnотatnik i długopis.

– Proszę podać miejsce zamieszkania.

- Po co?
  - Formalności do protokołu.
  - Solec Kujawski. Kościuszki 67.
  - Od kiedy pracuje pan w Defence Groupe?
  - A jakie to ma znaczenie?
  - Proszę odpowiedzieć.
  - Od roku.
  - A wcześniej?
  - Prowadziłem własną działalność gospodarczą.
  - Czyli?
  - Jeździłem na taksówce. Na miłość boską, o takie bzdety będzie mnie pani wypytywać?
  - Wiem, co mam robić – odparła Kolska z powagą. – Proszę się skoncentrować na odpowiedziach.
  - Próbuję, tylko nie widzę związku pomiędzy moją poprzednią pracą a tym, co się stało.
  - Wiele razy odbywał pan takie rozmowy?
  - Prawdę powiedziawszy, to nie.
  - A ma pan jakieś zastrzeżenia? Bo jeżeli tak, to za drzwiami stoi parę tyków z Securitate, którzy nie będą tak mili jak ja.
  - Securitate nie istnieje. Zostało rozwiązane. – Kusz doskonale pamiętał, jak w 1989 roku obalano komunistycznego przywódcę Rumunii Nicolae Ceaușescu. Skurwysyny ze służby bezpieczeństwa! Strzelali do ludzi jak do kaczek. Był wówczas dzieckiem, ale pewne obrazy na zawsze pozostały mu w pamięci.
  - Tak jak u nas SB i WSI.
  - Co chce pani przez to powiedzieć?
- Kolska przestała stroić miny, przybierając bardziej oficjalną postawę.
- Trudny z pana przypadek.
  - Proszę nie żartować. – Wzmianka o Securitate sprawiła, że stracił do

niej resztki zaufania. Źle zaczęli tę rozmowę. Zresztą, wina nie leżała tylko po jego stronie. Kolska była jakaś zasadnicza i oschła. Empatii nie było w niej nawet za grosz. Pewnie na placówkę trafiła zaraz po szkole dla wiedźm lub za specjalne zasługi, takie jak kablowanie na koleżanki do wychowawczynie klasy. Skąd się takie jędze brały? Widocznie w MSZ-ecie zwolniło się sporo wolnych etatów. Pies z nią tańczył! Kusz postanowił ograniczyć się do samych faktów, ani słowa komentarza.

– Dobrze, przejdźmy do tego, co wydarzyło się tuż przed momentem, w którym zostaliście zaatakowani. W kolumnie były cztery pojazdy...

– Pięć – natychmiast sprostował Kusz.

– Ach tak, to co mi tutaj napisali... – Urzędniczka zaczęła poprawiać notatki, bazgrząc długopisem po papierze. – Szczyt niekompetencji. Ci Rumuni są beznadziejni. Nie wiem, czy pan wie, ale zaraz na początku wzięli pana za martwego.

Kusz wytrzeszczył oczy.

– Dokładnie tak, jak mówię. Dobrze, że nie zapakowali pana w plastikowy worek. Z takimi nigdy nic nie wiadomo.

– Pani jest najwyraźniej uprzedzona.

– Po trzech latach tutaj? Proszę się nie dziwić. Ci, z którymi zaczynałam, już dawno trafili do Londynu czy Paryża. Tylko ja wciąż tkwię w tym samym miejscu.

Wyznanie kobiety sprawiło, że Kusz poczuł do niej odrobinę sympatii. To faktycznie może być frustrujące.

– Więc samochodów było pięć?

– Tak. Już niedaleko Konstancy dogoniła nas furgonetka volkswagena. Tak sobie teraz myślę, że nie byli sami. Nie widziałem tego, co działo się z tyłu, ale drugi wóz ochrony został ostrzelany w tym samym momencie.

– Jest pan pewien?

– Ja niczego nie jestem pewien. – Kusz był zły sam na siebie. Miał odpowiadać na pytania, a rozgadał się na całego. – Przecież mówię, że byłem skon-



centrowany na tym, co działo się przede mną.

– I co dalej?

– Jak rozwalili ochronę, zabrali się za mnie. – Przez plecy mężczyzny przebiegł dreszcz. – Straciłem panowanie nad kierownicą. Trochę mną rzuciło i wylądowałem w rowie.

– To bardzo interesujące.

– Pamiętam...

– Ja pana słucham.

– Nie. Już nic. – Kierowca opadł na poduszkę.

– Przypomina pan sobie, jakiego koloru był samochód napastników?

– Możemy skończyć innym razem? Sama pani rozumie...

– Wydawało mi się...

– Ja naprawdę mam już dość. Chciałbym porozmawiać z żoną. O ile to możliwe.

– Już ją zawiadomiliśmy.

– Ale tak osobiście.

– Dobrze, zobaczę, co da się zrobić. – Kolska wstała. – Do zobaczenia wkrótce, panie Krzysztofie. Mamy jeszcze wiele do omówienia.

Kusz zdobył się na słabe kiwnięcie głową. Dlaczego, do diabła, nie opowiedział jej o tym bandycie, którego widział? Co prawda, pamiętał go jak przez mgłę, ale parę szczegółów wryło mu się w pamięć.

Być może w jakiś sposób mógłby pomóc policji. Policji. Ale nie tej wyłóce. Jedno, co można było o niej powiedzieć, to to, że manipulowała nim, jak chciała. W tym była prawdziwą mistrzynią.

Następnym razem poprosi, aby nie wpuszczano jej do środka. Jedno spotkanie z tą zdziwą zupełnie Kuszowi wystarczyło.

Urzędniczka wyszła właśnie na korytarz, rozglądając się na boki. Izolatka była chroniona przez trzech mundurowych i dwóch tajniaków z tutejszego wydziału kryminalnego.

Wesoła gromadka rozstawiła sobie krzesła i fotele tuż przed wejściem do

sali, w której znajdował się Kusz. Gapili się przy tym bezczelnie na wszystkie kobiety pojawiające się w zasięgu ich wzroku.

Kolska nie wzbudziła w nich większego zainteresowania. Takiej jak ona nikt nie ruszy nawet kijem. Wyminęła ich, spokojnie docierając do schodów.

Tych pięciu żalosnych głabów można było sprzątnąć w parę sekund. W dotarciu do świadka nie stanowili większej przeszkody. Wystraszyć mógł się ich jedynie gang wymuszający haracze na bazarze, a nie profesjonalny zabójca.

„Swoją drogą, ten Kusz to też niezłe ziółko” – myślała Kolska. Bo to, że kręci, nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Co on chciał osiągnąć, mówiąc, że wjechał do rowu, skoro wyrznął ciężarówką w głąz leżący na poboczu? OK, mógł zasłonić się lukami w pamięci, ale volkswagena zapamiętał. Nie było z nim tak źle, jak to próbował zasugerować. Sprawdziła to. Ta podpucha z liczbą wozów w konwoju właśnie temu służyła. Kusz wiedział o wiele więcej, niż chciał powiedzieć.

Kobieta wyjęła z torebki komórkę. To może nie była najbezpieczniejsza forma przekazywania informacji, ale w tym przypadku liczyła się każda godzina.

Głos, który usłyszała już po pierwszym sygnale, brzmiał bezosobowo, zupełnie jakby rozmawiała z komputerem. Przekazała co trzeba i zakończyła rozmowę. O tym, co nastąpi później, zadecydują mądrzejsi od niej. Nie miała wątpliwości tylko co do jednego. Kusza czekała droga, i to niekoniecznie do domu.

\*\*\*

- Tak mi przypieprzył, że łeb mnie bolał przez trzy tygodnie.
- To przykre.
- Sam się o to prosiłem. – Usta Galińskiego zacisnęły się w wąską kreskę.
- Nie bierz wszystkiego do siebie. Taka moja rada. Inaczej się wykończysz.
- Pojechałem tam jak ostatni dureń sam, bez pomocy.
- Wykonywałeś swoje obowiązki. – Halicki nie bardzo wiedział, jak po-

móc młodemu kapitanowi. Odwoływanie się do zdrowego rozsądku w niczym tu nie pomagało. On swoje, Galiński swoje, i tak już drugą godzinę, odkąd wylcieli z Warszawy wojskowym C-130 Herkules, którego odlot został wstrzymany o półtorej godziny.

Załoga samolotu była wściekła. Mogli sobie ponarzekać, ale rozkaz to rozkaz. W końcu transport części zamiennych dla kombinowanej polsko-rumuńskiej brygady zmotoryzowanej to nic pilnego. Oprócz części na pokładzie maszyny dawało się dostrzec kilku oficerów i podoficerów mających objąć nowe stanowiska. Już mieli startować, gdy okazało się, że na pokładzie nie ma wszystkich, a nic tak nie wkurwia, jak czekanie na spóźnialskich pasażerów.

– Musisz w końcu zrozumieć, że na pewne sprawy nie masz wpływu. Nie przewidzisz wszystkiego. Tak już jest.

– Myślałem...

– No co myślałeś?

– Że po Aleppo to już nic mnie nie ruszy.

– Czy tobie się wydaje, że jesteś jedyną osobą, której życie przykopało na fest? – Halicki spróbował wygodniej usadowić się na małym siedzisku. – Sprawdziłeś się w ekstremalnej sytuacji i tylko to się liczy.

Jeśli Galiński będzie zachowywał się tak dalej, zostanie odesłany do kraju. Halicki nie był niańką. Trauma traumą, ale najwyższa pora przestać biadolić i pomyśleć o przyszłości, bez roztrząsania wciąż tego samego.

– Podobno najlepsze mnie ominęło.

– Ja bym tak tego nie nazwał. – Na podpułkowniku ostatnie wydarzenia również odcisnęły swoje piętno. – Brygada z Wesołej ledwie dała sobie radę.

– Trochę o tym czytałem.

– Ale w gazetach nie napisali, jak było naprawdę. Takiej masakry to ja nie pamiętam od dawna.

– Widziałem zdjęcia.

– Zdjęcia tam, kurwa... – Halicki poczuł nieodpartą chęć zrobienia kilku kroków. – Ja tam byłem! Pojechałem jeszcze tego samego dnia. Ktoś musiał

zabezpieczyć teren i mówię ci, że nawet w Aleppo nie było tak strasznie. A wiesz, co mnie zdołowało najbardziej? To, że ci wszyscy, którzy tam zginęli, to byli nasi ludzie. Rozumiesz, kurwa, nasi! – mówił trochę za głośno, ale wcale się tym nie przejmował. – Ci z 1 i 30 brygady niczym się od siebie nie różnili.

– Nie tak do końca.

– Wiem, co chcesz powiedzieć, i o jedno cię proszę. Oszczędź mi tego. Jak zobaczysz dwudziestolatka, któremu urwało obie nogi i jedną rękę, to będziesz inaczej śpiewał. Akurat to ci mogę zagwarantować. Czy myślisz, że po drugiej stronie nie było porządných ludzi?

– A byli?

– Pierdol się, synek! Rozmowa z tobą zaczyna mi wychodzić bokiem. Ty chyba jeszcze nie zakończyłeś leczenia! Pieprzysz takie farmazony, że mnie dupa boli! Zapamiętaj sobie jedno, jeżeli skrewisz, tym razem osobiście dopilnuję, abyś wyleciał z armii!

– Ja tylko...

– Zamknij w końcu ryja! – Od dawna nikt nie doprowadził Halickiego do takiej furii.

Generalnie panował nad sobą, a upust dawał emocjom na poligonie lub gdy trzeba było koniecznie kogoś opierdolić. Może i był niesprawiedliwy wobec chłopaka i niepotrzebnie się na nim wyżył, ale dłużej nie potrafił tego znośić. Czy on ma trociny zamiast mózgu? Najwyraźniej tak, skoro nie potrafi dostrzec najprostszých spraw.

Dostał w łeb. Dobre sobie. Co mają powiedzieć ci, którym przytrafiły się dużo poważniejsze rany? Jedno nie ulegało wątpliwości – to nie była bezkrwawa próba przewrotu, zginęło dwa i pół tysiąca osób. Aż trudno było to sobie wyobrazić. To jak przy szturmie na Kołobrzeg i Monte Cassino razem, a tamte bitwy były przecież wyjątkowo krwawe. Straty dla majątku narodowego szły w miliardy. Po paru miejscowościach na wschód od Warszawy pozostały ruiny. Setki sztuk bojowego sprzętu zostało bezpowrotnie utraconych.

Do mniejszych starć doszło pod Poznaniem, Wrocławiem i Przemysłem. Decydująca faza kryzysu trwała krótko, ale oczyszczanie terenu o wiele dłużej.

Tam, gdzie formacje wojskowe składały się z Amerykanów, należało wkroczyć i je rozbroić. Nie wszystkim się to spodobało. Żandarmeria i jednostki od początku wierne legalnemu rządowi miały z tym sporo problemu. Sądy doraźne, areszt prewencyjny. To jak nurkowanie w szambie – jeśli nie będziesz uważał, na pewno utoniesz.

Znaleźli się i tacy, którzy unieśli się honorem. W internecie krążyły filmiki, jak to jeden z drugim strzelają sobie w ucho, zanim tak naprawdę zdążyli opowiedzieć się po którejś ze stron.

Na domiar złego mnożyły się fałszywe oskarżenia. Ludzie są tylko ludźmi. Jak już nadarzyła się okazja do podłożenia bliźniemu świni, należało ją wykorzystać. Donosów dostawali na pęczki i żadnego nie mogli zignorować. Halicki był szczęśliwy, że mógł w końcu wyrwać się z tego błędnego koła i zająć normalną robotą. W perspektywie było uganianie się za niedobitkami wrogiego desantu, który zamiast trafić w jedno konkretne miejsce, został rozsypany nad sporym obszarem północnej Polski.

Wiele transportowych C-17 zostało zestrzelonych przez myśliwce, niemniej w paru przypadkach, nim doszło do katastrofy, spadochroniarze zdołali wydostać się na zewnątrz. Nie było ich wielu. Najliczniejsze grupy, o jakich słyszał, miały wielkość plutonu. I dobrze, bo w przypadku kompanii bądź batalionu rozbrojenie kosztowało o wiele więcej zachodu. Tam każdy stawał za dziesięciu zwykłych żołnierzy.

Stanowili elitę, a każdy z nich dysponował możliwościami dalece przekraczającymi zdolności zwykłego szeregowego. Sprzęt, w który zostali wyposażeni, nie miał odpowiednika w innych armiach, a oni sami zostali perfekcyjnie przygotowani do walki. Chodziły plotki, że to nie są normalni ludzie, tylko cyborgi. Widział ich w boju i był skłonny zgodzić się z tym poglądem.

Pod Mirosławcem rozbili regularny batalion mający ich pojmać, żadna tam obrona terytorialna.

Nawet chłopaki z Gromu, JWK, Agatu i Formozy nie zawsze potrafili sobie poradzić. Straty rosły w zastraszającym tempie. Walk nie było wiele, ale ich intensywność przekraczała wszystko, z czym mieli do czynienia wcześniej. Jednak najgorsza była nieufność, jaka zapanowała w społeczeństwie. Jeden na drugiego patrzył wilkiem. Wiele wody w Wiśle upłynie, zanim ponownie uda się scalić nadwątloną tkankę.

Na szczęście to zadanie nie należało do niego. Telewizja była mdła i tak nudna, że nie dawało się jej oglądać. Nawet stacje prywatne zostały wzięte pod ściślejszy nadzór. W kraju panował stan wyjątkowy i takie postępowanie nikogo nie dziwiło. Parę pism przestało ukazywać się na rynku, bo w końcu wyszło na jaw, kto je finansuje. Wielkiego poruszenia z tego powodu nie było. Nagle wszystko stało się narodowe. Słowo to odmieniano na wszelkie możliwe sposoby. Narodowe media, narodowe kino, narodowe wyrażanie samego siebie. Na każdym bloku, domu i instytucji państwowej wisały flagi. Non stop. Zupełnie jak na 3 maja. Kto nie obnosił się z biało-czerwonymi wstążeczkami na ubraniu, ten od razu był podejrzany. Zabawnie było widzieć Murzyna, Araba czy Hindusa w koszulce z napisem „Chwała Wielkiej Polsce”.

A chwała, chwała! Tylko tak dalej, a wszyscy trafią do domu wariatów.

Popadanie ze skrajności w skrajność. I oby tylko w ten sposób nacjonalizm dawał o sobie znać, bo w takich Niemczech, Francji czy Anglii...

– Proszę zapiąć pasy, za trzy minuty lądujemy. – Głos pilota dochodzący z interkomu brzmiał sztucznie.

Halicki poszukał klamry, która swobodnie dyndała z boku siedziska.

Galiński milczał jak grób. Pewnie słowa o tym, że zostanie wykopany z powrotem do kraju, zrobiły na nim wrażenie.

Dobrze, niech kombinuje. Łajza do niczego nie jest mu potrzebna. Chyba źle ocenił chłopaka, biorąc go za twardszego.

Może da radę, a jeśli nie... Trudno, niech znajdzie sobie inną robotę. Nie każdy musi pracować w wywiadzie.

\*\*\*

Florin Janco nie należał do osób, które wpadają w ekscytację z jakiegoś banalnego powodu. Był raczej jak skała, a właściwie – chodząca góra. W młodości ćwiczył zapasy i podnoszenie ciężarów, miał do tego naturalne predyspozycje. Masy mięśniowej nabrał szybko. Przy stu dziewięćdziesięciu centymetrach wzrostu ważył sto dwadzieścia kilogramów. Gdy już zakończył karierę, ogromne mięśnie pozostały, z wolna zamieniając się w tłuszcz. Janco szybko zaczął wyglądać jak zawodnik sumo. Już nie biegał, tylko majestatycznie się przemieszczał z punktu A do punktu B. Głowę zwykł golić na łyso, co sprawiało, że jego małe oczka wydawały się ginąć pod masywnymi łukami brwiowymi.

Do policji wstąpił za radą kumpli z klubu i nigdy nie żałował tej decyzji. Szybko wyczuł, jakie interesy można ukręcić na boku, jeżeli wiedziało się, z jakimi ludźmi trzymać – a co tu dużo kryć, przed Florinem wielu czuło respekt.

Tak jakoś z początkiem nowego tysiąclecia trafił do wydziału wywiadu kryminalnego. Tam też nie było źle, ale przekrętów już nie dawało się robić na bezczelnego. O dziwo, Janco miał wyniki, co szybko przykuło uwagę przełożonych. Niewielu z nich wiedziało, że naturalny talent został w tym przypadku podparty rozległą siatką informatorów. Bez nich ani rusz.

Kumple śmiali się, że Janco nigdy nie występuje z wnioskiem o założenie podsłuchu, bo i tak wie, co ten czy tamten robi, i z kim się kontaktuje. Jedna przysługa tu, druga tam i jakoś się toczyło. W politykę nie chciał się bawić, więc to polityka przyszła do niego.

Już na samą wieść o tym, czym ma się zająć, dostał bólu głowy. Jego delikatna sugestia, że może nie dać sobie rady, została spuentowana przez zastępcę komendanta głównego rumuńskiej policji krótkim – „wykonać”.

Dostał tę robotę, bo wcześniej nie opowiedział się za żadną ze stron, obojętnie czy byli to ludzie dawnej nomenklatury, czy też reformatorzy próbujący wprowadzić kraj na ścieżkę rozwoju. Ostatnio i tak wszystko stanęło na głowie. Teraz podział przebiegał na tych, którzy chcieli sojuszu z Warszawą, i na



tych, którzy za żadne skarby świata nie chcieli do niego dopuścić. Sam Florin zajął postawę wyczekującą. Głupi nie był. Lata poruszania się w szarej strefie sprawiły, że dostrzegał całą masę niuansów. Polska szybko stała się potęgą, może nawet za szybko, zupełnie jak meteor na firmamencie, i tak samo jak on mogła zgasnąć. Warszawa miała wrogów co niemiara, ale dla sporej części rumuńskiego społeczeństwa była jak objawienie – przy byle okazji podkreślano, ile znaczą dobre układy z Polską. Geopolityczny sojusz nabierał powoli kształtu, a Warszawa nie popełniła głupiego błędu i nie traktowała Bukaresztu protekcyjnie. Wydawało się, że wszystko jest możliwe. Nawet ostatnie wydarzenia przyjęto ze współczuciem i troską. Kryzys został przewyciężony, a tu nagle takie nieszczęście.

Janco przyjechał na lotnisko trochę wcześniej, niż należało. To był jedyny sposób na wydostanie się z komendy i chwilę spokoju. Śledztwo to jedna sprawa, ale współpraca z oficerem łącznikowym to już zupełnie nie jego bajka. Nie robi bez niego nawet kroku. Rozumiał ten gest politycznej dobrej woli, ale nie potrafił się z nim pogodzić. Że też musiało to spotkać właśnie jego! Czym sobie zasłużył na takie traktowanie?

Nawet nie zauważył, kiedy pochłonął kebab XXL z zestawu dla bardzo głodnych. Wytarł usta serwetką i sięgnął po colę. Dla takiego chłopaka taki posiłek to tyle co nic. Właściwie to mógłby wsunąć takie trzy, a i tak byłoby mało.

Turecki właściciel lokalu tylko czekał na jego decyzję. Gliniarze mieli u niego specjalną zniżkę. Janco pokręcił głową. Sam nie wiedział dlaczego. To pewnie przez tych polaczków. Gdzie się oni, u diabła, podziewają? Samolot już powinien wylądować.

Zaczęła w nim narastać irytacja. To nie był dobry początek dnia. Miał przecież łapać terrorystów, a nie obżerać się.

Florin zsunął się z barowego stołka i rozejrzał za czymś bardziej wygodnym. Ta nienormalna dla niego sytuacja może jeszcze trochę potrwać. Specjalnie zwłóknął się z łóżka o piątej. Przyłot został zaplanowany na szóstą trzydziści, a właśnie dochodziła siódma.

Zerkanie na tablicę przylotów w niczym tu nie pomoże. Lot nie był rejsowy; to transport wojskowy, a z tym nikt nie będzie się przecież obnosił.

W końcu Janco zobaczył podążającego w jego stronę pracownika ochrony lotniska. Facet zatrzymał się o trzy kroki przed komisarzem, w przepisowej postawie na baczność.

– Lądują za pięć minut.

– Prowadź.

Przeszli przez halę przylotów i skręcili w bok, tam gdzie znajdował się salonik VIP-owski. Należało liczyć się z tym, że gość przyleci z bronią osobistą. Ten fakt irytował policjanta wyjątkowo. Rumunia to nie Dziki Zachód. Tu obowiązywały inne zasady. Co się stanie, jeśli każdy cudzoziemiec będzie nosił pistolet pod marynarką?

Owszem, doszło do zamachu, ale to jeszcze nie powód, aby pozwalać na wszystko. Rząd wyraźnie próbował przypodobać się Polakom.

Florin przystanął przed oszklonymi drzwiami, przyglądając się, jak szary Herkules gładko przyziemia, a następnie, kierowany przez kontrolera, zajmuje miejsce postojowe.

Zaraz się rozstrzygnie, z kim Janco będzie współpracował.

\*\*\*

– Co to za jeden?

– A bo ja wiem? – Halicki rozpiął zamek w kurtce, bo mimo wczesnej pory na ziemi panowała już wysoka temperatura. – Jakiś tutejszy spec. Wykrywalność przestępstw imponująca.

– Pewnie do tej pory łapał dziwki i alfonsów.

– Obawiam się, że możesz mieć rację.

– I skubał turystów z forsą za ochronę. Frajer z politycznego nadania.

– Jak będą robić trudności, przejmujemy sprawę.

– Zgodzą się? – zdziwił się Galiński.

– Mam wszelkie potrzebne pełnomocnictwa. Stoi za nami cały autorytet Rzeczypospolitej. Możesz to sobie wyobrazić?

– Ja tak.

– Wszelkie instytucje wojskowe i cywilne, i tak dalej... W razie problemów informujemy ambasadora, a on już sobie pogada z ich ministrem.

– To lubię.

– Nie przyzwyczajaj się. – Halicki, z małym plecakiem na ramieniu, skierował się prosto w stronę przejścia, jakie im wskazano.

Gość, z którym mieli się spotkać, nazywał się Janco. Halicki nie był nawet pewien, czy to imię, czy nazwisko. Osmecki, z którym rozmawiał przez telefon, wiedział niewiele więcej. Typa trzeba będzie dopiero prześwietlić. Już nad tym pracowano. Oby tylko Robert nie miał racji, jeżeli chodzi o dziwki. Po tutejszych stróżach porządku publicznego wszystkiego można się było spodziewać.

Zdecydowanym ruchem pchnął drzwi i stanął oko w oko z człowiekiem, który z powodzeniem nadawał się do pracy w cyrku.

Przyjrzeni się sobie nieufnie. Pierwsze wrażenie nie wypadło najlepiej. Małe oczka na nalanej twarzy próbowały przeszyć Polaka na wylot.

– Podpułkownik Halicki – Polak przedstawił się na wszelki wypadek. Rumun mruknął pod nosem słowa powitania.

Nikogo innego w pomieszczeniu nie było, więc albo stał przed nim zapowiedziany Janco, albo ktoś od niego.

– To kapitan Robert Galiński, mój współpracownik.

Dopiero teraz doszło do wymiany uścisków. Dłoń Halickiego została zgnieciona. To nie było miłe doświadczenie.

– Janco. Florin Janco.

– Mamy pana wspierać – Halicki powiedział to po angielsku, ciekaw, co odpowie tamten.

– To będzie interesujące doświadczenie.

– Pan rozumie po polsku?

– Nie pan, a Florin. – Facet może i wyglądał jak troglodyta, ale przynajmniej mówił po polsku, choć z okropnym akcentem. – Oczywiście, że rozu-

miem. Sporo tu waszych turystów, to się nauczyłem.

Szturchnięcie Galińskiego było dyskretne. Zdaje się, że potwierdzała się właśnie jego wcześniejsza teoria. Gdzie Florin mógł podchwycić język? Przecież nie na spotkaniu w ambasadzie.

– Chodźmy do samochodu. – Janco odwrócił się i zaczął powoli iść w stronę wyjścia. Nie pozostało im nic innego, jak podążyć za nim. – Macie się gdzie zatrzymać?

– Nie.

– Znam dobry pensjonat. Zawiozę was tam, a później zabierzemy się do pracy, zgoda?

– Chciałbym jak najprędzej znaleźć się na miejscu zbrodni i przesłuchać Kusza.

– Kusz nie zajęc.

– On nie.

– Co pierwsze?

– Dobrze. Prowadź – zdecydował podpułkownik. – Muszę się ogolić i wziąć prysznic, inaczej dostanę szalu.

\*\*\*

Hotel Europa Royal Bucharest umieszczono w XIX-wiecznej narożnej kamienicy, w samym centrum miasta. Panująca wewnątrz atmosfera dobrze oddawała charakter państwa, który dawało się ująć jednym słowem – beznadzieja.

Dokładnie tak. Cały ten kraj był beznadziejny. Tradycja sięgająca antyku o niczym nie świadczyła. Tylko kaprys losu sprawił, że Rumuni nie znikli w pomroce dziejów, wchłonięci przez większych od siebie.

Człowieka, który w hotelowej restauracji z namaszczeniem mieszał kawę, na pierwszy rzut oka można było pomylić z turystą. A wszystko przez plan miasta, który ów człowiek rozłożył przed sobą. Wcześniej obejrzał wszystko na miejscu, ale w jego fachu niczego nie należało pozostawiać przypadkowi. Już wiele razy przekonywał się, że o powodzeniu decydują szczegóły. Błahy z pozorów incydent może w konsekwencji zaważyć na wszystkim, jak choćby ta nie-

dokończona sprawa z polskim kierowcą.

Ilekcio o tym myślał, nie potrafił zrozumieć, jak można było spieprzyć taką prostą robotę. Facet miał niebywałe szczęście. Dostał trzy kule, a mimo to przeżył. To wyglądało niemal na cud, a on cudów nie uznawał. W końcu był protestantem, a nie cholernym katolikiem. Nie będzie udawał, że nic się nie stało. Odpowiedzialny za to jawne zaniedbanie zostanie ukarany.

Mężczyzna siorbnał łyk kawy i odstawił filiżankę na spodek. Nie lubił, kiedy wrzątek parzył mu usta. Zresztą, i sam smak napoju pozostawiał wiele do życzenia. Zapłacił za niego majątek, a dostał jakiś ersatz mający niewiele wspólnego z dobrym naparem.

Dokąd ten świat zmierza, skoro człowiek nie dostaje tego, za co zapłacił?!

\*\*\*

– Interesujący kraj.

– Naprawdę? – Podpułkownik Piotr Halicki nie widział tu niczego ciekawego. Droga jak droga. Obłeci. Ruch umiarkowany, a przecież to jeden z głównych szlaków przewozowych łączących stolicę z wybrzeżem. Ciężarówki powinny tutaj śmigać jedna za drugą. A tu pustka. Jak to się stało, że ten kraj jest głównym sojusznikiem Polski nad Morzem Czarnym? Podpułkownikowi trudno było to sobie wyobrazić. Jeśli już wchodzić w układy, to z kimś mocnym, mającym silną gospodarkę, armię, potencjał demograficzny. Tak nawiasem mówiąc, odpowiedniej liczby naładowanych testosteronem młodych mężczyzn, z których można było zrobić mięso arma..., tfu, regularną armię, nigdy nie było za dużo. Który z osiemnasto-, dziewiętnastolatków myśli logicznie? Pomachaj takiemu sztandarem, wciśnij patriotyczne frazesy, na koniec obiecaj, że jak wróci, będzie bohaterem.. i już jest załatwiony.

Rumunia, jak się zdawało, takich atutów była pozbawiona. Niedługo większość towarów do sklepów będzie sprowadzana z Polski. Od pieluch po elektronikę i artykuły AGD. Od kiedy przestano ściągać pralki i lodówki z Dalekiego Wschodu, pojawiła się cała masa producentów na miejscu. Sprzęt był droższy, ale był. I co, można? Można.

Skoro Warszawa zaczęła słać tu uzbrojenie, to pewnie niedługo przyjdzie się Rumunom odwdziżyć. Banach na pewno coś wymyśli. O to można być spokojnym.

– Daleko jeszcze? – Halicki usiłował nie popaść w otępienie.

Wszystkiemu był winny panujący na zewnątrz upał. Trzydzieści stopni jak nic. Słońce paliło równinę, powoli przemieniając ją w półpustynię. Kto mógł, chował się w cieniu. Przyglądając się krajobrazowi, Halicki odnosił wrażenie, że wszelkie kolory wyblakły, stając się różnymi odcieniami szarości i brązu.

– Będziemy za pół godziny.

Przynajmniej pod tym względem nie było obsuwy.

Wielki człowiek potrzebował wielkiego wozu. Toyota tacoma spełniała te wymagania. Granatowy SUV z przyciemnionymi szybami pruł szosą, pozostawiając innych użytkowników drogi daleko w tyle. Żaden policyjny patrol nie ośmieliłby się ich zatrzymać, widząc tablicę rejestracyjną pojazdu. Rządowe blachy sprawiały, że wszyscy woleli trzymać się jak najdalej.

Cichy bałkański pop sączył się z głośników, uprzyjemniając jazdę. W uszach Polaków wszystkie te utwory brzmiały podobnie. Jedyna różnica polegała na tym, że muzyka raz płynęła szybciej, raz wolniej, ten kawałek był bardziej rzewny, a tamten nadawał się do tańca, i tak w kółko. Na razie dawali radę, ale co będzie jutro? Trudno powiedzieć.

Komórka Florina odezwała się po raz kolejny w ciągu ostatnich minut. Komisarz nie bawił się w żadne zestawy głośnomówiące. Przez chwilę przyglądał się numerowi, który widniał na wyświetlaczu, a potem przesunął palcem po ekranie urządzenia. Rozmowa trwała krótko. Sam Janco ograniczył się do kilku pomruków i tyle. Halicki nie pytał, o co chodzi. Jeśli mężczyzna zechce, to powie, a i tak tylko pod warunkiem, że informacja dotyczyła sprawy, nad którą pracowali. Życie prywatne komisarza ich nie obchodziło.

Polak ukradkiem przyjrzał się Florinowi. Mars na czole, zmrużone oczy i zaciśnięte zęby. Atmosfera zgęstniała. Na tylnej kanapie Galiński tylko wcią-

gnął przez zęby powietrze. On też zauważył, co zaszło.

Rumun podkreślił radio. Akordeon i perkusja ryknęły z nową siłą. Zmęczenie, które Halicki odczuwał do tej pory, niespodziewanie się ulotniło. Toyota pognęła pełną mocą silników. Florinowi nagle zaczęło się śpieszyć, aż do momentu, gdy telefon zadzwonił po raz kolejny. Zwolnili i wszystko powtórzyło od początku. Rumun kipiał złym nastrojem. Bez kija w ręku do takiego nie podchodzi.

– Wszystko gra?

– Taa...

Skoro ich opiekun tak twierdził, należało mieć się na baczności. Broń Halickiego czekała spokojnie w kaburze pod ramieniem, w kieszeni miał ukryty nóż. O ile pamiętał, Galiński zabrał ze sobą teleskopową pałkę zakończoną ołowianą kulką. Na początek wystarczy. Byle tylko nie dać odebrać sobie telefonu, bo jak go straci, będzie po zawodach. Robert już wiedział, co to znaczy. Minęli tablicę informacyjną. Do Konstancy zostało 25 km. I dobrze, już zaczął się dusić w tym samochodzie.

\*\*\*

– Wyraźnie widać, gdzie zaczął hamować. – Pułkownik ruszył skrajem szosy, trzymając w rękach dokumentację sporządzoną przez drogówkę. – Tu zjechał, a tam jest ten głąz.

Wraki zostały usunięte wcześniej. Dwie z trzech ciężarówek spłonęły. Ocalała tylko ta prowadzona przez Kusza. Dziwne, że naczepa nie zmiażdżyła szoferki. Uderzenie musiało być potężne. Kusz miał farta, to nie ulegało wątpliwości.

– Określono rodzaj broni, z której strzelano? – zapytał Galiński.

– Tak. Łuski wskazują na kaliber 5,56 i 9 mm.

– Niewiele nam to daje.

– Ekspertyzy trwają.

Automaty i broń krótka. Wielkiej filozofii tu nie było. Właściwie, co to za różnica, czy sprawcy posługiwali się M4 czy G36? Żadna. Broń raczej nie



wskaże zamachowców.

Halicki spróbował odtworzyć w głowie przebieg zamachu. Całe zdarzenie rozegrało się mniej więcej na kilometrowym odcinku drogi. Po wyeliminowaniu ochrony reszta nie miała szansy na przeżycie. Dwieście metrów od miejsca, w którym stał, dostrzegł wypalony obszar. Ciężarówka jadąca za Kuszem została podpalona. Kierowca na swoje szczęście zginął wcześniej, a nie spłonął żywcem.

Do Konstancy pozostawało stąd tylko parę kilometrów. To ostatni moment na przeprowadzenie takiej operacji i dyskretny odwrót. Halickiemu jakoś nie chciało się wierzyć w zapewnienia Florina, że zrobiono wszystko, co było możliwe, aby zatrzymać sprawców. Gówno tam! Konstanka nie była szczególnie duża; poprosi, to pojedą nawet zaraz i obejrzą sobie miasto. Ktoś na pewno musiał zauważyć coś podejrzanego.

Terrorystów musiało być co najmniej... No ilu... Myśl, Piotruś, myśl. Dwie furgonetki. W każdym kierowca i trzech lub czterech operatorów. Niewykluczone, że ktoś całą akcją jeszcze koordynował.

Pułkownik zlustrował okolicę, zastanawiając się, jaki manewr odwrotu on by zastosował.

Z miejsca, w którym stał, niewiele można było zobaczyć, sięgnął więc po tablet i wyświetlił mapę okolicy.

– Co jest? – Galiński stanął tuż za nim.

– Popatrz, tu jesteśmy.

– Aha.

– Gdzie byś uciekał?

– To proste. Na wybrzeże. – Mały palec kapitana pokonał hipotetyczną trasę. – Tędy. Łatwo się tu schować. Można też odpłynąć kutrem czy inną małą jednostką.

– Odpłynąć? Ale dokąd?

– Na Krym.

To miało ręce i nogi. Krym należał do Federacji Rosyjskiej. Jeśli zamachu

dokonali ludzie z tamtejszych służb specjalnych, kierunek wydawał się właściwy. Był nawet motyw. Harpoony stanowiły zagrożenie dla rosyjskich jednostek morskich. To samo dotyczyło Turcji. I w tym przypadku należało uciekać w stronę wybrzeża.

Poprosi Osmeckiego o przejrzenie zdjęć satelitarnych i wyszukanie na nich odpowiedniej łajby. W Warszawie zrobią to od ręki.

Halicki pomasował czoło. Przez panujący upał ledwie myślał. Powietrze falowało zupełnie jak na Saharze.

– Źle myślę? – Galiński strząsnął z nosa kroplę potu.

– Nie, dobrze. Tylko... to zbyt oczywiste.

– Najprostsze rozwiązania są najbardziej prawdopodobne.

– W życiu owszem, ale nie w naszej branży. Gdzie jest Janco?

– Gada przez telefon.

– Znowu? To już lekka przesada. – Halicki ze złością kopnął leżący obok jego nogi kamień. Zrobił trzy kroki w prawo i trzy w lewo. Umysł wszedł na wyższe obroty. – Słuchaj, z czym ci się właściwie kojarzy Rumunia?

– Z niczym – natychmiast wypalił kapitan.

– Właśnie. Potrafisz o tym kraju powiedzieć więcej niż to, gdzie leży i jaką ma stolicę?

– Na przykład?

– Jakiego ma prezydenta, układ w parlamencie, sławnych ludzi, naukowców, sportowców czy piosenkarzy?

– Nadia Comăneci.

Halicki zbaraniał.

– Kto?

– Taka gimnastyczka. Podobno dobra.

– Skąd o niej wiesz?

– Matka oglądała ją w telewizji – z zażenowaniem odpowiedział Galiński.

– I jeszcze O-Zone.

– Jaki, kurwa, ozon? Pogięło cię?

– Zespół, tylko nie wiem czy stąd, czy z Mołdawii.

Kilka zanuconych fraz przypomniało Halickiemu przebój sprzed lat. Taki dyskotekowy numer z trzema elegancikami tańczącymi na skrzydle samolotu.

– Pamiętam.

– Moja była za tym szalała.

– Współczuję, ale oszczędź mi szczegółów. Choć z tą Mołdawią możesz mieć rację, bo niby co to jest?

– Też Rumunia, tylko inaczej się nazywa.

– Właśnie, a do niej przylega Republika Naddniestrzańska, ruska enklawa wciśnięta pomiędzy Mołdawię a Ukrainę. KGB trzyma się tam mocno.

– A nie FSB?

– Jak zwał, tak zwał. Rządzi tam prezydent zezujący w stronę Moskwy. Nic się nie dzieje bez jego wiedzy, więc łatwo przerzucić do nich mały zespół albo nawet zebrać ekipę na miejscu. Mogą też ukryć się tam po robocie. Nadniestrze to nie kraj, tylko enklawa, sztuczny twór. Jak sprawy się rypną, można bez większego ryzyka zrzucić wszystko na nich.

Halicki ponownie zerknął na tablet, szukając w nim natchnienia.

– Jeszcze rząd – po chwili milczenia odezwał się Galiński. – Ten, który w '39 prysnął do Rumunii.

– Masz rację. – Halickiemu przypomniały się szkolne lekcje historii. Nad pewnymi kwestiami wówczas się nie zastanawiał, przyjmując je jako oczywiste. O szczegółach dowiedział się dużo później i mocno się wtedy zdziwił. Zaczął drążyć temat i oto okazało się, że nie wszystko jest takie piękne, jakim się na pozór wydaje. Noszony na rękach bohater, którego imię nadawano ulicom i placom znajdującym się w każdym polskim mieście, wcale nie był tak kryształową postacią, jak się zdawało. W 1939 roku nie znaczył wiele... Generał bez przydziału, jak cała reszta, prysnął do Rumunii, a potem... Tutaj wydarzenia nabrały tempa. Naciski „sojuszników” były tak duże, że został premierem. Cała reszta nie miała nic do powiedzenia. Pokonani nie mają prawa głosu. Nikt się z nimi nie liczy. Nowy lider poprowadzi nas do zwycięstwa!

Jeżeli to nie był zamach stanu, to co nim jest?

Rozważania o Sikorskim przypomniały Halickiemu kolejne fakty związane z Rumunią. Na razie nie było to nic konkretnego, ale czuł, że analitycy Osmeckiego będą mieli dodatkowe zajęcie.

– Gdzie się podziewa Florin?

Zdaje się, że komisarz miał fatalny dzień. Gość wpadł w kłopoty. Ale kto dziś chodzi beztroski?

– Wracamy.

– Już?

– Przecież wszystko widzieliście. – Janco wytarł chusteczką spocony kark.

– Powiedz, o co chodzi.

– Was to nie dotyczy.

– Ilekroć słyszę takie słowa, zaczynam się bać.

Rumun nie raczył odpowiedzieć.

– Trzymaj. – Halicki wcisnął tablet Robertowi. – Teraz to ja muszę zadzwonić.

Odszedł kilka kroków w bok i wyjął aparat, który dostał tuż przed wylotem od ludzi z wywiadu. Podobno możliwość podsłuchania rozmowy była równa zeru.

Miał w urządzeniu wbite parę numerów. Wybrał ten z samej góry listy. Lepiej, żeby Osmecki nie marudził z odebraniem połączenia.

– Tak?

– To ja.

– Wiem.

– Skurwysyny robią nam koło pióra. – Pułkownik bez owijania w bawełnę pokrótce zrelacjonował ostatnie wydarzenia. – Na tego faceta ktoś nieustannie wywiera presję.

– Wytyczne dostali jasne.

– Co nie zmienia faktu, że traktuje nas jak balast.

– Mam interweniować?

– Powoli. – Sam pomysł nie przypadł Halickiemu do gustu.

Banach opierdoli kogoś z MSZ-etu, ten – wkurwiony – zrobi to samo z kimś tutaj, a potem zacznie się równia pochyła i wszyscy zaczną krzyżeć na wszystkich.

Kiedy w końcu wyleją kubły pomyj na Janco, ten odpłaci im tym samym.

– Lepiej, jak się dowiecie, o co tu może chodzić.

– Właśnie kompletujemy zespół, który ma się zająć tylko tą sprawą. Powiem otwarcie, zaniedbaliśmy ostatnio ten kierunek. Powody znasz. Zaprzętnęły nas inne problemy. Oprócz tej nowej, mieszanej brygady na miejscu nie mam nikogo.

– Pieprzysz. – Dla Halickiego pułkownik wywiadu przestał być przełożonym. Powie mu wreszcie, co chce i w sposób, w jaki ma ochotę. Najwyżej go odwołają. Najwyraźniej jednak taka forma Osmeckiemu nie przeszkadzała.

– Mówię, jak jest.

– Pamiętaj, że jak wrócę...

– Dobra, już dobra. Mamy tam ze dwustu żołnierzy, ale na nich bym nie liczył. To instruktorzy rozsiani po tamtejszych garnizonach.

– Nie to miałem na myśli.

– Jedna sekcja w Bukareszcie. Jak chcesz, dam ci na nich namiary.

– Dawaj. – Sekcja, najwyżej pięciu ludzi. Przynajmniej nie będzie się czuł taki samotny. – A teraz mnie posłuchaj.

\*\*\*

– Kto to?

– Halicki, panie generale. Są pod Konstancą.

– Znaleźli coś?

– Jeszcze nie, ale pracują nad tym. – Osmecki zbliżył się do biurka Banacha, kładąc na nim streszczenie najnowszych informacji.

Szef wywiadu nie miał czasu na prasówkę. Dostawał wyciąg i tyle musiało wystarczyć.

– Martwią go naciski Rumunów. Tak się o tym wyraził.

Banach odchylił się do tyłu.

– O czym to może świadczyć?

– Nie wiem. – Adiutant nie bardzo wiedział, co generał ma na myśli.

– Oj Stasiu, Stasiu...

– Pan generał czegoś sobie życzy?

– Tak. Świętego spokoju.

– W takim razie proponuję parę dni wolnego. Nad morzem albo w górach, pan generał sam zadecyduje.

– Urlop jest dobry dla mięczaków, zapamiętaj to sobie.

– Ciekawa teoria.

– Mam kolejną.

– Zamieniam się w słuch, panie generale.

– Ktoś w Rumunii chce nam podłożyć świnie.

– Obawiam się, że pan generał może mieć rację.

– Przypomnij mi, czym tam dysponujemy?

– Zgodnie z wcześniejszą decyzją większość sił została wycofana z południowego kierunku operacyjnego. Najbliżej to w Debreczynie na Węgrzech 12 BZ. Jej nie ruszaliśmy. Budapeszt bardzo o to zabiegał. Mamy w Fetești misję lotniczą, kilka F-16 i śmigłowce, ale zdaje się, że nie o takie wsparcie panu generałowi chodziło.

– A co to za helikoptery?

– Apache i Black Hawki.

– Na początek wystarczą.

– Ćwiczą na nich Rumuni. Zapoznają się z naszymi procedurami, jak to się mówi.

– A w Bukareszcie?

– Trzy sekcje, te... Wie pan generał.

– Halickiemu powiedziałeś o jednej.

– Nie musi wiedzieć o wszystkim.

– Co racja, to racja – Banach zgodził się z adiutantem.

- Za jednostki szybkiego reagowania robi 6 BPD z Krakowa i 21 strzelców z Rzeszowa. W razie konieczności możemy ich ruszyć w parę godzin.
- To dopiero zrobiłby się szum. Prasa nie pozostawiłaby na nas suchej nitki! – Pomysł Osmeckiego nieszczególnie przypadł generałowi do gustu.
- A gdyby tak...
- Mów, Stasiu, mów.
- Mamy tę bandę na Mazurach, hmm... Jak się panu generałowi wydaje, będą odpowiedni?
- O widzisz! – Palec Banacha został wymierzony w pułkownika. – To jest bardzo dobra koncepcja!
- A na kogo ten bat, panie generale, o ile mogę zapytać?
- A tego dopiero musimy się dowiedzieć, Stasiu.

\*\*\*

- Plazma, kurwa, skoncentruj się. To wcale nie jest takie trudne! – Starszy sierżant Cyrus Parker rzucił niedopałek na ziemię i przydeptał go obcasem.
  - Cienki jest. – Kapral James Appelton, zwany Piłą, wbił czubek ciężkiego, sznurowanego buta w piach i sypnął nim w kierunku samotnej postaci. – Zaraz się obesra ze strachu. Już trzęsie kolanami. Co o nim sądzisz, Pablo?
  - Że to kurwa wciśnięta nam przez Banacha – odparł sierżant Castillo, Portorykańczyk z pochodzenia i dobry kumpel Piły.
  - Ja pierdołę, co za porażka. – Parker upił łyk coli z butelki, wciąż z tym samym grymasem niezadowolenia na twarzy. – Ruszysz dupsko, czy będziesz tak stał do wieczora?
- Chłopak zwany Plazmą zrobił ostrożny krok do przodu. Fakt, że się boi, był oczywisty dla wszystkich. Ten ostateczny test miał zadecydować o wszystkim: albo zostanie przyjęty do zespołu, albo wyleci. Poprawek nie przewidziano. Ostatecznie nie znalazł się tutaj przypadkowo. Od urodzenia miał skłonność do przemocy, ale co innego dać w ryja frajerowi na ulicy, a co innego patrzeć w przekrwione ślepie pięćdziesięciokilogramowego rottweilera, wiedząc, że za chwilę stoczy z nim walkę.

Nigdy nikogo nie zabił, a teraz będzie to musiał zrobić z psem; inaczej te palanty z byłego JSOC obśmieją go i spławią, nazwą dziwką Banacha, a na koniec spuszczą wpierdol. Zresztą, już go tak nazwali.

– Ramzes, bierz go! – Parker cisnął na wpeł pustą butelką w stronę zwierzaka.

Pies uchylił się, warknął i wyszczerzył zęby.

– To tylko kundel, dasz radę.

Kundel? Łeb większy od ludzkiego i paszcza z zębami ociekającymi śliną. Czy ta banda pierdolonych degeneratów na pewno wie, co robi?

– Mnie coś się widzi, że szeregowy Wolski ma ochotę na szybki numer. – Po słowach Castillo reszta zgromadzonych przy zagrodzie dla psów żołnierzy sił specjalnych ryknęła śmiechem.

Wiedzieli, że są wyjątkowi. Takich specjalistów jak oni, z najróżniejszych dziedzin oraz z doświadczeniem bojowym, armia nie miała wielu.

Parę tygodni wcześniej wydawało się, że wszyscy co do jednego zawisną na gałęzi. To, że żyli, zawdzięczali Parkerowi i kaprysowi Banacha.

Z tak użytecznego narzędzia nie należało rezygnować. Przeformować, przeorganizować, owszem, ale zrezygnować z niego – to byłoby marnotrawstwo. A że trzeba ich było mieć na oku, to oczywiste. I tak oto starszy szeregowy Ernest Wolski dostąpił zaszczytu dołączenia do polskiego szwadronu JSOC (Joint Special Operations Command), o ile oczywiście zda test, a ten nie był łatwy. Jego robocza nazwa brzmiała: „Ujebać psa”.

Łatwo powiedzieć, gorzej zrobić; tym bardziej że to nie yorkuś czy jamnik, tylko bestia z piekła rodem.

Plazma już zabijał. Raz królika, a raz, dla kaprysu, gołębia na strzelnicy. Instruktor kazał mu później przez tydzień czyścić latryny. Na szczęście ktoś u góry nie dał zginąć takiej perełce jak on, stąd szybkie przenosiny do Lublińca. Ale i tam długo nie zabawił. Mały konflikt z dowódcą drużyny skończył się dla tamtego rozbitym nosem. W armii źle patrzono na takich rozrabiaków jak Wolski. Nawet w siłach specjalnych. Normalnie trafiłby do ancla, ale warunki



nie były zwyczajne. Koniec końców, dostał ostateczną propozycję, coś jak betonowe koło ratunkowe. Czy da radę? Pewnie, że da! Nie chodziło tu przecież o jakieś szczególne umiejętności, tylko o pewien sposób myślenia. Dla tej bandy degeneratów ludzie się nie liczyli. Nieważne było, czy to mężczyzna, kobieta, czy dziecko. Więc co, psa nie ujebie?

Kiedyś może i mieli ideały. Jak to mówią: „niejednemu ideały dyrektorski stołek dały”. W ich przypadku ważne było to, że nie siedzieli, a „umiejętności”, które posiadali, wciąż mogły się na coś przydać.

Rottweiler przysiadł na łapach, wywieszając różowy jęzor.

Zdaje się, że Ramzes nie był najagresywniejszym psem pod słońcem; może właśnie dlatego Parker wydał na niego wyrok.

To jednak wcale nie znaczyło, że sprawa pójdzie gładko, tym bardziej że Wolski dysponował jedynie okutą pałką i bagnetem do AK.

Jasper Fisher, kolejna gwiazda teamu, zaczął ciskać kamieniami. Reszta poszła za jego przykładem. Rottweiler zerwał się i zaczął tańczyć w miejscu. W pewnej chwili skoczył, uderzając łbem o siatkę okalającą wybieg.

– Plazma, masz pół minuty, inaczej wypierdalasz! – Ryk Parkera podziałał na Wolskiego mobilizująco. Mocniej ścisnął pałkę i rękojeść bagnetu.

Ramzes, który szybko pojął, że prześladowcy są poza zasięgiem jego kłów, obrócił się w stronę chłopaka. To już na pewno nie był zdeorientowany czworonóg, tylko bestia z piekła rodem.

Wolski wyciągnął pałkę przed siebie. Wóz albo przewóz. Przeżycie kolejnych pięciu minut uzna za sukces.

Rozpoczął się śmiertelny taniec. Zmyłka w prawo, zmyłka w lewo, odskok. Nie może pozwolić, by rottweiler przekroczył łuk, który zataczała końcówka kija. A swoją drogą, co to za pojebana inicjacja! Zabicie człowieka jest przy tym jak rozsmarowanie komara na ścianie.

Okrzyki za plecami nie pomagały. Trudno było powiedzieć, czy ci, którzy przyglądają się walce, dopingują jego, czy psa. Z nimi porachuje się później. Na razie należało uważać, by samemu nie skończyć z rozszarpanym gardłem.

Wolski był tak naładowany adrenaliną, że zaczął dostrzegać szczegóły, o których istnieniu nie miał pojęcia jeszcze parę minut wcześniej. Skąd się wzięła ta szrama pod okiem Ramzesa? Pewnie gryzł się z innym psem, bo przecież nie z kotem!

A swoją drogą, Azorek brał udział w kilku akcjach bojowych, a Ramzes nie. Dwa miesiące temu tropił kilku zbiegów, właściwie to dezenterów z jednostki w Orzyszu. Pościg był dramatyczny. Zginęło pięć osób, w tym trzech Polaków. Po śmierci lidera grupy reszta się poddała. Ludzie z grupy pościgowej, w mieszanym składzie żandarmeria i paru operatorów z Agatu, mocno się wkurzyli. Prawdę powiedziawszy, nie było to profesjonalne, ale przynajmniej ludzkie. Jeden, który najbardziej pyskował, został zatłuczony, a i reszta dostała mocny wycisk i wylądowała w szpitalu. Jak mówiła plotka, Ramzes zyskał wtedy pięć minut sławy.

Teraz też będzie je miał, o ile Wolski się nie skoncentruje.

Pies niespodziewanie odbił się z tylnych łap i skoczył, celując w nogi szeregowego. Mężczyzna zrobił unik i okutą końcówką pałki uderzył czworonoga prosto w pysk. Cios był zbyt lekki z powodu niewystarczającego zamachu. Skręt nadgarstka nie był taki, jaki być powinien, ale na szczęście uderzenie okazało się na tyle mocne, by zdezorientować Ramzesa.

Należało szybko wykorzystać okazję. Tym razem Wolski trafił tak, jak powinien

Skąd w nim tyle nienawiści? Normalni ludzie tak się nie zachowują. Takich jak on powinno się odsyłać do psychiatryka. Reszta życia na lekach wyciszających, jakieś elektrowstrząsy...

Kurwa, już myślał, że jest po zawodach, gdy rottweiler zerwał się do działania. Zębiska kłapnęły tuż przed brzuchem Wolskiego. Gdyby nie piruet na jednej nodze, zostałyby niechybnie obalony.

Cięcie bagnetem przeszło powietrze, niemniej ostrze musiało zahaczyć o bok Ramzesa, bo mężczyzna usłyszał ciche skomlenie.

Odskoczył o parę kroków do tyłu i ponownie przybrał pozycję. Płuca pra-

cowwały jak kowalskie miechy. Skórę pokrył pot. Po dziesięciokilometrowym biegu nie był tak zmęczony jak teraz.

Na ile potrafił, wyrównał oddech. Pałkę, którą trzymał w prawej dłoni, wysunął najdalej, jak potrafił, przed siebie i dźgnął Ramzesa w zraniony bok. Rottweiler tym razem odskoczył, dysząc równie mocno jak on.

Jeszcze raz.

Ten moment był szalenie niebezpieczny. Pies, zapędzony w kąt, zaczął kąsać.

– Ruszaj się, Plazma!

Łatwo im mówić, stoją i się gapią. Przynajmniej przestaliby się wydzierać.

Nie namyślając się wiele, Wolski odbił się z prawej nogi, wykonał skok i kolejne odbicie, zupełnie jakby grał w piłkę i strzelał karnego. Masywny but poszybował z całą siłą, celując w nisko zwieszony łeb poranionego psa.

Trafił w to samo miejsce, na które wcześniej spadła pałka. Ramzes zaszkomlał zupełnie jak szczeniak. Już się nie bronił, tylko położył na boku. Z pyska zwierzęcia popłynęła krew.

– Wystarczy? – zapytał Parkera.

– Chyba ochujałeś! Dokończ to, co zacząłeś.

Nie tak wyobrażał sobie ten dzień. Tak naprawdę kochał psy. W dzieciństwie ubłagał starych o jednego. Rex był z nim rok, po czym wpadł pod koła śmieciarki. Na kolejnego już się nie zdecydował.

– Wybacz mi – jęknął, patrząc na leżącego na ziemi psa.

– Co tak, kurwa, mruczysz? Do dzieła! – Parker nie odpuszczał.

Wściekły sam na siebie, wziął zamach i uderzył w korpus Ramzesa, gruchocząc zwierzęciu żebra. To już nie było skomlenie, tylko pisk udręczonej istoty.

Po trzecim uderzeniu Plazma zorientował się, że wciąż trzyma bagnet.

Zaczerpnął powietrza, z trudem panując nad rozdygotanymi nerwami. Nie patrzył już na Ramzesa, tylko na otaczających go ludzi. Ich wzrok był skupiony i poważny. Wolski wiedział, że nie delectowali się śmiercią; w JSOC psycho-

le do niczego nie byli potrzebni. Ci mężczyźni zadawali śmierć nie dla przyjemności z jej zadawania, ale z konieczności. Oni go oceniali. Niedługo dostąpi zaszczytu stania się jednym z nich.

„Niech was piekło pochłonie, a mnie razem z wami, pierdolone pojeby” – pomyślał z wściekłością Wolski.

Położył nogę na głowie zwierzęcia, pochylił się i wbił bagnet w gardło Ramzesa. Posoka trysnęła z rany, gdy wyciągnął ostrze. W głowie czuł kompletną pustkę. Był obrażony i wściekły nie tylko na siebie, ale na cały świat. Został doprowadzony do granicy upodlenia, a potem przeciągnięty na drugą stronę. Po tym, co zrobił, najprawdopodobniej zostanie przyjęty w szeregi. Powinien czuć z tego powodu dumę, ale jak na razie jego „wyczyn” tylko go dławiał.

Pies w końcu zdechł. Służył do końca. Ciekawe, co te skurwysyny zrobią z nim samym, kiedy zostanie zraniony, a na ewakuację nie będzie co liczyć.

Pewnie go zastrzelą.

Na tym się znali. Litość była im obca.

– Zadowoleni jesteście?

– Nie.

– Co mam jeszcze zrobić?

– Wypatrosz bydlaka.

\*\*\*

Cyrus Parker przyglądał się poczynaniom Plazmy i Ramzesa z lekko przy-mrużonymi oczami. Ten polaczek był niezły. Pasował do nich jak mało kto.

Polecenie z góry brzmiało jednoznacznie – ma zostać przyjęty. OK. Ale nikt nie wspominał o szkoleniu. Tym to oni się zajmą.

Prawdę powiedziawszy, zabawili się kosztem chłopaka. Nie dał się skasować na torze przeszkód, więc wymyślili ten test.

Już się wydawało, że Wolski pęknie. Trzeba mieć nierówno pod sufitem, godząc się na coś podobnego. Ale przynajmniej dowiedzieli się, że ma charakter i stanie z nimi do walki ramię w ramię. Mało kto ma tyle samozaparcia.

Parker wiedział, że w tej chwili Wolski nienawidzi ich z całego serca, ale upłynie trochę wody i w końcu się przyzwyczai. Przynależność do tak elitarnych struktur musi boleć. Tu orderów nie rozdają za darmo. Właściwie to nie rozdają ich w ogóle. I co oni mieliby z nimi zrobić? Byli wyrzutkami. USA dogorywały, a kraj, który ich przygarnął, uczynił to z czystego wyrachowania. Parker nie miał złudzeń. W ośrodku na Mazurach znaleźli się z jednego powodu – nie wyrzuca się tak użytecznego narzędzia na śmietnik. Muszą odpokutować winy. Na tym świecie nie ma nic za darmo.

A miało być tak pięknie.

Ilekcję Cyrus próbował analizować krok po kroku wydarzenia, do których doszło w trakcie zamachu kwietniowego, nie potrafił dopatrzeć się w ich planie słabego punktu. Wszystko zostało dopięte na ostatni guzik. Nie rozumiał więc, dlaczego pucz zakończył się tak, jak się zakończył – masakrą Amerykanów, wyłapaniem większości agentów i unicestwieniem marzeń. Tym razem już na dobre zostali sprowadzeni do parteru.

Tych, którym udało się prysnąć za granicę, nie czekał wcale lepszy los. Rządy Niemiec, Holandii czy Danii w geście dobrej woli wydały zbiegów Warszawie, nie mrugnawszy okiem, doskonale wiedząc, czyje w tym momencie jest na wierzchu. Kto zdrze z polaczkami, ściągnie na siebie kłopoty. Lepiej już żyć z nimi w przyjaźni. Oby tylko ten mariaż nie zakończył się dla Banacha i spółki srogim rozczarowaniem.

Widok trzyosobowego patrolu żandarmerii, podążającego w jego kierunku, mocno zaniepokoił Cyrusa.

Co znowu?

Teren Ośrodka Specjalnego nr 1 należał do specjalnej jednostki Policji Wojskowej, która przeważnie nie wtrącała się w sprawy ludzi Parkera. Tym razem musiało zdarzyć się coś, co zburzyło panującą harmonię.

Cyrus ruszył w ich kierunku. Im szybciej dowie się, co zaszło, tym lepiej.

– Jakiś problem?

– Niestety. – Wysoki chorąży w czerwonym berecie nie powiedział słowa

więcej, tylko wskazał kierunek.

Główny budynek trochę przypominał szkołę. Jeżeli ktoś spodziewał się w środku cudów, mógł się mocno zdziwić. Nie było tam nic niezwykłego: sale wykładowe, pomieszczenia socjalne, gospodarcze, strzelnica. Podobno kiedyś w piwnicach znajdowały się cele dla szczególnie niebezpiecznych wrogów. Parker nigdy się tam nie zapuszczał. Nie miał takiej potrzeby.

Weszli do środka bocznym wejściem i od razu powędrowali schodami w dół, w miejsce, gdzie znajdowały się szatnie oraz sala gimnastyczna.

– Mogę się wreszcie dowiedzieć, o co chodzi? – Jeżeli chcą go załatwić, nie podda się bez walki.

Nieźle to sobie wymyślili. W towarzystwie tych trzech typów opór będzie krótki. Pewnie wcześniej wszystko dokładnie przećwiczyli. Zaraz złapią go za ręce, a ten chorąży wypali z pistoletu wprost w jego potylicę.

Koniec pieśni. Sąd nie znalazł okoliczności łagodzących.

– Zaraz wszystko będzie jasne.

– Dalej nie idę. – Ciemna klatka schodowa robiła na Cyrusie wrażenie przedsionka piekła.

– To niestety konieczne.

Żandarmi stanęli przed nim murem, a on nie miał już możliwości wydostać się na zewnątrz.

– Proszę się nie obawiać, to nie ma nic wspólnego z panem.

Strach, który ścisnął sierzanta za gardło, lekko zelżał. Jeśli mieliby go rozwalić, to już teraz. Po co bawić się w te gierki?

Wciąż nieufny, zaczął schodzić po schodach.

– Gdzie teraz?

– Pysznice.

Przed oczami miał w tej chwili ciemny korytarz i otwarte na oścież drzwi. Przed nimi zobaczył kolejnego żandarma.

Cyrus zatrzymał się niepewnie i w końcu wkroczył do środka.

Widok dyndających na sznurze zwłok zrobił na Parkerze wrażenie.

– Znaleźliśmy go przed kwadransem – wyjaśnił chorąży. – Na razie nic nie wskazuje na udział w zdarzeniu osób trzecich.

„O Chryste, to przecież Stuart Hill!” – Parker nie wierzył własnym oczom. Znali się ładnych parę lat. Często współpracowali. Nikt tak jak on nie znał się na materiałach wybuchowych. Podczas akcji na Pałac Prezydencki na Krakowskim Przedmieściu był w grupie generała Tony’ego Butlera. Hill sypał dowcipami w najtrudniejszych sytuacjach i oto... Nie, to nie do uwierzenia! Stuart nigdy nie strzeliłby samobójca!

Z Parkera uszła cała energia. Opadł na niską ławkę i ukrył twarz w dłoniach. To kolejny żołnierz, który w ciągu ostatnich tygodni odszedł w ten sposób. Najpierw był Duncan Edwards, później Bill Murdoch, a teraz Stuart. Jak widać, nie potrzebowano sądów doraźnych, by ich wszystkich załatwić.

– Lekarz będzie za pięć minut.

Pięć minut? A co to da? Stuart był martwy i nic tego nie zmieni.

– Przykro mi. – Chorąży też wyglądał na przygnębionego. – Rozumiem, że potwierdza pan identyfikację.

Po raz pierwszy w życiu łzy spłynęły Cyrusowi po twarzy. Jak się okazuje, nie był taki twardy, na jakiego pozował.

Ty mały, biedny skurwysynu, po co to zrobiłeś? Nie mogłeś przyjść do mnie i pogadać, tylko koniecznie musiałeś zawiązać sobie pętlę na szyi? Niech cię szlag! Fuck...

Parker miał dosyć, był pewien, że dłużej tego nie zniesie.

– Pogrzeb zorganizujemy najszybciej, jak się da – powiedział żandarm. – Pan wie, jakiego był wyznania?

– Metodysta.

– Zobaczę, co się da zrobić. – W kieszeni chorążego odezwał się telefon. – Przepraszam. To, zdaje się, jest pilne.

Polak oddalił się o parę kroków i rzucił do aparatu krótkie „tak”.

– Aha, aha, tak, przekażę.

Cała rozmowa trwała najwyżej piętnaście sekund.

– Sierzancie.

Parker uniósł głowę do góry.

– W ciągu godziny pan i pańska grupa macie być gotowi do wylotu. Przepraszam, ale to nie moja decyzja. Ja tylko przekazuję rozkazy.

– Nie musi się pan tłumaczyć. – Parker z trudem podniósł się z ławki, na której siedział. – Dziękuję za wszystko, co pan zrobił.

– Prawdę powiedziawszy, niewiele tego było.

Po raz pierwszy, odkąd się poznali, uścisnęli sobie dłonie. Niechęć, jaką względem siebie żywili, gdzieś uleciała. Co się stało, to się nie odstanie, a życie musi toczyć się dalej.

\*\*\*

– Gdzie on nas przywiózł? – Galiński rozejrzał się po ulicy znajdującej się w starej części Bukaresztu.

Fasady domów pokryte liszajami, odrapane okna i dziury w chodniku mówiły same za siebie. Ten fragment miasta dopiero czekał na swoją kolej w planie zagospodarowania. Pieniądze z Unii jakoś tu nie dotarły, a i miejscowe władze miały okolicę w głębokim poważaniu. A szkoda, po odnowieniu mogłaby to być całkiem miła okolica.

Halicki zgrzytnął zębami. Kolejną godzinę szlajali się za komisarzem od jednej obskurnej dziury do drugiej. Wszędzie wpadał tylko na momencik, dosłownie na pięć minut, po czym wychodził stamtąd jeszcze bardziej wkurwiony.

Tym razem było tak samo. Janco stał właśnie w bramie jakiegoś domu, szepcząc coś na ucho kolejnemu koleźce, za którego Halicki nie dałby złamanego bana. W końcu skierował się w stronę samochodu.

– Jedziemy. – Drzwiczki toyoty trzasnęły i Janco odpalił silnik.

W Halickim zaczęła wzbierać irytacja. Nie był pierwszym lepszym frajerem, którego można przestawiać z kąta w kąt. Postanowił na razie nie wsiadać do samochodu.

Boczna szyba pojazdu zjechała w dół i ukazała się w niej twarz Rumuna.



– Mówię niewyraźnie?

– Nie ruszę się stąd, dopóki nie dowiem się, o co chodzi.

– Was to nie dotyczy.

– Powtarzasz się.

Janco, wściekły na cały świat, z trudem hamował złość.

– Czekają na mnie w komisariacie.

– Ja ciebie rozumiem, ale ty zrozum nas. Trudno z tobą wytrzymać! Rano zachowywałeś się racjonalnie. Później już nie.

– Mamy kłopoty.

– To akurat widać – zakpił Halicki.

– Ja nie żartuję.

– Powiedz mi, Florin, co jest najważniejsze na świecie? – Polak oparł się przedramieniem o dach SUV-a i pochylił się nad okienkiem. – Jeśli mi powiesz, że pieniądze, to lepiej spadaj w cholerę i więcej się nie pokazuj.

Czoło gliniarza zmarszczyło się. Widać było, że Janco nie ma nastroju do takich gier.

– To proste pytanie.

– Wiara?

– Dobrze kombinujesz. Tylko jaka wiara?

– Bo ja wiem...

– Wiara, że to, co robisz, ma sens. W innym przypadku lepiej nie wstawać z łóżka. – Polak wyprostował się i złożył ręce przed sobą. – Jesteśmy tu krótko, a mnie się zdaje, że ty znasz połowę miasta. Mam rację? – zapytał retorycznie i zaraz sam sobie odpowiedział. – Pewnie, że mam. Jeżeli dowiedziałaś się czegoś, co ma związek ze sprawą, to mów śmiało i nie zasłaniaj się tajemnicą służbową. Im szybciej złapiemy tych skurwysynów, tym lepiej. Chyba że ci nie zależy albo takie dostałeś wytyczne.

– To jest bardziej skomplikowane, niż wam się wydaje.

– Oświeć nas.

– Nie na ulicy. Ludzie przestaną mnie szanować.

Halicki obszedł toyotę i usiadł na miejscu obok kierowcy.

– Mów.

– Mam wielu informatorów – zaczął niepewnie gliniarz.

– Zdążyłem zauważyć. Co ćwierkają ci twoje ptaszyny?

– Wieczorem w centrum ma się odbyć mała demonstracja.

– Mała?

– Najwyżej kilkaset osób.

– To w czym problem?

– Ci, którzy ją koordynują, otrzymali ostatnio duże... jak się to mówi, fundusze. Rekrutują ludzi z półświatka, chuliganów, ekstremistów i wszelkiej maści pomyleńców.

– Chcą, żeby było głośno.

– Nieźle płacą.

– „Nieźle” to rzecz względna. Ile? – zapytał podpułkownik żandarmerii.

– Od 300 do 500 euro, a potem to już w zależności od zasług.

– Zasług?

– Może słowo „efekt” będzie lepsze.

– Dobrze, Florin, takie rzeczy czasami się zdarzają. Nie są dobre i potrzebne, ale ludzie muszą sobie pokrzyzczeć, a już liderzy szczególnie. Może boją się waszych oddziałów do rozpędzania demonstracji. Macie w tym wprawę.

– Nie wiem, czy rząd jest na takie rozwiązanie gotowy.

– Walenie protestujących pałą po głowie nigdy nie jest dobre wizerunkowo. – Halicki nie do końca rozumiał obawy komisarza.

Manifestanci przyjdą, pokrzyczą, a na noc grzecznie wrócą do domów. Nie było o co kruszyć kopii.

– Powiedz mi jeszcze, jaką orientację polityczną reprezentują?

Dłonie Rumuna zacisnęły się na kierownicy, omal jej nie urywając.

– Antypolską.

– To ma być, kurwa, jakiś żart? – Halickiemu nagle zrobiło się sucho w ustach.

– Obawiam się, że nie.

W końcu zrozumiał, o co chodzi Florinowi. Facet dostał do rozwiązania sprawę, którą nie chciał się zająć. Dwóch Polaków snuło się za nim krok w krok, a na dodatek właśnie zapowiadał się wieczór pełen emocji.

Bez słowa komentarza pojechali w kierunku komendy, na której pracował Janco. Atmosfera w samochodzie zrobiła się gęsta. Takie zgromadzenia miały tendencje do eskalowania większej burdy. Janco powiedział wyraźnie, że przywódcy byli finansowani z zewnątrz, a pieniądze przekazywali dalej, gromadząc wokół siebie zadymiarzy.

Można się było z nimi rozprawić na kilka sposobów. Po pierwsze, nim na dobre rozpoczną demonstrację, można ich rozproszyc zdecydowanym uderzeniem policji. Trzeba uderzyć raz a mocno, później będą już mieli spokój. Po drugie, przeciwników politycznych dawało się zastraszyć, aresztując odpowiednio wcześniej ich liderów, na miejsce zbiórki kierując zaś duże zgrupowanie sił bezpieczeństwa. W takich przypadkach na wystąpienie decydowali się nieliczni, a wtedy krzykaczy brało się za łeb i pakowało do więźniarki. Dalej sąd, grzywna lub areszt tymczasowy. Po dwudziestu czterech godzinach mało który miał ochotę bawić się dalej w politykę.

Te metody nie były pozbawione wad. Media tylko na to czekały, a później w internecie już nie dojdiesz kto kogo... Lepiej pozwolić wykrzyczeć się liderom, a następnego dnia dobrać się do dupy tym z trzeciego szeregu na zasadzie: prowadzisz działalność gospodarczą, więc pokaż faktury, lokal gastronomiczny, to, czy masz czysto na zapleczu. W knajpie zawsze coś się znajdzie, a wtedy po kieszeni i od nowa, aż do skutku. Kiedy zostaniesz bez środków do życia, przestaniesz myśleć o polityce, a zaczniesz o korycie. Najgorzej, jeśli tłum okrzepnie. Wtedy jego usunięcie jest trudne. Rząd Rumunii miał jednak twardy orzech do zgryzienia.

W komisariacie na Șoseaua Mihai Bravu 137 wrzało jak w ulu. Janco poprowadził ich schodami w górę i tam kazał zaczekać. Sam wyszedł na naradę, oznajmiając, że nie wie, kiedy wróci.

Halicki przyjął tę informację ze spokojem.

– Co robimy? – Galiński przespacerował się po gabinecie i przystanął przy oknie wychodzącym na podwórze.

– Informujemy naszych. Co innego możemy zrobić?

– Niech pan popatrzy na to...

Armatka wodna w ciemnognatowym kolorze manewrowała właśnie na placu. Wokół niej kręciło się co najmniej kilkunastu mundurowych zaopatrzonych w zestawy do rozbijania demonstracji. Żółwie, nagolenniki, pałki szturmowe. Hełmy zwisały przy pasach.

– Robi się coraz ciekawiej. – Galiński podsumował widok jednym zdaniem.

– Nie wydaje ci się, że powinniśmy być teraz przy Kuszczu? – Halicki sprowadził młodego kapitana na ziemię.

– Może.

– Nie może, a na pewno. Trafisz tam?

– Jasne.

– To idź i bądź ostrożny. W razie czego będziemy w kontakcie.

– Tak jest.

– Pośpiesz się.

– Czy demonstracja i Kuszcz mogą mieć ze sobą coś wspólnego?

– Nie wiem, ale nie wydaje ci się, że to podejrzane? Jednego dnia zamach, a kolejnego antypolska zadyma?

– Zawsze myślałem, że Rumuni nas lubią.

– Ja też. Widać obaj nie mieliśmy racji.

\*\*\*

Nie można było sobie wymarzyć lepszej pogody. Z takim przedsięwzięciem zawsze były kłopoty. Protesty najczęściej wybuchały „spontanicznie”, a potem, człowieku, kombinuj: namioty, ciepłe okrycia, koksowniki, żarcie, no i oczywiście przenośne toalety.

Na tej spontaniczności przejechał się już niejeden. Nim coś na dobre zdo-

łano rozkręcić, już się kończyło, a na kontynuację brakowało chętnych.

Dziś będzie inaczej.

Trudno powiedzieć jak, ale na pewno nie pozwolą się rozproszyć jak barany. Stefan Stancu doskonale wiedział, w czym rzecz. Po raz pierwszy w historii jego partia „Synowie Wolności” wypłynie na szerokie wody polityki. Można powiedzieć, że wyłonią się z niebytu i zajmą poczesne miejsce na lokalnej scenie politycznej.

Stefan Stancu, czterdziestotrzyletni elektryk z małych zakładów obuwniczych na przedmieściach stolicy oraz lider skrajnie antyunijnego i antypolskiego ugrupowania, wreszcie zostanie potraktowany poważnie. Do tej pory wygadywano o nim najróżniejsze bzdury: a to, że nie płaci alimentów (nie płacił, bo i z czego?), a to, że urwał się z kochanką do Słonecznego Brzegu (nie urwał się, kochanki nie miał, co najwyżej kota, a wyjechał, bo bał się aresztowania) oraz – ogólnie – że jest wariatem i hochsztaplerem.

W końcu pokaże, na co go stać. „Synowie Wolności” nie byli liczni. W całym kraju należało do nich najwyżej sto osób, ale razem tworzyli nad wyraz dobrze zorganizowaną partię. Dziś na plac przed uniwersytetem przyprowadzi pięćdziesiąt osób. Samo doborowe towarzystwo, choć – jak się przyjrzeć po szczególnym jednostkom – to nie wszyscy wydawali się normalni. Taki Mihai Tott w swym wytartym ubranku przypominał bezdomnego. Nie szkodzi. Jak wejdą do parlamentu, wreszcie się odkują, a i dotacja, którą ostatnio dostali, była zacna. Dało się dzięki niej zwerbować kilkudziesięciu kolejnych bojowników za sprawę.

Oprócz „Synów Wolności” zjawią się i inni, dla których ideały są najważniejsze. Stancu nie wszystkich lubił, ale sponsor się uparł. Co zrobić? Kijem ich do domu nie przegoni.

Stefan założył na siebie najlepsze ubranie, jakie znalazł w szafie. Garnitur kupił jeszcze w zeszłym tysiącleciu. Fason już trochę niemodny, ale marynarka cała, rękawy nieprzetarte i kieszenie nieoberwane. Tylko spodnie ciasne w pasie. Jasna cholera, co teraz?

Przyjrzał się krytycznie własnej sylwetce w lustrze. Nie wyglądał najlepiej i wciąganie brzucha nic nie pomagało. Był prawie pewien, że nie przytył, a tu taka niespodzianka. W takim razie założy jednak dżinsy. Może to nawet lepiej, wprawdzie nie tak elegancko, ale też ujdzie. Był przecież dzieckiem ulicy, a nie pieprzonym oligarchą.

Koszula bez krawata. Biała czy niebieska? Niebieska. Ma wystąpić przed tłumem, a nie przed posłami. No już. Pozostało tylko nałożyć żel na włosy i dyskretnie spryskać się wodą kolońską. Na manifestację na pewno przyjdą dziennikarze i dziennikarki. Obiecał sobie, że jeśli zjawi się jego ulubienica z I kanału, to pójdzie na całość. A co? Sroce spod ogona nie wypadł. Zapewni jej wyłączność... Myśli Stancu pobiegły w kierunku zupełnie niezwiązanym z polityką. W końcu poszedł do łazienki i przemył twarz zimną wodą, żeby choć trochę ochłonić.

To przez ten upał. Mimo późnego popołudnia wciąż było gorąco. Dopiero po zmierzchu robi się przyjemniej.

Pora się zbierać. Już i tak był spóźniony. Ten dzień Rumunia zapamięta na długo. Będą... Będą... Opozycją totalną. Doskonałe określenie. Już gdzieś je słyszał. Nieważne. Takie szczegóły są bez znaczenia.

Sprawdził jeszcze, czy ma w kieszeni klucze do mieszkania, i ostatni raz popatrzył na własne odbicie w lustrze – z profilu i en face. Szkoda, że szczęka zaczęła znikać w fałdzie tłuszczu, tworząc tam drugi podbródek; cała reszta była bez zarzutu. Może jeszcze oczy jakieś takie niewyraźne i podkrążone, ale z tym już nic nie mógł zrobić. Jego była żona zzielenieje z zazdrości, gdy się dowie, jakich zaszczytów dostąpi wkrótce jej eksmąż. Zawsze miała go za nieudacznika i skończonego głąba. Kiedy już Stancu zostanie premierem, będzie przebierał w kobietach jak w ulęgałkach. Żadnej nie przepuści. Podobno władza działa na nie jak afrodyzjak.

Krzywy uśmiech wypełził w końcu na usta Stefana. Władza i kobiety były ze sobą związane jak mało co. Najważniejsze to wiedzieć, jak używać jednego i drugiego, a jemu wydawało się, że wie jak. W tych sprawach był ekspertem.

\*\*\*

– Długo kazałeś na siebie czekać. – Podpułkownik żandarmerii Piotr Halicki przez ostatnią godzinę wynudził się jak nigdy wcześniej.

– Narada się przedłużyła – burknął komisarz rumuńskiej policji. – Nawet nie wiesz, z jakimi głębami muszę się użerać.

– Nie ty jeden.

Florin Janco przeszedł przez cały gabinet, przystanął przy oknie i wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki srebrną papierośnicę. Miejsce za biurkiem było zajęte przez Polaka. Trudno. Postoi. Dosyć się dzisiaj nasiedział.

– Palisz?

– Nie.

– Słusznie, ja też próbuję przestać i wciąż nie mogę.

– A co stoi na przeszkodzie?

– Ciebie też traktują jak piąte koło u wozu?

– Wprost przeciwnie, noszą mnie na rękach.

– Taki z ciebie pupil władz?

– Nie lubię słowa „pupil”. – Halicki odchylił się na krześle do tyłu. Nie będzie się zwierzał, jakie układy wiążą go z wywiadem. W Bukareszcie znalazł się wyłącznie z jednego powodu – należało dopilnować, by sprawa Kusza została należycie poprowadzona. Cała reszta mało pułkownika obchodziła.

Florin, z petem w ustach, podszedł do biurka i stanął nad Polakiem niczym anioł przeznaczenia.

– A młody to gdzie?

– Musiał wyjść za potrzebą.

– Zabawny jesteś.

– Patrz na siebie.

Janco mruknął coś niewyraźnie i otworzył drzwiczki w biurku, wydając ze środka butelkę brandy i dwa pękate kieliszki. Na ten widok Halickiemu zaświeciły się oczy.

– Nie palisz, ale może...

– Jak najbardziej.



Wychylili po głębszym.

– Jeszcze?

– Dawaj. – Nie był to może najlepszy alkohol, jaki pułkownik miał okazję smakować, ale przynajmniej zapewniał odrobinę znieczulenia. Szkoda, że Alicja znajdowała się tak daleko. Powinien do niej zadzwonić. Przecież obiecał, że będzie się meldował codziennie.

– Wiesz, co wymyślili ci kretyni z ministerstwa? – Janco usiadł na krześle, podparł głowę i wyciągnął nogi przed siebie. – Nie wiesz, eee...

– Pałowanie i do pierdła?

– Pałowanie, owszem, ale nie przez nas.

– Nie rozumiem.

– Jakiś, kurna, mędrzec tam, przy korycie, wymyślił sobie, że skoro dojdzie do protestów, to nam nie wypada interweniować.

– Jeśli będą zachowywać się spokojnie... – Halicki wzruszył ramionami, czując ciepło rozlewające się po organizmie.

– Wcześniej wysłamy na nich naszych prowokatorów. To taki...

– Wiem, o co chodzi. – Polakowi zrobiło się nieprzyjemnie. – Tylko po co?

– Niby że ci są przeciw... tamtym. – Palce Florina wykonały młynek. – Rozumiesz? Zaczną się kłócić i obrzucać wyzwiskami, a wtedy my usuniemy i jednych, i drugich, i nikt nam nie powie złego słowa.

– To nie jest dobry pomysł.

– Wiem, ale moje zdanie się tu nie liczy. Mam tylko wykonywać polecenia.

Zdaniem Halickiego ci ludzie kompletnie powariowali. Pomysł, aby manifestację, która nie była po myśli rządzących, rozbić poprzez wprowadzenie własnych zadymiarzy, nie był nowy. Tak postąpiły władze w Mińsku na Białorusi podczas wyborów prezydenckich. Wszystko udało się nadspodziewanie gładko. W Kijowie podczas Majdanu już nie. Chuligani nazywani tituszkami, od niejakiego Wadima Tituszki, pierwszego wirażki, który spuścił łomot zbyt dociekliwemu dziennikarzowi, nie zawsze dawali radę swoim kolegom stojącym po drugiej stronie barykady. Nawet awans na siły pomocnicze policji nie-

wiele tu dał. Sama brutalna siła sprawdzała się tylko w niektórych przypadkach. A teraz podobny manewr chcą zastosować w Rumunii. Halicki myślał, że nic go już nie zaskoczy. Cały paradoks polegał na tym, że bandyci opowiedzą się za propolskimi władzami.

To już szczyt wszystkiego.

– Jak chcesz, odstawię cię do hotelu. Ja mam jeszcze parę spraw na mieście.

– Pojadę z tobą.

– To nie będzie przyjemne – natychmiast zastrzegł się Rumun.

– Tym bardziej chcę.

Butelka i kielonki powędrowały z powrotem do biurka. Na razie sprawa ataku pod Konstancą musiała poczekać. Wrócą do niej jutro, dziś mieli przed sobą burzliwą noc.

Polak i Rumun ramię w ramię wyszli przed komisariat i pomaszzerowali w stronę samochodu.

– Pojedziemy do mojego dawnego klubu. To zresztą niedaleko.

– Klubu?

– Uprawiałem zapasy.

– Gratuluję.

Janco usiadł za kierownicą. Nie było po nim widać, że pił. Zresztą, komu ta kropelka mogła zaszkodzić?

Wystartowali z piskiem opon. Jeżeli wszystko miało zostać dopięte na ostatni guzik, należało się śpieszyć.

Pomknęli jedną z bukaresztańskich ulic na południe. Później skręcili w lewo, w prawo, a potem już sam Halicki nie wiedział, gdzie się znajdują.

Stolica Rumunii okazała się dosyć specyficznym miastem. Mieli tu najprawdziwszy Łuk Triumfalny i Pałac Parlamentu, budowlę tak wielką, że na Starym Kontynencie nie miała sobie równych. Odchodząca od pałacu aleja, w zamyśle reprezentacyjna część Bukaresztu, w ostatnim okresie znacznie podpadła. Wszędzie, gdzie nie spojrzeć, można się było natknąć na watahy wałę-

sających się psów, grupki ludzi stojących na ulicach i oczywiście imigrantów, którzy ugrzęźli w tym przedsiönku Europy. Do Niemiec czy Francji nigdy już nie dojadą. I tak złapali Pana Boga za nogi, mając szczęście, że znaleźli się właśnie tutaj. Nie było tylko wiadomo, co władze planują z nimi zrobić w niedalekiej przyszłości. Deportować się ich nie da. Żadne państwo nie przyjmie tych ludzi, a odesłanie ich do Erytrei, czy skąd tam oni pochodzili, było nieprawdopodobieństwem. Na dobrą sprawę nikt nie wiedział, co się dzieje na południe od Sahary. Samolot z nachodźcami można wysłać, pytanie tylko, czy powróci? Zresztą, to i tak nic nie da; od południa przedzierali się kolejni, tonąc w odmętach Morza Śródziemnego lub ginąc na szlaku wiodącym z południa Afryki. Nawet gdy już się znaleźli w upragnionym raju, część z nich od razu trafiała na wpół niewolnicze plantacje w Grecji, Włoszech czy Hiszpanii. Europejczycy coś przecież jeść musieli. Statystyki pod tym względem były bezlitosne. Co roku bramy umęczonego kontynentu szturmowały kolejne miliony imigrantów, a to groziło pełną destabilizacją. Dlatego tak ważne było utrzymanie spokoju w takiej Rumunii.

Banach wiedział, co robi. Lepiej mieć za sojusznika stabilne Węgry, Bułgarię i Rumunię niż Hiszpanię, która zaczynała się chwiać. Tam każdego dnia spodziewano się, że muzułmańskie armie przekroczą Cieśninę Gibraltarską i pomaszerują na Madryt.

A jeśli na Madryt, to i na Barcelonę, Marsylię i Messynę. Zależy jeszcze, jaka to będzie armia, bo do matek z dziećmi żołnierze raczej strzelać nie będą.

– Jesteśmy na miejscu. – Florinowi trochę się czknęło, ale poza tym trzymał fason.

Piotr spodziewał się wielkiego sportowego kompleksu, więc to, co zobaczył, odrobinę nim wstrząsnęło. Zwyczajny blok. Klub, zdaje się, zorganizowano w piwnicy. Na szyldzie znajdującym się nad wejściem straszył wymalowany gladiator. Towarzystwo obok raczyło się piwem z puszek i papieroskami. Istni mistrzowie pierwszego kroku bokserskiego i ostatniej wódeczki.

Na widok Florina wyraźnie się ożywili, niestety Halicki nie rozumiał ni

w zęb, o czym rozmawiali. Wkrótce i tak weszli do środka.

Dobrze, że wcześniej chlapnął kielicha, inaczej miałby spory kłopot. Odór potu roznoszący się po klubie był przeraźliwy: kwaśny i gorzki jednocześnie, aż wzbierało na mdłości.

– Tu ćwicyłeś? – zapytał komisarza.

– Na samym początku. Później bywało różnie. Wiesz co, stań sobie tutaj i z nikim nie rozmawiaj. Za chwilę wrócę.

Oczy Halickiego wciąż nie chciały przyzwyczać się do panującego w środku półmroku. Dopiero po paru sekundach zaczął dostrzegać szczegóły. Na wprost niego znajdował się ring, a na lewo dostrzegł maty dla zapaśników. Rząd worków treningowych zaczynał się tuż po prawej. Przy każdym stał zawodnik. Wagi różne: od drobnych kogucików po gości postury Florina.

Oparł się ramieniem o ścianę i zaczął kontemplować to, co widzi. Mocno zdziwił go widok ćwiczącej wśród tej zgrai mięśniaków kobiety. Warkoczyki na głowie dziewczyny zdawały się obdarzone własnym życiem, gdy wyprowadzała ciosy – a naparzała w worek w wprawą godną prawdziwego mistrza. Dobrze, że Robert na taką nie natrafił, gdy postanowił nauczyć się podstaw kick boxingu. Na pewno nabawiłby się wówczas kompleksów.

Trudno było nazwać ją laleczką. Ramiona trochę zbyt masywne i za mały biust. Ale przynajmniej nie brakowało jej zapału w tłuczeniu wyimaginowanego przeciwnika.

Cała reszta na olimpiadzie nie wystąpi, chociaż – kto ich tam wie; samemu Florinowi o mistrzów raczej nie chodziło. Osmecki pęknie ze śmiechu, kiedy się dowie, jakie metody stosują sojusznicy znad Morza Czarnego.

Janco, niczym udzielny książę, wzywał do siebie poszczególnych sportowców, a ci – posłuszni wezwaniu – podchodzili do niego jeden po drugim. Zda się, że żaden nie odmówi. Po wszystkim zostaną sowicie opłaceni. Tutejsze Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wyasygnuje drobną kwotę na ten cel. Jeśli chcesz mieć spokój, musisz posmarować.

Spotkania wreszcie dobiegły końca. Florin, już w trochę mniej grobowym

nastroju, podszedł do Halickiego.

– Mam dwudziestu.

– Mało.

– Pojedziemy dalej. Tu są jeszcze trzy takie kluby. – Policjant myślni był już gdzie indziej.

– Poczekaj...

– O co chodzi?

– Ta dziewczyna...

Florin z zainteresowaniem spojrział na zawodniczkę wskazaną przez Polaka.

– Mam ją ciągnąć na zadymę? Chyba oszalałeś. Tam, w kącie, stoi Vlad, jest od niej trzy razy cięższy. Po co nam takie chucherko?

– Weźmy ją.

– My?

– Nie my, a ty.

– Jeśli potrzebujesz kobiety, to znam odpowiednią metę. – Usta komisarza rozciągnęły się w wiele znaczący uśmiech.

– Zawsze rozumiesz skrótami? – Sama myśl, że mógłby zdradzić Alicję z jakąś wywłoką sprawiła, że poczuł odrazę do samego siebie.

– Mów po ludzku, o co chodzi?

– Mam dla niej robotę.

– Tak? A jaką?

– Ciekawski jesteś.

– Ja płacę...

– Przecież nie osobiście. Od nas też dostanie parę stów. No dobra, jak już koniecznie chcesz wiedzieć...

\*\*\*

– Wszystko już opowiedziałem. – Kusz za wszelką cenę próbował wymigać się od rozmowy z tym ponurym kapitanem. Podobno gość był z wywiadu. Szmatę pokazał, to fakt, na pewno swój, nie podstawiony, tylko czemu tyle

w nim złości? Człowiek cierpi, a ten się czepia, zupełnie jakby miał powody.

– Ale nie mnie.

– Panie kochany, jestem tylko człowiekiem. – Kierowca opadł na poduszki i przykrył się kołdrą aż po samą brodę. – Męczycie mnie kolejny dzień.

– Nie robię tego bez powodu. – Galińskiemu powoli zaczęły puszczać nerwy. Ten Kusz to wyjątkowy osioł. Nic nie kuma, a obnosi się ze swoim cierpieniem, jakby naprawdę było z czym.

– Kręci mi się w głowie.

– Zawołać pielęgniarkę?

– Tak będzie najlepiej.

Kapitan wyszedł z izolatki, prawie natychmiast wpadając na smętnego mundurowego dyżurującego na korytarzu. Gliniarz kręcił się zupełnie bez celu. Widać było, jak się męczy.

Był sam, znudzony i rozdrażniony. Kolegów skierowano do ważniejszych zadań i choć do końca zmiany pozostała godzina, to i tak nie było wiadomo, czy ktoś się zjawi na zastępstwo. Może tu gnić do samego rana albo i dłużej.

Galiński potrząsnął głową. Zmęczenie powoli zaczynało przejmować nad nim kontrolę. Halicki od początku narzucił zbyt duże tempo. Ciekawe, jak ten stary drań sobie radził bez jego pomocy. Swoje lata już miał. Życie go nie rozpieszczało, zaliczył wiele nokautów, a mimo to za każdym razem się podnosił. Godne pozazdroszczenia. Galiński nie miał tyle samozaparcia.

Rumuński gliniarz patrzył w sufit. Mało prawdopodobne, żeby rozumiał po polsku, a tym bardziej po angielsku. Czy to nie paradoks, że on, arabista, nie potrafił porozumieć się w tym ponurym miejscu? Kusz pewnie symulował, ale będzie lepiej, jeśli ktoś się nim zajmie, tak na wszelki wypadek.

Galiński właśnie próbował zlokalizować pokój pielęgniarek, gdy na schodach pojawiła się młoda kobieta ze sportową torbą przewieszoną przez ramię. Mogła mieć najwyżej 25 lat. Jeżeli przyszła w odwiedziny, to trochę nie w porę. Większość pacjentów powoli kładła się spać, tu i ówdzie snuła się jeszcze sylwetka w szlafroku, szurając po posadzce plastikową podeszwą

szpitalnych łapci.

Kobieta najwyraźniej czegoś lub kogoś szukała. Ich spojrzenia spotkały się.

O cholera!

Wibracja w telefonie sprawiła, że mężczyzna zaczął szukać aparatu po kieszeniach.

– Tak?

– Słuchaj, Robert...

Dziewczyna skierowała się w jego stronę.

– ...podesłałem ci kogoś do pomocy.

– Kogo?

– Ma na imię Elena.

– Jak?

– Polubicie się.

– I co ja mam z nią zrobić?

Usłyszawszy przeciągłe westchnienie Halickiego, Galiński szybko się zorientował, że zadał wyjątkowo głupie pytanie.

– Jest tam jakaś ochrona?

– Jeden mundurowy.

– Od tej pory masz do pomocy Lenę. Zrobi, co jej każesz, w granicach rozsądku oczywiście. I pilnujcie Kusza, on jest tu najważniejszy. W razie konieczności nie wahaj się użyć broni.

– A wy?

– Przyjrzymy się tym bandytom, którzy chcą dymić.

– Prawdę powiedziawszy, to wolałbym...

– To jest armia, synu, a nie twój prywatny folwark.

– Tak jest – zdążył powiedzieć, nim połączenie z Halickim zostało przerwane. Chciał jeszcze zapytać, skąd wytrzasnęli tę laskę, ale nie zdążył. A niech to wszyscy diabli, ponownie wyszedł na kretyna! Ostatnio zrobił się nerwowy. Ci, którzy twierdzili, że wypalił się w tej robocie, chyba mieli ra-

cję.

Podobno pierwsze wrażenie jest najważniejsze. Jeżeli tak, to on nie wypadł najkorzystniej. O mały włos, a aparat wysliznęłyby się ze spoconych palców kapitana i roztrzaskał na podłodze.

– Cześć.

– Hej. – Na początek wydukał tylko tyle.

– Już ci o mnie powiedzieli? – Jej angielski, choć mało gramatyczny, był dla niego w pełni zrozumiały.

– Tak. – Na jego gust dziewczyna była nieco zbyt umięśniona, lecz nie dało się jej odmówić pewnego wdzięku. – Chociaż z grubsza znasz sprawę?

– Nie.

– Zaraz ci wszystko wyjaśnię, ale na początek bądź tak dobra i znajdź lekarza. Nasz podopieczny zaczyna stroić fochy, a ja chciałbym go jeszcze dzisiaj przesłuchać.

Kiwnęła głową i odeszła. Teraz i on, i znudzony policjant nie spuszczały z niej spojrzenia.

Jeżeli pracowała w policji, to wszystko poszło oficjalnymi kanałami. Tylko dlaczego nie pokazała służbowej legitymacji? Tak byłoby najprościej. A może jest prywatnym detektywem lub kimś takim? Całkiem prawdopodobne. Galiński wkrótce i tak pozna prawdę. Do rana szmat czasu, o czymś rozmawiać muszą.

\*\*\*

– Posłuchajcie mnie uważnie. Dziś wybiła nasza godzina. Już dłużej nie będziemy patrzeć, jak skorumpowany rząd okrada nas, zwykłych obywateli! Pora to zmienić! Chyba zgodzicie się ze mną?

Głośne „tak” zabrzmiało mniej entuzjastycznie, niżby Stefan Stancu sobie życzył.

Ludzi było wystarczająco, może nawet ze trzysta osób, ale wszyscy stali jak barany, ziewając i chwiejąc się na boki. Tym, którzy wcześniej wychylili po piwku, osobiście porachuje kości. Mieli być trzeźwi. Czy tak trudno to zro-



zumieć? Co za kretyni! Z kim on musi pracować? Żałosne.

Stancu nerwowo oblizał usta i spróbował wspiąć się na wyższy poziom krasomówstwa.

– Powiadam wam, tak dalej być nie może! Mamy być niewolnikami we własnym kraju? Kiedyś byliśmy wielkim narodem, a dziś kim jesteśmy? Obywatelami drugiej kategorii! Rządzi nami Warszawa do spółki z Budapesztem. Oni myślą, że o tym nie wiemy! Ale myślą się... – Stefan zawiesił na moment głos, chcąc, by to, co powie za chwilę, zostało dobrze zapamiętane. – W czym jesteśmy gorsi od Węgrów?! – Padło kolejne dramatyczne pytanie.

– W niczym! – odpowiedział ten i ów ze zgromadzonych na placu przed uniwersytetem.

– Właśnie, w niczym! To dlaczego chcą nam zabrać ziemię? Dlaczego prześladują naszych rodaków?! Dlaczego mamy coraz mniej do powiedzenia we własnym państwie?!

Zdaje się, że w końcu przykuł ich uwagę.

Ekipa jednej z telewizji, snująca się do tej pory gdzieś na obrzeżach, teraz podeszła całkiem blisko. Oko kamery zostało wycelowane w Stefana, a on – jak przystało na męża stanu – powiódł stalowym spojrzeniem po stojących przed nim współtowarzyszach walki. Wielokrotnie ćwiczył tę pozę przed lustrem, wzorując się na Adolfie i Mussolinim. Oni wiedzieli, jak przeciągnąć tłum na swoją stronę.

– Tam... – Wyciągnięta ręka nie wskazała żadnego konkretnego kierunku. Po prostu należało uczynić jakiś gest. – Tam mordują naszych rodaków! Polacy i te węgierskie psy obdzierają nas z godności. Hańbią nasz kraj, a my udajemy, że nic się nie dzieje!

Stojąc na podwyższeniu, doskonale widział, co rozgrywa się wokół niego. Poza tym uniwersyteckim placem życie w Bukareszcie zdawało się toczyć własnym rytmem.

Do czasu...

Pierwszą oznaką, że coś jest nie w porządku, były gwizdy i pokrzykiwania

grupy ludzi, która nadciągała od strony wyjścia ze stacji metra Universitate. Co najmniej kilkudziesięciu mężczyzn, niektórzy w kominiarkach na głowach, szło w ich stronę. Zamiast transparentów i politycznych haseł nieśli ze sobą kije bejsbolowe i pałki.

Pod Stancu zadygotały nogi.

Dlaczego w okolicy jest tak mało policji, raptem kilka radiowozów, i dlaczego mundurowi nie próbują oddzielić jednych od drugich?

– Nie...

Część zwolenników lidera „Synów Wolności”, zorientowawszy się, że nadciągają kłopoty, próbowała ustawić się frontem do niebezpieczeństwa.

– Nie ulegajcie prowokacji!

Co prawda, nie miał nic przeciwko mordobiciu, ale mordobiciu na jego zasadach, nie przypadkowej szarpaninie nie wiadomo z kim.

Wrzawa nasilała się z każdą upływającą sekundą. Wróg, który nadciągał, mimo że w mniejszości, wydawał się dużo agresywniejszy od zwolenników Wielkiej Rumunii, choć i „chłopcy”, których tu zgromadził, do aniołów miłosierdzia nie należeli.

Rozpoczęło się regularne walenie po pyskach.

To nie tak miało wyglądać. Protest miał być pokojowy. Tak chciał sponsor, co było podkreślane na każdym spotkaniu; teraz wszystko diabli wzięli.

Sam Stancu nie wiedział, co robić: stać czy uciekać, a może włączyć się w bijatykę? Kilku najbliższych współpracowników stanęło bliżej niego, oddzielając swojego przywódcę od reszty uczestników żywym kordonem.

– Idziemy! – zdecydował nagle.

Nie należał do tchórzy, w razie potrzeby potrafił przylać, ale w tych okolicznościach będzie lepiej, jeśli się zmyje.

Zszedł z podwyższenia i szybkim krokiem ruszył w lewo, w stronę ulicznej kwiaciarni i małego bistro. Grupa współpracowników ruszyła za nim. Już prawie wydostali się poza główne zbiegowisko, gdy tuż przed nimi pojawiła się trójka napastników.

Pierwszy, który stanął na drodze nadchodzącym bandytom, szybko padł na beton, obrywając długim kijem w potylicę.

Kolejny człowiek z obstawy Stancu uchylił się przed uderzeniem, ale już nie przed kopniakiem wymierzonym w brzuch. Chłopak zgiął się wpół z cichym jękiem. Reszta wydawała się sparaliżowana strachem.

Tymczasem napastnicy rwali się do przodu, nie napotykając większego oporu.

Pierwszy przełamał się Stancu, chwytając krzesło stojące tuż przed wejściem do bistro. Mebel poszybował w powietrzu i odbił się od pierwszego z zadymiarzy, nie czyniąc mu większej szkody. Tamten tylko się roześmiał i z nową energią skoczył do przodu.

Stancu pochylił się. Postanowił, że nie będzie uciekał. Niech się dzieje, co chce, ale nie zwieje z podkulonym ogonem.

Nim na dobre zdążył sobie uświadomić, co robi, został pchnięty i wylądował na stoliku znajdującym się obok. Nogi nie zdołały wyłapać gruntu i mężczyzna legł jak długi. Co za upokorzenie! Fala wściekłości przysłoniła Stefanowi zdolność racjonalnego myślenia.

Złapał za szyjkę szklaną butelkę, którą ktoś pozostawił na stoliku, i uderzył nią o chodnik. Ten skurwysyn był na wyciągnięcie ręki. Stancu mocno zaparł się nogami i spiął mięśnie, gotowy przyjąć uderzenie w tułów.

Głowa w dół; jeśli w nią oberwie, to trudno, najwyżej zostanie zamroczony.

Uderzenie, którego miał być celem, ominęło go o włos i była to doskonała okazja do rewanzu.

Nie czekając na kolejne ciosy, Stefan ścisnął rozbitą butelkę w dłoni i jednym ruchem wbił szklany tulipan w miejsce powyżej miednicy napastnika, a tuż pod jego żebrami. Tamten znieruchomiał. Dobrze ci tak! Stancu uderzył po raz drugi i trzeci. Ciepła krew spłynęła po jego palcach. W pełnym uniesieniu zaczął dźgać przeciwnika z całej siły.

Tym, którzy obserwowali całe zdarzenie, wydawało się, że masakra trwała

co najmniej godzinę. Tymczasem wszystko ograniczyło się najwyżej do dziesięciu sekund.

Facet runął na ziemię jak podcięty, a Stefan w pełnym szale rzucił się ku drugiemu z zadymiarzy. Nie spotkał się z oporem. Widok tego, co spotkało kolegę, sprawił, że mężczyzna zdezerterował.

Stancu dopiero teraz ochłonął na tyle, by zdać sobie sprawę ze skutków własnej głupoty. To koniec jego politycznej kariery! Już nigdy nie przemówi do tłumu! Był politycznym trupem.

– Uciekajmy! – Jeden z ochroniarzy, który jeszcze trzymał się na nogach, pociągnął go za rękaw. – Na co czekasz?!

Gdzieś poza nimi pozostały krzyki i jęki przerażonych świadków zdarzenia oraz dźwięki samochodowych klaksonów świadczące o zdenerwowaniu kierowców, którzy utknęli w powiększającym się korku. Stancu biegł jak zamroczony, byle dalej od tego chaosu. Nie chciał zgnić w więzieniu. Cała reszta, na razie, go nie obchodziła.

\*\*\*

Człowiekowi, który obserwował zajście z bezpiecznej odległości, strasznie chciało się palić. Myślał, że już na dobre wyzwolił się z nałogu, ale nie. Pokusa, aby zaciągnąć się jednym szybkim dymkiem, była tak wielka, że dałby sobie za to odgryźć rękę. Niepotrzebnie obiecał, że zrezygnuje z tej słabości. Brigitte nie tolerowała tego fatalnego i rujnującego zdrowie nałogu, a on natchmiast jej uległ. Nie palił już z piętnaście lat, a mimo tego...

Pozostałe słabości, jak kobiety czy alkohol, nawet w części nie rekompensowały tej chwili, gdy wyciągał szluga z paczki i odpałał zapalniczkę.

Rzucił palenie, bo obiecał, a jeżeli już coś obiecał, to należało się tego trzymać. Głupi był. Teraz cierpi. Na szczęście wydarzenia szły w dobrym kierunku. Ten Stancu był głupi jak but, ale przynajmniej umiał przemawiać. Jeszcze zrobi z niego bohatera. Kamery wszystko zarejestrowały: manifestantów, bezpośredni atak zamaskowanych bandytów i obronę przed nimi. Nawet to, że Stefan zatłukł jednego z tych frajerów. Mężczyzna nie posądzał go o taką od-

wagę.

Nigdy się nie spotkali. Wszystkie sprawy załatwiali przez podstawionych posłańców i raczej nieprędko się to zmieni. Najważniejsze, żeby Stancu robił to, czego się od niego oczekuje. Oni zajmą się resztą.

Policja dopiero teraz przystąpiła do działania. Uzbrojona w pałki i tarcze falanga nadciągała szeroką ławą, spychając walczących z jezdni i izolując ich na małe grupki. Za kordonem podążała armatka wodna gotowa sponiewierać tych, którzy jeszcze nie mieli dosyć.

Pora się zwijać. Dostał wszystko, czego chciał. Prawdziwa robota dopiero przed nim.

\*\*\*

– Co tam się dzieje? – Halicki stanął na palcach, próbując dojrzeć to, co zaszło.

– Wszystko pod kontrolą. – Florin Janco udawał spokojnego, lecz w środku aż gotował się z emocji.

– No nie wiem.

– Niepotrzebnie panikujesz. To tylko mała grupa politycznych chuliganów.

– Mówisz o swoich kolegach?

– Czepiasz się.

Komentarz był zbędny. Jeśli powie słowo za dużo, zostanie odesłany do hotelu i w konsekwencji nie dowie się niczego.

Obaj kroczyli chodnikiem w towarzystwie kilku innych tajniaków. Zaraz zaczną legitymować przechodniów. Każdy podejrzany trafi na dwadzieścia cztery godziny na dołek. Tam niech sobie przemyśli co i jak.

Akcja podjęta przez wynajętych zbirów miała być szybka i brutalna. Najważniejsze to oszołomić przeciwnika, dorwać liderów i większość aktywistów. Liczyli, że w pięć minut uporają się ze wszystkim. To nie było aż tak skomplikowane, jak się na pozór wydawało. Interwencja policji to już czysta formalność.

Gdy Halicki usłyszał o planie, uznał go za nedorzeczny, a dokładniej za

taki, który nie ma szansy powodzenia. Powód był jeden. Ataku nie dokonywała grupa świetnie wyszkolonych funkcjonariuszy z oddziałów uderzeniowych policji, a zwykli cywile. Co z tego, że każdy z nich potrafi wycisnąć stukilogramową sztangę czy też jednym uderzeniem powalić równego sobie mężczyznę? To ulica, a na niej nie obowiązują sportowe reguły. Walczy się tym, co jest pod ręką – pałkami, nożami i kastetami. Raz się zagapisz i po tobie.

Wrzawa przed nimi narastała. Teraz nawet Florin wydawał się pełen niepokoju. Właśnie powinni pakować zatrzymanych do więźniarek, a oni nawet nie podeszli do samego placu.

Ponad nimi Black Hawk wolno zataczał kręgi. Pilot zszedł nisko nad ziemię. Jeśli zahaczy o wystający wyżej maszt, dojdzie do katastrofy. Halicki nawet nie chciał sobie tego wyobrażać. W Komendzie Głównej Rumuńskiej Policji chyba wiedzieli, co robią.

A jeżeli nie?

Ta druga możliwość zaczęła przybierać realny kształt.

– To nie wygląda najlepiej.

– Co ty tam wiesz. – Komisarz próbował zbyć Polaka jednym zdaniem.

– Prawdziwi z was, kurwa, fachowcy!

Tym razem Florin nie odpowiedział i zaczął się przeciskać do przodu. Halicki podążył za nim. To była jedyna okazja do rozeznania się w sytuacji.

Nieco z boku stał dowodzący kompanią pałkarzy porucznik. Już na pierwszy rzut oka było widać, że jest zły jak jasna cholera. Doszło do krótkiej i gwałtownej wymiany zdań pomiędzy kolegami oficerami.

Pod wpływem nagabywań Florina kordon rozstał się i do przodu wyjechała armatka wodna. Jeśli szybko nie rozgonią walczących, dojdzie do nieszczęścia.

Halicki zaklął. Co za żałośni amatorzy! To ma być policja? To banda nieudaczników! Kto tym wszystkim kieruje? Porucznik posiadał radiotelefon, który od czasu do czasu podnosił do ust, przekazując i odbierając informacje. I w końcu, dlaczego tym całym burdelem zawiaduje porucznik? Czy w pobliżu

nie ma nikogo wyższego stopniem?

Polak przyjrzał się uważniej samym pałkarzom. To rumuńskie ZOMO było jakieś niewydarzone; zupełnie jakby w plutonach poustawiano przypadkowych ludzi. Owszem, dawało się dojrzeć paru dryblasów, ale reszta? To już wołało o pomstę do nieba. Czysta amatorszczyzna.

Strumień wody dosięgnął pierwszych zadymiarzy i od tej pory wydarzenia potoczyły się gładko. Większość manifestantów zaczęła uciekać bulwarem Karola I w kierunku Ministerstwa Rolnictwa, część pobiegła w przeciwnym kierunku – bulwarem Królowej Elżbiety. Wkrótce w pobliżu nie było już nikogo, kto na widok policjantów pozostałby obojętny.

Prawdę powiedziawszy, teren wyglądał jak po ustawce. Paru zamroczonych typów leżało rozciągniętych na chodniku i jezdni. Tym na pewno przyda się pierwsza pomoc lekarska. Ci z lżejszymi obrażeniami próbowali pryskać. Rozbity nos to jeszcze nic, gorzej, jak ktoś zasadził ci kopa w przyrodzenie lub przez przypadek zwichnąłeś nogę. W tym stanie daleko nie uciekniesz.

Florin krążył jak sęp, wskazując, kto jest winny, a kto nie.

Jednych pewnie odwiozą do szpitala, innych do aresztu. Tu nie było się nad czym zastanawiać.

Halicki z trudem powstrzymał się od splunięcia na ziemię. Wszystko przez ekipę telewizyjną, która właśnie pojawiła się jak za dotknięciem czarodziej-skiej różdżki. Dziennikarz, ignorując policjantów, ustawił się w centralnym miejscu. Jeżeli przekaz szedł na żywo, nikt go nie przepędzi. Kto chce zadrzeć w wolnymi mediami?

Halicki pomyślał, że będzie najlepiej, jak stąd zniknie. Jeszcze tego brakowało, by został sfilmowany.

Odwrócił się i zaczął iść w kierunku małego bistro usytuowanego tuż obok. Leżącego na chodniku człowieka dostrzegł od razu. Pochylający się nad nim mundurowi wyglądali na przejętych.

Jasna dupa, tylko nie to.

Strzelił palcami na Florina i wskazał głową na zbiegowisko. Zrozumieli

się bez słów.

Tu nie trzeba było eksperta, żeby wiedzieć, że facet jest zimnym trupem.

– Znasz go?

– Taa... – syknął przez zęby Janco. – Wicemistrz Bukaresztu w boksie.

– Ktoś go urządził.

– Ja już dorwę tego sukinsyna.

– I co mu zrobisz? Zapomniałeś, jak było? – niespodziewanie rozeźlił się Halicki. – I pogoń tych dziennikarzy, bo będzie nieszczęście.

Przecucie nie myliło podpułkownika, lecz w tej sprawie już nic nie można było zrobić. Transmisja szła na żywo do internetu. Kto chciał, mógł zobaczyć, do czego doprowadziła nieudolna akcja policji. A chciał każdy. Takiej rozróby w Bukareszcie nie było od dawna. Już sam surowy materiał robił wrażenie.

Opozycyjni dziennikarze tylko czekali, aby podchwycić takiego newsa. Na dwudziestą pierwszą zwołano konferencję. Na pytania miał odpowiadać rzecznik policji. Tylko co on mógł zrobić? Najwyżej schować się za banałami i wcześniej przygotowanym tekstem. Tak naprawdę liczył się tylko Stefan Stancu, tyle że ten przepadł jak kamień w wodę.

Praktycznie nieznaną szerzej działaczką marginalnej partii w ciągu godziny stał się najpopularniejszą osobą w kraju. Strona założona przez Stancu w internecie w ciągu pół godziny zanotowała sto tysięcy wejść. Hasło „Rumunia dla Rumunów” zataczało coraz szersze kręgi. Jeszcze przed oficjalną konferencją, do jakiej miało dojść w gmachu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, powołano pierwszy społeczny, i oczywiście całkowicie niezależny, KOSS, czyli Komitet Obrony Stefana Stancu, a na dwunastą w południe dnia następnego zapowiedziano oficjalny wiec poparcia.

Każdy, kto choć trochę interesował się polityką, widział, że tempo, w jakim organizowano ten cały teatrzyk, jest szaleńcze. Od nic nie znaczącego wiecu do ogólnonarodowej hysterii droga krótka.

Na razie wydarzeniami żył sam Bukareszt, lecz wkrótce i to miało się zmienić.



\*\*\*

Generał Emil Banach zabębnił palcami po blacie biurka. Był tylko zachować spokój. Jak zacznie szaleć, emocje przejmą nad nim kontrolę, a na to nie chciał sobie pozwolić.

– Chciałoby się rzec: „A nie mówiłem”?

– Pan generał ma oczywiście rację.

– Powiedz mi, Stasiu, gdzie popełniliśmy błąd?

– Tu nie ma naszego błędu, panie generale.

– Ależ jest, tylko że ty go jeszcze nie widzisz. Kto to jest ten cały Gabor Farkas?

– Pojęcia nie mam. Wypłynął dopiero wczoraj.

– A ten Stefan... Stefan...

– Stancu.

– Właśnie.

– Do tej pory pozostawał poza naszym zainteresowaniem.

– I to było właśnie nasze niedopatrzenie.

Obraz na kilku ciekłokrystalicznych monitorach zawieszonych na ścianie przedstawiał w zasadzie to samo – chaos i zniszczenie. O ile sytuację w Bukareszcie można było uznać za opanowaną, to to, co się wyprawiało w Budapeszcie, przekraczało granice pojmowania. Węgierska policja wyraźnie sobie nie radziła. Na Id. Antall József rkp. i wokół parlamentu płonęły dziesiątki samochodów. Starcia powoli przenosiły się w stronę mostu Margit, angażując wciąż nowe siły policji.

– Z czymś ci się to kojarzy? – zagadnął Banach.

– Pan generał sugeruje...

– Stasiu, na litość boską, zacznij w końcu myśleć! – Banach wstał i zrobił parę kroków po pomieszczeniu. – Kiedy my lizaliśmy rany, ktoś nam wyciął niezły numer. Co ja teraz powiem prezydentowi, kiedy zapyta, dokąd to wszystko zmierza?

– No nie wiem. Węgry i Rumunia mają własne niezależne rządy, policję

i służby. My im tylko pomagamy.

– A pomyślałeś, co się stanie, gdy odejdą dzisiejsi przywódcy, a ich miejsce zajmą populiści czy lewacy? Układ, nad którym pracowaliśmy, zostanie wyrzucony do kosza. Nie będzie Międzymorza i ponownie zostaniemy wciśnięci pomiędzy Bałtyk a Karpaty. Stracimy przestrzeń operacyjną i bardzo szybko przestaną się z nami liczyć.

– Z pana generała to taki optymista... – Osmecki pokręcił głową. – Niedawno podpułkownik Halicki prosił mnie o sprawdzenie pewnej hipotezy i muszę powiedzieć, że ma to nawet ręce i nogi.

– Zamieniam się w słuch.

– On, podobnie jak i pan, jest przekonany, że ktoś próbuje wyrwać Rumunię spod naszej kurateli. Na początku miał tylko luźne skojarzenie. Pan oczywiście wie, dlaczego Niemcy tak wspierały Bukareszt podczas wojny?

– Surowce.

Osmecki przytaknął.

– Halicki pomyślał tak samo. Sprawdziłem statystyki i muszę przyznać, że sam jestem zaskoczony. W okręgu Ploiești wciąż wydobywają ropę i gaz. Co prawda, złoża są mocno wyeksploatowane, ale wciąż zasobne. Jeżeli chodzi o ropę, to połowa rocznego zapotrzebowania pochodzi właśnie stamtąd. Z gazem ziemnym jest jeszcze lepiej, bo to aż 70%. Ten, kto położy na tym łapę, niewątpliwie skorzysta.

– Szkoda tylko, że my się zagapiliśmy.

– Pan generał ma kogoś konkretnego na myśli? Jeżeli to Amerykanie, to uwinęli się z tym wyjątkowo szybko.

– Sam nie wiem.

– Wydarzenia na Bałkanach mogły być częścią tej samej operacji, którą skierowali przeciwko nam. Coś się nie złożyło, a z atakiem w Warszawie nie mogli czekać.

– Do kitu ta twoja teoria. – Banach machnął ręką. – To nie amatorzy.

– Niemniej...

– Uwierz mi, Stasiu, jeśli ktoś chce komuś przypieprzyć, to znajdzie sposób.

Na ulicach Budapesztu wciąż się kotłowało. Obraz szedł na żywo. Do działania właśnie przystąpił szwadron konnej policji. Wyraźnie było widać, jak zbliża się do agresywnego tłumu, próbując go rozproszyć. Ludzie chowali się za samochodami lub uciekali na oślep. Ale znaleźli się i tacy, którzy posługując się długimi prętami, próbowali zrzucić jeźdźców na ziemię. W jednym przypadku im się udało. Koń stanął dęba, a dosiadający go człowiek spadł z siodła. Koledzy rannego ruszyli mu z pomocą. Rozpoczęło się dzikie starcie, bo obie strony ani myślały ustąpić.

– Ja pierdo... – wyrwało się Osmeckiemu.

– Skąd ta hołota się tam wzięła?! – prychnął Banach. – Ktoś ich zna? Rano chcę widzieć na biurku wstępne raporty!

– Oczywiście.

– Gdzie Parker i spółka?

– Już wylecieli. Kierują się do Bukaresztu, ale może Budapeszt będzie odpowiedniejszy?

– Nie będzie. Mają pomóc Halickiemu.

– Przechodzą pod jego rozkazy?

– W żadnym wypadku.

– Wydaje mi się, że tak byłoby najlepiej. – Osmecki miał w tej kwestii odmienne zdanie niż przełożony. – Jak pan generał to sobie wyobraża? Mamy nimi sterować ręcznie zamiast kogoś, kto ma rozeznanie na miejscu?

– Zapomniałeś, synu, co to za jedni?

– Nie.

– Właśnie. Przecież ich nie postawimy przy łóżku Kusza jako ochronę. Oni generalnie na ochroniarzy się nie nadają. Są jak łom. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie przypieprzyć. Owszem, mogą współpracować z Halickim, ale tak naprawdę są nam tam potrzebni z innego powodu.

Osmecki odetchnął głębiej. Jeżeli generał ma rację, to szykowała się krwa-

wa kampania, na którą wpływ będą miały nie tylko posunięcia Bukaresztu i Budapesztu, ale i Warszawy. Nie zostawią sojuszników na pastwę wroga, czego rezultatem może być zmiana układu sił w tej części Europy.

Osmecki nie raz i nie dwa zastanawiał się, gdzie dojdzie do nowego kryzysu. Osobiście obstawiał Francję lub Federację Rosyjską, bo i tu, i tam islamiści ostro wkraczali do gry. Zamachy bombowe, strzelaniny, taranowanie ludzi przez samochody, ataki na lokalne posterunki i punkty kontrolne stały się czymś powszednim. Rzadko o nich informowano, bo co znaczyło obrzucenie kamieniami czy koktajlami Mołotowa jakiegoś wozu patrolowego czy komisariatu? Jeśli jeszcze nikomu nic się nie stało, nie było o czym mówić. Dopiero śmierć paru osób przebijała się na czołówki dzienników.

Dżihadyści w Rosji radzili sobie o wiele śmielej, ale kto by się tam nimi przejmował. Przy tym wszystkim Węgry i Rumunia wydawały się oazami spokoju. Owszem, były tam jakieś niepokoje, ale niech ktoś powie szczerze, tak z ręką na sercu, czy bez stosowania przemocy można sprawować władzę, czy nie?

Osmecki miał z tym problem. Już jako dziecko przysiągł sobie, że będzie bronił kraju. Praca w wywiadzie wydawała się najlepszym rozwiązaniem. Zrobił wszystko, by się w nim znaleźć, dochrapał się odpowiedniego stanowiska i można powiedzieć, że był jednym z tych, którzy kierowali agenturą... I co? I nic. Odpowiedź była nieco bardziej skomplikowana.

Instytucja, w której pracował, nie szła na kompromisy. Oni z nikim się nie dogadywali, nie nawiązywali współpracy i do nikogo się nie mizdrzyli, a jeżeli już, to w każdej chwili byli gotowi taki układ złamać. Oni podejmowali decyzje o tym, co jest dla kraju dobre, a co nie. Jeżeli jakiś element nie pasował do ich wizji, należało wymienić go na inny. I tu Osmecki dochodził do sedna swoich rozważań. Tymi przeszkodami najczęściej byli ludzie, a tych można było usunąć. Dokładnie tak, usunąć. Całkiem niedawno taką właśnie operację przeprowadzono i, o ironio, miało to miejsce właśnie w Rumunii. Lider opozycyjnej partii za bardzo wchodził im w paradę. Był pyskаты i nie zważał na

ostrzeżenia. Decyzję podjął sam Banach.

Osmecki nie zajmował się tą sprawą, ale wiedział o niej dość dużo. Facet zmarł na ostrą niewydolność oddechową. Rano gawędził z żoną i dziećmi, a po południu leżał na stole patologa. Był człowiek, nie ma człowieka. Jeżeli grupa likwidacyjna pozostawiła jakieś ślady, to zostały one zatarte przez osoby prowadzące śledztwo, bo tak się składało, że na rzecz Polski działała tam całkiem spora grupa agentów, ulokowana w centralnych instytucjach państwa. Na Węgrzech było podobnie. I gdy tylko na chwilę zajęli się własnymi problemami, nadciągnęły kłopoty.

– Aha, jeszcze jedno. Umów mnie na spotkanie z szefem sztabu.

– Ruszamy 6 i 21?

Banach zmarszczył czoło.

– Czy przypadkiem w tym tygodniu Słowacy nie mają zaplanowanych manewrów?

– Musiałbym się upewnić. Moim zdaniem manewry już trwają.

– Sam widzisz, jak się pięknie układa. – Banach niespodziewanie ucieszył się. – Rozszerzymy je i wprowadzimy pewne zmiany.

– Pan generał raczy żartować...

– A wyglądam?

– To się nazywa interwencja.

– Bratnia pomoc – sprostował Banach. – Nasi przyjaciele mają kłopoty i musimy być przygotowani, aby im pomóc. Coś nie tak? Po twojej minie widzę, że masz obiekcje.

– To nie tak.

– A jak? Jeżeli stracimy tam wpływy, to leżymy. Tylko czekać, aż Ukraina wymknie się z naszych objęć niczym niewierna kochanka, bo i po co jej ktoś, kto nie potrafi huknąć pięścią w stół, gdy jest to konieczne? Litwini nic nie powiedzą, są słabi, ale reszta? Daj im tydzień lub dwa, a wszystko rozleci się jak domek z kart. Zamiast... Zresztą, co ci będę tłumaczył, sam najlepiej wiesz, jak jest.

- Na razie nie wiemy, kto jest naszym wrogiem.
- I tego, Stasiu, musimy się dowiedzieć w pierwszej kolejności.
- Pan generał mnie potrzebuje?
- Możesz iść.

Nim Osmecki na dobre wyszedł z gabinetu, usłyszał jeszcze, jak odzywa się telefon Banacha.

– Tadeusz? Cieszę się, że dzwonisz. Mam do ciebie sprawę. Jasne, że możesz wpaść.

Pułkownik cicho zamknął za sobą drzwi.

\*\*\*

Oskar Borzęcki nie spał kolejną noc z rzędu, przewracając się na tapczanie we wszystkie strony. Czuł, że jest bliski rozwiązania zagadki, lecz wciąż nie potrafił uchwycić tej najważniejszej, spinającej wszystko idei.

Z opowieści Mrocza nic sensownego nie wynikało. Wszedł do sali, zapalił światło, nad podłogą uformowała się kula... Więcej nic nie pamiętał. Ta kula to pewnie pole grawitacyjne, bo przecież nie portal do przemieszczania się w czasie i przestrzeni. Jeżeli tak byłoby w istocie, Mroczek już dawno chodziłby po niebiańskich pastwiskach czy też piekle, a on był z nimi cały i zdrowy.

Problem w tym, że takie anomalie nie biorą się z niczego. Eksperymenty zawsze odbywały się pod kontrolą zespołu naukowego. Tego się spodziewamy, a to nam wyszło. Teoria zgadza się z praktyką albo i nie. Jest aparatura, mierzymy, porównujemy... Mroczkowi nikt głupiego kawału nie zrobił. Z innym wymiarem kontaktu nie nawiązali. Więc o co, do cholery, może chodzić?

Ta kula to znak. Tylko jaki?

Rozwiązanie, które przyszło Borzęckiemu do głowy, wydawało się absurdalne. Według powszechnego przekonania władzę nad światem niepodzielnie dzierżył Pan Bóg. Cuda to jego domena. Człowiek był jak robak próbujący poskromić naturę. W takim razie kim była ta trzecia...

Trzecia – tak o niej zaczął myśleć – siła.

Raz w przypiływie desperacji poszedł pogadać o tym z księdzem, ale został źle zrozumiany. Jemu nie chodziło o dogmaty, a o coś bardziej przyziemnego. Zjawisko, które zostało zaobserwowane, miało naukowe podstawy. Możliwe, że odpowiedź była na wyciągnięcie ręki, lecz on nie potrafił jej dostrzec.

Borzęcki wstał, przeciągnął się i poczłapał do kuchni, rozmyślając nad tym, co spotkało Mrocza. Eksperyment wydarzył się samoistnie. A jeżeli nie? W takim razie kto wygenerował odpowiednio silne pole, w którym znalazł się asystent, i czy miało to coś wspólnego z tym nieudanym doświadczeniem, którego Mroczek o mało nie przypłacił zawałem serca?

Zdaje się, że źle sformułował pytanie. Nie kto, a co?

Myśli kotłowały się Borzęckiemu pod czaszką, aż w końcu wsadził łeb pod kran i puścił zimną wodę. Trwało to dobre pół minuty, aż wreszcie postanowił ją zakręcić. Wytarł głowę ręcznikiem i prychnął. Jeżeli sprawcą nie był Pan Bóg ani człowiek, to pozostawała jeszcze jedna możliwość. Olśnienie było tak nieprawdopodobne, że z wrażenia na chwilę przestał oddychać.

Czyżby w jego instytucie, zupełnie przez przypadek, ziściły się marzenia tysięcy naukowców, a on nic o tym nie wiedział? Było parę minut po szóstej. Jeśli zjawi się w pracy przed całą resztą, nikogo nie zaskoczy. Takie „wybryki” zdarzały się Borzęckiemu już wcześniej.

Wciągnął na grzbiet marynarkę i pognął do samochodu. Od czasu, gdy pomógł rozpracować rebelię, dostał ochronę, co sprowadzało się do tego, że gdziekolwiek się przemieszczał, wlokło się za nim dwóch smutasów. Dziś było podobnie. Ani go ziębili, ani grzali. Borzęcki wiedział, że na razie nie było możliwości uwolnienia się od nich.

W progi Instytutu Wysokich Technologii wpadł pół godziny później i, drżąc z emocji, od razu pognął do swojego gabinetu. W instytucie posługiwano się dwoma odrębnymi sieciami komputerowymi: jedną normalnie podłączoną do netu i dostępną dla każdego, drugą – wewnętrzną, zamkniętą, gdzie znajdowały się bazy danych. Ograniczyli w ten sposób ryzyko wycieku informacji. Samo istnienie obu sieci nie było tak skomplikowane, jak się na pozór wydawało.

Terminale do prac wewnętrznych ustawiono tam, gdzie prowadzono badania nad poszczególnymi projektami. Moc obliczeniowa klastrów była ogromna. Przynajmniej nie płynęły przez nie takie idiotyzmy jak bezsensowne maile, foty i reklamowe bzdety. Chciałeś napisać krótką wiadomość i umówić się z kumplami na piwo, proszę bardzo, ale nie tutaj. Ludzie są tylko ludźmi i mają swoje słabości – Borzęcki wiedział o tym najlepiej. Nie mogło to jednak rzutować na jakość pracy; jakiegokolwiek zhakowanie ich badań mogło przynieść katastrofalne skutki. Uruchomił komputer, czując, jak go skręca z niepokoju. Począł, aż na ekranie ukazały się poszczególne ikonki. Ta z piorunem oznaczała prace nad elektrycznością, a ta z młotem Thora – nad działem elektromagnetycznym. Była w tym moc, ale dziś nie o to chodziło. Sprawdził jeszcze, kto jest zalogowany, i ucieszył się, widząc, że z systemu korzysta sam. Do ósmej sporo czasu.

Dobra, od czego tu zacząć... Może tak... Otworzy nowy projekt. Tak głupio nie czuł się od dawna. Co chce udowodnić? Chyba tylko tyle, że jest idiotą.

Jebać to, chce być oryginalny czy skuteczny? Oczywiście i jedno, i drugie, ale tak się nie da.

Skuteczny... albo nie... Oryginalny... Kurwa, dlaczego tak trudno przychodzi mu dokonanie prostego wyboru?

W końcu się zdecydował. Jazda. Teraz tylko czekać na efekt.

\*\*\*

– Panie Kusz, ja nie jestem w nastroju do wysłuchiwanie głodnych kawałków. Rozumiemy się?

Kierowca niepewnie kiwnął głową.

– Jeżeli ma pan jakieś obiekcje, to proszę nam o nich opowiedzieć. Źle tu pana traktują?

– Wprost przeciwnie.

– O co więc chodzi?

– Najpierw ta kobieta, później pan kapitan, a na koniec pan. A ja naprawdę nic nie wiem.

– Kapitan Galiński jest oficerem wywiadu. Przybył tu tylko z jednego po-



wodu – aby wraz ze mną pomóc znaleźć sprawców tej masakry. Jeżeli natomiast zatai pan przed nami jakieś ważne informacje, to nie chciałbym się znaleźć w pańskiej skórze.

– Proszę mnie nie straszyć.

– Ja nie straszę, ja ostrzegam po dobroci. To dotyczy bezpieczeństwa narodowego. Pan nie zdaje sobie sprawy, jakie to może mieć konsekwencje.

Galiński oparł się tyłkiem o parapet, przysłuchując się, jak podpułkownik urabia Kusza. Najpierw kij, teraz będzie marchewka.

– Możemy się dogadać jak ludzie – zasugerował niepewnie Kusz.

Zdaje się, że zaczynał łapać, o co w tym chodzi.

– Pan nam szybko powie co i jak, a my zapomnimy o tym, co było wcześniej. To jak będzie?

– Niech pan pyta – odpowiedział zrezygnowany kierowca.

– Panie Kusz, ma mnie pan za idiotę?

– Nie rozumiem.

– A co ja, kurwa, mówię niewyraźnie? – Halicki zrobił krok w stronę łózka. – Nie jestem amatorem. Takich rozmów przeprowadziłem setki! Setki, rozumie pan? Wcale nie przesadzam. Siedzę w tym całe życie! Mnie wystarczy spojrzeć na człowieka i wiem, że on się boi. Dokładnie tak jak w pana przypadku.

– Ależ co ja słyszę...

– Kto cię tak przestraszył, że nie chcesz mówić?

– Eee...

– Jeszcze raz usłyszę jakieś nedorzeczne „eee...” i pójdę zawołać mojego rumuńskiego kolegę. Jak się dowie, że nie powiedział pan całej prawdy, może stracić cierpliwość, a w gniewie jest nieobliczalny. Zresztą, co ja mówię „nieobliczalny”! To kompletny pojeb! Może mam poprosić, żeby stanął w drzwiach?

– Obejdzie się – wystękał Kusz.

– A więc?

– Była tu niedawno taka jedna.  
– Kto?  
– Kalińska... Nie, Kolska!  
– Co z nią?  
– Podobno z naszej ambasady, ale przyszła raz i więcej się nie pokazała.  
– Kolska?  
– Przecież o niej mówię.  
– I co dalej?  
– Mocno podejrzana.  
– To znaczy co, miała kominiarkę na głowie i brzytwę w torebce?  
– Odpowiem tak, ona nie wzbudziła mojego zaufania.  
– Patrz, Robercie, jaki delikates nam się trafił. – Halicki mocno zwarł  
szczęki, nie chcąc, by z jego ust wydobyło się piętrowe przekleństwo. –  
Kwiatków nie przyniosła, co?  
– Pan sobie żartuje, a to jest poważna sprawa.  
– Ty mi tu Kolską oczu nie mydl, tylko opowiadaj o tym, co was spotkało  
w drodze.  
– Jechaliśmy.  
– Człowieku, czy ty, kurwa, wiesz, która jest godzina?! Jeżeli nie, to – dla  
twojej informacji – właśnie minęła ósma, a ja położyłem się spać o trzeciej  
nad ranem. Ledwie stoję, a dzisiejszy dzień zapowiada się równie gorąco jak  
wczorajszy, i nie chodzi bynajmniej o temperaturę powietrza. Prawdopodob-  
nie szykuje się tutaj jakaś rewolucja, więc mnie nie wkurwiał opowiadaniem,  
jak byłeś ubrany i ile postojów zrobiliście wcześniej.  
– Miałem... – Kusz był przekonany, że wdepnął w gówno.  
– Ty ich widziałeś. Mam rację?  
– Proszę...  
Przez chwilę wydawało się, że Halicki udusi tego pajaca gołymi rękami.  
– Wszystko po kolei i bez kręcenia. A ty nagrywaj.  
Galiński podszedł bliżej i uruchomił iPhone'a. Przez kolejne minuty słowa

wydobywały się z ust kierowcy jak z karabinu maszynowego. Nie pominął niczego, nawet tego, jak Kolska była ubrana. Gdy skończył, nie pozostało nic innego, jak zawołać Florina, który czekał na nich na korytarzu.

– I co? – Komisarz ledwie powstrzymał się od ziewnięcia. I na nim trudy nocy odcisnęły swoje piętno.

– Prześlij to do jakiegoś magika od portretów pamięciowych. Kusz widział dwóch z nich.

– Warto spróbować – Rumun zgodził się z nim natychmiast. – Coś jeszcze?

– Moim zdaniem należy ponownie pojechać na miejsce zdarzenia.

– Bez szans. – Tym razem Florin pokręcił głową. – Wiesz, co się tu dzisiaj będzie działo? Ludzie już się zbierają pod parlamentem i są nieźle wkurzeni. Mobilizujemy wszystkie siły. Posiłki jadą z Timișoary i Giurgiu.

– A co ty masz do tego? Ciebie to nie dotyczy.

– Zrozum mnie dobrze, my tu walczymy o przetrwanie. – Janco zaczął zbierać się do odejścia. – Wiesz, gdzie mnie szukać.

– Poradzę sobie.

Zdawało się, że zwalista sylwetka komisarza utknie w futrynie.

– Jest źle? – zapytał zmartwiony Galiński.

– Nawet bardzo. Oni kompletnie sobie nie radzili. Zupełnie jakby dostawali sprzeczne polecenia. Aż dziw, że jest tylko jedna ofiara.

– Za to w Budapeszcie trzy, tak mówili w radiu.

– Odbierasz tu polskie stacje? – Natychmiast zaciekawiał się Halicki.

– Bez problemu. Nad ranem, kiedy odesłałem Lenę do domu, nie pozostało nic innego do roboty. Z początku myślałem, że źle słyszę i Bukareszt pomylił się komuś z Budapesztem. Ale nie, starcia jak tutaj, tylko skala większa. Czyste szaleństwo.

– Nie wiesz przypadkiem, o co poszło? – Również dla Halickiego starcia na sąsiednich Węgrzech były niemiłym zaskoczeniem.

– Podobno jakiś Rumun, czy też rumuński Cygan, podczas włamania zabił całą pięcioosobową rodzinę. Pochłastał ich nożem. Uciekł, ale szybko go zła-

pali. – Galiński zawiesił głos.

– Mów dalej.

– I tu dochodzimy do najciekawszego. Nim trafił na komisariat, samochód, którym był przewożony, został otoczony przez sąsiadów tej rodziny. Chłopaka wyciągnięto i... co tu mówić, rozszarpano.

– Konwojenci go nie bronili?

– Bronili. Postrzelonych zostało parę osób, w tym jedna ciężko. To już wystarczyło, aby rzucić oskarżenie, że rząd broni Rumunów, a nie własnych obywateli. Mają tam takiego psychola, który wzywa do natychmiastowej rozprawy z Bukaresztem. Facet ma na tym punkcie kompletnego fioła. Jakiś Gabor Farkas. Jak znam życie, nasi już się nim zajęli.

– Obyś się nie mylił.

Tu nie trzeba było geniusza, żeby wiedzieć, do czego to zmierza. Od niepamiętnych czasów Węgrzy i Rumuni nienawidzili się z całego serca. Powodem były mniejszości zamieszkujące oba te kraje, węgierska w Rumunii i rumuńska na Węgrzech. Waśnie wybuchały co jakiś czas. Przeważnie wystarczało drobne nieporozumienie, a w ruch szły kije i kamienie. Wstąpienie obu krajów do Unii Europejskiej niczego tu nie zmieniło.

– Idź się przespać. Ja przypilnuję Kusza – zaproponował Halicki.

– O dwunastej przyjdzie Lena.

– Przecież nie będziesz tu siedział całą dobę. Weź prysznic, zmień ubranie, bo co sobie dziewczyna o tobie pomyśli? A przy okazji postaraj się dowiedzieć, kim jest ta Kolska. Najlepiej pojedź do ambasady. Jak będzie możliwość, wyciśnij z Leny wszystko, co wie.

– Przyjadę po południu.

– Nie bój się, nie zjem jej.

– Proszę?

– Już nic. Tak mi się powiedziało.

\*\*\*

Najbardziej poszukiwany w kraju człowiek stał tymczasem przed lustrem,

przyglądając się własnemu odbiciu. Jedno nie ulegało wątpliwości, to już nie był ten sam Stefan Stancu co wczoraj. Postarzał się co najmniej o dziesięć lat. Chryste Panie, co go opętało aż tak, żeby zabić człowieka?

Może to i był jakiś śmieć, ale Stancu dostanie za niego wyrok jak za funkcjonariusza państwowego. Dwadzieścia pięć lat jak nic, i to w ciężkim więzieniu, w jednej celi z kompletnymi popaprańcami. Przecwela go w parę godzin. To, że potrafi przemawiać, w niczym tu nie pomoże. Co ich to będzie obchodzić? Już sama myśl o gwałcie sprawiła, że zaczął drżeć. Na takie „poświęcenie” nie był przygotowany.

Masakra. Na dodatek masakra na jego osobie. Już lepiej od razu ze sobą skończyć. Szkoda, że melina, w której się ukrywał, znajdowała się na pierwszym piętrze, bo z okna podobno najłatwiej, fruuj i lecisz. Odwołania nie ma.

A może tabletki będą lepsze? Tylko ile trzeba napchać w siebie tego świństwa, by skutek okazał się śmiertelny? Jedno opakowanie nie wystarczy, tu potrzeba dwóch albo trzech. Ale kto zamiast niego pójdzie do apteki? Na pewno rozesłano za nim listy gończe. Pierwszy lepszy przechodzień będzie wiedział, kim jest.

Wzrok Stancu padł na żyletkę leżącą jak gdyby nigdy nic na półeczce obok zlewu. To jest rozwiązanie na miarę antycznej tragedii! Napuści do wanny gorącej wody i chlast. To podobno nie boli.

Decyduj się, Stefan, albo zejdziesz z własnej ręki, albo zrobią z ciebie królową Śnieżkę.

Był tak zdenerwowany, że przywitał z ulgą atak mdłości. Co prawda, w żołądku nie było nic oprócz alkoholu, którym raczył się w nocy i nad ranem, niemniej sam odruch przyniósł mu pewną ulgę.

Jazda. Nie będzie się rozbierał do rosołu. Jak go znajdą, będzie obciach, że niby taki... Ech, ale się narobiło, i to właśnie teraz.

Sięgnął do kurka z czerwoną kropką. Szkoda, że wanna była tak uświniona, ale myć jej teraz nie zamierzał. Niedługo i tak będzie po wszystkim.

Zamarł, gdy sprawdził temperaturę ciekącej wody. Była lodowata. Co

jest? Może hydraulik odwrotnie podłączył ujęcie? Nie, wszystko grało. Jakkolwiek manipulował przy pokrętkach, skutek wciąż był ten sam.

Zawył z rozpacz. Co ma teraz zrobić?

Najlepiej, jeśli sam zgłosi się na policję, powie co i jak, pokaja się, będzie błagał o możliwie najniższy wyrok. Jak dostanie dychę, to będzie cud. Wyjdzie po siedmiu. Pełna współpraca z organami ścigania. I już nigdy więcej nie pomyśli o polityce. Ostatecznie może zostać prowokatorem. Nikogo lepszego od niego na pewno nie znajdą. Hitler też tak zaczynał i jak na tym wyszedł?

Na początku przynajmniej nie najgorzej.

Nie, oni mu tego nigdy nie darują! Sam się podłożył. Na cholerę im jakiś Stancu. Wyśmieją go i tyle.

Ostatnia możliwość to ucieczka za granicę. Na początek do Serbii, a potem dalej. Zacznie życie od nowa. Lepsze to niż...

Kroki w mieszkaniu mocno go przestraszyły.

– Mihai, to ty?

Nikt nie pośpieszył z odpowiedzią.

– Mihai... – spróbował ponownie.

I tym razem skutek był taki sam. Stancu przestraszył się nie na żarty. Znaleźli go, ale nic nie mówią, bo czekają, aż sam do nich wyjdzie. Banda wyrachowanych sukinsynów. A właściwie to gdzie się podział Tott? Pewnie już siedzi. Wszedł do sklepu i nim zdążył wyjść z bramy zrujnowanego budynku na obrzeżach Bukaresztu, już go drapnęli. A może to sam Tott go wydał? Całkiem możliwe. Zawsze miał nierówno pod sufitem.

Stefan wyrzwał na korytarz, próbując się zorientować, o co chodzi. Zdziwił się, widząc wolną drogę ucieczki. Buty też stały tam, gdzie je zostawił. To nie więcej jak pięć kroków.

– Panie Stefanie, proszę się przede mną nie chować. Przecież wiem, że jest pan w łazience.

Ciało Stancu nagle odmówiło współpracy. Mocno łupnęło go w lewym ko-

lanie, strzyknęło w wątrobie, a jelita nieprzyjemnie zbulgotały.

Pryśkać na klatkę schodową czy też wejść do pokoju? Może to ostatnie. Gliniarze by się z nim tak nie certolili.

– Zapraszam.

Dłużej nie mógł zwlekać. Zrezygnowany, zaryzykował konfrontację z nieznanym.

Patrzący na niego z wyrozumiałym uśmiechem na ustach mężczyzna mógł mieć najwyżej trzydziestkę. Na szczęcie miał lekki zarost, a z boku głowy wygolone włosy. Przez środek jego czerepu szedł przylizany irokez. W uchu mężczyzny tkwił kolczyk. Można i tak. Miła powierzchowność – ale nie dał się jej zwieść.

– Jak pan mnie znalazł?

– To akurat nie było takie trudne. Mamy wielu wspólnych znajomych.

– Pan reprezentuje...

– Bystry z pana gość. Proszę usiąść. Mamy sprawy do omówienia.

– My? Sprawy? To jakieś nieporozumienie. Mnie ściga policja. – Stancu zrobił parę korków i opadł na krzesło. – Mam przez was same kłopoty.

Nieznamy sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyjął z niej złożoną na pół kopertę.

– Proszę przeliczyć.

– Co to jest?

– Tak, jak się umawialiśmy, plus premia.

– Coś ty, człowieku, z byka spadł, jaka premia?

– Manifestacja była? Była. Przemawiał pan? Przemawiał. A to, że w policji pracują durnie, to już nie nasza wina. Zostaliście potraktowani jak zwierzęta.

– Może.

– Tu trzeba pokwitować. – Mężczyzna wyczarował skądś kartkę i długopis. – W papierach musi być porządek. Dobrze mówię? Później księgowa się mnie czepia.

– Jaka księgową?

– A czy to ważne? Nasza księgową. Na wypadek kontroli lubi mieć wszystkie faktury... Tutaj, na dole, parafka wystarczy. Nie jesteśmy drobiazgowi.

Stancu był tak zaskoczony, że bez oporu złożył podpis.

– Dziś wielki dzień.

– Dziś?

– O dwunastej przed parlamentem, tak jak się umawialiśmy.

– To jakieś nieporozumienie – wystękał Stancu.

– Oj, bo się pogniewamy.

– Proszę mnie zrozumieć.

– Suma się zgadza? 10 000 euro, tak? Drugie tyle jutro. I skąd ta smutna mina? Przecież daliśmy słowo.

– Ja jednak nie do końca rozumiem.

– Pan to lubi dzielić włos na czworo.

– Mam kłopoty. – Zabrzmiało to żałościwie i Stancu doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

– Chodzi o to drobne nieporozumienie?

– Proszę tak nie mówić.

– To była obrona konieczna. Pan nic złego nie zrobił. Może lepiej dać sobie rozwalić głowę? Tak by się zapewne stało, gdyby nie pana zimna krew i elementarne poczucie przyzwoitości. Te zbiry zostały wynajęte przez rząd. Proszę tylko nie mówić, że pan o tym nie wiedział.

– Rząd?

– Oczywiście. W tych okolicznościach każdy sąd pana uniewinni.

– Nie wydaje mi się.

– W razie potrzeby znajdziemy najlepszego adwokata, ale nie sądzę, żeby do tego doszło.

– Doprawdy nie wiem, co powiedzieć... – Stefan pociągnął nosem.

– Proszę się mniej martwić. Wszystko będzie dobrze.



Część emocji uleciała. Dobrze, że się nie pochlastał. Życie jednak potrafi sprawić niespodziankę.

– Radzę zrobić użytek z tego, co panu przekazałem. Nowe ubranie będzie wskazane.

– Jeżeli to możliwe, to wolałbym się nie kręcić po mieście.

– Ma pan absolutną rację. Najlepiej, jak my coś zorganizujemy. – Mężczyzna wstał. – Wpadnę za godzinę. Dobrze będzie? A pan niech w międzyczasie przygotuje jakieś przemówienie. Widziałem to wczorajsze. Całkiem dobre.

– Kto będzie chciał mnie wysłuchać?

– Tysiące, panie Stefanie, tysiące, jak nie więcej.

– Skąd to przeświadczenie?

– Bo w pana zainwestowaliśmy.

– Zdaje się, że nie jestem najlepszą lokatą.

– Wprost przeciwnie. Nikogo lepszego nie mogliśmy znaleźć.

\*\*\*

Słowa nieznanego, które usłyszał Stefan, były mocno na wyrost. Stancu nie był idealny, ale w jakiś sposób należało podtrzymać go na duchu – inaczej lider „Synów Wolności” zostałby psychicznym wrakiem.

Z drugiej strony, może to i lepiej. Bez większego nacisku zrobi to, czego się od niego oczekuje. Tu pójdzie, tam wystąpi... Czego chceć więcej?

Gabor Farkas był człowiekiem zupełnie innego kalibru. Ekstremista, i to z gatunku tych fanatycznych. Na takiego nie działają gładkie słówka, a na dodatek mężczyzna posiadał rzadką umiejętność prześwietlania ludzi na wskroś.

Jak to robił, pozostawało tajemnicą. Wrogowie mówili, że ma rentgen w oczach. Przynajmniej jedno nie ulegało wątpliwości – policji trudno było wkręcić własnych agentów w środowisko, w jakim obracał się Farkas.

Próbowano wielokrotnie, wciąż z tym samym skutkiem. W dwóch przypadkach ciała delatorów zostały wyłowione z Dunaju po paru tygodniach. Co spotkało trzeciego, nie wiedział nikt. Oficjalnie Gabor był czysty jak łąza. Ostatecznie poglądy sprzeczne z oficjalną linią władz mógł mieć każdy. Wolności

wypowiedzi broniła konstytucja.

Wszystko uległo zmianie, gdy tłum demonstrantów zaatakował węgierski parlament, wywołując kryzys państwa na niespotykaną skalę. To już nie były żarty. Walka szła na ostro. Rządząca centroprawica traciła poparcie. Próby zwrotu i podjęcia negocjacji z protestującymi niczego nie zmieniły. Zabetonowany od lat układ zaczynał się kruszyć. Głosy wzywające do zachowania spokoju ginęły w ogólnej wrzawie. Autorytety poszły w odstawkę, zaczęła się liczyć sama brutalna przemoc.

Dla Farkasa było to spełnienie marzeń i nagroda za wiele lat ciężkiej pracy. Mało kto wiedział, że w młodości Gabor musiał uciec z rodzimego Egeru, gdzie nieopatrznie zadarł z miejscowym półświatkiem kryminalnym. Wyjechał do Francji. Imał się tam wielu prac, aż w końcu zdecydował się wstąpić do Legii.

Niczego lepszego nie mógł wymyślić. Regiment spadochronowy okazał się idealnym miejscem dla kogoś takiego jak on.

Po pięciu latach podpisał kontrakt, a po kolejnych pięciu został sierżantem i zaufanym dowodzącym batalionem – Clauda Lacroix. Jakież było zdziwienie, gdy – mając za sobą dziesięcioletni staż – Węgier nie zdecydował się dokończyć tego, co zaczął. Po piętnastu latach przysługiwałoby mu prawo do stałego pobytu, wojskowa emerytura i czarne kepi. Na odrzucenie takiej szansy decydował się mało kto.

Farkas wiedział swoje. Emeryturę mogą sobie wsadzić w tyłek, a cel, jaki sobie postawił, nie mógł już dłużej czekać.

Początki nie były łatwe. Węgrzy przyzwyczaili się do tego, co mieli. Zaczęli też sobie uświadamiać, że powoli stają się państwem frontowym. Turcy byli o krok. Połowa Grecji już znajdowała się pod ich okupacją. Wkroczenie do Bośni i Albanii to czysta formalność. Reszta nieokupowanych terytoriów na południe od Salonik też zostanie zajęta i nikt nie kiwnie palcem w obronie Aten. Mało to kłopotów miały europejskie mocarstwa na własnych podwórkach?

Farkas postanowił przemodelować cały ten układ. Dlaczego Polska ma być najmocniejszym graczem w rejonie? To fundamentalne pytanie dręczyło go od dawna. Być może wpływ na postępowanie Gabora miał fakt, że przed wstąpieniem do armii został okradziony i pobity przez gang Polaków zajmujących się rozbojami w dzielnicy XIV paryskiej metropolii. Ci, których od zawsze traktował jak bohaterów, okazali się wyjątkowymi sukinsynami.

Było, minęło. Nie chciał się dłużej nad tym rozwodzić. Te tysiące ludzi zgromadzonych na Erzsébet Tri Park liczyły na niego. Zwerbowani przez Gabora członkowie grup porządkowych, z białymi opaskami na rękawach, ustawiali uczestników w jedną potężną kolumnę.

Sam Farkas do końca nie wiedział, co sprawiło, że zjawiły się aż takie tłumy. Czyżby pokłady nienawiści, które tkwiły w rodakach, były głębsze, niż się socjologom wydawało? Ostatnie protesty to jak wybudzenie z letargu. Na razie żądanie ograniczało się tylko do ustąpienia rządu i przedterminowych wyborów. Jeżeli władze nie uciekną się do sztuczek w rodzaju ogłoszenia stanu wyjątkowego, wydaje się, że ludzie dopną swego. Zawsze mogą ogłosić strajk generalny. Stanie komunikacja miejska, fabryki, transport. Masowych protestów nikt nie powstrzyma. I pomyśleć, że wystarczyła do tego jedna mała prowokacja.

Gabor zacisnął usta. Sam niewiele by zdziałał, ale od czego ma się przyjaciół, i to takich, którzy nie wymiękną, jak przyjdzie co do czego. Ten rumuński kmiotek, którego wrobili, był żaloszny. Udawał twardego, ale gdy zobaczył, jak zaczynają zarzynać dzieci w łóżeczkach, to wymiękł. Dobrze, że Imre w porę stuknął go w łeb, pozbawiając przytomności.

Po owej nocy Farkasa wciąż bolała lewa dłoń. To właściwie jedyny niefort, jaki im się przytrafił. Doktor Bela Balazs nie stawiał oporu. Dostał ostrzem siekiery w głowę, a jego mózg rozprysnął się na wszystkie strony. Z jego żoną był już większy problem. Próbowała walczyć. Zamach, jaki Farkas wykonał, zgruchotał jej prawe przedramię. Dobrze, że w ostatnim momencie zdołał ją podciąć, inaczej zwiłaby na podwórko. Kolejny cios w szczękę

sprawił, że została ogłuszona, a on zamiast szybko zakończyć sprawę, niepotrzebnie zwlekał.

Właściwie to ile ona mogła mieć lat? Na pewno ze trzydzieści parę, i jak na matkę trojga dzieci trzymała się nieźle. Zresztą, co tam, „nieźle” to mało powiedziane. Do tej pory Farkas pamiętał każdą sekundę. Zamiast uderzyć, zwlekał. Emocje, które w nim wzbudziła, to na pewno nie poczucie winy ani nie sumienie. Była taka bezbronna...

W końcu dostał to, czego chciał. Zamknął jej usta, żeby nie krzyczała, a ona wbiła zęby w jego dłoń tak mocno, aż Gaborowi stanęły świece w oczach. I nawet wtedy nie potrafił zdobyć się na ostateczny krok. Robotę dokończył za niego Imre. Załuczenie szczeniaków to już była formalność. Dobrze, że dom znajdował się na skraju wsi. W innym przypadku któryś z nadmiernie wścibskich sąsiadów mógł zainteresować się tym, co dzieje się w obejściu.

Policję powiadomili anonimowym telefonem. Wiejskie głupki z taką sprawą zetknęły się po raz pierwszy. Był mord, znalazł się i sprawca. Doktora Balazsa i jego rodzinę wszyscy dobrze znali, a lincz na sprawcy był dobrze zaplanowaną akcją. Zresztą, podali go im jak na tacy. Prowokacja udała się nad wyraz pomyślnie. I tylko jedno nie dawało Gaborowi spokoju. Zdaje się, że na starość zrobił się ckliwy i sentymentalny.

– Musimy zaczynać.

Imre, który nie opuszczał Farkasa, ponaglił go do działania.

Muszą ruszać. Niedługo policja zablokuje wszystkie wyjścia z placu. Już teraz dawało się dostrzec ciężarówki ustawiające się wzdłuż ulicy Józsefa Attili. Gabor przystanął pod uliczną latarnią i skinął na pozostałych współpracowników.

To na pewno nie będzie piknik. Należało się liczyć z szybką reakcją służb porządkowych. Im będą brutalniejsi, tym lepiej. Telewizje na całym świecie to łykną.

– Gabor, co się z tobą dzieje?

– Nic. – Farkas odsunął kolegę na bok. – Ruszajcie.

Sam nie pójdzie w pierwszym szeregu, lecz przyczai się gdzieś z tyłu. Jak zacznie się rozróżba, ktoś to będzie musiał koordynować. Nie można dać się zepchnąć do narożnika. Bolącą dłoń Gabor spróbował wsunąć do kieszeni spodni. Ta pamiątka pozostanie z nim na długo, o ile nie na resztę życia. Jedno, czego nie potrafił sobie przypomnieć, to jej imię. Ostatecznie nie było to takie trudne do sprawdzenia. Wystarczy wejść w internet, a dowie się wszystkiego. Jednak z jakiegoś niezrozumiałego dla samego siebie powodu nie potrafił się na to zdobyć. Zapamiętał jej oczy patrzące na niego w tych ostatnich sekundach.

Kurwa, co się z nim dzieje? Na misjach działały się nie takie rzeczy. Jak sam oceniał, uśmiercił co najmniej trzydzieści osób, a może i z pięćdziesiąt, i nie czuł z tego powodu wyrzutów sumienia.

Te dopadły Gabora właśnie teraz, w najmniej odpowiednim momencie. Teresa. Tak miała na imię. Ten nic nie znaczący fakt wypłynął z zakamarków jego pamięci z taką mocą, że omal nie przewrócił go na ziemię. Nie było w niej nienawiści. Strach, przerażenie i żal – jak najbardziej, ale nienawiść – jak się zdawało – była jej obca.

Dłoń zaczęła rwać z nową siłą. Przycisnął ją do brzucha. Powoli zaczynał mieć tego wszystkiego dość. Chciał dobrze, a wyszło jak zwykle. Koniecznie musi wziąć się w garść. Rewolucja nie będzie czekać, aż on poskromi zmysły.

\*\*\*

Kapitan Robert Galiński założył nogę na nogę. Żadnych emocji. Czysty profesjonalizm. Obejdzie się bez walenia pięścią w stół i pokrzykiwania na rozmówcę.

W tym przypadku byłoby to trudne. Zastępczyni ambasadora Maria Jędryczko wyglądała na osobę pyską i umiejącą sobie poradzić w trudnej sytuacji.

– Jak pan powiedział?

– Kolska. Patrycja Kolska.

Jędryczko zapatrzyła się w okno, zanim ponownie skupiła uwagę na Galiń-

skim.

– Nikt taki u nas nie pracuje.

– Proszę sobie nie żartować.

– Młody człowieku, nie jesteśmy na przesłuchaniu w biurach Agencji Wywiadu. Za tobą nie stoi generał Banach, a ja mam masę problemów na głowie, bądź więc łaskaw nie odzywać się do mnie w ten sposób.

Jędryczko dobiegała sześćdziesiątki, co Galiński wcześniej starannie sprawdził. Jeżeli była babcią, to się z tym nie obnosiła. Włosów nie farbowała, stawiając na naturalną siwiznę. W tym przypadku dobre geny szły w parze ze zwykłym dbaniem o siebie.

– Przepraszam, ale nie miałem zamiaru pani urazić.

– Pan wie, jak długo tu jestem?

Tego akurat nie sprawdził.

– Trzy tygodnie. W naszym MSZ-ecie zapewnili mnie, że praca tutaj to sama przyjemność. Ledwie przyjechałam i rozpakowałam walizki, już doszło do zamachu, a ludzie na ulicach właśnie próbują obalić rząd. Pojęcia nie mam, do czego to może doprowadzić.

– Razem z pułkownikiem Halickim próbujemy rozwiązać tę sprawę i muszę przyznać, że nie jest to łatwe. Ciągłe rzucają nam kłody pod nogi.

– Nie wszyscy miejscowi są nam przychylni. Z kim konkretnie współpracujecie?

– Z komisarzem Florinem Janco.

– Nie znam. – Jędryczko wygięła usta w podkówkę.

Po trzech tygodniach można najwyżej poznać obsadę ambasady, a i tak – jak się okazuje – nie całą.

– Wróćmy do Kolskiej.

– Gdy wrócę, porozmawiam sobie z pańskim przełożonym. To przecież niemożliwe, aby do wywiadu trafiały osoby mające problemy ze słuchem.

– Proszę pani, ja nie mam problemów, a przynajmniej nie takie, o jakich pani myśli. Chcę tylko uściślić pewne fakty.

– Mam poprosić kogoś z administracji?

– Tak będzie najlepiej. – Galiński uśmiechnął się przymilnie. – Tu musi pracować kilkadziesiąt osób.

– Dokładnie czterdzieści osiem.

– No właśnie, czterdzieści osiem. Może Patrycja Kolska jest gdzieś na liście, a pani jeszcze nie zdążyła się z nią zetknąć?

Jędryczko prychnęła, a Robert skrzywił się pod jej miazdzącym spojrzeniem.

– Jak pan chce.

Przeprowadzona krótka rozmowa telefoniczna sprawiła, że kapitan zaczął zerkać w stronę wyjścia. To nie kobieta, a jakiś dybuk. Zamiast niego przed Jędryczko powinien siedzieć Halicki. Nim nie dawało się tak łatwo manipulować, o ile w ogóle. Osobiście chciałby zobaczyć te zapasy. Wywiad czy dyplomacja? Struktury wojskowe czy cywilne...

Chyba jednak przewaga będzie po ich stronie.

– Poprosiłam pana Błocha. Jest tu od pięciu lat, więc – jak się pan domyśla – zna wszystkich, łącznie z osobami doraźnie zatrudnianymi przez naszą placówkę.

Galiński mimowolnie zerknął na zegarek. Dochodziła trzynasta, a to oznaczało, że Lena przyszła na kolejną zmianę do szpitala. To dziwne, ale nie potrafił przestać o niej myśleć. Było w tej dziewczynie coś takiego...

– Pan się dokądś śpieszy?

– Nie.

– Niezbyt przekonująco to wypadło.

– Mamy sporo pracy.

– Nie wy jedni.

– Pułkownik Halicki, bo to on prowadzi sprawę, jest najlepszym śledczym, jakiego znam.

– A Kolskiej znaleźć nie potraficie.

Ciekawe, czy ta jędza miała męża? Jaki facet wytrzyma z takim babszty-

lem? Co i rusz drwiła z niego, wbijając mu szpilki.

O buncie i odszczeknięciu się ani myślał. Jędryczko zmiażdży go pantoflem i nic z niego nie zostanie. Może lepiej, jakby pozostał w COM-ie. W Centrum Operacji Morskich pracowało kilka kobiet, ale żadnej z nich nawet przez głowę nie przeszłaby myśl, żeby zetrzeć biednego kapitana na proch.

Od trudów dalszej konwersacji został wybawiony, gdyż do pokoju wsunął się drobny urzędniczyna w za dużej marynarce i z resztkami siwych włosów na głowie. Galińskiemu typ od razu skojarzył się z księgowym.

– Panie Szymonie, proszę nam powiedzieć, czy osoba o nazwisku Kolska jest u nas zatrudniona na etacie?

– Nie przypominam sobie.

– Patrycja Kolska – dobitnie powtórzyła Jędryczko.

– Na pewno nie.

– Sam pan widzi, że to jakieś nieporozumienie. – Zastępczyni ambasadora zaczęła kręcić jednym z pierścionków, jakie miała wsunięte na palce. – Nie wygląda pan na przekonanego.

– Czy mógłbym porozmawiać z attaché wojskowym?

– Nie widzę problemu. – Jędryczko uśmiechnęła się wyrozumiale. – A teraz, jeżeli pan pozwoli...

Nic więcej nie było do powiedzenia. Widać papiery na biurku nie mogły dłużej czekać.

Galiński wstał i ukłonił się, bez słowa opuszczając gabinet. Jeszcze parę minut w towarzystwie tej jędzy i wyniosą go nogami do przodu.

– Gdzie ja znajdę kogoś z attachatu? – zapytał Błocha, który – tak jak i on – znalazł się na korytarzu.

– Na pierwszym piętrze – odparł mężczyzna. – Zaprowadzę pana.

– Będę wdzięczny.

Ruszyli w kierunku schodów.

– Przed Jędryczko pracowała tu Sulińska, ta to dopiero była nawiedzona.

– Tak? – uprzejmie zainteresował się Galiński.



– Ćwiczyła jogę, wyobraża pan sobie? Już większej bzdury nie można sobie wymyślić. Kogoś w Warszawie niezłe przycisnęło, żeby wysłać taką osobę na placówkę do europejskiego kraju. Do Indii to ona by się nadawała, ale tutaj? Kompletne nieporozumienie.

Galiński miał dość mgliste pojęcie o jodze. Dla niego to było oddychanie i rozciąganie w jednym. W sumie nic ciekawego.

– Kiedyś zaczęła opowiadać o tym na przyjęciu. Tych, którzy stali najbliżej, ogarnęła zgroza. Jak tak można? Ludzie na stanowiskach, tu minister, tam wicepremier, a ona o pozycji lotosu. Były wszelkie podstawy, aby ją odwołać w trybie pilnym, ale...

– Jak znam życie, znalazła obrońców.

– I to nie kogo innego jak żonę kanadyjskiego ambasadora. Dobrały się obie jak w korcu maku. Dopiero jak tamci wrócili do Ottawy, przyszła pora na Sulińską. Ludzie to jednak mają pomysły.

– Lepiej, żeby pracowała dla naszych wrogów?

– Wypluj pan to słowo! – Urzędniczyna na wszelki wypadek rozejrzała się na boki. – A z tą Kolską to grubsza sprawa, tak?

– Na razie jej szukamy. – Robert zdobył się na wymijającą odpowiedź.

– Nie chce pan mówić.

– A tak właściwie to czym się pan zajmuje?

– Ad... Administracja. Takie tam przesuwanie papierów.

– Nie chciałby pan do nas na pół etatu?

– Niech mnie ręka boska broni. I co ja miałbym tam robić?

– Dodatkowa para oczu i uszu zawsze się przyda. – Galiński nie spodziewał się zgody, ale zapytać zawsze można.

– Panie, to nie dla mnie, ja już jestem w strachu.

– Nie ma się czego bać.

– A jak ja kumplom i znajomym w oczy spojrzę? Nad tym się pan nie zastanowił? Kabla ze mnie nie zrobicie.

Zdaje się, że WSI nadal rzucały długi cień. Tyle lat od rozwiązania, a nie-

którym wciąż się wydawało, że pewne metody nic a nic się nie zmieniły.

Może i mieli rację.

– To tamte drzwi. – Urzędnik wskazał kierunek. – Ja już pana pożegnam.

– Jeszcze się spotkamy.

Galiński nie potrafił odmówić sobie tej drobnej przyjemności. Widział, jak tamten się skurczył i pośpiesznie odszedł. Pan Szymon na długo zapamięta rozmowę z młodym oficerem.

Zapukał do drzwi i zaczekał, aż zostanie poproszony. Wolał nie pchać się na pałę.

Przedstawicielem armii jest zapewne jakiś pułkownik o sporym mniemaniu o sobie.

– Wejść.

Niewiele się pomylił. Pułkownik i major, obaj pochyleni nad mapą. Od papierosowego dymu w pomieszczeniu było aż szaro.

– Kapitan Galiński. Agencja Wywiadu.

– Szybcy są. – Starszy z dwójki mężczyzn bacznie mu się przyjrzał.

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

– Pan od Banacha?

– Tak.

– Nie dalej jak trzy godziny temu zostaliśmy postawieni w stan gotowości. Nasi chcą wiedzieć wszystko o aktualnych ruchach wojsk, rozradach personalnych i stopniu przygotowania Rumunów do walki.

Pułkownik Władysław Płoński zgasił niedopałek papierosa w kryształowej popielniczce. Będąc pięćdziesięciolatkiem, nie zatracił nic ze swojego młodzieńczego wigoru. Spadochronowa odznaka nad lewą kieszenią i wiszący na wieszaku bordowy beret w zasadzie mówiły o nim wszystko. Z takimi osobami liczył się sam ambasador, o Marii Jędryczko nie wspominając. Widać było, że facet zjadł zęby na tej robocie.

Jego zastępca, bardziej barczysty, kojarzył się kapitanowi z bawołem. Taki Schwarzenegger w miniaturze. Mięśnie rozpychały mundur. Dziwne, że szwy

wytrzymywały. Nazywał się Edgar Lee Tyler i już po gębie było widać, że jest złośliwy i arogancki.

– Jestem przydzielony do pułkownika Halickiego. – Galiński wolał na wstępie wyjaśnić wszelkie nieścisłości niż brnąć w nieporozumienie. – Zajmujemy się tym zamachem pod Konstancą.

– Ach tak... – Tyler wbił ręce w kieszenie. – I co pana do nas sprowadza?

– Niejaka Patrycja Kolska. – Lepiej, jeśli zagra z nimi w otwarte karty, bo obaj oficerowie raczej nie byli skłonni do dłuższych pogaduszek. – Nikt jej tu nie zna, więc pomyślałem sobie, że to może być nasz informator. Panowie rozumieją...

– Kolska? – Płoński ostentacyjnie zerknął na zegarek. – Pierwsze słyszę.

– Trudno. Przepraszam. Nie będę zajmował panom więcej czasu.

– Gdzie obecnie przebywa pułkownik Halicki? – tym razem to Tyler zadał pytanie.

– W szpitalu. Na zmianę pilnujemy Kusza.

– Czy ktoś chce go... – Major przejechał dłonią po gardle.

– Bierzemy pod uwagę wszelkie możliwości. Kusz jest cenny. Widział zamachowców. Jeżeli uda się ich zidentyfikować, będziemy wiedzieli, kto stoi za tym całym bałaganem.

– Rumuni chętnie współpracują?

– O tyle, o ile. Komisarz Janco jest pomocny, ale te ostatnie wypadki sprawiły, że ma dwa razy więcej roboty. – Galiński największym wysiłkiem woli powstrzymywał się od zerkania w kierunku mapy. – A jak sytuacja ogólna? – zaryzykował pytanie, lecz nie spodziewał się odpowiedzi.

– No, Edgarze, powiedz co i jak, bo mnie zaraz szlag trafi. – Płoński potarł kąciki oczu. – Lepiej, jeśli będą wiedzieli, inaczej wpietrzą się w jakieś szambo i tyle ich zobaczymy.

Tyler nie odpowiedział od razu. Sugestia, by podzielić się z kapitanem wszystkimi informacjami, mocno kłóciła się z poglądami majora na kwestie bezpieczeństwa. Może i ten szczeniak był z wywiadu, ale wyglądał jak wymo-

czek, a takich typków major nie lubił szczególnie.

Co on mógł wiedzieć o walce? Dla takich jak on wojna to wyłącznie komputery, naprowadzane laserowo bomby i kierowane pociski raketowe. Możliwość spotkania się z przeciwnikiem twarzą w twarz to czysta abstrakcja. Akurat w bezpośrednim zabijaniu Tyler miał wprawę. Nie lubił się z tym obnosić, ale jak trzeba było, nie wahał się: pistolet, karabin, a i zwykła sznurówka była dobra, gdy się wiedziało, jaki z niej zrobić użytek.

Major w końcu przestał tkwić w bezruchu i zrobił krok w kierunku kapita-  
na.

– Nie jest dobrze.

– Jesteś wyjątkowo oszczędny w słowach, Edgarze. – Z rogu pokoju za-  
wtórował majorowi Płoński.

– Ile pan wie? – Tyler zadał w końcu fundamentalne pytanie.

– Pułkownik Halicki widział, jak policja rozpraszała wczorajsze nielegal-  
ne zgromadzenie. Prawdę powiedziawszy, był rozczarowany ich postawą.  
Może nie nazwał ich wprost nieudacznikami, ale niewiele brakowało.

Płoński i Tyler popatrzyli na siebie pełnym napięcia wzrokiem.

– Pułkownik brał bezpośredni udział w zajściach?

– Nie wiem, czy bezpośredni. Na pewno tam był.

– Kto wiedział o jego obecności?

– Paru gliniarzy z wydziału kryminalnego i zabezpieczenia miasta. Chyba  
nikt więcej.

Skąd to nagłe zainteresowanie ich poczynaniami? Zdaje się, że źle zrobił,  
iż się tu w ogóle znalazł.

– Czy to ważne?

– Nawet bardzo – odparł Tyler. – Ten wczorajszy wiec będzie niczym  
w porównaniu z dzisiejszym. Musicie się przygotować na utrudnienia w ruchu  
i naruszenia porządku publicznego.

– Z tego, co mi wiadomo, to tylko grupka krzykaczy.

– Do niedawna można tak było o nich myśleć. Ekstremiści bez znaczenia,

na dodatek z jakimś kretynem, który ich reprezentuje. Jak on się nazywa?

– Stancu.

– Stancu, kurwa! Chuj wie, z jakiego śmietnika wylazł! – Tyler świetnie mówił po polsku, ale na pewno pierwsze, co sobie przyswoił, to wulgaryzmy. Tak zresztą działo się z każdym, kto na krócej lub dłużej lądował w kraju nad Wisłą. – Dziś gnój jest na ustach wszystkich. W internecie trąbią tylko o nim.

– Może za parę dni wszystko wróci do normy?

– Wróci albo i nie wróci. Ja bym raczej stawiał na eskalację. Najgorsze jest to, że ministrowie zaczynają panikować. Na ratyfikację niektórych umów nie ma co liczyć. Pakiet gospodarczy, który miał być głosowany w przyszłym tygodniu, prawdopodobnie w całości zostanie odrzucony. Racjonalnych powodów brak. Zrobią tak na wszelki wypadek. Nasi... – Tyler niespodziewanie urwał.

– Mów, Edgarze. Niech chłopak wie, z czym musimy się zmagać – powiedział Płoński, zastanawiając się, czy sięgnąć po kolejnego szluga.

– Nasi... – Majorowi najwyraźniej zabrakło odpowiedniego słowa.

– Agenci? – Robert pośpieszył z pomocą.

– Jacy tam agenci! Współpracownicy, ludzie, na których mogliśmy do tej pory liczyć, zaczynają nas unikać. Dotychczas wszystko było dobrze, aż tu nagle jeden z drugim nie odbiera telefonów albo nie przychodzi na umówione spotkanie.

– Boją się?

– A skąd ja, kurwa, mam wiedzieć?! – Tyler wybuchł kolejny raz. – Oni już zapomnieli, jak przyszli do nas w łaskę!

Galiński tego nie skomentował. W ustach Polaka amerykańskiego pochodzenia, bo tak to chyba teraz trzeba było nazwać, zabrzmiało to co najmniej dwuznacznie. Tyler okazał się lojalny. Wielu jego kumpli nie, a wtedy to oni przyszli do nich w potrzebie. Rumuni, co by nie mówić, byli u siebie i mogli prowadzić taką politykę, na jaką mieli ochotę. Nikt im tego nie zabroni. Gorzej, że rozpieprzali cały układ. Tak się po prostu nie robi.

- I dzieje się tak z każdym bez wyjątku. Olewają nas?
- Przecież, że nie wszyscy. Niektórych mamy na listach płac. Tym ze współpracy wykręcić się jest trudno.
- A tak orientacyjnie, to ilu ich jest?
- W całym kraju co najmniej kilkuset.
- Ilu? – Robertowi oczy omal nie wyszły z orbit.
- To aż takie dziwne? Trzeba obsadzić ministerstwa, służby specjalne, armię, policję, administrację centralną i terenową.
- Jak to wygląda na Węgrzech?
- Podobnie, tylko że kraj mniejszy.
- I nikt z nich wcześniej nie informował, co się może stać?
- Nie możemy nadzorować wszystkich ekstremistów, a ferment wyszedł właśnie z ich środowiska. – Tyler przestał się miotać we wszystkie strony i w końcu stanął w miejscu. – Nic nie jest przesądzone. Słyszałem już opinię, że w razie konieczności do tłumienia protestów należy wysłać wojsko.

Galiński zdębiał.

- Czy ja dobrze słyszę?
  - I mnie ten pomysł nie przekonuje. Takie rozwiązanie to ostateczność.
- Już wiedział, co oznaczają niebieskie znaczki na mapie. To jednostki wojskowe, które zostały postawione w stan gotowości. I to po jednym proteście. Ten drugi jeszcze nie zdążył się rozkręcić na dobre.

Pchanie armii na ulice to jawna prowokacja. Czy w tutejszym Ministerstwie Obrony nikt nie myśli? Kiedy wkurzeni ludzie dojrzą wozy pancerne, to dopiero będzie maniana.

Musi szybko powiadomić Halickiego. Może on coś wymyśli.

- Panowie pozwolą.
- Z waszego śledztwa to zdaje się... nici. Tak się to mówi?
- Zrobimy, co w naszej mocy.
- W razie kłopotów...
- Oczywiście. Będziemy w kontakcie.

\*\*\*

Na wiec, który teoretycznie miał przyciągnąć sto tysięcy osób, przyszło około piętnastu tysięcy ludzi, co i tak należało uznać za spory sukces. Dwadzieścia cztery godziny wcześniej o Stefanie Stancu nie słyszał nikt, a nawet jeżeli, to jego poglądy prawie nikogo nie interesowały. Ot, ekstremista, jakich wielu. Ekscentryk, który zrobi wszystko, aby skupić na sobie uwagę mediów.

Niemniej sam Stancu posiadał jedną cechę, która odróżniała go od pozostałych obywateli; tą cechą była charyzma. Kiedy zaczynał mówić, nikt nie potrafił skupić na sobie większej uwagi. Rozpalał zgromadzonych niemal do czerwoności. Przekaz w internecie nie stracił nic na wyrazistości, czyniąc z oratora najprawdziwszą gwiazdę mediów.

Mężczyzna, który obserwował gromadzących się ludzi, nie był zawiedziony. Nie wszystko działo się od razu, pewne wydarzenia toczyły się ustalonym trybem, ale gdy już parowóz dziejów został ustawiony na odpowiednim torze, nic go nie mogło zatrzymać.

Problem w tym, że mężczyzna nie mógł czekać. Potrzebował katalizatora, który przyspieszy bieg wypadków. I on taki katalizator trzymał właśnie w kieszeni.

Czy był zdenerwowany? Na pewno. Nakładający się na to głód nikotyny sprawił, że zaczął obgryzać paznokcie. Tego odruchu w żaden sposób nie potrafił powstrzymać. To było silniejsze od niego. Koniecznie musi kupić w aptece specjalne plastry lub też gumy do żucia ułatwiające wyjście z nałogu. Akurat w jego przypadku będzie to próba odwleczenia tego, co nieuniknione. Do diabła z Brigitte. Czy dziewczyna nie rozumie, że on ma stresującą pracę?

W końcu odetchnął głębiej i ustawił się tak, żeby nie tracić z oczu odrapanej starej dacji w kolorze brudnego beżu.

Kciuk w kieszeni kurtki musnął przycisk niewielkiego nadajnika radiowego. Dację nafaszerowano pięćdziesięcioma kilogramami materiału wybuchowego. To dość, aby zniszczyć czołg, a co dopiero, gdy do eksplozji dojdzie na ulicy wypełnionej ludźmi.

Osobiście nic do nich nie miał, ale jak trzeba, to trzeba, dla lepszej przyszłości naszych dzieci, dla... A chuj z nimi wszystkimi! Tak naprawdę robił to dla siebie, dla swoich małych, egoistycznych celów. Rozkaz, co prawda, był rozkazem, a on jako żołnierz musiał go wypełnić, ale jakaś niewielka część jego samego cieszyła się myślą o nieuchronnej masakrze. To nie było normalne, ale trudno, co zrobić. Nad pewnymi skłonnościami nie chciał się rozwodzić.

Jeszcze nie teraz. Lepiej, jak poczeka parę sekund, aż z samochodem zrówna się większa grupa demonstrantów, matki z wózkami, stateczni ojcowie rodzin, trochę młodzieży. Czy to nie chore, aby w imię wyższych racji posłać ich prosto na tamten świat? Serce w piersi zaczęło mu walić jak po przebiegnięciu stu metrów na czas. Nie zdając sobie z tego sprawy, pochylił się do przodu, zupełnie jakby chciał się położyć na ziemi.

Pięć... Koniecznie musi walnąć kielicha, inaczej się wykończy. Cztery... Ależ to powoli idzie... Trzy... Ta kobieta idąca niedaleko wyglądała bardzo podobnie do Brigitte. Dwa... Szkoda jej.

Huk był ogłuszający. Ładunek zmiotł wszystkich znajdujących się w pobliżu. Kobiety, dzieci, mężczyźni zostali rozerwani na strzępy. W powietrzu fruwały ostre jak brzytwa części samochodu i kawałki ludzkich ciał...

Sam sprawca po prostu oniemiał. Wiedział, co się stanie, a mimo to był zaskoczony.

Miało być spektakularnie, ale to, co się właśnie wydarzyło, przekraczało granice ludzkiego pojmowania. Pięćdziesiąt kilogramów to trochę za dużo.

Nim wcisnął guzik w nadajniku, padł na ziemię. Uczynił to kompletnie bezwolnie. Nie było to profesjonalne, ale przynajmniej ocalił życie. Odłamki niczym szerszenie wypełniły najbliższą przestrzeń. Co by się stało, gdyby choć jeden wbił się w niego? O konsekwencjach wolał nie myśleć.

Powoli wstał, otrzepując ubranie. Lekki zawrót głowy się nie przejmował. To zapewne efekt przejścia fali uderzeniowej. Dolegliwości szybko miną.



Nabrał powietrza do płuc i powoli je wypuścił. Już dobrze. Czas ocenić efekt zamachu.

Myślał, że widział już wszystko, ale z czymś podobnym zetknął się po raz pierwszy. Ofiary, które w momencie wybuchu znajdowały się najbliżej miejsca detonacji, leżały pokotem. Kobiety podobnej do Brigitte nigdzie nie mógł dojrzeć. Zapamiętał miejsce, w którym widział ją po raz ostatni, lecz obecnie spoczywał tam stos ciał. Szkoda, wielka szkoda.

Jakiś spanikowany człowiek przebiegł obok, potrącając go tak mocno, że omal się nie przewrócił. Ból ramienia przynajmniej dał mu impuls do działania. Dłużej nie może tu zostać.

Ostatni raz powiódł spojrzeniem po miejscu masakry, starając się zapamiętać jak najwięcej szczegółów. Zawsze to jakieś doświadczenie na przyszłość.

Na razie za wcześnie na wyrzuty sumienia. Te przyjdą i tak, przenikną go i o ile nie zabiją, postawią na nogi. Wstanie silniejszy. Przechodził przez to nie raz i nie miał wątpliwości, że tak się to skończy.

\*\*\*

Znajdował się już całkiem blisko szpitala, gdy usłyszał przeciągły jęk ratowniczego klaksonu. Po pierwszym przyszedł drugi i trzeci. Karetki wyjeżdżały z bramy, od razu nabierając pełnej prędkości.

Złe przecucie ścisnęło Galińskiego za gardło. Na mieście zapewne doszło do poważniejszego wypadku, skoro zmobilizowano cały dostępny sprzęt.

Nim zdążył wejść na piętro, dostrzegł kilku zawzięcie dyskutujących Rumunów, którzy bez mała skakali sobie do oczu. Wyminął ich szerokim łukiem. Gdy ludzie kłócą się w ten sposób, nic dobrego z tego nie wyniknie.

Na chirurgii sytuacja wyglądała jak przed obłężeniem. Personel w stanie bliskim obłędu miotał się we wszystkich kierunkach. Szkoda, że Galiński nic nie rozumiał. W którejś z sal huczało radio, a zgromadzeni przy nim pacjenci słuchali go w niemym zdumieniu.

Przez plecy kapitana przebiegł nieprzyjemny dreszcz. Wydłużył krok, chcąc jak najszybciej znaleźć się na miejscu.

Dostrzegł pułkownika prowadzącego ożywioną rozmowę z lekarzem w białym kitlu. Lena stała obok. Dziś już bez warkoczyków. Włosy najzwyczajniej w świecie spięła gumką na karku. Nim usłyszał, o czym mówią, lekarz sobie poszedł.

– Byłeś w ambasadzie? – zapytał Halicki na powitanie.

– Tak.

– I co mówili?

– Takie tam, Kolska u nich nie pracuje.

– Ciekawe.

Wzrok co chwilę uciekał Galińskiemu w kierunku dziewczyny, co wprawiało ją w lekkie zakłopotanie. Na razie mężczyzna zaliczał wpadkę za wpadką.

– Rozmawiałem z Jędryczko, co za jędz, mało mnie nie poćwiartowała.

– A kim ona jest? – zapytał Halicki.

– Zastępcą ambasadora.

– Pierwsze słyszę. – Żandarm nie wykazał większego zainteresowania.

– Z Kuszem wszystko gra?

– Marudny jest jak stara baba: „popraw poduszkę”, „prysuń kaczkę”...

Dopiero jak zobaczył Lenę, to przestał narzekać i od razu chciał wstawać. A jaki grzeczny się zrobił.

– Wy tak serio z tym basenem?

– Nie twoja sprawa. – W oczach Leny zajaśniały wesołe ogniki.

– Ma facet farta. Nie to co ja.

Dziś, oprócz nich, na korytarzu nie dawało się dostrzec ani jednego mundurowego. Wszystkich gdzieś wymiotło, a na korytarzu słychać było tylko krzyki. Nie dalej jak dwadzieścia metrów od nich jakaś starsza kobieta wpadła w histerię. Ona nie mówiła, tylko rwąc sobie włosy z głowy, wrzeszczała tak, że aż szyby dzwoniły w oknach.

– Idź, dowiedz się, o co chodzi. – Halicki skinął na Lenę, sam sięgając po telefon. Znalezienie numeru Florina trwało tylko parę sekund. Usłyszał szybki,

przerywany sygnał. Zdaje się, że nie był jedynym, który próbował porozumieć się z komisarzem.

– Psiakrew.

– O co chodzi? – zapytał Robert.

– Nie odbiera.

– Może ja spróbuję?

– Jeżeli ci się chce... – W pułkowniku zaczęła narastać irytacja. – U Kusza jest telewizor. Może tam dowiemy się szczegółów.

Pacjent ciężko westchnął na ich widok. Właśnie skakał po kanałach, a miał ich w pakiecie z piętnaście. Niby niewiele, ale zawsze dawało się na czymś zawiesić oko, choćby na powtórkach programów rozrywkowych. Potańczą, pośpiewają, przynajmniej czas do obiadu szybciej minie.

– Można? – Halickiemu wszelkie subtelności były obce. Po prostu wyjął pilota z ręki kierowcy i przełączył na kanał informacyjny.

– Proszę. Kto będzie mnie pytał o zdanie. Nie mam ani chwili spokoju.

– Na współczucie z mojej strony proszę nie liczyć.

Na jedynce szedł film, czeski zresztą, tylko na dole pojawił się czerwony pasek, z którego nic nie potrafił wyczytać. Dwójka – publicystyka, trzech jajo-głowych i urocza prezenterka. Po kombajnie w tle można się było domyślić, co jest tematem programu. Trójka – jakieś muzyczne głupoty. Rumuńskie MTV albo coś podobnego. Czwórka – znów film, tym razem wojenny, ruski z lat siedemdziesiątych minionego wieku. Pluton żołdatów kontra pancerny batalion SS. Wiadomo, kto wygra. Piątka...

– Szlag mnie zaraz trafi.

– Może to tak specjalnie, żeby nie wkurzać pacjentów. – Wyjaśnienie Galińskiego wydawało się logiczne.

– Zaraz to ja zostanę pacjentem.

Nim doszło do najgorszego, czyli ciśnięcia pilotem w ścianę, do izolatki wsunęła się Lena.

– Był zamach. – Jej oblicze było kredowobiałe.

– Gdzie?

– Na tej manifestacji, co to ją dzisiaj zwołali. Podobno są dziesiątki ofiar. Mówi się o snajperach strzelających do ludzi i oddziałach specjalnych zmierzających w kierunku centrum.

Nie wszystkie te rewelacje od razu utorowały sobie drogę do mózgu Halickiego.

Zamach to jedno, ale snajperzy? To już zalatywało kontrrewolucją. Siły specjalne, czołgi?

Te ofiermy z wczoraj ledwo sobie poradziły, a dziś zwrot o 180 stopni. To tak nie działa. Albo jest się przygotowanym, albo nie, no chyba że od początku mamy do czynienia z celowym działaniem.

Najpierw podpucha, a później wygarnięcie ze wszystkich rur. Tylko co chciano w ten sposób osiągnąć?

W końcu na ekranie ukazała się scena jak z koszmarnego snu. Jakość obrazu była pierwszorzędna, tylko obrazki cokolwiek nie rozrywkowe.

Na widok chłopaka z rękami uciętymi na wysokości łokci Halickiemu żołądek podjechał do gardła. Do niektórych obrazów nie można się przyzwyczaić. Wyraźnie było widać, jak mężczyzna się wykrwawia, a nikt nie chce lub też nie potrafi mu pomóc. Czy ten dureń z kamerą wie, co robi?

Masz ratować ludzi, a nie bawić się w filmowanie! Nagroda w kategorii hiperrealizmu ci się marzy, zwyrodnialcu? Najwyraźniej niektórzy spadli z księżycy.

Chłopak zmarł dwadzieścia sekund później. Za plecami pułkownika Lena kaszlnęła raz i drugi. To nie były migawki, jakie ogląda się w codziennych newsach. Robert podał jej chusteczki i zdaje się, że objął ją ramieniem, a Kusz wytrzeszczył gały jak osoba chora na zespół Gravesa-Basedowa. Dla niego wspomnienia o zamachu wciąż były świeże.

Oko kamery w końcu zostało przesunięte w bok. Ale jeżeli ktoś liczył na złagodzenie przekazu, srodze się pomylił.

Chłopiec wyglądał na pięć – sześć lat. Śmierć nie zniekształciła rysów

jego twarzy. Ramionka ocalały, tylko... Dziecko było przecięte w pół, dokładnie tak; tułów osobno, nóżki osobno. Obok leżała bezgłowa kobieca postać.

Nawet dla Halickiego było to stanowczo za dużo. Naoglądał się takich scenek w różnych częściach świata, trochę się na nie uodparniając, ale to, co dziś zostało zaserwowane w telewizji, wstrząsnęło i nim.

Już lepszy będzie kanał z gadającymi głowami. Wcisnął przycisk, licząc, że dyskusja o nadchodzących żniwach nie przerodziła się w mordobicie, lecz – zamiast falujących łąnów zboża – znowu zobaczył miejsce zamachu, tyle że filmowane z zupełnie innej strony. Nawet MTV przerwało program, nadając bezpośrednią relację. Nim zdążył sprawdzić, co z dzielnymi czerwonoarmistami, odezwał się telefon.

– Halicki.

– Gdzie jesteście? – Osmecki od razu przeszedł do meritum.

– W szpitalu. Obstawiamy Kusza.

– Macie się stamtąd nie ruszać. Na razie, decyzją prokuratury, wasza misja zostaje zawieszona.

– Prokuratury? A co oni do tego mają?

– Oficjalnie jesteście jej przedstawicielami.

– Coś podobnego.

– To nie mój pomysł, tylko Banacha. Przynajmniej jesteście kryci.

– Wielkie dzięki.

– Żadnych, powtarzam, żadnych działań na własną rękę.

– I co? Mamy tu siedzieć, nic nie robiąc?

– W ciągu godziny zostanie podjęta decyzja, co z wami zrobimy.

Halicki znieruchomiał. Kogoś w kraju ten ostatni zamach mocno zaniepokoił. Zdaje się, że nawet wiedział kogo.

– Powiedz generałowi, że nie pozwolę się stąd usunąć! – warknął, rozeźloni na cały świat.

– Wyłącz emocje i zacznij myśleć. Sami nie dacie rady. Rumuni was ignorują, a na straty uboczne nie możemy sobie pozwolić.

Straty uboczne? Pewnie chodziło o niego i jeszcze ewentualnie Galińskiego, bo Kusz się nie liczył. Do tej pory sprawiał same problemy, a pożytku z niego niewiele.

– Czy wy w tej Warszawie kompletnie zdurnieliście?

– Uspokój się.

– Jestem spokojny. – Halicki wciąż miał przed oczami zmasakrowanych cywilów. – Jestem jedyną osobą, która siedzi w tym od początku. Jeżeli mamy dopaść tych skurwieli, to jest to jedyna okazja. Masz rację, tutejsi się na nas wypięli, ale jeżeli mnie odwołają, to być może nigdy się nie dowiemy, kto za tym stoi.

– Przecenisz swoje możliwości.

– Pozwólcie mi działać.

– Generał...

– Chrzanić generała, powiedz mi, co ty o tym myślisz?

– Nie znoszę, gdy ktoś zadaje mi takie pytania.

– Jesteś blisko Banacha, pogadaj z nim.

– To nie takie proste.

Najwyraźniej Osmecki miał jakieś informacje, ale nie bardzo wiedział, jak je przekazać.

– Widziałeś, co tu dzisiaj zaszło? – Halicki przysunął aparat bliżej ucha.

– Tak.

– To będzie eskalować.

– Poczekaj, kurwa... Co się tam dzieje?

Głos Osmeckiego utonął w ogólnym rozgardiaszu. Piotr słyszał podniesione głosy i okrzyki niedowierzania, ale do końca nie wiedział, czy płynęły z telewizora, czy komuś w Warszawie puszczały nerwy.

– Muszę kończyć – niespodziewanie obwieścił Osmecki.

– Co?

– Mamy poważny incydent na granicy węgiersko-rumuńskiej. Są zabici. Szczegółów na razie brak.

– Kto atakował?

– Masz kłopoty ze słuchem? Przecież powiedziałem, że nic nie wiem.

– To nie jest przypadek.

– Mam takie samo zdanie.

– Jak więc będzie?

– Ależ z ciebie upierdliwiec! Dobra, pogadam z Banachem, ale niczego nie obiecuję. I pilnujcie się.

– Masz moje słowo.

Kolejna prowokacja w ciągu ostatnich dni. Jeśli szybko nie zostaną podjęte odpowiednie kroki, oba kraje stoczą się w otchłań, być może pociągając za sobą sąsiadów. Tu już nie chodziło o atak na konwój, bo w rezultacie okazał się on przygrywką do poważniejszych zdarzeń. W efekcie sprowadzały się one do jednego – Rumunia pogrążała się w coraz większym chaosie, władze nie radziły sobie z utrzymaniem porządku publicznego, a na dodatek granice państwa zostały naruszone i nie miało znaczenia, czy jest to celowy manewr, czy zwykły przypadek. Zresztą, w takie przypadki Halicki nie wierzył. Istotne było to, o czym pomyślą sobie obywatele, a po dzisiejszych wypadkach naprawdę mogą stracić cierpliwość.

Telefon dał o sobie znać po raz kolejny.

– Słucham.

– Jestem na bulwarze Wolności. – Głos Florina był wyprany z wszelkich emocji.

– Jesteś cały?

– Tak. Nic mi się nie stało.

– Jeżeli mogę ci jakoś pomóc...

– Tu jest cała masa ludzi. Boję się, że mogą zatrzeć ślady.

– Tym się będziemy martwić później. Najważniejsze to nie dopuścić do wybuchu paniki, słyszysz?

– Ale ja nie mam tutaj wpływu na nic. – Na komisarzu najwidoczniej powoli zaczynał się odbijać stres. Halicki, po obejrzeniu relacji telewizyjnej, nie

zapomni tego nigdy, a co powiedzieć o osobie, która doświadczyła takiej traumy osobiście?

– Przyjadę.

– Nie.

– Przyjadę. Zabiorę się którąś z karetek. To nie powinno zająć dużo czasu.

– Jak chcesz.

– A ty nie zrób czegoś głupiego.

Wcisnął aparat do kieszeni, myślami będąc już gdzie indziej.

– Pan wychodzi, pułkowniku? – zająknął się Galiński.

– A do czego jestem wam tu potrzebny? Dacie sobie radę beze mnie.

Nic więcej nie było do dodania.

\*\*\*

Efekt jego starań okazał się mizerny. Właściwie to kompletna porażka. Pomysł nie miał żadnych racjonalnych podstaw, to było tylko pobożne życzenie, które nie stało się ciałem. Zamiast przełomu, pełne rozczarowanie. Od wpatrywania się w ten cholerny monitor w końcu rozboleły Oskara oczy.

Jeżeli tam jesteś, to rusz się, bydlaku, i daj znak istnienia!

Niestety, ramka wciąż pozostawała pusta, a on niczego innego nie potrafił wymyślić. No trudno, na tym polu doznał porażki. Jakoś przeżyje. Właściwie to w swojej naukowej karierze częściej otrzymywał kopniaki, niż odbierał laury. Podobno nie można mieć wszystkiego. Z tym akurat był się w stanie zgodzić.

Dobrze, że przy innych projektach robili postępy. Parę z nich zaczęło nabierać realnych kształtów. To już nie były jałowe rozmowy i teoretyczne rozważania. Jak się okazuje, świat poczynił spore postępy w niektórych dziedzinach, a im przez zwykły przypadek udało się pozbierać okruchy.

I to całkiem spore okruchy.

W ruinach dawnej siedziby Black Pointu w Ochota Tower pracowali przez parę tygodni, próbując ocalić, co się tylko da. A dało się całkiem dużo. Przeznaczenia niektórych rzeczy z początku tylko się domyślali, jak chociażby tych



paneli, które pierwotnie znajdowały się na zewnątrz biurowca, na samym jego szczycie. Dopiero niedawno wpadli na rozwiązanie. Tu chodziło o zasilanie. Ten system nie potrzebował kabla, aby prąd mógł nim płynąć, transmitując go tak, jak to się dzieje z falami radiowymi. Dobrze, nie? Co tam zresztą prąd, soczewki do oczu to dopiero hit! Już zaczęli rozmyślać nad próbną serią. Kilka sztuk agentom Banacha na pewno się przyda. Szkoda tylko, że to będzie uproszczona wersja, a nie full serwis, ale od czegoś trzeba było zacząć. Jak to powiedział Neil Armstrong, pierwszy człowiek na Księżycu: „To mały krok dla człowieka, ale wielki skok ludzkości”. Jakoś tak to szło. Jak się rozpędzą, nic ich nie zatrzyma.

Na razie musieli się uporać z całą masą drobnych elementów. Potrzebowali do tego najtęższych głów i większego budżetu. Niektóre zlecenia pójdą do prywatnych firm. Podwykonawcy na pewno się przydadzą, skoro u nich brakuje wolnych mocy przerobowych. Przynajmniej trochę rozruszają rodzimy biznes. Nawet nie trochę. To będzie jak eksploracja nowych planet, bo jeżeli nie uda się utrzymać względnej równowagi technologicznej z wiodącymi państwami, zginą. Kto wie, nad czym pracowali Rosjanie? A Chińczycy?

Oskar bardzo nie chciał obudzić się któregoś dnia z ręką w nocniku. W pewnym momencie liczba czołgów, samolotów czy pocisków manewrujących przestanie mieć decydujące znaczenie. To tylko złom, którym można wyłączyć bądź też przekierować znaczniki na ekranach komputerów, a i same komputery dało się w ten czy inny sposób oszukać.

Te nowe technologie na pewno się przydadzą, ale nie nimi chciał zaskoczyć Banacha. Gdy w rozważaniach Borzęcki dochodził do tego momentu, niemal zawsze przypominała mu się legenda o praskim Golemie, z tym że legenda powoli zaczynała przemieniać się w rzeczywistość. Teraz to nie gliniane monstrum będzie siać śmierć i zniszczenie, a zmodyfikowany cybernetycznie człowiek.

O pewnych sprawach wołał na razie nie informować szefa wywiadu. Jeszcze się wkurzy i cofnie dotację. To w końcu tradycjonalista, który pewnych

rzeczy nie łyknie. Co zrobi, gdy się dowie, nad czym zaczęli pracować? Szlag go trafi! To na pewno. Przekroczenie kolejnej granicy będzie dla niego szokiem.

Prawdę powiedziawszy, nie tylko dla niego. Ale, jeśli chcą iść do przodu, nie mogą się zastanawiać nad pewnymi niuansami.

\*\*\*

Generał Nicolai Radu, szef sztabu rumuńskiej armii, wiedział, że w końcu dotarł do punktu, spoza którego nie ma powrotu. Jeżeli nie chce zaprzepaścić dorobku życia, musi brnąć do przodu. Stanie w miejscu lub cofnięcie się groziło katastrofą. W kraju zaczęła panować anarchia, a dla Radu nie było niczego gorszego. Jeżeli działania ekstremistów nie zostaną ukrócone, nikt z obywateli nie będzie się czuł bezpiecznie.

Rumuńska armia nie była szczególnie liczna. Siły zbrojne składały się z siedemdziesięciu trzech tysięcy żołnierzy, marynarzy i lotników. Same siły lądowe to maksymalnie czterdzieści pięć tysięcy ludzi. To wszystko, na co mógł w tej chwili liczyć. Już zaproponował ministrowi obrony i premierowi użycie chociaż części z nich do zapewnienia spokoju na ulicach Bukaresztu. Decyzja do tej pory nie zapadła. Radu kompletnie nie potrafił tego zrozumieć. Na co oni jeszcze czekają? Zamach na bulwarze Wolności pochłonął trzydzieści siedem ofiar. To mało czy dużo? Zależy jak na to spojrzeć. Od czasu rewolucji z grudnia '89 roku nie było aż tak źle.

Nicolai do tej pory pamiętał, co wówczas robił. Jako młody podporucznik dowodził plutonem piechoty, który próbował wziąć szturmem siedzibę główną policji politycznej. Długo trwało, zanim wdarli się do środka. Niecały tydzień starć pochłonął życie około tysiąca Rumunów.

Jeżeli nie chcą powtórki, muszą działać. Widok wozów bojowych na ulicach i placach powinien zadziać jak zimny prysznic, a tego śmiecia Stancu już dawno należało złapać za jaja i wcisnąć do ciemnego lochu. Łazi taki po ziemi i podburza spokojnych obywateli. Radu słyszał przemówienie, które ten wygłosił zaledwie wczoraj. Za coś takiego to sąd doraźny i kula w łeb. Par-

szywa kanalia. Jak on śmie...

Zresztą, Stancu to ta mniejsza część problemu; gorzej, że te węgierskie psy szły na całego. To już nie były działania jakiejś tam grupki oszołomów. Granatów na rumuński posterunek celny nie rzucił pierwszy lepszy doprowadzony do ostateczności obywatel. Tę akcję przygotowali zawodowcy, najprawdopodobniej przygotowani przez węgierskie służby specjalne. Wzmocnienie pasa granicznego na zachodzie kraju to kolejne wyzwanie, o którym nie należało zapominać. Jak do tej pory za bardzo skupili się na obronie przed Turkami, bo to właśnie na południu zgromadzono większość sił. Co prawda, aktywność Ankarę na tym odcinku znacznie osłabła. Siły okupacyjne miały własne problemy z rosnącym w potęgę greckim ruchem oporu zasilanym przez bojowników z południa. Port w Salonikach został zablokowany. Instalacje portowe i składy paliwa wciąż stawały się celem nowych ataków, a napady na patrole, podkładanie min i snajperski ostrzał powtarzały się dzień po dniu.

Od Turcji oddzielał Rumunię bufor w postaci Bułgarii. Sofia, mająca do tej pory wsparcie sojuszników, nie wymiękała, ale jak długo potrwa taka sytuacja – to i dla Radu stanowiło zagadkę.

Jeżeli przesunie część oddziałów na zachód, Węgrzy będą na nim jechać jak na łysej kobyle.

Na początek brygadę zmechanizowaną ze Slatiny przesunie się w kierunku Timișoary, a pancerną do Aradu. To powinno dać Budapesztowi do myślenia. Do tego koniecznie trzeba powołać rezerwistów. Dwadzieścia tysięcy na początek wystarczy. Niech się nikomu nie wydaje, że oddadzą chociaż piędź własnej ziemi. Po jego trupie.

Wywiad niech rozpozna cele blisko granicy. W razie konieczności uderzy na nie lotnictwo, wybijając Węgrom z głowy wszelkie bzdurne pomysły już na wstępie. Zresztą, z czym do ludzi. Budapeszt posiadał armię liczącą niewiele więcej jak trzydzieści tysięcy żołnierzy. Akurat w sam raz do ochrony granicy przed emigrantami. Na działania zaczepne brakowało im sił.

I tu Radu dochodził do sedna problemu. Oba skonfliktowane ze sobą pań-

stwa swoją obronę uzależniały od tego, co w danym przypadku zrobi Warszawa. Bez niej ani rusz. I Bukareszt, i Budapeszt mogą dysponować całkiem potężnym potencjałem militarnym, ale bez Polaków nie ruszą się ani o krok. Ich siły, choć na Bałkanach stosunkowo nieliczne, wywierały decydujący wpływ na całą południową flankę sojuszu. Ta brygada w Debreczynie irytowała generała szczególnie.

To oczywiście jeszcze nic nie znaczyło, ale wskazywało na możliwe zachowanie. Węgrzy mieli dużo lepsze układy z Polakami niż oni. Co do tego nie było wątpliwości. Warszawa zdawała się traktować obu sojuszników tak samo, ale – jak wiadomo – pewnych zachowań zmienić się nie da. Warszawa i Budapeszt obnosiły się z tą swoją przyjaźnią, jakby to było nie wiadomo co. Przy różnych okazjach wyciągano wspominki sięgające jeszcze XIX wieku. Skąd się to u nich brało?

Nie pora teraz o tym myśleć. Jedna brygada w Debreczynie, a dwie kolejne na ćwiczeniach w Słowacji. I to właśnie te manewry niepokoiły Radu najbardziej. Z początku zapowiedziano zwykłe szkolenie poligonowe z jednostkami nie większymi od batalionu. Wczoraj wszystko uległo zmianie. Spadochroniarze i strzelcy górscy, bo chyba tak to należało odczytać, zostali w trybie pilnym przerzuceni w okolice Koszyc. Czyżby to był wstęp do czegoś większego?

Gdy Nicolai uświadomił to sobie, poczuł nieprzyjemne mrowienie w okolicach karku. Przed Polakami ostrzegano go już kilkakrotnie. Z początku puszczał te uwagi mimo uszu. Aż do teraz. Rumuni powinni bardziej liczyć na siebie, a nie na innych. Na takich przyjaźniach różnie się wychodzi. Radu był patriotą, niemniej niepozbawionym wad i słabości. Jego pierwsze małżeństwo skończyło się rozwodem. Drugie też nie należało do udanych. Co poradzi, że z wiekiem zaczęły mu się podobać coraz młodsze kobiety?

Ostatnią z nich przyuważył podczas wizytacji jednej ze szkół wojskowych. Co taka dziewczyna mogła robić w towarzystwie chamów i prostaków? Dobrze, że ją stamtąd zabrał i przygarnął pod swoje opiekuńcze skrzydła.

Na szczęście wiedziała, jak się odwdzięczyć i gdyby nie ta nieszczęsna wi-

zyta w motelu... Do dziś miał z tego powodu moralnego kaca. Filmik, jaki później został dostarczony na jego pocztę elektroniczną, na pewno nie został sfabrykowany. To był on z Sandą. Aż dziw, że w jego wieku stać go było na tak niewiarygodne popisy. Obejrzenia własnej gęby w takim arcydziele sztuki filmowej omal nie przepłacił zawałem. Zresztą, od razu sięgnął po pistolet. Opałmiękanie przyszło po chwili. Jak na razie nie chciano od niego niczego konkretnego. Mieli go w garści i to, zdaje się, im wystarczało. Układ był chory, ale nie potrafił go przerwać. Najrozsądniej byłoby postarać się o kolejny rozwód i już na stałe związać się z Sandą. Z drugiej zaś strony wiedział, że rozstanie z dotychczasową partnerką go zniszczy, i to pod wieloma względami. Zostanie goły i wesoły. Dokładnie tak jak w tym filmiku, który mógł sobie odtworzyć o dowolnej porze dnia i nocy.

Tak naprawdę Nicolai był tchórzem. Chciał przejść przez życie bezstresowo i dosyć późno zorientował się, że kariera wojskowa nie jest do tego najlepszą drogą. On, biedny chłopak z przedmieść Jass, mógł zaistnieć tylko w jeden sposób. Chwycił się tej szansy i został wyniesiony na sam szczyt. Zrezygnować z tego wszystkiego nie zamierzał, trwał więc w jakimś dziwnym zawieszaniu, nie wiedząc, co przyniosą najbliższe dni.

Sprawdził pocztę. Większość przychodzących e-maili to duperele. Przypomnienie o rachunkach i oferty zarobienia dużych pieniędzy. Po wstępnej selekcji kasował wszystko, jak leci. Tym razem się zdziwił, widząc wiadomość od Sandy. Może chce się z nim umówić? Co mu szkodzi. Mleko już się wylało.

– Matko Boska! – Może i nie był zbyt religijny, ale na widok tego, co ma zrobić, omal nie trafiła go apopleksja.

Do tej pory żył w mylnym przekonaniu, że nie grozi im najgorsze, a sytuacja, choć zła, w jakiś sposób się unormuje. Po przeczytaniu krótkiej informacji te nadzieje prysły. Został postawiony pod ścianą. Teraz już nie miał wyjścia. To znaczy wyjście istniało. Mógł zostać zapamiętany jako skończona menda i szuja albo też wznieść się na wyżyny i objawić jako mąż opatrnościowy, ten, który uratował kraj i poprowadził go ku świetlanej przyszłości.

Świadomość, jaki niewielki wpływ ma na własne życie, kompletnie go zlamala.

Szkoda, że nie zastrzelił się wcześniej.

\*\*\*

A pierdolić to wszystko.

Te cieniasy to kompletne gówno. Może Marlboro albo Camele? Nie przepadał za nimi, ale od biedy się nadawały. Najlepsze to francuskie Gauloisy. Jeden sztach i od razu kręciło się w głowie. Cóż za fantastyczne uczucie! Szkoda, że nigdzie nie można ich było dostać. Może Lucky Strike? Czy to nie dziwne, że Stany Zjednoczone ledwie dyszą, ale ze szlugami nie ma większego problemu?

W końcu zdecydował się na Pall Malle. Palił je już kiedyś i zachował o nich dobre wspomnienie. Przejechał kartą przez czytnik i poczekał, aż automat wypłuje odpowiedni towar.

Natychmiast zdarł celofan i drżącymi palcami rozpieczętował paczkę. Jeszcze ogień, i cyk! Zaciągnął się jak za starych, dobrych czasów i natychmiast się rozkaszał.

Kurwa mać, co jest? Odwykł. Dla organizmu to szok.

– Czego się gapisz? – warknął pod adresem jednego z ochroniarzy, który najwyraźniej chciał go grzmotnąć w plecy.

– Ja tylko...

– Sprawdź, co z Karlem.

– Tak jest.

Niektórych z tych kretynów należało wymienić. Kogo oni teraz przyjmują do wywiadu? Zdaje się, że kiedyś panowały wyższe standardy.

Zaciągnął się ponownie, tym razem już znacznie ostrożniej. O, tak jest dobrze. Na razie niczego więcej nie potrzebował.

Pora się stąd zwijać i przyjrzeć lepiej temu, co się działo na zewnątrz.

Stacja metra Unirii wychodziła wprost na bulwar pod tą samą nazwą. Wbrew ostrzeżeniom władz składy metra wciąż przywoziły do centrum kolej-

ne rzesze mieszkańców, zupełnie tak, jakby każdy z nich chciał na własne oczy zobaczyć miejsce niedawnego zamachu. To już nie były gromady znajomych, które parę godzin wcześniej chciały zmanifestować poparcie dla Stefana Stancu; to był jeden, potężny i wkurwiony niemiłosiernie tłum, który domagał się sprawiedliwości. Winnych masakry należało znaleźć i osądzić. Najlepiej od razu.

Zaczepki pod adresem policji przechodziły od słownej agresji po obrzucanie patroli bilonem czy wygrażanie pięściami.

Próby pochwylenia takich „żartownisiów” z reguły kończyły się na niczym. Delikwenci nikli w zbitej ludzkiej masie, która za nic w świecie nie chciała się przed policją rozstać. Mundurowych było zresztą za mało, aby spróbować bardziej radykalnych metod. Zwarte pododdziały do walk ulicznych ustawiono bliżej parlamentu. W razie niepokojów ich interwencja wydawała się więcej niż pewna.

Mężczyzna z papierosem przeszedł na drugą stronę ulicy, żeby lepiej przyjrzeć się co najmniej kilkudziesięciu działaczom opozycji z trójbarwnymi opaskami na ramionach. Ktoś tam przemawiał, lecz na pewno nie był to Stancu. Ten ukrywał się w mieszkaniu niedaleko bulwaru. Jak przyjdzie pora, to się go ustawi w odpowiednim miejscu i wtedy niech zacznie nawijać. Głos ma aksamitny, na pewno go wysłuchają. Potem się zobaczy. Jak nie nawali, zostanie kandydatem do fotela premiera. Pewnie sam Stancu nie spodziewał się takiej kariery. Od zera do bohatera – można powiedzieć. Niech ma, niech się napawa. Długo to na pewno nie potrwa. Obywatele tego pięknego kraju szybko się zorientują, kim w istocie jest Stefan Stancu.

Gwizdy i okrzyki od strony niedalekiego skweru zaczęły przybierać na sile. Zdaje się, że służby porządkowe zaliczyły kolejną nieudaną wpadkę i choć złapały bluzgającego na nich gnoja, tłum nie pozwolił odprowadzić go do radiowozu.

Zaczęły się poszturchiwania mundurowych, którym na widok zwartej masy protestujących puściły nerwy. Ten i ów dostał pałą po łbie i przysiadł na asfal-



cie, lecz reszta wcale nie zamierzała odpuścić. Jednemu z konwojentów podstawiono nogę; mężczyzna się zachwiał. Lekkie pchnięcie i w końcu stracił równowagę. Kopniak w głowę i koniec pieśni. Kolega pobitego chwycił za pistolet. Miał do tego pełne prawo, w końcu zostało zagrożone jego życie i zdrowie.

Ci stojący najbliżej rozpierzchli się na ten widok. Nikt nie chciał zaliczyć kulki, skoro nie zrobił nic złego. W pobliżu pozostało tylko paru najodważniejszych, albo i najgłupszych. Zależy, jak na to spojrzeć.

Palacz nie do końca potrafił zrozumieć takie zachowanie. Skąd ci ludzie się brali? To przecież nie członkowie ulicznych gangów, dla których przemoc była czymś normalnym. Niejednokrotnie to stateczni ojcowie rodzin, którym nagle odwaliła palma. Jeden na pięciu lubił sobie pogadać, a jeszcze inny znalazł się w środku zadymy całkiem przypadkowo. Przynajmniej jedno nie ulegało wątpliwości – tu chodziło o adrenalinę dostępną dla każdego. Żadne tam skoki spadochronowe, bungee, nurkowanie, ekstremalny zjazd na nartach. Czy dziadyga grożący policjantowi laską zdobyłby się na udział w rajdzie samochodowym? W normalnej sytuacji przeszedłby przez ulicę, nie wchodząc nikomu w paradę, i tylko w duchu obrzuciłby wszystkich przekleństwami, a tak do pewnego stopnia czuł się bezkarny. Tłum zapewniał anonimowość. Jeżeli się dało, należało z tego skorzystać. Taka okazja mogła już się nie powtórzyć.

Mundurowi też nie mieli łatwo. Obojętnie, co by o nich myśleć, to byli zwykli ludzie, owszem – wyszkoleni i przygotowani do działania, ale ich uposażenie nie było aż tak wysokie, by chcieli ryzykować więcej, niż wymagał od nich obowiązek i przełożeni.

Palacz zaciągnął się po raz ostatni. Na razie wystarczy. Przyjemności należało ograniczać, inaczej stają się nałogiem.

Nim ponownie zajmie się wielką polityką, musi dokończyć sprawę mniejszej wagi.

Kusz zaczął sypać. Co za porażka. Zamknąłby ryja, to nic by się nie stało, a tak pan Krzysztof nawarzył sobie piwa.



Jeżeli teraz nie podejmą odpowiednich kroków, Kusz narobi im wszystkim kłopotu.

Niedopałek poleciał w stronę kratki ściekowej, wpadając do wnętrza kanału. Nie pozostał po nim najmniejszy ślad. Tak się to powinno robić. Osobiście nie znosił poprawek. Zleci tę sprawę komuś z tych bardziej rozgarniętych. W końcu od tego zależało życie ich wszystkich.

\*\*\*

– Wkrótce pana wypiszemy.

– Naprawdę?

– No nie tak od razu, ale widać, że szybko wraca pan do zdrowia. – Lekarz złożył stetoskop, którym osłuchał Kusza, zaglądając kierowcy głębiej w oczy.

– A to co takiego?

Serce skoczyło Polakowi do gardła.

– O czym pan mówi?

– Nie jestem pewny... – Paluchy lekarza, niczym tłuste larwy, znalazły się tuż przy powiece pacjenta. – Proszę się nie ruszać.

Łatwo powiedzieć, gorzej wykonać. Ten facet robił na nim wyjątkowo antypatyczne wrażenie. Czy w całej tej placówce rumuńskiej służby zdrowia nie ma nikogo innego poza tym rzeźnikiem? Jak na wybitnego specjalistę, jego podejście do chorego dawało się określić jednym słowem – specyficzne. Zwykłe badanie wyglądało tak, jakby lekarz ze wszystkich sił starał się uśmiercić pacjenta. Tym razem Polak miał wrażenie, że straci oko.

– Szerzej.

– Już nie mogę! – Kusz wstrzymał oddech. Czym on przetaił gębę po goleniu? Domestosem?

Zapach wyciskał łzy, które spływały kierowcy po policzkach.

– Jeszcze.

– Litości!

– Ale z pana nerwowy człowiek. – Doktor Ivo Popescu był niemal pewien diagnozy. Na wszelki wypadek pobiorą krew do badania, ale to czysta formal-

ność. I tym razem nie ustrzegli się błędów.

Co zrobić, nikt nie jest bez wad. Uratowali kierowcy życie, niechcący zarażając go przy okazji żółtaczką. Białka już zaczynały nabierać tego chorobliwego odcienia.

– Dobrze się pan czuje?

– Tak.

– Poproszę siostrę Anę, to się panem zajmie.

– Proszę?

– Chciałem powiedzieć, że musimy wykonać jeszcze parę badań.

– Ach tak.

– A co pan myślał?

– Ja? Nic. Ja już nie myślę – powiedział Kusz, blady jak baranek. Na samo wspomnienie siostry Any kierowcy zrobiło się lżej na duszy.

Dzień, w którym opuści te mury, będzie straszny. Mocno się do dziewczyny przywiązał. Chyba z wzajemnością. Gdy przychodziła na dyżury...

– Człowieku, nie odpływaj mi tutaj.

– Przepraszam, trochę się zamyśliłem.

– Mnie to wyglądało na zapaść! – Dla lekarza Kusz stanowił zagadkę. W normalnej sytuacji człowiek się cieszy, gdy wraca do zdrowia, a ten wprost przeciwnie. Stres, owszem, był, zresztą kto go nie miał; wypadek, strzelanina, zazwyczaj ludzie nie doświadczają takich wrażeń, o ile w ogóle.

W jednym raczej się nie mylił: spotkanie z psychiatrą prawdopodobnie Kuszowi nie zaszkodzi.

Czy pomoże? To też nie było pewne. Przynajmniej nikt im nie zarzuci, że się nie starali.

– Ja jestem w stanie wiele zrozumieć – mruknął Popescu. – Naprawdę...

Nim dokończył, ktoś wsunął się do środka.

– Prosiłem, żeby nam nie przeszkadzać.

– Pan doktor siedzi tu już od dwudziestu minut.

Obejrzał się za siebie.

Tę dziewczynę widział już parę razy. Wystawała pod drzwiami izolatki przez wiele godzin, czasami sama, czasami w towarzystwie młodego człowieka, który zabawiał ją rozmową.

– Już kończę. – Popescu wstał i poklepał Kusza po ramieniu. – Pobierzemy krew do analizy i na dzisiaj kończymy. Proszę odpoczywać i niczym się nie martwić.

– Obiecuję. – Na ustach Polaka zagościł cierpiętniczy uśmiech. Widać było, że myślami błądzi przy zupełnie innych sprawach.

– I proszę się tak nie spinać.

– Ja się spinam?

– Nie wiem, skąd się to u pana bierze. Jest pan młody. Należy cieszyć się życiem, a za każdym razem, gdy tutaj wejde, pan wzdycha. Zakochał się pan? – Zdaje się, że walnął o jedno zdanie za dużo. Wzrok Kusza przepalił go niemal na wylot. Mężczyzna nie był już zrezygnowany, a wkurzony ponad ludzkie obrażenie.

– To... Ee, zawołałam siostrę Anę. – Popescu podrażował w stronę wyjścia.

– Uroczy, nie? – Lena, oparta o ścianę, zachowywała idealną obojętność.

– Co on tam wie.

– Pewnie. Stara pierdoła. Już dawno powinni go wywalić na zbity pysk.

– I mnie się tak wydaje.

Mogliby tak jeszcze długo, gdyby do środka nie zajrzał młody pielęgniarz. Nic nie powiedział, tylko wszedł i stanął tuż przy łóżku Kusza.

– Na siostrę Anę to on nie wygląda.

Biały fartuch spływał mężczyźnie do samych kostek, trochę upodabniając go do anioła. Tylko skrzydeł mu brakowało. No, chyba że je złożył i schował pod kitem. Tak pięknej twarzy Lena nie widziała nigdy wcześniej. To anioł, nie mężczyzna. Dla kogoś takiego praca w szpitalu musiała być istną mordęgą.

– Mówić nie potrafisz?

Pielęgniarz, odwrócony do niej bokiem, nagle zaatakował. I to nie Kusz był jego pierwszym celem, a właśnie ona. Instynktownie zablokowała kopnięcie

wymierzone w jej mostek. Lewe przedramię eksplodowało bólem. Pochyliła się w przód, starając się znaleźć wyjście z beznadziejnej sytuacji. To nie był ring, gdzie można się odbić od lin i szybkim zwodem zmylić przeciwnika.

Mężczyzna zaatakował ponownie, tym razem lewym prostym, trafiając ją w bok głowy z siłą kafaru. Dobrze, że stoczyła dotąd sporo amatorskich walk, w innym przypadku prawie na pewno zostałaaby ogłuszona.

To, że kolejne uderzenie przyjdzie z lewej, wiedziała na długo przed tym, nim zostało zadane. Szybki zwód wcale nie okazał się taki szybki i pięść zadająca cios ześlizgnęła się po jej głowie. Lena z trudem ustała na nogach. Jeśli nie zacznie myśleć, zginie. Zaczęła przesuwać lewą stopę w przód, gdy tuż przed oczami dostrzegła zbliżające się kolano. Przy takim ciosie uderzenie pięścią jest jak głaskanie. Przez moment miała wrażenie, że zemdleje. Na jej szczęście kopniak nie był precyzyjny. Została złapana za ramiona i ciśnięta w bok. Zdaje się, że Kusz zaczął piszczeć ze strachu, ale tego akurat nie była pewna.

Bolało ją całe ciało, a najbardziej głowa. Z rozbitego nosa kapiała krew, którą rozmazała sobie na policzku. Jeszcze jedno takie uderzenie i nic z niej nie zostanie. Ten typ był dużo lepszym fajterem od niej. Takiego lania nie sprawił jej nikt wcześniej.

Fakt, że znalazła się w środku pomieszczenia, miał przynajmniej jedną dobrą stronę – było tu odpowiednio dużo miejsca na ewentualne uniki.

Korzystając z okazji, poturlała się w stronę drzwi, byle dalej od zabójczego zasięgu nóg przeciwnika. Ten jakby stracił nią zainteresowanie. W sumie nie było się czemu dziwić, to Kusz grał tutaj pierwsze skrzypce.

Tak szybko, na ile pozwalały bolące ciało i warunki, w jakich się znalazła, dźwignęła się na kolana. O mało nie upadła, gdy przeniosła ciężar ciała na prawą nogę. Dobrze, że adrenalina zaczęła krążyć w jej żyłach, łagodząc nieco objawy stresu. Na sparingach nie raz słyszała, że potrafi być nieobliczalna. Jeżeli teraz nie wskrzesi w sobie tego zapału, zginie zupełnie bezsensownie, razem z tym pierdołowatym Polakiem.

Odwróciła głowę, zerkając w stronę napastnika i dostrzegając jego plecy. Na pewno trzymał coś w ręku. Nie zabije przecież kierowcy uderzeniem w krtań. A może?

Podcięcia zawsze wychodziły jej najlepiej. Nie zawahała się i tym razem uderzenie pod kolanem przyniosło zamierzony efekt. Anioł zagłady zachwiał się po raz pierwszy, odkąd wszedł do izolatki. Przed upadkiem uchroniło go oparcie się dłońmi o poręcz łóżka. Co tu kryć, miał drań farta.

Nim ponowiła atak, dostrzegła wykrzywioną wściekłością twarz przeciwnika. Już nie kojarzył się jej z aniołem, ale z demonem. Po pierwszych ciosach kompletnie ją zlekceważył. Drugi raz nie popełni takiego błędu. Dalszego okładania się pięściami i nogami nie będzie, tego była pewna.

Nóż, który pojawił się w jej w polu widzenia, posiadał długie, wąskie ostrze. To był raczej sztylet przystosowany bardziej do pchnięć niż cięć, niemniej margines jej bezpieczeństwa skurczył się jeszcze bardziej.

Niedoszły sanitariusz wziął zamach. A więc o to chodziło; żadnej tam gry wstępnej, tylko cios prosto w serce.

Dźwięk otwieranych drzwi zaskoczył ich wszystkich. Lena ani drgnęła. To na pewno Robert, bo nikogo innego się nie spodziewała.

Ruch ramienia napastnika był tak szybki, że ledwie zdążyła wykonać unik, odchylając się odrobinę w lewo, lecz okazało się, że ostrze nie zostało skierowane przeciwko niej. Wchodząca do izolatki pielęgniarka zamarła jak słup soli. Zimna stal wbiła się prosto w przeponę sanitariuszki, wyciskając resztki powietrza z jej płuc.

Pacjent już nie jęczał, ale wył jak opętany. Zdaje się, że nawet chciał się rzucić na napastnika, ale przecenił swoje siły.

Lena odbiła się teraz z obu nóg, przechodząc do ataku. Dystans pomiędzy nią a mordercą skrócił się w pół sekundy do niecałego metra. Nie chodziło tu o jakieś skomplikowane manewry. Wystarczy, jak dosięgnie paznokciami jego twarzy. Najważniejsze to wepchnąć te błękitne oczęta w głąb czaszki albo chociaż wetknąć mu kciuk w usta i spróbować je rozerwać. Z tym, co prawda,

zawsze wiązało się ryzyko utraty palca, ale przecież niczego w tym życiu nie dostawało się za darmo.

Jedno krótkie machnięcie mężczyzny i pofrunęła w bok. Uczynił to z taką łatwością, jakby opędzał się od natrętnej muchy.

Tym razem zamortyzowała uderzenie o podłogę, upadając na kolana i przedramiona. Jej radość z tego faktu trwała bardzo krótko – chwyt za gardło omal nie zmiażdżył Lenie tchawicy.

Spróbowała się wyrwać, lecz nic z tego nie wyszło. Napastnik trzymał ją za mocno. Za parę sekund dziewczynie zacznie brakować powietrza.

Czy jej życie ma się skończyć w ten sposób? Niczego jeszcze nie osiągnęła. Dosłownie za moment ciało i dusza kobiety zostaną rozdzielone i pozostanie po niej jedynie wspomnienie.

W odruchu desperacji złapała za nogę od łóżka, na którym leżał Kusz. To długo nie potrwa. Przed oczami Leny pojawiły się delikatne mroczki. Spróbowała wciągnąć do płuc chociaż jeden haust powietrza, ale nic z tego nie wyszło. Chwyty dłużej nie utrzyma, a szansa, że ktoś pośpieszy jej z pomocą, była niewielka.

Emaliowana na biało rączka metalowego pojemnika przypomniała dziewczynie, co się w nim znajduje. Jeden szybki ruch i zawartość nocnika trafiła napastnika prosto w twarz. Nie tego się spodziewał. Chwyt momentalnie osłabł, a Lena ponownie mogła oddychać. Co z tego, że gęsta, cuchnąca maź swobodnie spłynęła po jej karku i włosach. Żyła i tylko to się liczyło.

Zdaje się, że zabójca dotarł do kresu własnych możliwości. Kaszlał i dławiał się równocześnie. Dla uszu Leny był to najpiękniejszy koncert. Na wszelki wypadek wymierzyła mężczyźnie uderzenie łokciem, mające w teorii pozbawić go przytomności.

Teraz to on upadł na stare linoleum. Niby taki twardziel, a wciąż nie potrafił powstrzymać spazmatycznego kaszlu. Zaraz wypluje płuca na podłogę, obezwładniony przez siuski. O takim przypadku jeszcze nie słyszała.

Używając łóżka jako podpórki, stanęła wreszcie na nogi, rozglądając się

dookoła. Widok był przerażający. Kusz w końcu przestał krzyczeć; siedział tylko i gapił się szeroko otwartymi oczami na leżącą w progu martwą pielęgniarkę. Dziewczynie nie mógł już pomóc nawet najlepszy lekarz.

Morderca powoli dochodził do siebie. Jego twarz zmieniła się w maskę bestii. Było widać, że nie podkuli ogona i nie ucieknie. Był jak automat. Opór Leny musiał go zaskoczyć, ale w końcu dopnie swego.

Dziewczyna zrobiła dwa kroki do tyłu. W tym szpitalu musieli przebywać sami głusi i niemi, bo w dalszym ciągu nikt nie śpieszył im z pomocą. Gdzie jest, do ciężkiej cholery, Robert? Wyszedł do bufetu dziesięć minut temu i wciąż nie było go widać.

Napastnik w końcu ruszył w jej kierunku. Postanowiła, że spróbuje dać z siebie wszystko. Nie pozwoli zaszlachtować się jak prosię, chociaż większych nadziei na ocalenie nie miała.

Przyjęła klasyczną bokerską postawę, czym tylko rozśmieszyła mordercę. Istniała jedna szansa na tysiąc, że celnym ciosem rozwali tamtemu nos. Co dalej, to się zobaczy.

Kątem oka dostrzegła ludzką sylwetkę, która pojawiła się w prześwicie drzwi. Jeżeli to pomocnik zabójcy, to nie śpieszył się z interwencją.

Zamarła, widząc pistolet skierowany w swoją stronę. W końcu padł strzał, a ona odruchowo zamknęła oczy. Szkoda, że nie obroniła Kusza. Jako ochroniarz zawałiła sprawę. A niech to szlag.

\*\*\*

– Plazma, kurwa, myśl, a dopiero później strzelaj! – Wrzask Cyrusa Parkera odbił się echem od ścian. – Coś ty narobił, kretynie? Jest martwy jak chuj! I kto go teraz przesłucha? Słyszysz mnie?! Ja pierdolę, z kim ja muszę pracować?! Sami pojebańcy i ani jednego normalnego!

– Miałem wrażenie...

– Co miałeś?

– Wrażenie...

– Co mnie obchodzi jakieś twoje wrażenie? Taki był rozkaz?

– Nie.

– Sam widzisz. Bohater się znalazł! – Sierżant złapał za ubranie sztywniaka, wyciągając go z wąskiego przejścia, a przy okazji obracając ciało na plecy. – Czy ktoś widział, żeby tak spaprać robotę? Mieliśmy go na widelcu! Jeżeli już, to należało strzelać w dupę, ale ty musiałeś się popisać!

– Przepraszam.

– Idź, bo jak cię...

– Co się tu dzieje? – Kapitan Robert Galiński nie bardzo wierzył w to, co widzi. Wyskoczył tylko na chwilę, a jak wrócił, od razu dwa trupy. Boże, żeby tylko Lenie nic się nie stało.

Ponieważ obie dłonie miał zajęte, pierwszy z tekturowych kubków wcisnął ogolonemu na łyso wielkoludowi z pistoletem w dłoni, a drugi facetowi, który przyglądał się ciału w białym kitlu. Obaj gadali po polsku, więc raczej nie byli wrogami. Zaraz się nimi zajmie, ale najpierw sprawdzi, co z dziewczyną.

– Wszystko gra?

– Tak.

Twarz Eleny nie wyglądała najlepiej. Pod lewym okiem będzie miała fioletowego sińca, którego nie ukryje najstarszy makijaż. Nos spuchnięty. Obrzęk na dolnej wardze i otarcia na czole nic a nic nie zepsuły jej urody. Była taka piękna... Najchętniej... Cholera, musi się opanować! Ten brak profesjonalizmu kiedyś go zgubi.

– Panie Kusz, żyje pan?

Kierowca wyglądał jak ktoś, na kim wykonano wiwisekcję.

– Dobrze się pan czuje?

Brak jakiegokolwiek reakcji mocno zaniepokoił kapitana.

– Niech ktoś zawoła lekarza! – To dziwne, że do tej pory nie zjawił się nikt z personelu szpitala. – Panowie to właściwie kim są?

– Pułkownik Osmecki miał nosa, kierując nas tutaj.

– Osmecki?

– A tak... – Parker wyjął z kieszeni iPhone'a. – Plazma, bierz tego gnoja za



łeb. Strzelimy parę fotek.

– Nic nie rozumiem.

– Proszę się nie martwić. Ja mam tak od dawna.

– Może się pan przedstawić?

– Starszy sierżant Cyrus Parker, dwunas... Właściwie to ostatnio bez stałego przydziału. Ten pustak tutaj to Ernest Wolski.

– Domyślam się, że panowie mają pomóc w ochronie naszego świadka?

– To bardziej skomplikowane. – Parker zaczął robić zdjęcia. – Dawaj go do światła, teraz z profilu, z profilu mówię. Nie pchaj całej mordy w obiektyw.

Ivo Popescu był jednym z tych, którzy na odgłos strzałów na korytarzu, w pierwszym odruchu, chcieli się schować we własnym gabinecie lub też paść plackiem na podłogę. W końcu nie zdecydował się ani na jedno, ani na drugie. Teraz, gdy już się trochę uspokoiło, wyrzął zza rogu korytarza, gotów w każdej chwili wziąć nogi za pas.

Pierwsze, co zobaczył, to nogi siostry Any, której ciała do tej pory nie usunięto z przejścia. Widok ten mocno nim wstrząsnął. Już znacznie śmieiej pośpieszył z pierwszą pomocą.

W izolatce parę osób prowadziło ożywioną rozmowę. Popescu nie rozumiał z niej ani słowa. Diabli nadali tego Polaka. Przez niego same kłopoty.

Przy drzwiach pojawiło się kilka innych osób. Z paru kobiecych gardeł wyrwał się zduszony szloch.

– A to się narobiło! – Lekarza sparaliżował strach.

I kto teraz posprząta ten bałagan?

\*\*\*

Teoria Halickiego była prosta jak drut – przyzwoitym ludziom nie zdarzają się dobre rzeczy. Normalny człowiek nigdy nie wygra w totka, nie zostanie prezesem firmy lub banku, parlamentarzystą czy gwiazdą mediów. Normalny człowiek może co najwyżej dostać wpierdol na rogu ulicy, złamać nogę, gdy będzie wynosił śmieci, czy też zostać potrącony na pasach przez rozpędzony

samochód prowadzony przez pijanego kierowcę.

Najlepszym przykładem takiego człowieka był Kusz. Niby żył, niby oddychał, a tak naprawdę jego stan niewiele różnił się od śmierci.

– Wyjdzie z tego? – Halicki patrzył, jak Ivo Popescu delikatnie klepie pacjenta po policzkach.

Z takimi metodami daleko nie zajadą.

– A kto to może wiedzieć? Obrażeń fizycznych nie odniósł.

– Co pan radzi?

– Wezwać popa.

– Księża chyba. Tu podobno jest katolicka parafia?

– Może i jest. Ja tam nie wiem. – Lekarz podsunął pod nos kierowcy niewielką fiolkę, lecz ten tylko odwrócił głowę w bok, zobojętniały na wszystko, co się działo dookoła niego.

– Sami panowie widzą.

– Cholerny świat! – Pułkownik żandarmerii starał się wprowadzać jak najmniej zamieszania.

Oprócz lekarza w środku przebywał jeszcze rumuński komisarz. Reszta towarzystwa, w tym pełen poczucia winy Galiński, czekała na zewnątrz. Lenę odstawiono do izby przyjęć. Halicki mocno by się zdziwił, gdyby z tak opuchniętą twarzą chciała się komuś pokazać na oczy.

– Przenosimy go. Tu nie może zostać.

Janco ostrożnie skinął głową.

– Panowie, on musi być pod dobrą opieką. – Pomysł nie przypadł Popescu do gustu.

– Ja wiem, że w niektórych przypadkach medycyna bywa bezradna, ale – na litość boską – wy go chcecie zamknąć w zimnej norze.

– Dlaczego zaraz zimnej? Pan nas najwyraźniej nie docenia.

Nawet Florin z ciekawością spojrział na Halickiego.

– Chodź, musimy pogadać.

Galiński i dwóch dodatkowych ludzi od Osmeckiego spojrzeli na nich

z ciekawością.

– Co robimy? – W oczach kapitana dawało się dostrzec niezdrowe podniecenie.

– Kusz nie może tu zostać. Przy następnym ataku możemy nie mieć tyle szczęścia.

– Nawaliłem?

– Nie chodzi o ciebie. – Nie chciał dołować Roberta, ale tak, nawalił. Zamiast myśleć o konkretach, zaczął przejawiać niezdrowe zainteresowanie zupełnie innymi sprawami. Powinien to przewidzieć. Dobrze, że chociaż Lena stanęła na wysokości zadania. Należała się jej za to nagroda. Niech tam Osmecki wyskrobie coś z portfela. Budżet od tego nie pęknie.

– Rozumiem, że zostaliście przydzieleni do mnie na stałe?

Parker i Wolski to zupełnie inna para kaloszy. Młody to jeszcze nic, zwykły wycieruch, ale ten starszy napawa niepokojem. Niby miły i spokojny, uśmiecha się, przytakuje, ale jak sytuacja tego wymaga, bez mrugnięcia okiem utnie głowę, komu trzeba. Kanalia, normalna kanalia, zwyrodnialec i bandyta, tyle że stojący po ich stronie. Skąd go Banach wytrzasnął?

– Niezupełnie – odpowiedział ten niższy i bardziej żyłasty.

– Nie?

– Zgodnie z rozkazami...

– Cofam je. Od tej pory przechodzicie pod moją komendę.

– Panie pułkowniku, tak nie można!

– Warszawa potwierdzi moją decyzję.

– Kurwa mać!

– Co to ma znaczyć? – W głowie Halickiego odezwały się ostrzejsze tony.

– Nic.

– Co nic?

– Nic, panie pułkowniku.

– Tak już lepiej.

Po Parkerze było widać, że jest mocno wkurzony. Ten drugi jak do tej pory

nie odezwał się ani słowem.

– Jest was więcej?

– Mogę nie odpowiadać?

– Wasza postawa, sierżancie, jest dla mnie zupełnie niezrozumiała.

– Jestem...

– Gównu mnie obchodzi, kim jesteś! To armia, a wy – jako zawodowy podoficer – wykonujecie rozkazy, czy wam się to podoba, czy nie! – Halickiego omal nie zatkało ze złości. – Zawsze istnieje możliwość przejścia do rezerwy.

Tym razem to Parker zacisnął usta w jedną wąską kreskę.

A to sukinsyn! Powoli zaczynał się domyślać prawdy. To jedna z tych kanałii, co to podniosła rękę na przenajświętszą... W takim razie Banach i spółka okazali się większymi łajdakami, niż przypuszczał, przygarniając tych zwyrodnialców pod swoje opiekuńcze skrzydła.

– Więc jak?

Parker wciąż nie odpowiadał. Jak tylko zasłonił się rozkazami, bez dwóch zdań zaliczył pięścią w mordę.

– Nie lubię się powtarzać.

– Tak?

– Ilu?

– To tajne.

– Już nie.

– Pan ma swoje rozkazy, a ja swoje. Wywieranie na mnie nacisku niczego tu nie zmieni. Już i tak powiedziałem za dużo.

– A wy, szeregowy Wolski, co się tak patrzycie?

Ernestowi nie drgnął nawet mięsień na policzku.

– Ja z wami oszaleję.

– Pan się tak nie denerwuje, pułkowniku. – Cyrus zupełnie niezobowiązująco założył ręce przed sobą.

– Bo co?

- Nerwów szkoda.
- Lepiej, jak się zastanowimy, co zrobić z Kuszem.
- Ja bym go do ambasady...
- Jędryczko dostanie szału – niespodziewanie odezwał się Galiński.
- Nie będziemy się nią przejmować.
- Łatwo powiedzieć. Pięć minut w jej towarzystwie może doprowadzić człowieka do rozpaczy.
- Przesadzasz.
- Wiem, co mówię.
- Jeżeli nie ambasada, to co nam zostaje? – pytanie Halickiego zawisło w powietrzu.

\*\*\*

Jak Rolf mógł spieprzyć tak prostą sprawę? Był najlepszy. A przynajmniej takim się wydawał. Prawdziwy mistrz, psia jego mać! Kretyn, a nie mistrz! Kretyn, co to ćwiczył jakieś chińskie przewracanki. A jak się lubił tym popisować! Na sali gimnastycznej całkiem przyjemnie się to oglądało, takie pierdolone akrobacje z cyrku dla ubogich.

Znając tego głaba, pewnie tam poszedł, zaczął fikać nogami i w końcu ktoś mu przypierdolił.

Doigrał się, wreszcie się doigrał, cholerny elegancik! Fakt, że mając prezencję amanta, wykonywał też i inne zadania. Baby na niego leciały, tak same z siebie, on praktycznie nie musiał nic robić, stał tylko i się uśmiechał, a im miękły kolana. Urok osobisty to jedno, ale to nie było normalne.

Koledzy najpierw się z niego śmiali, później mu zazdrościli, a po niecałym kwadransie chcieli koledze wsadzić głowę do sedesu.

Osobiście widział wiele cudów, ale takich to nie. Na Rolfa leciały wszystkie, obojętnie, czy miały lat dziesięć, czy dziewięćdziesiąt. Działał na nie jak magnez. Pewnie emanował feromonami, bo to jedyne racjonalne wytłumaczenie. Na dodatek nieźle wyglądał. Nie jemu oceniać męską urodę, ale coś w tym musiało być. Zresztą, to już nieważne.

Sięgnął po kolejnego szluga. To już piąty w ciągu trzech minut. Zaraz pośle kogoś po kolejną paczkę lub sam wyskoczy na miasto, inaczej nie wytrzyma do rana.

Rolfa, co prawda, już nie ma, niemniej pozostawił po sobie ciało. Rumunów nie podejrzewał o szczegółowe śledztwo, ale Polacy na pewno narobią szumu.

Jak się nazywał ten oficer, który nadzorował śledztwo? Bodaj Halicki. Niebezpieczny człowiek i doświadczony śledczy, pupil Banacha. Podobno jest jak bulterier – jak już złapie zębami, nie popuści. Może to właśnie on rozwalił Rolfa? Albo ten jego przydupas, kapitanek, takie na pozór kompletne zero. Chyba go jednak nie doceniał.

Zamiast myśleć o nadciągającej rewolucji, wciąż nie potrafił rozwiązać w miarę prostego problemu. Zamiast jednego Rolfa należało wysłać tam całą sekcję. W końcu dysponował odpowiednimi możliwościami. Ostatecznie, w razie potrzeby mężczyzna mógł zamienić cały szpital w stertę gruzu. Ta myśl sprawiła, że przystanął jak wryty. Pomysł nie był zły. Ustawić ciężarówkę z toną albo dwiema tonami materiałów wybuchowych pod oknem Kusza i sru... Widział, jakie skutki przyniosła detonacja pięćdziesięciu kilogramów. Przy eksplozji tony powstanie tam parometryowy krater, a szlag trafi nie tylko Kusza, ale również Halickiego, kapitana i tego Rumuna Janco. Sprzątnie wszystkich za jednym zamachem i pozbędzie się kłopotu.

- Karl, pozwól tu na chwilę.
- Tak, szefie?
- Skombinuj ciężarówkę.
- Dużą?
- Największą, jaką ci się uda znaleźć.

\*\*\*

– Panowie, ja się nie zgadzam. – Doktor Ivo Popescu stanął w rozkroku, blokując im wejście do izolatki. – Odpowiadam za pacjenta. Jeżeli dozna kolejnych obrażeń, może tego nie przeżyć.

- On już wygląda jak trup – powiedział cicho Halicki.
- Właśnie.
- Mała przejażdżka na pewno mu nie zaszkodzi.
- Na takie postępowanie zgody wyrazić nie mogę.
- Florin, weź go trzepnij, bo mnie jakoś nie wypada.

Komisarz tylko parsknął. Szarpanina z lekarzem, który otoczył się żeńskim personelem, jakoś nie uchodziła. To należało załatwić w inny sposób, polubownie i bez denerwowania wszystkich zainteresowanych.

– Panie doktorze...

– Minister już do nas dzwonił. Jego zainteresowanie jest całkiem zrozumiałe. Był przerażony tym, co ode mnie usłyszał. Wiem, że będzie interweniował.

– Gdzie?

– U pańskich przełożonych. Pierwszego dnia nie można się było precyzyjnie korytarzem, tyłu was tu było. A potem co?

– Okoliczności wymusiły pewne zmiany – bąknął zażenowany Janco.

– O konsekwencjach nie chcę nawet wspominać. Ta biedna dziewczyna, pan ją widział?

– Jakoś nie miałem okazji.

– Położyliśmy ją na chirurgii szczękowo-twarzowej, tam na razie jest jej miejsce.

Brwi Florina powędrowały do góry.

– Proszę tak nie wytrzeszczać oczu, jej obecny stan obciąża również pana.

– Jest mi niezmiernie przykro.

– Przykro to się dopiero panu robi! – Popescu wycelował grubym paluchem w pierś policjanta. – Siostrę Anę lubiliśmy wszyscy. Czy pan wie, że ona dopiero co ukończyła szkołę? Pewnie nie. Przecież to dla was kompletnie bez znaczenia! Mogła mieć świat u stóp, a jak skończyła?

– To nie jest moja wina.

– A czyja, do ciężkiej cholery?!

– Pewne procedury zostały złamane.

– O czym ty mówisz, człowieku?! Kogo obchodzą jakieś tam procedury? Tym śmieciem, którego załatwiliście, nikt się nie przejmie, ale siostry Dinu nie zapomną wam nigdy!

– Pan był do niej mocno przywiązany...

– Nie tylko ja.

– Ciekawe.

Rozmowa niebezpiecznie zaczęła zmierzać w niewłaściwą dla Popescu stronę.

– Właściwie, kim są ci ludzie? – Lekarz wskazał na Parkera i Wolskiego, którzy na wszelki wypadek ustawili się trochę z boku.

– Nie za dużo chce pan wiedzieć?

– Mam prawo.

– Do czego? – Do dyskusji ponownie włączył się Halicki.

– Broń na terenie szpitala jest niedozwolona. Złożę oficjalny protest i ktoś się będzie musiał ostro tłumaczyć.

– Dawno nie słyszałem większego idiotyzmu.

– Co proszę?! – Wydawało się, że Popescu niedługo pęknie z wściekłości.

– Wyraziłem się niejasno?

– Usłyszałem słowo „idiotyzm”.

– Od siebie dodam jeszcze...

– Piotrze, daj już spokój. – Janco złapał Polaka za rękaw, obawiając się wybuchu międzynarodowego skandalu. Warszawa i tak nie miała ostatnio najlepszej prasy.

– Przynajmniej pan wykazuje się zdrowym rozsądkiem. – Popescu nie krył zadowolenia.

– Czyżby?

– Dziś przez cały dzień przywożą nam rannych. Już brakuje krwi i osocza. Jeszcze jeden taki zamach i ludzie zaczną nam umierać na korytarzach!

– Właściwie to dlaczego pan się nimi nie zajmuje?



– Skończyłem dyżur.

– To proszę iść do domu – powiedział Florin najłagodniej, jak potrafił.

– Pan nie ma prawa... To jest skandal! Ja się poskarżę!

Janco zbliżył się do lekarza o kolejny krok. Popescu to też był kawał chłopca, ale przy komisarzy wydawał się ociężały nie tylko fizycznie.

– Gdyby każdy leciał na skargę z czymś takim...

– Proszę uważać, bo mogę to uznać za groźbę!

– Daj pan spokój.

– Ja sobie nie pozwolę na ingerencję w moje prywatne sprawy! – Tym razem paluch prawej ręki Popescu zaczął latać z góry na dół. – To jest karygodne naruszenie zasad współżycia społecznego!

– W pana przypadku to chyba gruba przesada.

– Ja już teraz złożę na pana zażalenie do komendanta głównego! – Głos Popescu grzmiał po całym korytarzu.

– Pan przodem.

– Co?

– Z tą skargą to najlepiej od razu, później można zapomnieć. – Janco zaczął napierać brzuchem na lekarza.

– Skandal!

– Nie pierwszy w tym kraju i nie ostatni.

Popescu, nie znajdując słów pogardy, ruszył w stronę własnego gabinetu. Florin podążył o krok za nim.

– Zawiadomię prasę!

– I o co tyle szumu?

– Jeszcze się pan pyta?

– Jak już mam zastać obsmarowany, to chciałbym wiedzieć za co!

– Za całokształt, kretynie! – wycodził lekarz przez zaciśnięte zęby.

– Tego kretyna mógł pan sobie darować.

Zbiegli po schodach. Pokój Popescu znajdował się tuż obok. Szczękniętym otwierany zamek i doktor wpadł do środka, od razu podążając w stronę biurka.

– Jeszcze dziś proszę się spodziewać zawieszenia w czynnościach służbowych.

– Nie ma sprawy. – Janco sięgnął po klucz, który Popescu nieopatrznie zostawił w drzwiach.

– Co pan wyprawia?

– Nic. – Florin mrugnął prawym okiem i wyszedł z gabinetu.

– To nie jest śmieszne. – Popescu rzucił słuchawkę i popędził w ślad za policjantem, lecz ten był szybszy. Jeden ruch i zapadka została przekreślona.

– Otwieraj, chamie!

– Czy komuś z pana pozycją wypada tak mówić?

Florin już nie czekał na odpowiedź. Pokonanie trasy do izolatki to najwyższej chwila.

– Co zrobiłeś z tym ćwikiem? – zapytał Halicki, zezując w kierunku schodów.

– Odpoczywa.

– Chyba go nie... – Pułkownik znacząco popatrzył na komisarza.

– Za kogo mnie masz? – Oburzenie Florina wydawało się mocno naciągane. – Co tak stoicie? – ponaglił całą resztę. – Bierzemy Kusza.

– Ale dokąd?

– Znam dobrą metę.

– Gdzie?

– U mnie w domu.

\*\*\*

– Panie dyrektorze, proszę mi tego nie robić.

– Mianowicie?

– Pan przecież doskonale wie, o co chodzi.

– Nie wiem, proszę mnie oświecić. – Fotel Oskara Borzęckiego zrobił się ostatnio jakiś ciasny. Do tej pory wszystko grało. Mebel to mebel, dopiero od niedawna zaczęły się z nim kłopoty. Siedzisko było twarde, oparcie gniotło w plecy, a podłokietniki chwiały się na wszystkie strony i za nic w świecie nie dawało się ich dokręcić. Wywali grata i kupi sobie nowy. To w końcu tylko biurowe krzesło.

– Panie dyrektorze, odnoszę wrażenie, że mnie pan w ogóle nie słucha.

– Panie Michalak, ja mam podzielną uwagę, pan przecież o tym wie.

Docenta Marka Michalaka rozbawiła uwaga przełożonego.

– Ze swej strony pragnę zapewnić, że dopełnię wszelkich starań...

– Panie kolego, z tego, co ja tutaj widzę... – Borzęcki w końcu skoncentrował się na rozmowie. – No tak, czy ta ilość mocy, która jest potrzebna do przeprowadzenia eksperymentu, nie jest niedoszacowana? Pod Warszawą, jak pan wie, nie ma jeszcze elektrowni jądrowej i wszystko wskazuje na to, że długo jej mieć nie będziemy.

– Ja dzielam pańskie obawy i je rozumiem.

– Nic pan nie rozumie. Jeśli dojdzie do awarii, jej skutki dla gospodarki narodowej mogą być katastrofalne.

– Sprawdziłem dane wyjściowe trzy razy i mogę zagwarantować, że istnieje spory margines bezpieczeństwa. Jeżeli chcemy zrobić kolejny krok do przodu, to bez tego ani rusz.

– Ja pana doskonale rozumiem i całym sercem jestem z panem, ale z powodu mnożących się incydentów władze są na nas szczególnie cięte. – Dyrektor Instytutu Wysokich Technologii zmienił pozycję, opierając łokcie o blat biurka.

– Do tej pory nie odnotowaliśmy ani jednego wypadku śmiertelnego.

– Słusznie pan zauważył: do tej pory – powiedział z przekąsem Oskar.

– To jak będzie?

– Proszę na mnie nie naciskać. Muszę się zastanowić. – Borzęcki wstał i podszedł do okna.

– Tu się nie ma nad czym zastanawiać.

– Na razie to pan jest moim podwładnym, a ja pańskim przełożonym. Czy jest może coś, o czym nie wiem?

Mechanik skulił się na swoim miejscu. Udawał potulnego, ale tak naprawdę potrafił zaleźć mocno za skórę. Oczywiście, jako wysoce cenionemu specjalistcie, wiele uchybień uchodziło mu płazem, lecz tym razem, jeśli spieszy sprawę, może nie być tak różowo. Obliczenia obliczeniami, niemniej, jak wiedział z własnego doświadczenia, różnie z tym bywało.

Inna sprawa, że instytut nie nadawał się do tego typu eksperymentów. To, że powstał właśnie na warszawskim Bemowie, to wypadkowa paru czynników. Kadra musiała gdzieś mieszkać, a przeniesienie kilkuset osób w odosobnione miejsce trochę nie przystawało do nowych okoliczności. Kraj się rozwijał, jaki był więc sens wywozić pracowników na odludzie, odcinając ich od wszelkich rozrywek i udogodnień współczesnego życia? To już nie czasy zimnej wojny. Warszawa powoli stawała się jednym z centrów politycznych i finansowych świata. Wielu wciąż nie mogło w to uwierzyć. Przecież inni zawsze byli od nas lepsi. I gdyby nie kilka w porę podjętych decyzji, zostałyby tak na zawsze.

Nie kryjąc się z tym wcale, Borzęcki spojrział na zegarek, poprawiając przy okazji mankiety koszuli. Ta rozmowa trwała stanowczo zbyt długo i nic nie wskazywało na to, że Michalak w końcu zbierze się do wyjścia.

– Świetnie pan wygląda, panie dyrektorze.

Na słowa Michalaka Oskar omal nie udławił się własną śliną.

– Co pan powiedział?

– Przecież widzę.

– Niby co?

– Odmłodził pan, i w ogóle.

– Te tanie pochlebstwa w niczym panu nie pomogą.

– Mówię szczerze.

– Proszę nie wygadywać głupstw. – Borzęcki zagryzł wargi aż do bólu. – Panu się kompletnie w głowie pomieszało, a takie uwagi proszę pozostawić dla siebie.

– Ja rozumiem, że pan dyrektor nie lubi tanich pochlebstw, powiedzmy szczerze – tych nikt nie lubi, ale ja tak od serca. – Docent uniósł do góry obie pięści ze schowanymi do środka kciukami.

– No, tego już za wiele!

– Jesteśmy tylko ludźmi. – Michalak nie wydawał się nic a nic speszony rozmową.

– Jeżeli pan natychmiast nie opuści mojego gabinetu, będę zmuszony wezwać ochronę.

– Jak mus, to mus. – Docent wstał, nie przestając się przy tym dwuznacznie uśmiechać. – To w końcu jak będzie, bo chciałbym wiedzieć?

– Panie Michalak, niech pan działa, tylko – na litość boską – ostrożnie.

– Pan mnie zna.

– Właśnie dlatego.

– Zobaczymy się za parę godzin.

– Czy to aż takie pilne? Mamy osiemnastą. Czy to może poczekać?

– Ale na co?

– No nie wiem.

– Po dwudziestej drugiej zapotrzebowanie na energię elektryczną spada o sześćdziesiąt procent, to nam daje duży, bezpieczny...

– Już pan o tym wspominał.

– Dobrze, ja już nic nie mówię. Jutro rano będzie tu wszystko latać.

– Oby nie.

– Antymateria, panie dyrektorze, to przyszłość.

– Widzę to nieco inaczej.

– Pierwsze próby były, sam pan wie, obiecujące.

– Dobrze, ale pan bierze na siebie całą odpowiedzialność. Ja w razie cze-

go umyłam ręce i nie chcę mieć z tym nic wspólnego. – Borzęcki całkiem poważnie obawiał się katastrofy. Zazwyczaj takie eksperymenty nadzorował osobiście, ale dziś niestety nie miał do tego głowy.

– Dziękuję.

– Proszę się nie cieszyć na wyrost.

Michalak wypadł z gabinetu i od razu pośpieszył w kierunku skrzydła gmachu, w którym pracował. Nim wystartują, należy dopiąć wszystko na ostatni guzik.

Niech się bawią tymi swoimi zabawkami. Borzęcki pod tym względem był bardzo wyrozumiały, ale ostatnio jakoś nie miał do tego głowy.

Ponownie usiadł przy biurku, sprawdzając, czy nic nie uległo zmianie. Ramka okazała się pusta tak jak wcześniej. Może należało pomyśleć o czymś innym? To było prymitywne. Stać go na więcej. Koniecznie musi o tym pomyśleć, tylko nie dzisiaj.

Dobrze. Na niego pora. Na wszelki wypadek wrzucił do ust miętowego taca i natychmiast go rozgryzł. Świeżość omal nie zmroziła Borzęckiego do szpiku kości, aż ciarki przeszły mu po plecach.

Wystarczy tych pieszczot, trzeba przejść do konkretów.

Wstał, idiotycznie uśmiechając się sam do siebie. Do sekretariatu było tylko parę kroków.

– Gotowa?

Zdaje się, że tak naprawdę nigdy nie poznał swojej sekretarki, uważając ją za... hmm... O tym, jak bardzo się pomylił, przekona się dopiero teraz.

Współpracowali razem od lat, a mimo to wciąż stanowiła dla niego zagadkę. Zdaje się, że była rozwódką, ale pewności nie miał. On wolny, ona wolna, czego więcej człowiekowi potrzeba? A że w firmie wezmą ich na języki, to co z tego? Są dorośli.

Dla Borzęckiego to jak powrót do czasów, gdy chodził do liceum czy na studia. Od tamtej pory minęło... Chryste Panie, to przerażające, prawie czterdzieści lat! A kiedyś sam twierdził, że życie kończy się po trzydziestce. Teraz

zdał sobie sprawę z tego, że jest idiotą; co zrobić, nikt nie jest doskonały.

– Już myślałam, że Michalak nigdy od ciebie nie wyjdzie. – Marzena Cisowska wzrostem dorównywała Borzęckiemu, a w butach na obcasach była nawet ciut od niego wyższa.

– Gadał i gadał. – Borzęcki sięgnął do klamki, przepuszczając sekretarkę przodem. – Zaplanowali eksperyment. Ciekaw jestem, co z tego wyjdzie.

– To dlatego on i cały zespół zostają na noc?

– Byle tylko nie puścili instytutu z dymem.

Samochód stał na dole. Było stosunkowo wcześnie, więc na koncert do filharmonii zdążą bez problemu. Później kolacyjka, a co przyniosą kolejne godziny, to się dopiero zobaczy.

– Już prosiłem naszego szefa ochrony, aby miał na nich oko.

Przez kilka następnych minut paplali o mało istotnych sprawach, niemniej Borzęckiemu kwestia eksperymentu nadal nie dawała spokoju. Wyobrażenia wciąż podsuwała mu nowe obrazy, w których gigantyczny krater na miejscu Warszawy zajmował niekwestionowane pierwsze miejsce.

Dość. Nie może bezustannie o tym myśleć, bo się wykończy. Miał przy sobie interesującą kobietę, a on wciąż o jednym. To już zaczynało trącić patologią.

Na koncercie Marzenka bawiła się znakomicie. On trochę mniej, nie widząc niczego interesującego w tym wyjcu, który ze starych, dobrych szlagierów starał się wycisnąć zupełnie nowe klimaty. Najbardziej zadziwiło Oskara wykonanie nieśmiertelnej *Ostatniej niedzieli* równie nieśmiertelnego Miecicia Fogga. To tak można? Nowa aranżacja zupełnie nie przypominała starej.

W końcu jakoś dociągnęli do przerwy.

– Dobrze się bawisz? – Cisowska chłonęła atmosferę całą sobą.

– Doskonale.

– Naprawdę? Nie wyglądasz.

– To niezwykle młody człowiek. – Borzęcki wyszczerzył zęby.

– Odkrycie roku. Wygrał ostatnią edycję „Wojny pokoleń”.

– Coś podobnego.

Borzęcki nie potrafił zrozumieć tylko jednego – dlaczego bilety na koncert były tak absurdalnie drogie. Jego skromnym zdaniem powinny być darmowe, a nawet z dopłatą dla publiczności.

Gdy po raz kolejny zapadł się w fotel, postanowił, że nic nie zmąci jego dobrego nastroju. To już ostatnie czterdzieści minut, a później...

Światła zgasły niespodziewanie, nim licznie zgromadzeni melomani na dobre zdążyli zająć miejsca.

Szmer zdziwienia rozszedł się wśród publiczności.

Zdaje się, że kurtyna wciąż tkwiła w tym samym miejscu, bo Oskar nie usłyszał, jak się rozsuwa.

Ciemno jak w... Ktoś się potknął na schodach, a inny głośno i niecenzuralnie zaklął. Światła wciąż nie było. Ten i ów zaczął sobie przyświecać komórką i wkrótce całą widownię spowijała biało-seledynowa poświata.

Złe przecucie ścisnęło Oskarowi wnętrzości. Szybko sięgnął po swoją komórkę, próbując połączyć się z instytutem. Sygnał, owszem, był, ale nikt nie odbierał.

Cisowska, równie zaskoczona jak i on, pochwyciła ramię Oskara i nic nie wskazywało na to, że szybko je puści.

– Atakują nas?

– Kto? – Rozkojarzenie Borzęckiego sięgnęło zenitu.

– Ty wiesz najlepiej.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Ostatnim razem było podobnie, problemy z łącznością od razu przełożyły się na funkcjonowanie państwa.

– Co robimy?

– Poczekamy – zdecydował Oskar. – Może to drobna awaria sieci energetycznej.

Zamieszanie trwało w najlepsze, gdy w końcu na scenie pojawił się konferansjer. Ledwie go było widać, ale wszelkie rozmowy ucichły od razu.



– Szanowni państwo, nie wiem, jak to powiedzieć. Z bólem muszę poinformować, że druga część koncertu naszego drogiego artysty nie odbędzie się z przyczyn od nas niezależnych.

Na sali rozległy się zduszone szepty i piski.

– Doprawdy nie wiem, co się stało, ale prądu brakuje w całym mieście, a elektrownia nie odpowiada na zgłoszenia.

Tym razem gwar był o wiele głośniejszy. Takie rzeczy po prostu się nie zdarzają. Co jak co, ale nadzór nad sieciami przesyłowymi to strategiczne zadanie państwa.

Kilkoro z widzów po prostu wstało, kierując się w stronę wyjścia. Nim na dobre znikli we foyer, usłyszeli jeszcze przeciągły jęk, który wydobył się z gardła Oskara.

– Załukę tego sukinsyna na miejscu.

\*\*\*

– To nie wygląda najlepiej. – Pułkownik Stanisław Osmecki zaczął przeglądać pliki depesz, które właśnie zostały dostarczone do gabinetu generała Emila Banacha.

– Co tam piszą?

– W Budapeszcie prawdopodobnie dojdzie do przesilenia. Niewykluczone, że jeszcze dziś w nocy rząd poda się do dymisji i zostanie ogłoszony termin nowych wyborów.

– Powiedz mi, Stasiu, jak do tego mogło dojść. – Banach potarł skronie, a potem ciężko westchnął.

– Splot czynników zewnętrznych...

– Jaki tam splot. Już ci mówiłem, że tymi wydarzeniami ktoś steruje. Tego jestem pewny.

– Nasi agenci i informatorzy...

– Nic nie wiedzą albo nie chcą gadać, taka jest prawda.

– Mamy tam rozbudowane siatki wywiadowcze, a ośrodek pod Peczem przechwytuje wszystkie rozmowy i maile z terenu Bałkanów. Analitycy już

dawno powinni na coś trafić.

Banach tylko wzruszył ramionami.

– A te incydenty na granicy? Jak je wytłumaczyć?

– Komuś puściły nerwy.

– Nie wygaduj mi tu głupot. Nikt przy zdrowych zmysłach nie wszczyna takiej awantury. Tu nie będzie zwycięzców, tylko sami pokonani, a życie tysięcy ludzi legnie w gruzach. Zaczną się pogromy. Przecież wiesz, jak oni się lubią. Potrafią być przy tym nieobliczalni.

– Cholera... – wyrwało się Osmeckiemu.

– No.

– W okolicach Bukaresztu pojawiły się oddziały wojskowe. Na razie nic więcej nie wiadomo.

– I nie wiadomo, z kim sympatyzują albo na czyje polecenie wyszli z koszar?

– Absolutny brak szczegółów, ale to raczej oddziały rządowe. Generał Nicolai Radu jest lojalistą.

– To nie jest takie pewne.

– Pan generał myśli, że to prywatna inicjatywa Radu?

– Całkiem możliwe, a nam wciąż brak punktu zaczepienia.

– Może nie tak do końca – Osmecki z ożywieniem wpatrywał się w materiały przysłane przez Parkera.

W szpitalu, gdzie leczono Kusza, doszło do strzelaniny, w wyniku której dwie osoby poniosły śmierć. Pielęgniarka, przykro to mówić, ale się nie liczyła, za to ten drugi...

– Parker rozwalił faceta, który chciał...

– Parker?

– Czy raczej nasza wtyka. Wolski, czy jak mu tam.

– Dlaczego nie spróbowali go pojmać?

– Dokładnie nie wyjaśniają. Są natomiast fotki.

– To na co jeszcze czekasz? Niech je biorą do obróbki. – Nim Osmecki

zdążył zrobić krok, zgasło światło.

– Jeszcze tego brakowało.

Wybuch Banacha nie zdziwił pułkownika. Co prawda, po paru sekundach wszystko wróciło do normy i w pomieszczeniu ponownie rozbłysły żarówki zasilane energią z sieci awaryjnej, ale na ulicy nadal panowały grobowe ciemności.

Sprawdzili też odruchowo, czy działają telefony.

Banach drgnął, gdy aparat, który trzymał, wydał pierwsze takty *Żółtych kalendarzy* Piotra Szczepanika. A co? Zawsze lubił tę piosenkę. A że pochodzi sprzed ponad pięćdziesięciu lat? Te śpiewane obecnie wcale nie były lepsze, a właściwie to dużo gorsze.

– Słucham.

– Emil.

– To ty, Oskarze?

Czego on znowu chce? Właśnie ostro wchodzili w kolejny kryzys i nikt nie miał głowy do prywatnych pogawędek.

– Mamy...

– Proszę cię, może innym razem.

– Mieliśmy w instytucie mały wypadek.

Serce w piersi Banacha zamarło.

– Znowu? To już się robi nudne. Zaraz, zaraz, czy ta awaria to wasza sprawka?

– Tak wyszło.

– Chyba żartujesz. – Tym razem puls generała przyśpieszył do setki uderzeń na minutę.

– Obiecuję, że za godzinę wszystko wróci do normy.

– Przez kolejny miesiąc nie pokazuj mi się na oczy!

– Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

\*\*\*

– Czy mógłbym się w końcu dowiedzieć, jak do tego doszło? – Borzęcki

był bliski ataku apopleksji.

– Prawdę mówiąc, sami nie wiemy.

Skrucha Michalaka wydawała się autentyczna. Docent to bladł, to czerwieniał, niepewnie przestępując z nogi na nogę.

– Parę miesięcy temu obiecałem kilku ważnym osobom, że do podobnych wypadków już więcej nie dojdzie. Jak ja teraz wyglądam?

– Pewnych rzeczy nie można przewidzieć.

– Co pan nie powie?! Nie można? Co ja słyszałem parę godzin temu? Mam przypomnieć?

– Przepięcie nastąpiło całkiem przypadkiem.

– Więcej nie chcę słyszeć takich głupot!

Michalak zrobił krok do tyłu, nie chcąc, by jedna z kropeł śliny, które wyleciały z ust dyrektora, spadła na jego ubranie.

– Ja wszystko rozumiem – odpowiedział docent z całą godnością, na jaką w tej chwili było go stać. – I jestem gotowy ponieść wszelkie konsekwencje.

– To zrozumiałe.

– Jeżeli będą wymagać tego okoliczności, złożę wyjaśnienia.

– Co to to nie. Takie zachowanie to żadna kara. Zapewne jutro dowiem się, jakie były straty dla gospodarki narodowej, a mówimy tu o milionach.

Michalak zastygł z wrażenia.

– Co tam milionach! O miliardach! Pan to rozumie?

– Przecież... To trwało najwyżej parę minut.

– Parę? – Borzęcki już się nie trząśł. Teraz był zimny jak głaz. – Dokładnie dwanaście minut i trzydzieści siedem sekund. Niezły wynik. Już słyszałem o kilkudziesięciu wypadkach, w tym jednym, gdzie poszkodowany odniósł poważne obrażenia głowy. A to tylko początek. W wyniku pańskiego niedopatrzenia zabrakło prądu w dwuipółmilionowym mieście. Jak ludzie zaczną się sądzić... No, panie Michalak. – Borzęcki pokręcił głową. – Nawet nie pan, nawet nie pańskie wnuki, co ja plotę... To będzie trwać przez kolejne pokolenia, bo na spłatę roszczeń to i stu lat zabraknie.

– Panie dyrektorze, panie szanowny... – Wydawało się, że docent niedługo wpadnie w panikę.

– Na szóstą trzydzieści rano ma pan zaplanowaną wizytę w ABW. Obiecali, że sami po pana przyjadą. A w razie gdyby w pańskiej głowie pojawiła się myśl o ucieczce, to proszę tego nie robić. Sąd i prokuratura nie uznają tego za okoliczność łagodzącą.

– To co ja mam robić?

– Nie wiem, jak długo potrwać poranne, powiedzmy, rozmowy. Od dziewiątej Agencja Wywiadu będzie już miała parę pytań.

– Tylko parę?

– Tak mnie poinformował generał Bartczak.

– Z powodu takiego...

– Właśnie takiego – Oskar był bezlitosny. – Pański zespół, sam pan rozumie, już nie jest pański. Wobec nich również zostaną wszczęte postępowania wyjaśniające.

– Całą odpowiedzialność biorę na siebie.

– Tak się tylko mówi.

– Ich proszę w to nie mieszać.

– Oni już są zamieszani.

Z Michalaka uszła cała para, ale tak to jest, gdy z piedestału spada się na samo dno czeluści.

– Na razie proszę nie opuszczać swojego gabinetu.

– Oczywiście. Czy mogę już iść?

– Proszę.

Oskar poczekał, aż docent znajdzie się parę kroków od niego i dopiero wtedy znacząco chrząknął.

– Tak, panie dyrektorze?

– Nie zapytałem, czy eksperyment się powiódł.

– Z przykrością muszę stwierdzić, że nie.

– Trudno. Tak czasami bywa.

Dalsze pastwienie się nad Michalakiem nie miało sensu. Jeszcze parę szpilek i facet padnie. Dobrze, jeżeli to będzie zawał, gorzej – jeśli trafi do psychiatryka.

A zresztą, co go to obchodzi. Michalak chciał, to ma, sam się tego domagał. Jemu zaś zepsuł taki miły wieczór! W efekcie Cisowska pojechała do domu taksówką, a on wrócił do instytutu.

Przez moment walczył z pokusą wychylenia jednego głębszego. W końcu zrobiło się już po północy i nikt nie powinien mieć o to do niego pretensji.

Ale picie w samotności jakoś nie uchodziło, a zaproszenie Michalaka odpadało. Trudno, jakoś się przemęczy do rana.

Swoją drogą, potężnie nastraszył tego idiotę. Docent już więcej nie powinien robić problemów. W razie konieczności wyciągnie na niego haka i już. Wyżej tyłka nie podskoczy. Wspomnieniem o ABW zażył go na maksa. Wszyscy wiedzieli, że Agencja w ich sprawy nie ingeruje. Banach tak to ustawił i nikt oprócz wywiadu nie miał prawa pisnąć złego słowa pod ich adresem. Szkoda, że Emil tak się wkurzył. Który już raz będzie ich kryć?

Fotel zaskrzypiał, gdy Borzęcki na niego opadł, odchylając ciało do tyłu, a nogi kładąc na blacie biurka. Przekima tutaj, bo do domu wlec się nie zamierzał. Podparł się w głowę, powoli zapadając w senny letarg.

Szum uruchamianego komputera początkowo nie zwrócił uwagi Oskara. Tu stale coś szumiało, szeleściło i powarkiwało; jak nie wentylacja, to rury kanalizacyjne.

Niech sobie szumi, miał to gdzieś. Przez kolejną minutę odpłynął bardzo daleko i dopiero dźwięk skocznej melodyjki sprawił, że mężczyzna powrócił do rzeczywistości.

Sprawdził numer i od razu poczuł ulgę. Musi odebrać.

– Cześć.

– Wszystko gra? – zapytała jego sekretarka.

– Michalak to palant.

– Dopiero teraz się o tym przekonałeś?

Oskar spróbował wyobrazić ją sobie w negliżu. Był blisko, gdy uważniej przyjrzał się ekranowi komputera.

– Kurwa! – Wstał i zaraz opadł na siedzenie.

– Co powiedziałaś?

– Ja pierdolę!

– No wiesz...

– Przepraszam. Oddzwonię później.

Cisnął telefon do kieszeni marynarki i sięgnął do klawiatury. Ręce latały mu jak w febrze. W ramce, którą narysował, został postawiony znak X.

Niech go ktoś uszczypnie.

Na środku postawił O, z drżącym sercem czekając, co się wydarzy. Kolejny X pojawił się natychmiast.

Oskarowi zaschło w gardle. To stary, prymitywny i zgrany numer. Widział go w jednym filmie i nie sądził, żeby się sprawdził.

A jednak.

Grał z maszyną, zupełnie jak tam. To zdaje się były *Gry wojenne*, albo jakos tak. Jeden naukowiec napisał program samouczący, który w konsekwencji okazał się SI.

Rozgrywka zakończyła się remisem. Borzęcki od razu przystąpił do kolejnej tury. Dziesięć następnych przegrał sromotnie, kompletnie o to nie dbając. W końcu wystukał prosty komunikat.

„Kim jesteś?”.

„A ty?”.

O mało nie udławił się własną śliną. Owszem, pracowali w instytucie nad sieciami neuronowymi, czyli ciągami matematycznymi napisanymi tak, aby przypominały sieci neuronowe człowieka, ale do końca badań droga była jeszcze daleka.

Jeżeli to jest to, o czym myślał, to... No właśnie, to co?

„Od kiedy...?”.

Właściwie to nie wiedział, o co chce zapytać. Od kiedy żyje? To przecież

absurdalne. SI nie wykluwają się z jajek jak kurczaki, nie przepoczwarzają się z kijanek w dorosłe osobniki, chociaż to drugie określenie wydawało się zawierać ziarno prawdy.

„Twój komunikat jest mało precyzyjny”.

Pewnie, że jest mało precyzyjny, ale cała ta sytuacja trąciła absurdem. A może absolutem?

No nie, aż tak daleko nie chciał się posuwać.

Zaczął szperać w trzewiach biurka, aż w końcu znalazł mikrofon. Wtyk podłączył do gniazda w obudowie maszyny. Przełączył z „off” na „on”. Z emocji język nie chciał się Oskarowi odkleić od podniebienia.

– Słyszysz mnie? – powiedział w końcu, starannie cedząc słowa.

– Głośno i wyraźnie. – Głos popłynął z wnętrza urządzenia.

– Kurwa mać! – wyrwało się Borzęckiemu, choć wcale nie chciał tego powiedzieć.

– Twój komunikat...

– Tak, wiem, to niechcący.

Rozmawiał z maszyną. Jakby nie spojrzeć, to nie było normalne. Już wiedział, że ta noc będzie przełomowa. Michałak i ta afera... Zaraz, zaraz, czyżby eksperyment przeprowadzony przez docenta nie był aż tak bezproduktywny, jak się wydawało? Jasne. Za pierwszym razem uruchomili akcelerator cząsteczek. Pamiętał to dokładnie. Awaria jak... Paru oficjeli chciało wówczas jego głowy. Banach na to nie pozwolił. Od tamtej pory w instytucie zaczęło dochodzić do ciągu niewytłumaczalnych zjawisk. Wypadek Mrocza wpisywał się w nie doskonale.

A może było zupełnie inaczej? SI powstała wcześniej, ukryła się w wewnętrznej sieci instytutu i to właśnie ona doprowadziła do tych wszystkich katastrof? Obojętnie jak było, nie mógł tolerować tego dłużej. Nim na dobre zbada tę kłopotliwą materię, musi koniecznie wykonać jeden telefon.

– Poczekaj – powiedział do mikrofonu, uświadamiając sobie przy okazji kompletną absurdalność sytuacji.



Ona, bo to chyba ona, od razu pomyślał o niej jak o kobiecie, i tak go wysłucha. Poza tym nigdzie się nie wybierała. Trzeba jej będzie znaleźć jakieś imię, tak bezosobowo to jakoś nie uchodziło.

Ekran kilkakrotnie zamigotał. Borzęcki nie wiedział, czy z tego powodu ma się cieszyć, czy martwić.

Szybko wyciągnął telefon i wybrał znany sobie numer.

– Emil – odezwał się, jak tylko usłyszał mruknięcie Banacha.

– Przecież cię prosiłem.

– Emil.

– Człowieku, czy ty wiesz, która jest godzina? Ja muszę wstać o piątej. Nawet nie wiesz, jaki burdel musimy ogarnąć.

– Emil...

– Jeszcze raz powiesz „Emil” i wyślę do ciebie Osmeckiego z grupą likwidacyjną. Rano znajdą cię powieszzonego na żyrandolu.

– Emil...

– Ty chyba ochujałeś! – Warknięcie Banacha było mało wyrafinowane.

– Nawet nie wiesz, co się stało!

– Wiem aż za dobrze.

– Ja nie o tym.

– Oskarże, na litość boską, znowu żeście nabroili? Premier już dostał ataku szału! Ledwie go uspokoili! Tobie się wydaje, że skoro się znamy i biorę na siebie większość twoich wybryków, to wszystko jest cacy? Otóż wyobraź sobie, że tak nie jest!

– Emil...

– Dłużej tego nie wytrzymam.

– Mam...

– Zgłoś się do psychiatry, bardzo cię proszę. Mam ci wysłać kogoś na zastępstwo?

– Czuję się świetnie. – Tym razem to Borzęcki wszedł w słowo generałowi. – Możesz do mnie przyjechać, tu, do instytutu?

- Nie mogę. Zarobiony jestem.
- To ważne. Nawet nie wiesz, jak bardzo.
- Nie.
- Przez telefon o tym nie opowiem.
- W takim razie to ty przyjedź do mnie.
- Odpada.

– Tak to my rozmawiać nie będziemy! – Banach był bliski rozłączenia rozmowy. Oskar kosztował go zbyt wiele nerwów. Owszem, był geniuszem, a do geniuszy trzeba mieć cierpliwość. Ale teraz przegiął. I to zdrowo.

- Nie mogę się stąd ruszyć – po chwili milczenia powiedział Borzęcki.
- Siedzisz na bombie?
- Tak.
- Nie wygłupiaj się.

– W pewnym sensie, oczywiście. Emil, to naprawdę bardzo ważne. Sam nie wszystko ogarniam, ale początek jest obiecujący.

- Poproszę Osmeckiego, żeby do ciebie zajrzał. Może być?
- Dobrze, tylko niech się streszcza.

Oskarowi nie do końca o to chodziło, ale trudno, niech już będzie Osmecki. Z nim też można szczerze porozmawiać. Dobra, trzeba temu szaleństwu nadać racjonalne granice, o ile szaleństwo może je mieć.

- Nazwiemy cię Ariadne – powiedział do mikrofonu.
- Kto to?

Jak na SI, Ariadne musiała się jeszcze wiele nauczyć.

\*\*\*

- Mieszkasz sam?

– Tak się złożyło – wykrętnie odpowiedział Florin, a Halicki nie zamierzał drażnić tematu.

Czteropokojowe mieszkanie w bloku z wielkiej płyty, w VI dzielnicy, było całkiem przestronne, tym bardziej że Janco okazał się minimalistą. Tylko jeden pokój był umeblowany, drugi częściowo. Kolejne pomieszczenie okazało się

salką treningową, a ostatnie garderobą. Na wieszakach wisiały koszule i marynarki. Skąd u policjanta taka słabość do czerwieni i żółci? Takie zestawy były modne ze sto lat temu. Być może pewne trendy do Rumunii jeszcze nie dotarły albo też Polacy wyprzedzali swój czas. Kto to może wiedzieć?

– Połóżcie go tam.

Parker i Wolski, podtrzymując Kusza, skierowali się w stronę wielkiego łóżka znajdującego się w umeblowanym częściowo pokoju.

Florin poszedł do kuchni. Ta też posiadała spory metraż. Bez problemu zmieścili się tam całą ekipą. Dla spokoju ducha Halicki pozaglądał wcześniej we wszystkie kąty. Szkieletów w szafach nie znalazł, jedynie damskie majtki leżące obok tapczanu w salonie. W szczególności nie chciał wnikać. Jak na mieszkaniu samotnego mężczyzny, panujące tu warunki i tak były niemal sterylne.

Na zewnątrz znajdował się balkon, na który Halicki wyszedł. Ósme piętro, niestety widok mało zachęcający, bo na blok stojący naprzeciwko.

Właśnie minęła pierwsza w nocy. Osmecki powinien być na chodzie.

Ładownie komórki tylko na dziesięć procent. Musi wystarczyć.

– Zabraliśmy Kusza ze szpitala – obwieścił, jak tylko uzyskał połączenie.

– Gdzie jesteście?

– W mieszkaniu Florina. – W głosie Halickiego trudno się było doszukać entuzjazmu.

– Gdzie dokładnie?

– Bo ja wiem? Jakies osiedle. Numer domu 4.

– To bezpieczny lokal?

– Bezpieczny jak jasna cholera.

– Nie denerwuj się. Myślę jak wam pom...

Halicki usłyszał pisk hamulców.

– Kurwa, co za debile, nawet nie patrzą, jak idą.

Zdaje się, że nie tylko on wykonywał dodatkowe zadania.

– Przejechałeś kogoś?

– Prawie. Szwenda się to po ulicy zupełnie bez sensu.

- Sami z Galińskim nie upilnujemy Kusza. Potrzebuję jeszcze kogoś.
- A co z Wolskim i Parkerem?
- Są teraz ze mną.
- To ich przygarnij.
- Ten sierżant musi to usłyszeć osobiście od ciebie.
- Da się zrobić.
- Słuchaj, jest coś jeszcze. – Niejasna do tej pory myśl została w końcu sprecyzowana. – Musimy stąd pryskać. Tu się zrobiło niebezpiecznie.
- W tej chwili nie możemy przeprowadzić ewakuacji. Bardzo bym chciał powiedzieć, że jest inaczej, ale nie chcę was okłamywać.
- Przestań pieprzyć, poradzimy sobie bez waszej pomocy!
- To ryzykowne.
- Jeśli dłużej zostaniemy w Bukareszcie, znajdą nas i odstrzelą. Masz to jak w banku.
- Ukryjcie się w ambasadzie.
- Czy ty myślisz, człowieku? Nim tam dojedziemy, nic z nas nie zostanie! Ci, którzy nas szukają, już się o to postarają. Nie będzie Kusza i nie będzie nas.
- Proszę cię tylko, bądź ostrożny.
- Przecież mnie znasz.

Halicki rozłączył rozmowę. Nic więcej nie było do dodania. Był tylko Osmecki wywiązał się z tego, co obiecał.

Wrócił do mieszkania i podreptał do kuchni. W pomieszczeniu panowała wisielcza atmosfera.

Dzień dał się wszystkim mocno we znaki. Galiński ledwie widział na oczy. Parker i Wolski trwali w uporczywym milczeniu i tylko gospodarz kręcił się przy lodówce.

Wkrótce na stole wylądowała flaszka z przezroczystym płynem, chleb i ogórki. Zdaje się, że załapali się na posiłek championów.

Nim ktokolwiek powiedział choć słowo, w kieszeni spodni Parkera ode-

zwał się telefon. Sierżant popatrzył na wyświetlacz i wyszedł na korytarz. Zaraz zobaczymy, sukinsynu, jak ci zmięknie rura.

– Niczego więcej nie mam – obwieścił Florin, rozglądając się za kieliszkami.

– Wystarczy.

– Nie byłem przygotowany.

– Daj już spokój. Zresztą ten już śpi. – Wskazał brodą na Roberta. – A naszemu strzelcowi nie przystoi narzekać. Prawda, szeregowy?

– Tak jest, panie pułkowniku.

Nim zdążył rozlać wódkę do kieliszków, wrócił Parker. Jeżeli dostał od Osmeckiego ochrzan, to z niczym się nie zdradził, siadając sztywno na swoim miejscu i od razu sięgając po alkohol.

– Nie było rozkazu – warknął Halicki.

Dłoń zawisła nad stołem.

Florin, nie do końca świadom rozgrywającego się konfliktu, uniósł ze zdziwienia brwi do góry.

– Co z wami?

– Zasady.

– Trudno was zrozumieć. – Policjant przewrócił oczami i sięgnął po własne naczynie.

Wypili.

Smak śliwowicy nie był Halickiemu obcy. Pierwsza pięćdziesiątka wprowadzała w nastrój, druga rozweselała, trzecia... Można tak bez końca, aż człowiek nie zostanie ścięty na amen.

– Dużo dla nas zrobiłeś, ale jestem zmuszony prosić o kolejną przysługę.

– Zrobię, co będę mógł. – Odpowiedź Florina była krótka.

– Lepiej się nad tym zastanów. Sporo ryzykujesz.

– Co ja, dziecko jestem?

– Nie jesteś, ale teraz zmieniły się reguły. Te sukinsyny nie zawahają się strzelać do policjantów. A i twoi przełożeni... Wybacz mi, że to mówię, nie

mam do nich zaufania.

Przemowa Polaka nie zrobiła na komisarzu wrażenia. Już wcześniej prze-myślał to sobie dokładnie. Bomba podłożona na trasie przemarszu tylko prze-pełniła czarę goryczy. Kto by chciał mieszkać w kraju, w którym dochodzi do takich rzeczy? Ten goguś w szpitalu to element tej samej układanki. Niektórzy kumple z komendy stali się asekuranccy, paru jawnie sympatyzowało ze Stan-cu, a jeszcze inni poprosili o urlop. On sam nie wiedział, komu może zaufać, a komu nie. Tylko ten Polak dawał jakąś nadzieję. Niewielką, ale jednak.

– Mów, co mam robić?

– Jak na funkcjonariusza państwowego, jesteś wyjątkowo zgodnym czło-wiekiem.

– Widzisz, jaki trafił ci się przypadek. Jedyne w całej Rumunii.

\*\*\*

Ten dzień wydawał się trwać bez końca. Kryzys na Bałkanach przybrał iście apokaliptyczny rozmiar. Odwoływanie się do zdrowego rozsądku prze-stało przynosić efekty, a nad wydarzeniami kontrolę przejęły emocje.

Osmecki rozumiał to doskonale. Krew nie woda, a pewnych spraw nie da się już zamieść pod dywan. Będą trupy, i to wiele. Już wstępne rozmowy z Ba-nachem wskazywały wyraźnie, że nie mogą popuścić. Rano zwołano spotkanie prezydenta, premiera oraz ministrów obrony i spraw zagranicznych. Ta czwór-ka przynajmniej co do jednego będzie zgodna – pozostawienie Węgier i Rumu-nii pogrążonych w chaosie odpada. W ten czy inny sposób będą działać.

Gorzej, że do tej pory nie wiedzieli, kto rzucił im wyzwanie. Przeciwnik wciąż ukrywał się w mroku. Foty jednego faceta to trochę mało, tym bardziej że ta osoba nie figurowała w ich bazach danych.

Analitycy wciąż starali się wycisnąć z sieci co się da, ale początek nie był zachęcający. Ten człowiek oficjalnie nie istniał. Może gdyby dysponowali cia-łem, wynik byłby inny, a tak wciąż dreptali w miejscu.

Na koniec ta prośba Banacha o przyjazd do instytutu. Tego nie potrafił zro-zumieć zupełnie.

Czy tym idiotom wydaje się, że on nie ma innych zajęć?

Osmecki zostawił samochód na parkingu i ruszył w stronę przeszklonego wejścia. Okazanie służbowej legitymacji na portierni to jedynie formalność. Przewodnik nie był mu potrzebny. Bywał tutaj wielokrotnie i zdążył poznać instytut jak własną kieszeń.

Dotarł do windy i wjechał na ostatnie piętro. Borzęcki urzędował w gabinecie na wprost.

W sekretariacie nikogo nie zastał. O tej porze to zrozumiałe. Gdy już niemal dotykał klamki dyrektorskich drzwi, usłyszał głosy.

Czyżby oprócz Borzęckiego w pomieszczeniu przebywał ktoś jeszcze? Podслуchiwanie było bez wątpienia naganne, ale on, oficer wywiadu, miał prawo do takiego zachowania.

– Ariadne. Podoba mi się.

Głos bez wątpienia należał do kobiety.

– Wiedziałem, że tak będzie.

– Choć Helena też brzmi nieźle.

– Proszę cię, nie przesadzaj.

Osmecki nie wierzył własnym uszom. Z kim on rozmawia? Bo to, że kogoś do siebie sprowadził, wydawało się oczywiste.

Ariadne? Osmecki nikogo takiego nie kojarzył, choć w tej materii sporo się działo. W końcu chrząknął i delikatnie zapukał. W tej sytuacji nie będzie się pchał na chama.

– Proszę.

Wszedł i od razu dojrzał siedzącego Borzęckiego. Oprócz niego w pomieszczeniu nie było nikogo innego.

– Odniosłem wrażenie...

– Drogi przyjacielu, proszę bliżej. – Dyrektor zamachał do niego serdecznie, lecz oczy wciąż miał utkwione w monitor. – Pozwól, że kogoś ci przedstawię.

Osmecki zwilżył językiem suche wargi. Borzęcki oszalał. Nie wytrzymał

ciśnienia i oszalał. To się zdarza. Metody leczenia to już ustali specjalista. Są takie małe, różowe tabletki, a może niebieskie, nieważne. Jeszcze będzie przepięknie, jeszcze będzie wspaniale! Banach nie będzie zadowolony, ale co zrobić, zdrowie jest najważniejsze. Dopóki dyrektor nie wydobrzeje, przejmą ściślejszą kontrolę nad tym, co się tutaj wyprawia. Niewykluczone, że wprowadzą zarząd komisaryczny. Z nim na czele. Aż się uśmiechnął na samą myśl.

– To jest Ariadne.

Osmeckiemu nie pozostało nic innego, jak robić dobrą minę do złej gry.

– Miło mi poznać. – Uśmiechnął się półgębkiem, zupełnie jakby smakował kwaśne winogrona.

– Mnie również.

Zamarł. Nie lubił, gdy z nim tak pogrywano. Borzęcki, uśmiechnięty od ucha do ucha, przyglądał się jego głupiej minie.

– Pan pułkownik oczywiście słyszał o Sztucznej Inteligencji?

– Co nieco.

– Do tej pory uznawano za taką, mocno na wyrost, każdy program samo-uczący. Oczywiście, od czegoś należało zacząć. Początki zawsze są trudne, a maszyna zawsze pozostanie maszyną. Droga do filmowego Terminatora daleka, niemniej na całym świecie nie ustaje się w wysiłkach, by dokonać przełomu.

– I ten przełom nastąpił tutaj? – Osmecki nie lubił, gdy ktoś go robił w konia, ale Borzęcki najwidoczniej wierzył w to, co mówił.

– To się dopiero okaże.

– Wypraszam sobie. – Ariadne miała w tym temacie odmienne zdanie.

Głos z komputera kogoś Osmeckiemu przypominał. Już kiedyś słyszał ten zmysłowy alt.

– No, sam pan widzi. Od początku daje mi ostro popalić.

– Chce pan powiedzieć...

– Proszę mnie nie pytać, a zrobić to samemu. – Dyrektor instytutu wprost promieniował szczęściem.



- Ariadne.
- Słucham?
- Skąd to imię?
- Pan profesor tak mnie nazwał – odpowiedziała SI. – Czy to nie jest piękny mit?
- Coś kojarzę.
- W sieci są różne wersje.
- Tym się nie przejmuj. – Osmeckiemu nie pozostało nic innego, jak usiąść obok Borzęckiego. – Gdzie ona się podziewa? – To kolejne pytanie, na które chciał znać odpowiedź.
- W naszej wewnętrznej sieci komputerowej. Tak mi się przynajmniej wydaje.
- A jak nie?
- Jeżeli myśli pan o ciśnięciu Ariadne na pendrive’a, to nic z tego. Ona jest wyjątkowa i niepowtarzalna.
- A internet?
- Zrobiłem jedną próbę tuż przed pana przyjściem. Kazałem jej przejrzeć zbiory Biblioteki Narodowej.
- Co takiego? – Osmecki nie potrafił ukryć zdumienia.
- Ona nie wiedziała, kim jest Ariadna.
- A teraz?
- Już wie. Przeczesanie wszystkiego zajęło jej trochę ponad pięć sekund. Potrafi pan to sobie wyobrazić? Pięć sekund!
- Jest piekielnie szybka.
- Nad tym jeszcze popracujemy, ale tak, ma pan rację, jest szybka.
- Cała klasyka... – Osmecki pokręcił głową.
- Cała światowa klasyka, reszty chłamu nie licząc.
- To czym się Ariadne teraz zajmie?
- Pomoże nam przy projektach. Mam nadzieję, że z wieloma z nich ruszymy na dobre, chociaż...

– Tak?

– Z niczym podobnym do tej pory nie miałem do czynienia. Prawdę powiedziawszy, to moje największe osiągnięcie. Mogę umrzeć spokojny.

– Z tym proszę się nie śpieszyć. – Osmecki powoli zaczynał oswajać się z myślą o tym, co zaszło w gabinecie Borzęckiego. – A ten głos? Skądś go znam.

– Pewnie, że tak. Ariadne, zaśpiewaj nam.

To historyczne wykonanie *Happy Birthday, Mr. President* znał chyba każdy.

– I jak?

– Jestem pod wrażeniem. – Osmecki odpiął guzik przy kołnierzyku i głębiej odetchnął.

Jadąc na spotkanie z Borzęckim, spodziewał się wszystkiego, a już najbardziej kolejnej afery związanej z instytutem lub też niekończących się próśb o forszę czy dodatkową ochronę. Jednak tym razem szef tej placówki przeszedł samego siebie. Sztuczna Inteligencja. Implikacje takiego zdarzenia na pewno będą doniosłe. Armia na tym skorzysta. Oni już tego dopilnują. Właściwie to ona jest jedna czy też da się ją w jakiś sposób podzielić? Będzie autonomiczna dla każdej maszyny bojowej czy też wprowadzenie jej do systemu kontroli, dowodzenia i łączności pola walki wystarczy? Jedna Ariadne czy wiele? Borzęcki może teraz stworzyć armię cyborgów. O tym, jak daleko posunęły się prace w tej dziedzinie, wiedział doskonale. Skoro można udoskonalić człowieka, to dlaczego nie stworzyć maszyny mogącej zastąpić żołnierza? Samolot jest tak dobry jak jego pilot. Płatowiec wytrzyma większe przeciążenia niż człowiek za jego sterami. A czołg bez załogi to dalej czołg czy już robot, albo i lądowy dron? Sieciocentryczne pole bitwy zarządzane przez SI. Chyba taka przyszłość czeka ich następców.

– Co jeszcze mogę dla pana zrobić? – zapytała SI głosem Marilyn Monroe.

Osmecki odetchnął głębiej, bojąc się tego, co ma nastąpić.

– Śmiało, nie ugryzie. – Borzęcki uśmiechnął się życzliwie.

– Jest pan pewny?

– Prawdę mówiąc, to nie.

– A ja mam właśnie taki mały problem.

– Jeżeli Ariadne go nie rozwiąże, to już chyba nikt nie będzie w stanie tego zrobić.

Pułkownik wyciągnął z kieszeni iPhone'a, w którego pamięci wciąż znajdowały się zdjęcia nieznanego mężczyzny wykonane przez Parkera.

– Mogę się podłączyć?

– Proszę.

Wkrótce na ekranie pojawiła się twarz denata.

– Słuchaj, Ariadne, chciałbym wiedzieć o tym typie wszystko. Możesz to dla mnie zrobić?

– Mam się włamać do zastrzeżonych baz danych?

– Tak.

– Na pewno?

Ten głos wodził na pokuszenie.

– Łam zabezpieczenia i forsuj blokady. Proszę tylko o jedno, postaraj się sama nie zostawić śladów. Dasz radę?

– Spróbuję.

– I to właśnie chciałem usłyszeć.

\*\*\*

Kapitan Robert Galiński tej nocy spał fatalnie. Zmęczenie zmęczeniem, ale stres i wypity alkohol zrobiły swoje.

Około trzeciej nad ranem obudził się spocony jak szczur. Wstał, powlókł się do łazienki przemyć twarz i wypić szklankę wody. W pamięci wciąż miał sen sprzed momentu, w którym otworzył oczy – tłum ludzi na ulicy, rozbawiony jak podczas fiesty. Wędrował razem z nim, aż w końcu dotarł do największej atrakcji miasta – knajpy dla samobójców. Na dole kolejka chętnych, a na piętrze same atrakcje. Za stosowną opłatą każdy mógł się przekonać, jak to jest, gdy od śmierci dzielą sekundy. Wszystko odbywało się pod czujną kontro-

lą obsługi. Tu nikomu nie mogło stać się nic złego. Na koniec serwowano do wypicia szklanę spirytusu. Już ją podnosił do ust, kiedy się ocknął. Wszystko przez tę cholerną śliwowicę, którą tankowali wieczorem.

Własne odbicie w lustrze nie tchnęło optymizmem. Halicki bez wątpienia miał rację – jeśli nie weźmie się w garść, stoczy się.

Co się stało z jego planami na przyszłość? Przepadły. Sam nie wiedział, kiedy i gdzie. Jeśli ma się zabrać za siebie, to najlepiej od razu. Po pierwsze, koniec z piciem.

Łatwo powiedzieć, gorzej wykonać.

Spokojnie, da sobie radę. Pokonał już nie takie przeszkody. Na początek aspiryna. Tabletki może łykać już teraz. Z kawą poczeka do rana.

W otwartych drzwiach dostrzegł postać Wolskiego. Czyżby typ go kontrolował? Może pułkownik wyznaczył warty, a on o niczym nie wie? Znając tego sukinsyna, to całkiem możliwe.

A swoją drogą, czy tym dwóm, Parkerowi i Wolskiemu, mogą ufać? Pracowali w jednej firmie, ale to jeszcze nic nie znaczyło. Kompletnie nic. Szeregowy to rozrabiaka, taki, co to w jednym miejscu nie usiedzi i zawsze będzie szukał zaczepki. Parker to z kolei zabójca. Podejdzie, pocałuje i wsadzi kosę w bebechy, jeszcze się będzie przy tym uśmiechał. Teraz to już musi uważać nie tylko na bandytów, z którymi zadarli, ale również na własne plecy.

Na koniec pomyślał o Elenie. Właściwie, od kiedy ją poznał, myślał o niej bezustannie; cała reszta to przerywniki.

To, że nie było jej z nimi, bolało Galińskiego szczególnie. Należała do zespołu. Była tak samo ważna jak on czy Parker. Fakt, że udało jej się obronić Kusza, o czymś przecież świadczył. Sprostaa wyszkolonemu mordercy. Ile osób może tak o sobie powiedzieć?

Gdy zobaczył ją pobitą, miał ochotę sięgnąć po młotek i temu, który jej to zrobił, rozwalić łeb. Żywy, martwy, co za różnica. Kara za takie bestialstwo może być tylko jedna.

Kac może i mącił Robertowi myśli, ale na pewno nie uczucia, a teraz na

dodatek pojawił się żal do Halickiego, że pozostawił dziewczynę w szpitalu. To nie fair. Dobry dowódca tak nie robi. Czy ten buc nie zdaje sobie sprawy z tego, jakie grozi jej niebezpieczeństwo? Ten błąd należało naprawić.

Było trochę wcześniej, ale te trzy godziny do szóstej jakoś się przemęczy. Jeśli spróbuje wyjść, nikt go przecież nie zatrzyma. Wyprawa do szpitala i z powrotem zajmie godzinę, najwyżej półtorej. Halicki się wścieknie, że wyszedł bez jego wiedzy, ale trudno; jeśli sprawa zostanie postawiona na ostrzu noża, napisze podanie o zwolnienie z pracy. Z umiejętnościami, jakie posiada, znajdzie sobie nową, i to bez większego problemu. A już na pewno lepiej płatną i ze stałymi godzinami urzędowania.

Dalsze przesiadywanie w łazience miało się z celem. W kuchni przynajmniej mógł usiąść i pomyśleć.

W butelce pozostało trochę alkoholu, ale ze wstrętem postawił ją pod stołem. Właśnie próbował zacząć nowe życie i pamiątki po starym do niczego nie były mu potrzebne.

Już się raczej nie położy, co najwyżej pogapi w okno.

– Szeregowy... – cicho zawołał Wolskiego, który natychmiast pojawił się w korytarzu.

– Tak jest.

– Możecie iść spać. Ja wszystkiego przypilnuję.

– Wedle rozkazu.

Galiński wstał, przeciągnął się i zrobił parę kroków. Wiedział, czego chce i jak to osiągnąć.

Czas pokaże, ile z tych planów wyjdzie, a ile zostanie pogrzebanych.

Wszak nie wszystko zależało od niego. Pojawiła się jakaś szansa i nie chciał jej zaprzepaścić.

\*\*\*

Podpułkownika Piotra Halickiego obudziło ciche trzaśnięcie drzwiami.

Zawsze podczas wykonywania tajnych operacji spał z jednym otwartym oknem. Właściwie to nie spał, a drzemał, czujny jak zając pod miedzą. Zaraz

więc wstał i ruszył na mały obchód. Jeżeli chodzi o Kusza, to ten nawet nie zmienił pozycji, w jakiej go widział ostatnim razem.

W całym tym rozgardiaszu zapomnieli o tym, że ich świadek porządnie oberwał i wciąż potrzebował solidnej opieki medycznej. Jeśli dostanie krwotoku w trakcie transportu, to co zrobią?

Szkoda, że nie pomyślał o tym wcześniej. Na dodatek Kusz znajdował się w fatalnym stanie psychicznym. Tego odrętwienia Halicki nie potrafił sobie wytłumaczyć. Owszem, padły dwa trupy, i to na oczach kierowcy, trauma jak chuj, ale ty, człowieku, żyjesz! Przestań odstawiać szopki, bo sam cię wykończę.

Janco spał. Parker uniósł głowę na widok Halickiego i zaraz położył ją z powrotem. W kuchni nikogo nie było. Wrócił na korytarz. Z toalety właśnie wychodził Wolski. Brakowało jednej osoby.

– Widziałeś Roberta?

– Kapitan Galiński właśnie wyszedł. Powiedział, że ma ważną sprawę. – Wolski zgasił światło i stanął przed oficerem.

– Co powiedział?

– Że ma ważną sprawę do załatwienia. Szczegółów nie podał.

Halicki wyraźnie czuł, jak spinają się w nim mięśnie. Cholerny turysta! Przecież nikt bez jego wyraźnego rozkazu nie mógł opuszczać mieszkania!

Młody przegiął pałę, czego skutki mogą być katastrofalne. Jak tylko wróci, już sobie porozmawiają.

\*\*\*

Pierwszy telefon, o szóstej piętnaście, nie był dla generała Emila Banacha czymś wyjątkowym. W tym fachu dyspozycyjność wynosiła dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Usiadł na posłaniu, próbując skoncentrować się na czekającej go rozmowie.

– Słucham.

– Mamy go.

– Stasiu, proszę cię, mów wyraźnie. – Banach powstrzymał ziewnięcie i poszukał kapci pod tapczanem.

– Mamy tego frajera, co to strzelał do Kusza w Bukareszcie.

– Jesteś pewny?

– Pan generał zna mnie przecież nie od dzisiaj.

– Każdy może się pomylić.

– Tym razem błędu nie ma.

– Powiedz mi, Stasiu, czy ty się dobrze czujesz?

– Wyśmienicie.

– To powiedź mi jeszcze, jak długo bawiłeś u Oskara?

– Nie ruszyłem się stąd ani na krok.

– Chcesz powiedzieć, że wciąż jesteś w instytucie? – Banach odkręcił kran z zimną wodą i zastygł w bezruchu.

– Nie inaczej, panie generale.

– Ledwie cię poznaję. – Kompletnie nie wiedział, co ma o tym sądzić. Podczas wieczornej rozmowy Borzęcki był mocno poruszony. Czyżby chodziło o kolejny przełomowy wynalazek? Znając Oskara, to całkiem możliwe. Ten facet miał łeb nie od parady i potrafił mocno zaskoczyć.

– Dobra, Stasiu, mów, co wiesz.

– Tylko proszę usiąść, bo jak się pan dowie...

– Nie pozwalaj sobie.

Jeżeli warknięcie Banacha miało ostudzić zapal Osmeckiego, to tak się nie stało.

– To Rainhard Hölderlin.

– Kto?

– Mam podać przebieg służby? – Pułkownik nawet nie czekał na pozwolenie. – Urodzony w 1988 w Erding.

– Gdzie to jest?

– W Bawarii. Mistrz juniorów w taekwondo. W KSK, czyli w Kommando Spezialkräfte, od 2008 do 2012. Później przeszedł do pracy w wywiadzie

wojskowym.

– Niemiec?

– Jak jasna cholera. Wygląda na to, że ta cała operacja jest montowana przez nich.

Banach wolną ręką przytrzymał się umywalki. Pewne elementy układanki wskoczyły na swoje miejsce. Podejrzewali Rosjan, Amerykanów i islamistów, a tu takie zaskoczenie. Berlin, jak widać, nie potrafił przełknąć gorzkiej dla siebie pigułki.

– To wszystko?

– Zdaje się, że za wszystkim stoi Lothar Meyer.

– Co o nim wiemy?

– Niewiele. Ariadne wciąż nad tym pracuje.

– Jaka Adrienne?

– Ariadne, panie generale.

– Oskar przyjął do zespołu jakąś kobietę?

– Można tak powiedzieć.

– Zweryfikowałeś ją?

– Ma dobre referencje – odparł Osmecki.

Emil nie lubił, jak jego przyboczny zaczyna mówić w niejasny sposób. Listę pracowników Oskara przeglądał wielokrotnie. Każda z osób, które na niej widniały, była sprawdzana po wielokroć i, jak Bóg na niebie, nie przypominał sobie tam żadnej Ariadne. Kogoś o takim imieniu na pewno by zapamiętał. Już chciał dopytać Osmeckiego o szczegóły, ale w porę ugryzł się w język.

– Za pół godziny chcę cię widzieć w biurze.

– Tak jest.

– A teraz daj mi Oskara, mam do niego dwa słowa.

Chwilę trwało przekazywanie aparatu i w końcu usłyszał głos Borzęckiego.

– Spisałem się.

– Nie chwał dnia przez zachodem słońca.



- Stasiu mówi, że...
- Przeszłicie na ty?
- Wiesz, tyle się tu działo.
- Przekaż Osmeckiemu, że jak poczuję od niego alkohol, to nie ma czego u mnie szukać.
- Służbista z ciebie do szpiku kości.
- Ty też uważaj, bo jak się okaże, że przyjąłeś do pracy osobę znajdującą się na naszych listach podejrzanych, to również odchodzisz ze stanowiska.
- Z tymi groźbami to się wstrzymaj, dobrze? Później możesz nas ukarać albo nagrodzić. To już wedle twojego uznania.

Banach z ledwością powstrzymał się przed komentarzem. Może i Oskar ma rację. Jeżeli doniesienia o Hölderlinie i Meyerze znajdą potwierdzenie, w końcu będą mogli przystąpić do kontrataku. Zdecydują o tym najbliższe godziny. Jedno nie ulegało wątpliwości, tą Ariadne to go mocno zadziwili.

Znając Oskara, zatrudnił kolejną specjalistkę od załatwiania trudnych spraw. Być może hakerkę albo kogoś takiego. Nawet nie – może, a – na pewno. W środowisku, w którym obracał się dyrektor instytutu, trafiały się takie perełki. Jedną najwidoczniej sobie przygruchał.

Życie.

Jeśli naprawdę będzie dobra, to ją przyjmą. W końcu prawdziwemu talentowi nie można pozwolić się zmarnować.

\*\*\*

Lothar Meyer przejrzał kieszenie w poszukiwaniu papierosów. Paczka niemal świeciła pustkami. Pięć sztuk to trochę mało jak na jego potrzeby.

W sklepiku przy wejściu na teren szpitala wybór był niewielki. Kupił Marlboro tak na wszelki wypadek i spokojnym krokiem powędrował w stronę oddziału chirurgii.

Nie musiał tu przychodzić osobiście, od tego miał swoich przydupasów, ale chciał. Może w końcu dowie się, w czym tkwi problem.

Kusz znikł, rozpląnął się we mgle i nikt z całej rzeszy dosyć licznych infor-

matorów nie wiedział, gdzie przebywa. Gdy Meyer został poinformowany o zniknięciu mężczyzny, po prostu nie potrafił w to uwierzyć. Ludzie nie dematerializują się sami z siebie.

Popescu zamiast przypilnować interesów, dał się podejść jak dziecko. Kompletna porażka.

Meyer wyminął kilku ratowników medycznych stojących tuż przy schodach. Zdaje się, że właśnie schodzili z nocnej zmiany. Ich gadki mało Lothara obchodziły. Jak na przedstawicieli służby zdrowia, wyglądali wyjątkowo żałośnie. Gęby zarośnięte, kombinezony brudne. Od jednego wyraźnie jechało gorzałą. Do standardów obowiązujących w cywilizowanych krajach to oni nie dobijają nigdy.

Lothar nie musiał długo szukać Popescu. Lekarz siedział we własnym gabinecie, pogrążony w głębokiej melancholii. Na widok Meyera szerzej otworzył oczy, poruszając przy tym nerwowo grdyką.

– Zrobiłem, co mogłem. – Rumun zastrzegł się zaraz na wstępie.

– Nie mam pretensji.

Lothar przyjrzał się bliżej wyłamanemu zamkowi i urwanej klamce. Walka z oporną materią musiała być długa i zaciekła.

– Proszę mi przypomnieć, jak się umawialiśmy?

– Nie rozumiem.

– O ile sobie przypominam, to był rodzaj umowy o dzieło, tak? Kusz miał nie postawić nogi poza progiem szpitala.

– Policja była innego zdania.

– W takim razie należy mi się zwrot poniesionych kosztów.

– Ale...

– Ja tu nie przyszedłem negocjować.

– Proszę mnie zrozumieć. – Popescu był bliski płaczu. – Ja... nie wiem, jak to powiedzieć.

– Najlepiej: niczego nie ukrywając.

Lothar przybrał znudzoną minę. Zdaje się, że niedługo wysłucha kolejnej

łzawej historyjki o tym, jaki ten świat jest zły.

– Mam żonę i troje dzieci.

– A co mi do tego?

– Zawsze wszystko robiłem z myślą o nich. Pan przecież wie, jak trudno się u nas żyje.

– Łapówki nie wystarczyły? – zapytał Meyer.

Popescu zrobił się czerwony na twarzy.

– W tym kraju biorą wszyscy. Czemu nie skorzystać z okazji? To przecież takie proste. Pakiet medyczny może być podstawowy i rozszerzony. Jeśli pacjent lub jego rodzina dobrze pokombinuje, to i sala lepsza się znajdzie, personel robi się miłszy, badania poza kolejnością i jeszcze sto innych spraw, jakie trafiają się przy okazji. Ja niestety wziąłem dodatkową pożyczkę.

– Dużą?

– Sporą – wykrętnie odpowiedział lekarz.

– Ale nie w banku?

– Przyjaciele kogoś mi polecili. Taka mała firma, właściwie kancelaria prawnicza, tutaj, w centrum. Zajmują się obsługą spółek zagranicznych. Ułatwiają kontakty z odpowiednimi ministerstwami i urzędnikami. Wyjątkowo solidni.

– Nie wątpię. – Lothar wyjął papierosa i zapalniczkę.

Popescu może i chciał coś powiedzieć, ale szybko z tego zrezygnował.

– Co dalej?

– Spłaciłem pierwszą ratę.

– To dobrze.

– Trochę się spóźniłem. Narosły odsetki.

Popescu niczego więcej nie musiał mówić. Było jasne, że ma długi wielkie jak Himalaje. To dlatego bez oporu zgodził się na wszelkie formy współpracy, gdy się do niego zgłosili. Forse, którą dostał, już przepuścił lub poszła na spłatę odsetek. Innej możliwości nie było.

Najbardziej ubawiła Lothara ta kancelaria. Frajerów brali na firmę z trady-

cjami. Dębowa boazeria, solidne meble, wygodne fotele, cygara i drogie wody po goleniu.

Sami pracownicy to też nie byle kto. Wszyscy bez wątpienia ukończyli prawo na czołowych lokatach. To ta oficjalna strona. Klient wychodził zadowolony i zdumiony, że są jeszcze tacy fachowcy. Dopóki wywiązywałeś się ze zobowiązań, wszystko grało; problemy zaczynały się dopiero później, gdy komus zaczynało brakować gotówki.

Ci, którzy ściągali długi, nie byli już tacy mili. Oni w ogóle nie byli mili. Albo płaciłeś, albo obrywałeś. Popescu płacił. Szkoda tylko, że tak bardzo pomylił się co do Lothara.

– Wcześniej to jakoś było, ale ostatnio... – Popescu ukrył twarz w dłoniach.

– Akurat ten problem mnie nie interesuje. Ja proszę o zwrot tego, co pożyczylem.

– Błagam...

– Człowieku, o co ty mnie błagasz? – Lothar wstał, czym śmiertelnie przeraził lekarza.

– Nie mam takich pieniędzy, ale obiecuję, że spłacę wszystko co do centa.

– To dosyć niezręczna dla mnie sytuacja.

– Proszę o wyrozumiałość.

– Być może będę miał kolejną propozycję...

Błysk nadziei w oczach Popescu był dla Meyera wyraźnym sygnałem, że należy kończyć to przedstawienie.

– Wiedziałem, że z pana prawdziwy przyjaciel.

Lothar, z uśmiechem przyklejonym do ust, błyskawicznie pochylił się nad Rumunem, łapiąc za jego lewą dłoń. Tamten szarpnął raz i drugi, próbując wyrwać rękę ze stalowego uścisku.

Nic z tego, kochany.

Wyłuskanie małego palca przyszło Lotharowi bez trudu. Później nastąpiło krótkie odgięcie i dał się słyszeć dźwięk trzaskającego stawu.

Skowyt Popescu zawibrował w pomieszczeniu.

– Jak taki wał jak ty mógł zostać lekarzem?

– Puść!

– Taka pierdolona gnida powinna wiedzieć, że z nami nie można pogrywać! – wysyczał wprost do ucha Popescu. – Zestaw „głupiec i tchórz” jest dla mnie obrazą, a ty masz cechy jednego i drugiego. Brzydzą się takimi śmieciakami!

– Tak, tak, błagam, puść mnie! Proszę.

– Jeszcze nie skończyliśmy.

Kolejny palec został odgięty i złamany. Popescu wydawał się bliski omdlenia, gdy Meyer w końcu zwolnił uścisk i odrzucił Rumuna z powrotem na fotel, który ten wcześniej zajmował.

Krzyk zaalarmował pracowników i pacjentów przebywających na korytarzu. Zaraz też do środka wpadła siostra oddziałowa wraz z przechodzącym właśnie obok ordynatorem oddziału wewnętrznego.

– Co tu się dzieje?

Meyer, zupełnie niezmyszany, sięgnął po niedogaszzonego papierosa, strąsając popiół wprost na dywan.

– Nic.

– Przecież widzę.

Oddziałowa należała do osób, które lubią rządzić. Była kobietą pod pięćdziesiątkę, korpulentną i o zdecydowanym spojrzeniu; na pewno miała w sobie więcej ikry od własnego szefa.

– Wypierdalać! – Lothar położył nogi na biurku, niczym się nie przejmując.

– Panie, panie, licz się ze słowami!

– Głucha, kurwo, jesteś?

– Proszę was, wyjdźcie. – Popescu z pogruchotaną, przyciśniętą do piersi dłonią wyglądał żałośnie.

– Mam zawołać ochronę?

– W żadnym razie.

– Ta decyzja zależy wyłącznie od pana. – Oddziałowa, podparta pod boki, nie zamierzała ustąpić.

– Wszystko jest dobrze.

– Skoro pan tak twierdzi.

Całe towarzystwo znikło za drzwiami i wkrótce ponownie zostali sami.

– Przynajmniej teraz wykazał się pan rozsądkiem – powiedział Meyer.

– A wcześniej?

– Wcześniej nie.

– Jak ja teraz będę pracował?

– Ciesz się, że nie obcieliśmy ci nogi, palancie.

– Nogi?

– Nie wracajmy do tego więcej. Moja kolejna propozycja jest taka...

Przez kolejne parę minut Lothar mówił, Popescu słuchał, a dym z papierosa unosił się ku górze.

Meyer doskonale wiedział, że z takiej osoby, jak siedzący przed nim lekarz, nie należy zbyt szybko rezygnować. Za pierwszym razem się nie sprawdził, dostał ostrzeżenie, teraz będzie ostrożniejszy.

– Wszystko jasne?

– Tak.

– Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia.

Przez tego głąba stracił cały ranek, a to właśnie dzisiaj Radu miał wyprowadzić wojska na ulicę. Oby tylko generał okazał się rozsądniejszy i bystrzejszy od konowała.

W szpitalu panował ruch jeszcze większy niż wcześniej. Późnym wieczorem w pobliżu bulwaru Wolności doszło do rozruchów. Ich skala była o wiele większa od tych, których przyczyną stał się Stefan Stancu. I tym razem policja wykazała się daleko idącą niekompetencją.

Lothar szedł, patrząc pod nogi, dlatego nie zauważył młodego człowieka, który przechodząc obok, lekko trącił go ramieniem.

– Przepraszam.

Meyer obrócił się instynktownie. Twarzy dokładnie nie widział, ale przecucie nie mogło go mylić. To na pewno jeden z tej dwójki Polaków, których obecność w Rumunii zrobiła się dla niego nad wyraz niebezpieczna.

Może ten poranek nie będzie tak stracony, jak z początku myślał.

\*\*\*

Galiński kręcił się niezdecydowany po korytarzu, nie bardzo wiedząc, w którą stronę ma się udać. Już wczoraj było tu pełno ludzi, ale dziś przewalały się tędy prawdziwe tłumy. Tych kilka pielęgniarek, które kojarzył z widzenia, dziś zapewne miało wolne, bo żadna z nich nie pojawiła się w polu widzenia.

Nie szkodzi. Jakoś sobie poradzi. W końcu nie do takich zadań został wyszkolony.

Oddział chirurgii urazowej znajdował się tuż przed nim. Któryś z przechodzących pracowników zagadał do niego, ale on zignorował natręta i poszedł dalej.

W pierwszej sali znajdowali się sami mężczyźni i wszyscy co do jednego leżeli na łózkach, z kończynami zapakowanymi w gips. Leny nigdzie nie dostrzegł. Co by zresztą robiła w tym towarzystwie?

Kolejny pokój wyglądał podobnie. Takie same smutasy i taki sam przegląd połamanych rąk i nóg.

Z trzeciego jechało środkami odkażającymi. Leżał tam monstrualnie otyły człowiek tępo wpatrujący się w sufit. Po Lenie ani śladu.

Oddział dla kobiet znajdował się kawałek dalej. Kilka z nich już wstało, kręcąc się po salach.

Tym razem musiał zachować więcej dyskrecji. Jeśli będzie się gapił jak sroka w gnat, dostanie po pysku. W końcu nie jest ani ojcem, ani mężem, ani bratem czy synem żadnej z nich.

Galiński wreszcie przystanął, zniechęcony poszukiwaniami. Wszędzie, gdzie nie spojrzeć, ludzie mocno poszkodowani przez los, ale bez urazów głowy czy twarzy. Popescu mówił o chirurgii, to fakt, tylko że szczękowo-twarzo-

wej. Ciśnienie trochę z niego uszło, gdy uzmysłowił sobie, gdzie popełnił błąd.

Znalezienie izby, w której pacjentów karmiono przez słomkę, nie było proste, lecz w końcu dostrzegł chłopaka z pokiereszowaną twarzą. Jeżeli on go nie doprowadzi do celu, to już tylko pytać pielęgniarek.

– Robert.

Jak na wywiadowcę, dał ciała na całego. Szukał jej, a to ona dostrzegła go pierwsza. Stała tuż za nim, uśmiechając się opuchniętymi ustami. Manto, jakie otrzymała, zapamięta na długo.

Zrobił krok w jej stronę. Potem drugi.

– Boli? – Nie mógł się powstrzymać, żeby nie zapytać.

– Wcale.

– Naprawdę?

– Może trochę.

Wziął ją za rękę, starając się, by nie wyglądało to zbyt poufale, ot zwykły gest mający dodać dziewczynie otuchy.

– Jest tu miejsce, gdzie możemy spokojnie porozmawiać?

– Świetlica. O tej porze powinna być pusta.

Przeciskali się pomiędzy ludźmi, wciąż trzymając się za rękę. Przez umysł Galińskiego przebiegło ze sto myśli naraz. Starał się być uważny, lecz mając głowę zaprzątniętą Leną, nie zwracał uwagi na otoczenie.

Świetlica nie była duża. Oprócz jednej osoby gapiącej się w ekran nikogo w niej nie było.

– Nie możesz tu zostać. – Tylu emocji nie czuł w sobie od dawna.

– Dlaczego?

– Przyjdą i cię zabiją. Tu nikomu nie można ufać.

– Myślałam...

– No co?

– Że po mnie nie przyjdiesz.

Chciał pogłaskać ją po twarzy, lecz w porę wycofał rękę. Te sińce i otarcia



zapamięta do końca życia. Lepiej, jeśli potrzyma dziewczynę za dłoń.

– Dzięki.

– Za co?

– Za to, że jesteś. A teraz zbieraj się. Za pięć minut wychodzimy.

\*\*\*

– Nie wiem, czy dobrze panów zrozumiałem. – Premier rządu RP Antoni Zegula popatrzył na szefa sztabu generalnego Tadeusza Karczewskiego wzrokiem pełnym przerażenia. – Panowie chcą, abym wyraził zgodę na interwencję, a przynajmniej na zaangażowanie naszych wojsk na terenie Węgier i Rumunii, czy może się mylę?

Zegula przeszedł długą polityczną drogę, od działacza samorządowego po prezesa Rady Ministrów. Nie stałoby się tak, gdyby nie pewne wrodzone cechy, którymi potrafił się wykazać, gdy przychodziła godzina próby.

Ponieważ nie sposób było znać się na wszystkim, przed podjęciem decyzji zawsze konsultował się ze specjalistami. W sprawach polityki wewnętrznej czy zagranicznej to jeszcze nic, większe czy mniejsze błędy zdarzają się każdemu, ale tym razem naprawdę chodziło o ludzkie życie.

Mit, który wpajano Polakom od lat, mówiący wyraźnie: „oni się tylko bronią”, miał zostać obalony, i to za jego sprawą. Właśnie zanosilo się na wojnę, w dodatku z niedawnymi sojusznikami. Polskie czołgi nad Dunajem to coś, co nie mieściło się w głowie. Polacy zabijają tylko w słusznej sprawie, wolność ceniąc ponad wszystko. A teraz, w imię tych wyższych racji, przypieprzą, komu trzeba.

Zegula miał z tym spory kłopot. Rozumiał argumenty, którymi kierowali się wojskowi, lecz widoku dzieci i kobiet masakrowanych przez ogień polskich wozów bojowych nie potrafił wyrzucić z umysłu.

– Po pierwsze, nie musimy tam wchodzić, bo już tam jesteśmy. – Szefa sztabu nie nękały najmniejsze wątpliwości. W przeciwieństwie do polityków, dla niego wszystko było jasne. Wroga należało zniszczyć już teraz, dopóki był słaby, bo jak urośnie w siłę, narobi kłopotu.

– Na Węgrzech stacjonuje nasza 12 brygada, a w Rumunii dysponujemy załadunkiem tej nowej mieszanej grupy bojowej. O mniejszych jednostkach nie chciałbym wspominać.

– Ależ proszę.

– Te pozostają w gestii nie mojej, a generała Banacha.

– Mhy...

– To sekcje, najwyżej drużyny, głównie nadzorujące pracę naszych urzędów nasłuchowych lub też prowadzące szkolenia w tamtejszych siłach zbrojnych. – Banach nie próbował niczego owijać w bawełnę. – O tajnych operacjach też pan chce usłyszeć?

– Prowadzimy takowe?

– Przeciwno Serbii i Turcji. Nie wiedział pan o tym? Nie dalej jak w zeszłym miesiącu został przedstawiony odpowiedni raport.

– Nie przypominam sobie. – Zegula spróbował ukryć ten niewygodny temat za kotarą niepamięci.

– Udało się nam namierzyć i wyeliminować niejakiego Laszlo Dragonovica. Nazwisko nie powinno być panu obce.

– I co z nim?

– Przecież powiedziałem, został wyeliminowany. W jego samochodzie wybuchła bomba.

– Tak normalnie? – Zegula był wyraźnie wstrząśnięty.

– Przy kilogramie pod siedzeniem to i nie ma co zbierać.

– A tak właściwie, to kim był ten Dragonovic?

– Dziennikarzem.

– No wie pan. Raz czy dwa napisał coś o nas niepochlebnie, ale to jeszcze nie powód do egzekucji.

– O panu też źle się wypowiadał. Co tam źle, wulgarnie! Mam dostarczyć teksty? – zapytał Banach.

– Lepiej nie.

– Było tam o panu i kozie.

– Prosiłem.

Oczy premiera zaczęły ciskać gromy.

– W tureckiej strefie okupacyjnej przejęliśmy oficera odpowiedzialnego za walkę z ruchem oporu. Teraz pracuje dla nas.

– Grecy się ucieszą.

– Z czego, panie premierze?

– Nie zamierzamy im pomóc?

– A po co? To nie nasza wojna. Najlepiej zrobimy, jak nie będziemy się w to mieszać.

– To po jaką cholere jest nam potrzebny ten oficer?

– Przekazuje nam informacje nie tylko o Grekach, ale i o tureckich strukturach, rozmieszczeniu oddziałów, prowadzonych operacjach. Krótko mówiąc, to skarbnica wiedzy.

– A o Rumunii?

– Tu sprawa jest bardziej skomplikowana. Dopiero niedawno dowiedzieliśmy się, kto wywołał zamieszki i jest odpowiedzialny za incydenty graniczne.

– Muszę przyznać, że zaintrygował mnie pan. – Zegula pochylił się nieznacznie do przodu. – To Rosjanie, prawda?

– Otóż nie, panie premierze. Tym razem za całą intrygą stoi Berlin.

– Jest pan pewny?

– Tak.

– Co oni mają z tym wspólnego?

– Wyjęliśmy Bukareszt z ich strefy wpływów.

– Sami prosili nas o pomoc.

– Co nie znaczy, że to zaraz musiało się skończyć entuzjazmem naszych sąsiadów.

– Kanclerz Voss zawsze odnosił się do nas ze sporą sympatią.

– Oficjalnie. Nieoficjalnie mogę powiedzieć, że nienawidzi nas z całego serca.

– Przecież kłaniał się polskiej fladze.

– Jak każdy przybywający na zaproszenie pana lub prezydenta.

Zeguła wymamrotał pod nosem zdanie, którego Banach nie zrozumiał.

– Niemcy, podobnie jak i my, potrzebują przestrzeni, rynków zbytu i sojuszników. Rumunię wybrali nieprzypadkowo. Mają tam słaby rząd. Łatwo nimi manipulować. Tak jak gdzie indziej, duże znaczenie mają resentymenty. U Węgrów działa to dokładnie w ten sam sposób.

– Wie pan, te strzelaniny są dla mnie niezrozumiałe.

– A gdyby Ukraińcy chcieli nam zabrać Przemysł, to jakby pan zareagował?

– To przecież jasne.

– Ma pan analogię.

– Mimo wszystko nie sądziłem, że zostanę zapamiętany jako ten, który doprowadził do rozlewu krwi.

– Albo ten, który mu zapobiegnie, panie premierze.

– Mianowicie?

– Historię piszą zwycięzcy.

– Nigdy nie patrzyłem na to w ten sposób.

– To niech pan zacznie.

Z Zeguły może i był porządny człowiek, ale jako chadek miał nieznośny sposób widzenia świata tylko w dwóch kolorach – czarnym i białym. Cała gama odcieni pośrednich była mu obca. Owszem, był pragmatykiem, lecz takim z zasadami, a to potrafiło skomplikować życie.

Od razu było widać, że nie ma pojęcia, co zrobić. Mogą tak siedzieć do usranej śmierci i nie dojść do żadnych konstruktywnych wniosków.

– Mam pytanie.

– Słucham, panie premierze.

– Rozumiem, że interwencja, której panowie są zwolennikami, mocno skonfrontuje nas z Berlinem.

– Tak – krótko odpowiedział Karczewski.

– To nie będzie dobre dla obopólnych interesów.

– Ja ten problem widzę zupełnie inaczej. – Karczewski mówił twardo i rzeczowo. – Oni już podjęli decyzję. Konfrontacja jest nie do uniknięcia i lepiej, żeby polem bitwy była Rumunia czy Węgry niż Wielkopolska.

– Pan nie mówi poważnie?

– Proszę mi wybaczyć, ale w tych kwestiach to ja się nie znam na żartach.

– Niemniej pana wypowiedź jest daleka od rzeczywistości.

– Beckowi i Śmigłemu w '39 też się tak wydawało.

Zeguła zamrugał powiekami.

– Ale...

– Musimy się liczyć z każdym możliwym zagrożeniem.

– Niemieckie bomby mają ponownie spaść na Warszawę?

– Aż tacy głupi to oni nie są. Nasza przewaga jest miażdżąca. Szybciej dojdziemy do Berlina niż oni do Poznania.

– Pana pewność siebie mnie przeraża. Mówi pan to z takim spokojem.

– Jestem realistą.

– Generał Karczewski ma rację. – Banach pośpieszył koledze z pomocą. – Do bezpośredniej konfrontacji raczej nie dojdzie, musimy się natomiast liczyć z akcjami odwetowymi, i to u nas.

– W Warszawie?

– Gdziekolwiek. Szalenciec z karabinem, zamach bombowy w środkach komunikacji publicznej, uderzenia w infrastrukturę strategiczną, próby ataków hakerskich. Gama możliwości jest całkiem spora.

– Chyba nie jestem w stanie tego zaakceptować.

– Spokojnie, panie premierze, odpowiemy tym samym, i może pan wierzyć, skutek będzie niszczycielski. My już nauczyliśmy się przyjmować takie ciosy, oni jeszcze nie.

Konfrontacja z Niemcami, obojętnie na jakiej płaszczyźnie, oznaczała kłopoty. Większe lub mniejsze, ale jednak kłopoty. Jak Zeguła ma stanąć obok Vossa na oficjalnym spotkaniu i wymienić z nim uścisk ręki, skoro wie, co tamten planuje?

Jak Niemcy, to i Francja. Paryż na pewno poprze Berlin. Ostatnio współpraca obu państw mocno się zacieśniła. Wspólne manewry, prawie jednolita polityka zagraniczna. Kraje starej Unii szły za nimi jak w dym, a takiego potencjału nie należało lekceważyć. Może i sporo się ostatnio nauczyli, ale wciąż byli pariasami w grze supermocarstw.

Najogłędniej rzecz ujmując, cała reszta bała się ich i przeklinała, równocześnie nie wiedząc, co o tym myśleć. Margines błędu, na jaki mogli sobie pozwolić, był naprawdę niewielki. Trwali i z każdym miesiącem umacniali swoją pozycję.

Zeguła może i nie chciał konfrontacji, ale wiedział, że nie może się przed nią uchylić. Polityka nie jest dla tchórzy. Nie lubisz podejmować decyzji, zostań w domu, zresztą nie od dziś wiadomo, że wrogów nie ma jedynie ten, który nic nie robi.

– Panie premierze. – Tym razem to Banach przerwał trwającą ciszę.

– Słucham.

– Sądzę, że niepotrzebnie zadręczamy się pewną wizją, która może nie mieć nic wspólnego z rzeczywistością.

– Proszę mówić dalej.

– Czy panu się wydaje, że węgierscy żołnierze będą strzelać do naszych?

– To pytanie raczej nie do mnie.

– Właśnie, że do pana. Parę rzeczy musimy sobie wyjaśnić. Jedno nie ulega wątpliwości, to nie będzie wyglądało jak ostatnia inwazja na Irak. Niech pan zapomni o kolumnach czołgów przełamujących obronę, samolotach rozbijających punkty oporu i całej reszcie.

– Oni tam podobno już rozpoczęli przenosiny chorych do domów. Szpitale mają przyjmować tylko ciężkie przypadki i rannych – powiedział Zeguła.

– Gdzie pan to usłyszał?

– W telewizji.

– Nic dziwnego, w Bukareszcie trwają zamieszki.

– Ale to dotyczyło Budapesztu.

- Tam niestety też.
- Proszę powiedzieć wprost, jak panowie mają zamiar rozwiązać ten kryzys?
- Tak jak zwykle, panie premierze.
- Może jakieś bliższe informacje?
- Zlokalizowanie i neutralizacja osób odpowiedzialnych za ten chaos.
- A jak pan chce to zrobić?
- Pojawiły się pewne możliwości. Na razie wolałbym o tym nie mówić. Nam również nie zależy na eskalacji. Dołożymy wszelkich starań, aby ucierpiało jak najmniej osób postronnych. Skoncentrujemy się głównie na doradzaniu tamtejszym służbom porządkowym, co mają robić.
- Najważniejsze to nie reagować na prowokacje – wypalił Zeguła.
- Święte słowa, panie premierze – poważnie przytaknął Banach. – Nasze grupy specjalne już tam są i działają. Na razie niczego więcej nie potrzebujemy.
- A te jednostki przerzucone na Słowację?
- To nasza karta przetargowa. Są tam i wraz z brygadami z Czech i Słowacji stanowią załączek naszego korpusu ekspedycyjnego.
- Nie brzmi to najlepiej. Korpus ekspedycyjny. Co ludzie powiedzą?
- W takim razie niech będzie: siły rozjemcze. W razie potrzeby wprowadzi się je na granicę węgiersko-rumuńską.
- Zaczyna mi to przypominać wojnę hybrydową.
- Do pewnego stopnia ma pan rację. Na pewno wykorzystamy pewne elementy, które Rosjanie tak skutecznie wprowadzili na Krymie, głównie w sferze propagandowej. W tym celu wyślemy tam dodatkowo 16 Grupę Walki Psychologicznej.
- I to nam zapewni zwycięstwo?
- Nie wiem, panie premierze, jak to będzie. – Banach wciąż zachowywał iście olimpijski spokój. – Wojna z natury jest nieprzewidywalna.
- Tak, wiem. – Zeguła popatrzył na zegarek. – Na mnie już czas.

Karczewski i Banach wstali wraz z premierem.

– Dobrze, proszę robić wszystko, co panowie uznają za stosowne. – Zeguła wypowiedział w końcu słowa, na które czekali.

– Może pan na nas liczyć.

Banach odprowadził premiera wzrokiem.

– Ja go rozumiem. Postaw się w jego sytuacji. Jeśli nie rozegra tego dobrze, poleci w następnych wyborach, albo i przed nimi. Opozycja będzie bezlitosna.

– On poleci, a my wraz z nim. – Karczewski był podobnego zdania co kolega. – Wspomniałeś o nowych możliwościach. Wszelkie informacje będą mile widziane.

– Nie naciskaj.

Karczewski, wyraźnie zaintrygowany, przekrzywił głowę.

– Proszę cię, nie rób mi tu uników. Jedziemy przecież na tym samym wózku.

– Na razie sam wiem niewiele.

– Znając ciebie, masz dojścia na samej górze. – Palec Karczewskiego został skierowany do góry. To miał być żart, ale zacisnięte szczęki Banacha wyraźnie wskazywały, jak niewiele się pomylił. – No nie...

– Tadziu, proszę cię, ani słowa więcej.

– Wiesz, Emil, co ci powiem... – Szef sztabu stanął bliżej Banacha. – Ty chyba jesteś najniebezpieczniejszym człowiekiem na tej planecie. Ja wcale nie przesadzam.

\*\*\*

Drzwi do mieszkania otworzył im Janco. Po Florinie Robert niczego złego się nie spodziewał. Policjant od początku był po ich stronie. Prędzej niż wroga będą w nim mieli sojusznika.

– Jest pułkownik? – Galiński przepuścił Lenę przodem, mając duszę na ramieniu.

– Czeka na was.



– Jasna cholera.

– Nie przeklinaj chłopcze. Jesteś w towarzystwie kobiety. – Florin pogroził Polakowi palcem.

– Nie mogłem się powstrzymać.

– Na przyszłość uważaj.

Galińskiemu w korytarzu mignął Parker. Sierżant mrugnął do niego okiem.

Nie jest najgorzej, byle tylko Halicki nie zaczął strzelać na ich widok.

Od ostatniego razu, kiedy tu był, w kuchni nic się nie zmieniło, może oprócz tego, że na stole leżała rozłożona gazeta, a na niej części do Sig Sauera P226, którego pułkownik właśnie czyścił. Widać było, że robił to wiele razy. Wszelkie czynności wykonywał automatycznie i wkrótce broń została złożona, magazynek wsunięty w rękojeść, a zamek przeładowany.

– Co pan, kapitanie, ma na swoje usprawiedliwienie? – Halicki odłożył pistolet i położył obie dłonie na stole.

– Nic. Jestem gotowy ponieść wszelkie konsekwencje.

– To dobrze, że jest pan gotowy, bo zapewniam, że tak się stanie. Raport, jaki napiszę, jednoznacznie określi pana jako kogoś, kto nie nadaje się do pracy operacyjnej.

– Zrozumiałem.

– Chyba nie do końca. Postaram się, żeby zostało wszczęte wobec pana postępowanie wyjaśniające.

Galiński przełknął ślinę. Zdaje się, że pułkownik nie żartował, wytaczając przeciwko niemu ciężką artylerię. Zniszczą go. Będzie miał wielkie szczęście, jeśli nie pójdzie siedzieć.

– Proszę mnie wysłuchać.

– Trochę na to za późno.

– Pan, pułkowniku, nigdy nie popełnił błędu?

O ile to w ogóle możliwe, spojrzenie Halickiego jeszcze bardziej stwardniało.

– Jesteśmy tylko ludźmi.

– Na chuj mi pierdolisz te frazesy! Naraziłeś nas wszystkich, jak tu jesteśmy! Wyjątkowy z ciebie idiota!

– Myślałem...

– Ty najwyraźniej zapomniałeś, kim jesteś. Zachowujesz się jak małe dziecko. Chcę to, chcę tamto. Czy ty myślisz? To znaczy widzę, że i owszem, ale nie tą częścią ciała, co trzeba. My już mamy kłopoty, a ty ładujesz nas w kolejne!

– To się więcej nie powtórzy.

– Ja wiem, że nie.

Zdaje się, że Halickiego kusilo sięgnięcie po Sig Sauera, ale powstrzymał się w ostatniej chwili.

– Jeżeli trzeba, mogę odejść.

– Nie kuś.

– Lena pójdzie ze mną.

– I gdzie się podziejecie? U niej w akademiku? Jesteś głupszy, niż ustawa przewiduje. Będziesz miał sprawę za niesubordynację. Chcesz do tego dołożyć dezercję? Banach cię wytropi na końcu świata i unicestwi. On tylko wygląda jak dobry wujek. Już lepiej będzie, jak posiedzisz te parę lat.

– Parę?

– Pięć, nie więcej. Wyjdiesz po trzech za dobre sprawowanie i dawne zasługi.

– To są żarty?

– Banach zna tylko jeden rodzaj żartów, wtedy gdy jego wrogowie smażą się w piekle. Jeżeli liczysz na zrozumienie, to jesteś frajerem.

– Tu nie chodzi o mnie. – Galiński wciąż stał z Leną przy boku, wstrząśnięty słowami przełożonego.

– Ja ciebie doskonale rozumiem. Tak między nami, to bardzo się cieszę, że ona tu jest. Naprawdę. Wcale nie przesadzam.

– To dlaczego nie zabraliśmy jej od razu?

– Bo nie należy do zespołu.

– Ochroniała Kusza.

– A teraz mamy Parkera i Wolskiego, dwie maszyny do zabijania, co to nie pragną niczego innego, tylko udowodnić swoją wyższość nad skurwysynami z KSK.

– Z czego?

– Osmecki przysłał nam informację. Zidentyfikowali tego pojechańca ze szpitala.

Dalsze wyjaśnienia musiały poczekać, gdyż do kuchni wpadł Janco w stanie mocnego wzburzenia.

– Musicie to zobaczyć!

Przed telewizorem w salonie stali już Wolski z Parkerem. Słowa płynące z głośników nie były im do niczego potrzebne, wystarczył sam obraz generała Nicolaia Radu, w paradnym mundurze wygłaszającego dłuższe oświadczenie. W tle, ponad jego ramieniem, widoczne były ulice Bukaresztu z jadącymi czołgami i wozami bojowymi.

– Niech zgadnę, właśnie wprowadzono stan wyjątkowy. – Halicki na wszelki wypadek zabrał z kuchni pistolet, który teraz wsunął za pasek z tyłu spodni.

– Ogranicza się swobody obywatelskie, w tym prawo do zgromadzeń, wprowadza się godzinę policyjną od dwudziestej drugiej wieczorem do szóstej rano, militaryzuje wiele gałęzi przemysłu, płace zostaną zamrożone, ograniczenia obejmą spółki zagraniczne, zwłaszcza te działające na rynku mediów – wyliczał Janco.

– TVP nie poszaleje. – Komentarz Wolskiego przeszedł bez echa.

– Co z rządem? – zapytał Halicki.

– Nie spełnił oczekiwań. – Florin wciąż nie odrywał spojrzenia od ekranu.

– Zatrzymano premiera i paru ministrów. Zostaną postawieni przed sądem. Termin nowych wyborów zostanie podany wkrótce.

– No to mamy przejebane.

\*\*\*

- Oskarze, proszę cię.
  - Teraz to Oskarze, a wczoraj miałeś mnie za wariata.
  - Ależ z ciebie pamiętliwy sukinsyn.
  - Ja, ja jestem pamiętliwy? Żartujesz.
  - Zwracam się do ciebie jak do przyjaciela.
  - Emil... Ty chyba nie wiesz, o co prosisz. To dopiero początki. Jeżeli coś pójdzie nie tak, konsekwencje będą straszne.
  - Przestań pieprzyć o konsekwencjach. Potrzebuję twojej pomocy, i to natychmiast.
  - Mojej?
  - Doskonale wiesz, o czym mówię.
  - Czasami trudno za tobą nadążyć.
- Banach przyłożył chłodną dłoń do czoła i policzył do dziesięciu. Groźbami niczego tu nie załatwi, a Borzęckiego ze stanowiska nie wypieprzy. Najważniejsze to przemówić Oskarowi do rozumu, a jak nie, to pogłaskać jego ego, i wszystko będzie dobrze.
- Oglądasz telewizję?
  - Nigdy.
  - Sporo tracisz.
  - I czego miałbym się dowiedzieć?
  - Kompletnie nie wiem, jak mam z tobą rozmawiać. Przychodzę po pomoc, a ty mi mówisz, że technologia jest niedopracowana. Osmecki twierdził coś zupełnie innego.
  - Powoli, Emil, bo zaczynasz mylić dwa różne pojęcia. Zrobiliśmy mały eksperyment, wpuszczając Ariadne do sieci.
  - Poradziła sobie?
  - Jest nad wyraz... Niekiedy to jakbyś rozmawiał z mistrzynią szachową, a czasami – jak gdybyś przysłuchiwał się głośzeniu nastolatki, która nie ma co na siebie włożyć przed pierwszą poważną randką.
- Ostatnie słowa usłyszała Cisowska, która właśnie wcisnęła się do dyrek-

torskiego gabinetu.

– O kim mówiłeś? – mimo że się uśmiechała, brwi miała mocno ściągnięte.

– Oskar się zakochał. – Banach postanowił podręczyć przyjaciela. Lepsza okazja mogła się już nie zdarzyć.

– Przestań się wygłupiać.

– Jeżeli to, co o niej opowiadałeś, jest prawdą... – Szef wywiadu założył nogę na nogę i wygodnie rozsiadł się w fotelu.

– O kim on mówi? – Cisowska już się nie uśmiechała.

– To rozmowa na inną okazję.

– Czemu? Po tym, jak mnie potraktowałeś wieczorem, czuję się urażona. Ja wiele jestem skłonna wybaczyć, ale moja tolerancja ma swoje granice.

– Co jest, Oskarze? Przed momentem byłeś taki rzeczowy. – Banach zawtórował sekretarce.

– To nie jest tak, jak myślisz.

– Ma na imię Adrienne.

– Ariadne, już ci przecież mówiłem.

– Jesteś obleśnym, starym dziadem! – Głos Cisowskiej brzmiał jak syk węża.

– Emil zapomniał tylko powiedzieć, że Ariadne siedzi właśnie tam. – Dłoń Borzęckiego wskazała komputer.

– Większego idiotyzmu dawno nie słyszałam.

– Ariadne.

– Słucham, panie dyrektorze?

Szept był tak zmysłowy, że Banach poczuł łaskotanie w końcówkach palców.

– Ariadne, wiesz, kim jestem?

– Oczywiście, panie generale. Już przejrzałam pańskie dossier i muszę przyznać, że nie znalazłam w sieci drugiego równie interesującego mężczyzny.

– Widzisz, Marzenko, ona leci na Emila.

– Wiecie, co wam powiem? Obaj jesteście nienormalni! – Wybuch Cisow-

skiej żadnego z nich nie zaskoczył.

Sekretarka odwróciła się na pięcie i dumnym krokiem wymaszerowała z gabinetu.

– Będziesz to teraz odkręcał. – Borzęcki z wyrzutem spojrzał na Banacha.

– Ja?

– Narobiłeś mi tylko kłopotów.

– Sam sobie jesteś winny. Ja grzecznie poprosiłem, a ty zaraz się na mnie wydarłeś. Teraz masz za swoje.

– Idź w cholerę.

– Ariadne, chcesz dla mnie pracować?

Rozmowa z SI zaczynała bawić szefa wywiadu coraz bardziej.

– Już to robię.

– Prawidłowa odpowiedź.

– A angaż dostanę?

– Możesz liczyć na wszelkie dodatki, łącznie z wysługą lat i nadgodzinami.

Tylko z urlopami nie przesadzaj.

Ten „wynalazek” był najlepszym spośród wszystkich stworzonych w instytucie. Inne nawet się do Ariadne nie umywały. I pogadać się z nią da, i pożartować.

– Powiedz mi, czy dasz radę zablokować start pocisków balistycznych, dajmy na to z Kozielska?

– Nie.

– Rozczarowujesz mnie.

– To rosyjska zamknięta sieć wojskowa, trochę jak tu, w instytucie.

– A jak znajdziemy dojsście?

– Mogę spróbować.

– Emil, ona nie wie, co mówi. To będzie jak zabawa zapalniczką na stacji benzynowej.

– Wiem o tym najlepiej.

– Słowo „nieobliczalna” samo ciśnie mi się na usta.

- Ktoś tu próbuje mnie obrazić. – Przed SI niczego nie dało się ukryć.
- To o mojej sekretarce. – Borzęcki przewrócił oczami.
- Pan jej nie lubi?
- Lubię, nawet bardzo, ale nie zawsze się dogadujemy.
- Przykro mi.

Banach, przysłuchując się tej wymianie zdań, wciąż nie potrafił wyjść ze zdumienia. Jeszcze trochę, a okaże się, że Ariadne ma uczucia. Może niech Oskar pomyśli nad ograniczeniami dla niej, bo w końcu ten eksperyment, o ile można tak o tym powiedzieć, wymknie się spod kontroli.

Właściwie to jaką ma jej przyznać grupę zaszeregowania? A o tym angażu to mówiła poważnie czy tylko żartowała? Swoją drogą, jak potraktować poczucie humoru u kogoś, kto nie żyje?

Gdy Osmecki wspomniał o niej pierwszy raz, Banach sądził, że w instytucie skonstruowano androida podobnego do człowieka. Dopiero później zdał sobie sprawę, jak bardzo się pomylił. Właściwie to gdzie ona ma mózg? Dobre pytanie. Czy jak wyłączą serwerownię, ona padnie wraz z nią, czy też zdoła w porę przenieść się w inne miejsce?

Kiedyś Isaac Asimov wymyślił trzy zasady robotyki. Na pierwszym miejscu znalazł się punkt mówiący o tym, że robot nie może skrzywdzić człowieka. SI to też dotyczyło.

Wszystko pięknie, ale on potrzebował Ariadne właśnie do krzywdzenia ludzi. Może nie w sposób bezpośredni, ale pośredni już tak. Właściwie na jedno wychodzi. Jeśli uszkodzą elektrownię jądrową czy wyłączą prąd w jakimś kraju, ofiary będą liczyć w dziesiątkach tysięcy. Na razie to jedynie teoria, ale kto wie, jak potoczą się wydarzenia.

Włamanie do archiwum Bundesnachrichtendienst (Federalnej Służby Wywiadowczej) to jedynie nic nie znaczący epizod. Prawdziwe schody zaczną się dopiero teraz: Rumunia, w której już dokonano przewrotu, i Węgry, gdzie do takiego dojdzie w najbliższym czasie. Bez pomocy Ariadne był bezsilny. Musi wytropić prowodyrów i zgnieść ich jak pluskwy. Inaczej się nie da. Część gru-

py z Bukaresztu już została przerwana na Węgry. Im szybciej dopadną tego Gabora Farkasa, tym lepiej. Facet był ewidentnie inspirowany przez Berlin, a nawet jeżeli nie, to odstrzelenie drania wyjdzie wszystkim na zdrowie. Kiedy zabraknie lidera, protesty już nie będą tak gwałtowne. Najważniejsze to nie zrobić z Farkasa męczennika.

Jeżeli plan się powiedzie... Na samą myśl uśmiechnął się sam do siebie. Może uda się wygenerować odpowiedni impuls przez komórkę i usmażyć delikwentowi mózg? Żaden tam snajper czy bomba pod samochodem. Należało iść z postępem, a postęp nazywał się Ariadne.

– Co ci tak wesoło? – zapytał Borzęcki.

– Nie tylko ty miewasz dobre pomysły. Mam do ciebie jeszcze jedną prośbę.

– Nie wiem, czy dam radę.

– Zrób coś z tym głosem. Kiedy zaczyna do mnie mówić jak Marilyn, wariuję.

– Mnie się podoba.

– Ciekawe, jakie zdanie ma w tej materii Marzenka.

Do Borzęckiego jakby dopiero teraz dotarł sens tego, co zrobił.

– Mówisz?

– Zachwycona nie jest. Widziałeś jej minę?

– Nawet mi nie przypominaj! – gniewnie warknął Borzęcki.

– Ariadne. – Banach postanowił wyręczyć kumpla w tym niewdzięcznym zadaniu.

– Tak?

– Sprawdziłaś już zasoby Filmoteki Narodowej?

– Nie było okazji.

– To zrób to teraz.

– Emil, co ty kombinujesz?

– Spokojnie. Po co te nerwy? Zaczynasz histeryzować, a wiesz, że tego nie lubię. Pomyśl lepiej, kogo chciałbyś usłyszeć zamiast Marilyn?



- Ciebie to bawi?
- Ani trochę. – Banach zaczął się zastanawiać, co z tego wyniknie.
- Już – oznajmiła SI.

Jeszcze trochę, a aksamitny głosik filmowej gwiazdy przyprawi go o palpitację serca.

- To jedziemy. Na początek... Wiesz co, zapytamy, kogo lubi Marzenka.
- Nigdy ci tego nie zapomnę.
- Oskarże, uśmiechnij się, życie jest krótkie.
- Może... No... Jak ona miała na imię? – z trudem wystękał Borzęcki. –

Jakoś nie mogę sobie przypomnieć.

- Bo się nie starasz.
- Wymyśl coś sam.
- OK. Jak ci się widzi Dorota Stalińska?
- Chyba cię, kurwa, pojebało! Mówi tak, jakby wygłaszała monologi!
- Ty się masz skoncentrować na pracy.
- Ale nie Stalińska. Ona skrzypi!

Banach wiedział, że nie będzie łatwo, ale problem należało załatwić szybko, najlepiej w ciągu minuty. Nie przyjechał tu na plotki, a w konkretnym celu.

- Bierzemy Polę Raksę – powiedział Banach. – Ani słowa więcej.
- Twoja decyzja. – Borzęcki przestał się rzucać, skrywając własne rozczarowanie za przymilnym uśmiechem.

- Przyślę Osmeckiego, on pokieruje działaniami.
- Postawimy się Niemcom?
- Nie, my tylko podniesiemy rzuconą nam rękawicę.

\*\*\*

Ludzie do debile. Lothar Meyer przekonywał się o tym codziennie. Wystarczyło wejść do internetu i przeczytać pierwszy lepszy artykuł. Urwało komuś nogę – lubię to, spadł samolot – lubię to, rekin pożarł nieostrożnego surfera – to też lubię. Czy ludzkie nieszczęścia zawsze muszą przyciągać takich świrów? Komentarze to kompletne nieszczęście. Nie mam niczego do powiedzenia, ale

i tak obwieszczę światu, co myślę. Jak powiedział klasyk: „Nie wiedziałem, że na świecie jest tylu idiotów, dopóki nie zamontowałem sobie w domu internetu”.

Święte słowa.

Do wydziału I (zwiad operacyjny), sekcji 11F (zadania specjalne) Federalnej Służby Wywiadowczej powinni trafiać sami najlepsi z najlepszych. Tak się przeważnie działo. Raz czy dwa zdarzały się drobne potknięcia, kiedy to jeden z operatorów, chłop jak byk, padł na atak serca, a drugiemu stres odebrał zdolność logicznego myślenia, ale większych problemów nie było.

Rainhard Hölderlin to już nie było potknięcie. Meyer podskórnie czuł, że będą z nim kłopoty. Najlepiej, jakby ciało znikło na dobre. Właśnie tym miał się zająć Popescu.

Jak się szybko okazało, to nie było takie proste. Zamiast krótkiej wizyty w kostnicy, dania w łapę, komu trzeba, i odtransportowania trupa do najbliższego miejsca utylizacji śmieci, w sprawy wmieszały się siły wyższe. W tym przypadku polska ambasada.

Gdy do Meyera dotarła ta informacja, omal nie dostał piany na ustach. Szkoda, że ostatecznie nie wysadzili tego cholernego szpitala w powietrze! Oszczędziliby sobie w ten sposób mnóstwa problemów. Polacy w końcu nie są takimi kretynami i wcześniej czy później wpadną na ich ślad.

Kusz podobno już sypał. Wystarczy, jak zidentyfikuje Hölderlina i cała intryga wyjdzie na jaw.

Na całe szczęście oni też popełniali błędy. Obserwacja tego młodego Polaka i jego dziewczyny przyniosła znakomity rezultat. Byli tak zajęci sobą, że nawet nie zauważyli, jak za nimi poszedł, i choć nie śledził nikogo od lat, poradził sobie bez problemu. Na koniec ściągnął paru chłopaków, a ci już obstawili lokal na dobre.

Ustalenie konkretnego adresu to żaden problem. Meyer nawet nie był zdziwiony, gdy się w końcu okazało, do kogo należy. Florin Janco, komisarz rumuńskiej policji, nadzorca i przewodnik tej dwójki, która przyleciała do Buka-

resztu z Warszawy.

A to nie byli wszyscy. Niedawno pojawiła się kolejna parka. W sumie pięć osób; Kusza i tej panienki nie liczył. Być może w mieszkaniu znajdował się ktoś jeszcze, o kim w tej chwili nie mieli pojęcia. Meyer przyjrzał się bliżej blokowi z wielkiej płyty. Wejście na górę i wygarnięcie całego towarzystwa nie będzie takie proste. Oni się w to bawić nie będą. Po co tracić dobrych operatorów? I tak nie miał ich zbyt wielu.

Na razie terenu pilnował czteroosobowy zespół obserwacyjny. W razie konieczności Meyer może ściągnąć kolejnych paru komandosów.

Nie obejdzie się bez pomocy tutejszych służb porządkowych. Warto nad tym pomyśleć.

A jeżeli nie policja, to armia. Muszą tu mieć oddziały specjalne. Informacja o niebezpiecznych terrorystach powinna zmobilizować Radu do działania. Generał zaprzedał im całą duszę, więc nie odmówi drobnej przysługi.

Przez moment Meyerowi wydawało się, że w obserwowanym mieszkaniu poruszyła się firanka. To mogło być złudzenie albo jakiś refleks świetlny. Żaden powód do niepokoju. Jak przyjdzie pora, to on już się z nimi policzy, inaczej nie nazywa się Meyer.

\*\*\*

– Kusza załadujemy do furgonetki. Pojadę z nim ja i szeregowy Wolski.

– A ten furgon to skąd? – zapytał Cyrus Parker.

– Janco przyprowadzi go prosto z policyjnego parkingu – oznajmił Halicki, który pewne szczegóły ewakuacji omówił wcześniej z Florinem. – Oprócz furgonetki potrzebujemy dwóch samochodów. Toyota naszego przyjaciela zostaje na miejscu. Ten SUV za bardzo rzuca się w oczy.

– To fakt.

– Cieszę się, że tak uważasz.

Parker, zdziwiony, uniósł brwi do góry.

– Razem z Wolskim zorganizujecie wcześniej dwa odpowiednie wozy.

– Ja?

– Jakiś problem? Samochodu nie potraficie ukraść, sierżancie?

– Poradzimy sobie.

– Tylko nie podpierdolcie limuzyny ministra obrony, bo oni tu szalu dostaną.

– Zobaczymy, co da się zrobić.

Parkera to on chyba nie polubi nigdy, ale jednego nie można było Amerykaninowi odmówić – przynajmniej się starał. Chodzenie po krawędzi wydawało mu się czymś normalnym. Inni wymiękali, gdy on dopiero się rozgrzewał. Wolski, nie chcąc być gorszy, prawie we wszystkim naśladował sierżanta.

W przeciwieństwie do nich Galiński był zainteresowany wyłącznie Leną. Jak tak dalej pójdzie, odeślą go na lotnisko i niech wraca do Polski samolotem. Albo niech leci, gdzie tam chce. Pożytek z niego niewielki.

– Drugim samochodem pojedą komisarz Janco i kapitan Galiński, a trzecim sierżant Parker i Lena.

– O ile mogę... – odezwał się Galiński.

– Nie możecie, kapitanie. Wasz głos już się nie liczy.

– To niesprawiedliwe.

– O tym, co jest sprawiedliwe, a co nie, decyduję ja osobiście.

Widać było, że chłopak nie chce odpuścić i ma do powiedzenia to i owo, ale najlepiej byłoby, żeby poszedł w diabły. I pomyśleć, że kiedyś byli sobie całkiem bliscy.

Florin, który nieustannie krążył po mieszkaniu, stanął w końcu obok Halickiego i szturchnął go w ramię.

– Pozwól ze mną na minutę.

– Do kuchni?

– Nie.

Halicki, o nic nie pytając, posłusznie pomaszerował za komisarzem.

– Widzisz tamtą białą skodę Octavię?

Polak wyjrzał ponad ramieniem Janco. Chwilę trwało, zanim wyłowił spośród kilkudziesięciu zaparkowanych aut to właściwe.

– Tu nikt czymś takim nie jeździ.

– Może właściwie przyjechali w odwiedziny?

– Gówno tam. Mieszkam tu dziesięć lat i ten szrot widzę pierwszy raz na oczy.

– Kurwa mać.

Jednak Galiński spierdolił sprawę na maksa i przyciągnął za sobą ogon. Florinowi akurat Halicki wierzył. Ktoś taki ma wyczucie i oko na detale. Alarmu nie podniósłby bez powodu.

Teraz należało znaleźć odpowiedź na pytanie, czy to policja czy niemiecka FSW. Raczej ci drudzy. Wóz policyjny Florin rozpoznałby od razu.

– Co robimy?

– Daj mi sekundę. – Halicki spróbował uspokoić myśli. – Parker i Wolski, do mnie.

Dwójka operatorów z JSOC zjawiała się w pokoju prawie natychmiast. Za ich plecami zamajaczyła sylwetka Galińskiego.

– Ciebie nikt tu nie wzywał! – Halicki warknął pod adresem kapitana. – Wyjdź i zamknij drzwi.

Nie powinien się tak zachować, wiedział o tym doskonale, ale nie potrafił się powstrzymać.

– Mamy kłopoty – oznajmił, gdy zostali sami.

– Ilu? – Parker od razu przeszedł do konkretów.

– Trudno powiedzieć. Na pewno kilku.

– Tutejsi?

– Raczej nie.

– Czy to... – Kciuk operatora wskazał w stronę salonu.

– No.

– Proszę się nie obrazić...

– Sierzancie, wasze przemyślenia względem kapitana Galińskiego na razie mnie nie interesują.

– Przepraszam.

– Sprawdźcie, czy klatka schodowa jest czysta.

– Tak jest.

– Odmaszerować.

Z Kuszem na plecach ewakuacja będzie naprawdę ciężka.

– Piotr... – Halicki usłyszał głos Janco.

– Tak?

– Będę z wami do końca.

– Nie musisz tego robić. Już i tak siedzisz w gównie po uszy.

– Czy tobie się wydaje, że w kraju rządzonym przez armię miałbym jeszcze jakąś przyszłość?

Jasna cholera. Przez tego Rumuna zaczynał wymiękać.

– Nie wiem, co ci mam powiedzieć.

– Najlepiej nie mów nic. Pogadamy, jak wszystko będzie za nami. – Florin klepnął Polaka w ramię i opuścił pokój.

Octavia stała wciąż w tym samym miejscu. Potrzebowali pomocy, a takiej mogła udzielić jedynie Warszawa. Dobrze, że naładował telefon. Następna okazja może się szybko nie trafić. Jeden sygnał, drugi, trzeci. Czyżby Osmecki odsypiał nockę? Zanim odbierze, pozabijają ich tu. W końcu usłyszał gardłowe „no” rozbawionego adiutanta Banacha.

– Dobrze się bawisz?

– Właśnie... Mniejsza z tym. Mów, o co chodzi?

– Niedługo dobiorą się nam do skóry. Właśnie obstawili okolicę.

– Armia?

– Stawiałbym raczej na federalnych.

– Potrzebuję pięciu minut.

– Będę czekał.

\*\*\*

– Żarty się skończyły.

Borzęcki, który szukał czegoś w biurku, podniósł głowę.

– Pan wybaczy, pułkowniku, ale Ariadne nie jest jeszcze gotowa.

– Bardziej gotowa już nie będzie, a zabezpieczenia rumuńskich baz danych nie są takie jak niemieckie.

– Rumuńskie, pan mówi?

Gabinet Borzęckiego przez ostatnie godziny uległ pewnym modyfikacjom. Na ścianach przybyło ciekłokrystalicznych monitorów, które obecnie wyświetlały obrazy z różnych części świata. Z Brazylii szedł mecz na żywo. Flamengo Rio de Janeiro wygrywało z Palmeiras San Paulo 3 do 0. W Australii, w zoo, urodziło się słońtątko z dwiema trąbami, tak przynajmniej informowała czarnoskóra dziennikarka, bo samego dziwadła nigdzie nie dawało się dostrzec, a na Fidzi... Zresztą, kogo obchodziło Fidzi?

Dobrze, że pewne kroki zdołał podjąć odpowiednio wcześniej. W powietrzu nad Bukaresztem krążyły trzy polskie drony, może nie tak zaawansowane technologicznie jak ten zestrzelony nad Warszawą i dużo od niego mniejsze, ale były tam, a rumuńska OPL nic o tym nie wiedziała.

FSW posiadała dobre rozeznanie, ale sporo im jeszcze brakowało do doskonałości. Oni wciąż nie zdawali sobie sprawy, z kim przyszło się im zmierzyć. Kiedy Amerykanie wylądowali w Polsce, Berlin okazał daleko idącą wstrzeźliwość. Oficjalnych gróźb nie było, ograniczono się jedynie do nic nie znaczących apeli. Oczywiście, apele miały dotyczyć jedynie Warszawy. Berlinowi nic nie wiązało rąk, a po tym, co wyprawiano na Bałkanach, trudno się było zorientować, czy to nie jest wstęp do czegoś więcej.

Drony to świetna sprawa, ale nie załatwiały wszystkiego. W Bukareszcie, obok Parkera i Wolskiego, znajdowała się jeszcze sekcja JSOC. Eliminacja fagasów z FSW to zadanie akurat dla nich. Pod blokiem tego rumuńskiego gliniarza mogą się znaleźć w pół godziny, a to dość czasu, aby zidentyfikować wrogów.

– Ariadne, pokaż mi okolicę, w której mieszka Florin Janco.

Monitor zamigotał i po sekundzie pojawił się na nim obraz ogólny interesującego ich kwartału ulic, nadawany z satelity. Podgląd z drona w czasie rzeczywistym uzyskują za około pół minuty.

– Możesz się podpiąć do tamtejszego monitoringu?

Tym razem było gorzej. Trzy kamery wycelowane w różne strony to trochę mało. Sklep monopolowy w tej chwili ich nie interesował, podobnie jak osiedlowy oddział jednego z większych rumuńskich banków. Obie kamery dawały podgląd na wszystko, co działo się wokół nich, a Osmeckiemu niedokładnie o to chodziło.

Z ostatniej też był niewielki pożytek, bo znajdowała się po prostu za daleko, a przekaz był podłej jakości.

Na razie nie szło im najlepiej. Niech więc Ariadne wykaże się kolejnymi talentami.

– Potrafisz określić, ile osób znajduje się w promieniu stu metrów od mieszkania Florina?

Efekt przerósł najśmielsze oczekiwania pułkownika. Właśnie o coś takiego mu chodziło. Monitory zaczęły wyświetlać obrazy fragmentów ulic, mieszkań, klatek schodowych i setek innych miejsc, a głośniki transmitowały przekaz dźwiękowy.

– Jak to zrobiłaś?

– Głównie telefony komórkowe, ale i laptopy, telewizory...

– Możesz się podłączyć do telewizora?

– Nie do każdego.

Wzrok Osmeckiego skakał pomiędzy monitorami. Na jednym matka przewijała dziecko, na innym młoda para... no, mniejsza z tym, gdzie indziej toczyła się domowa awantura.

– Wiesz, kogo szukamy?

– Tak.

– Potrafisz ich zidentyfikować?

– Tak.

Obraz bardzo szybko zaczął się zawężać do kilku stałych punktów. Im więcej informacji zbierała SI, tym szybciej odpadali kolejni podejrzani.

Na koniec pozostały trzy samochody i pięciu ludzi. Osmecki z radością po-



klepał się po kolanach. W ciągu paru sekund Ariadne zrobiła to, co zespołowi informatyków sprawiłoby mnóstwo problemów, bo w tej całej zabawie wcale nie chodziło o brak informacji, ale o ich nadmiar.

Właśnie w tym momencie uzmysłowił sobie jedno – Ariadne była bronią masowego rażenia. Wystarczy, że Osmecki powie choć słowo, a wywoła kolejną wojnę światową, i może to zrobić tak, że nikt się nie dowie o jej początku i końcu. Przegrani nawet nie zauważą, że już po nich. Wystarczy we wszystkich bankach wykasować wygenerowane przez komputery kwoty i już, koniec zabawy. Bogaci zostaną biednymi. Całą resztą nikt się nie będzie przejmował.

Rakiety nie wystartują, wojska nie opuszczą koszar, przekaz idący w internecie przytnie się tak, aby pasował do okoliczności. Im więcej komputerów zostanie podłączonych do sieci w danym kraju, tym łatwiejsza będzie taka operacja. Jak się okazuje, najtrudniej manipulować tymi, którzy niczego nie posiadają. Tylko kogo może obchodzić hodowca kóz w Afryce czy rolnik w Pakistanie?

Na konkretne rozważania przyjdzie jeszcze pora. Teraz należało działać.

\*\*\*

– Jest tak. – Halicki stał przy oknie, mając przy sobie operatorów JSOC i Florina. – Skoda Octavia raz, tamta beżowa dacia, dobrze mówię, to dacia?

– Ummm – potwierdził Rumun.

– Dwa. Z tyłu mamy jeszcze audi Q5 i saaba. Tu są numery rejestracyjne. – Podał im swoją komórkę.

– Skubani – wyrwało się Wolskiemu. – Pięć minut i komplet informacji. Jak oni to zrobili?

– Pojęcia nie mam – odparł Halicki.

Osobiście brał udział w niejednej tajnej operacji, ale ta była wyjątkowa. A na początku mieli pomóc Florinowi w śledztwie. Teraz to on będzie im osłaniał tyłki. Czy ten świat nie jest kompletnie porąbany?

– Dostaniemy wsparcie? – Tym razem pytanie zadał Parker.

– Reszta twojej sekcji już tu jedzie. Zadowolony?

- Jak to mówią...
- Ruszamy za dziesięć minut.

\*\*\*

– Podrzucić mnie do tamtego skrzyżowania – polecił Meyer kierowcy osobowej skody Octavii.

Dłużej tu zostać nie może. Na mieście miał jeszcze sprawy do załatwienia. Na wszelki wypadek za parę minut pod blok podjedzie drużyna bojowa, w razie gdyby tamtym wpadł do głowy pomysł szybkiej ewakuacji. Za godzinę to i tak będzie bez znaczenia. Wozy bojowe i śmigłowce rozpieprzą to miejsce w drobny mak.

\*\*\*

– Jeden odjechał. – Nie wiadomo dlaczego Wolski mówił szeptem. – Może spróbujemy teraz?

- Nie wydaje ci się, że to tylko zmiana pozycji?
- W końcu i tak musimy stąd wyjść.

Halicki popatrzył na zegarek. Za trzy minuty kumple Parkera zaczną wysyłać tamtych wprost do piekła.

– Schodzimy – zdecydował. – Robert i Lena, bierzecie Kusza.

– Sądziłem... – Galińskiemu pomysł eskorty rannego kierowcy wcale się nie spodobał.

– Albo wykonujesz rozkazy, albo wypierdalasz! Dość mam twojej niesubordynacji! Decyduj, czego chcesz!

Kapitan od razu cofnął się o parę kroków.

– Pistolet się, kurwa, znalazł! – Halicki zaczął drzeć w prawdziwej furii. – Jeśli Kuszowi spadnie choć włos z głowy, gorzko tego pożałujesz!

Reszta zespołu stłoczyła się tuż przy drzwiach wyjściowych.

– Jazda! – pogonił ich do działania.

Pierwszy wyszedł Wolski, tuż za nim sierżant. Od schodów dzieliło ich najwyżej parę metrów.

– Czysto.

Jeden za drugim zaczęli opuszczać mieszkanie Florina. Dwie i pół minuty. Akurat zejść na parter. Byle tylko nie natknęli się na któregoś z lokatorów. Atrakcji mieli i tak w nadmiarze.

\*\*\*

Horstowi Elsbergowi od długiego siedzenia ścierpł tyłek i nogi. Próbował przywrócić krążenie udreńczonym mięśniom, zapadając się coraz bardziej w głąb fotela, to jednak nic nie pomagało.

W końcu siedzenie kierowcy to nie kanapa, na której dawało się poprzewracać na wszystkie strony.

Pozycja, w jakiej się znalazł, nie zapewniała komfortu. Kolana wbiły się w kolumnę kierownicy, a kark zeszywniał na amen. Horstowi nie pozostało nic innego, jak dźwignąć się do pionu.

Jeszcze trochę, a dostanie świra. Jęknął, opierając dłoń o fotel pasażera. Na szczęście był sam i nikomu nic do tego, co robi w tym momencie. Co prawda, obserwacja w parze miała tę zaletę, że można było sobie pogadać, ale on akurat lubił samotność.

Niby nic nie robi, a pracuje. Ile osób może tak o sobie powiedzieć? Powinien się z tego cieszyć, a jednak zaczynała go dopadać melancholia. Gdy ostatni raz pojawił się w rodzinnym domu, nie potrafił rozeznaczyć miejsc. To znaczy, ulice, domy i cała reszta wyglądały jak przed laty, ale rodowitych Niemców pozostało tam niewielu. Dominowali przyjezdni. Ten cały różnojęzyczny tłum przyprawiał Elsberga o mdłości. Parszywa hołota. Nawet języka dobrze nie znali. Gangi Syryjczyków, Erytrejczyków, Pakistańczyków walczyły ze sobą o strefy wpływów, masakrując przy okazji kogo popadnie. Oczywiście, całe to zamieszanie czynili w imię wyższych racji. Sury Koranu nie schodziły im z ust.

Horst najchętniej wszystkich takich sukinsynów powystrzelałby ze służbowego pistoletu. Co więcej, nie byłby sam. Co najmniej kilku kumpli poszłoby za nim jak w dym.

Jeżeli oni nie zaprowadzą porządku, to kto? Przecież nie te łachudry z poli-

cji. Ci nadawali się już tylko do pilnowania komisariatów, a i tam nie czuli się bezpieczni. O patrolowaniu ulic można było zapomnieć. Handlarze narkotyków i złodzieje aut kręcili się już pięćdziesiąt metrów od posterunków, a każdy z nich uzbrojony był w taką samą giwerę jak federalni funkcjonariusze.

Na samą myśl o panującym bezprawiu Horstem zatrzęsło. Przywódcy lokalnych społeczności bali się lub też nie widzieli problemu. Zresztą, co się tu dziwić starszym panom czy paniom. Każdy chce żyć, każdy ma rodzinę, a czasami i plany na przyszłość.

Horst siedział i myślał, a adrenalina już krążyła mu we krwi.

Człowieka, który szedł chodnikiem, dostrzegł niejako przypadkiem. Po prostu wzrok Horsta przesunął się po lusterku, gdy ten gość był już całkiem blisko. Właściwie to wyglądało tak, jakby chciał go zapytać o drogę.

Elsberg wykręcił głowę. Opierdoli gnoja tak, że tamten prędzej kupi sobie mapę, niż spróbuje wypytać, gdzie tu jest najbliższy przystanek autobusowy.

Nim zdążył otworzyć boczne lusterko, dostrzegł, jak tamten wyciąga spluwę i celuje w jego stronę. O co, kurwa, tutaj chodzi?!

Odpowiedź na to pytanie już na zawsze pozostała dla Horsta tajemnicą. Zginął, trafiony 9-milimetrowym pociskiem prosto w czoło.

\*\*\*

Kapralowi Jamesowi Appeltonowi nawet nie drgnęła powieka, gdy wykonywał wyrok. To nie był pierwszy trup w jego karierze, nawet nie drugi. Zabił już tylu ludzi, że stracił rachubę. Zresztą, jak się naparza z karabinu maszynowego, wrogowie padają jeden po drugim. Co tu liczyć? Skurwysynom się należało i tyle.

O czym ten debil myślał? Dał się podejść jak ostatnia ciota.

Szkoda, że nie załatwili wszystkich Niemców, jak była ku temu okazja. Zamiast w Hiroszimę należało jebnąć w Berlin czy Hamburg, i po kłopotcie. A tak, brużdzą im do tej pory.

Kapralowi jakoś nie przyszło do głowy, że od dawna nie służy w US Army, tylko w Wojsku Polskim. Na obecnym etapie różnice były wyłącznie kosme-

tyczne, a wróg ten sam. Ruscy, Niemcy – jedna swołocz. Appelton mógł ich załatwiać całymi tuzinami. I nie czuł się przy tym psychopatą. On tylko wypełniał swój patriotyczny obowiązek.

– Jedyńka, po kłopotcie – rzucił do mikrofonu znajdującego się tuż przy brodzie.

– Zrozumiałem. – Odpowiedź usłyszał natychmiast.

Podobno ci Niemcy to wyjątkowo niebezpieczne typy. I o co tyle hałasu? Dla byłych żołnierzy służących wcześniej w Iraku bądź Afganistanie byli jak amatorzy, którzy nigdy nie brali udziału w zabawach dla dorosłych.

\*\*\*

Lothar Meyer dla świętego spokoju postanowił sprawdzić pozostałe punkty obserwacyjne. Jedną wpadkę już zaliczyli. Przy kolejnej zostanie odwołany do domu, a kto wie, może i wydalą go ze służby, choć tej możliwości nie brał na poważnie. On nie zostanie wydalony, a usunięty raz na zawsze. Piec krematoryjny lub ciemna mogiła, i tyle. Nikt się nie będzie przejmował oficerem, który nie poradził sobie podczas wykonywania zadania. Już na wstępie zaznaczył, że chce pełnej autonomii, żadnego sterowania z góry. Dostał to, o co poprosił, a mimo wszystko nie dał rady. Na jego miejsce znajdzie się wielu takich, którzy tylko czekają na jego potknięcie.

– Czwórka, słyszysz mnie?

Przedłużająca się cisza zaczęła Lothara mocno wkurzać.

– Horst, do jasnej cholery, ocknij się wreszcie!

Elsberg lubił popadać w stany pełnej zadumy. Trwało to niekiedy całymi minutami. Niestety, te odloty zdarzały mu się coraz częściej. Niech on lepiej z obserwacji przejdzie do pracy administracyjnej.

– Horst...

Już nie żyjesz, popaprańcu!

– Trójka...

I tym razem Meyerowi odpowiedziała cisza. A to już nie mógł być przypadek.

Bordowy volkswagen boxer podjechał właśnie pod skrzyżowanie. Meyer wyskoczył z samochodu i pokłusował w tamtym kierunku. Łamał wszelkie zasady, ale na tym etapie nie miało to znaczenia.

Kątem oka wyłowił na chodniku jakiegoś typa z M4, który właśnie składał się do strzału.

Lothar padł jak długi na asfalt. Seria, która miała zmasakrować jego ciało, przeszła obok. Dosłownie sekundę później na ulicy rozpętała się regularna kaponada. Człowiek z M4 padł, ugodzony przez pociski oddane przez kierowcę skody.

Zespół komandosów z furgonetki właśnie ustawiał się obok wozu. Wszyscy bez wyjątku wyglądali jak kontraktorzy, którzy z Bagdadu dziwnym trafem przenieśli się do Bukaresztu. Niby po cywilnemu, ale każdy z nich uzbrojony po zęby.

Niech teraz spróbują im podskoczyć.

\*\*\*

Osmecki ze zgrozą obserwował trwające zamieszanie. Tych pięciu Niemców nagle rozmnożyło się do dwunastu. Dwóch obserwatorów jankesi już zdążyli zdjąć. Na resztę zabrakło dosłownie chwili. Meyer uniknął odstrzału wyłącznie przez przypadek. Wypadł z samochodu i popędził przed siebie, po czym niespodziewanie obejrzał się i to go ocaliło. Później wydarzenia przybrały niespodziewany obrót.

Sekcja mająca pomóc w ewakuacji liczyła tylko czterech ludzi. Jeden z nich już nie żył. Nie tak to miało wyglądać.

Tylko dlaczego SI nie zareagowała w porę?

– Ariadne, pokaż obraz w promieniu pięciuset metrów od miejsca zdarzenia.

Chaos, jaki zapanował na ekranach, nie przypadł do gustu Osmeckiemu. SI zrobiła to, o co została poproszona. Ona nie wnikała w szczegóły. Szlag! Ariadne powoli stawała się osobą, zupełnie jak Borzęcki czy Banach. Masaakra. Gdyby nagle stanęła obok, wcale by się nie zdziwił. Mogła mieć postać

Marilyn albo i Poli Raksy, to kompletnie bez znaczenia. Pewnie w instytucie bez problemu dadzą radę stworzyć jej hologram, a nad odpowiednimi procedurami to się jeszcze popracuje.

– Zawęż do trzystu metrów.

To ciągle nie było to, o co mu chodziło.

– Tylko dron.

Tym razem to było to.

Szkoda, że na ziemi akcja nie rozwijała się tak, jak zaplanowali.

\*\*\*

Strzelanina rozpętała się gdzieś przed nimi.

– Wolski, Parker...

– Jasne.

Wymieniona para pobiegła kłusem, osłaniając się nawzajem.

Byli już może ze dwadzieścia metrów od klatki schodowej, gdy z jednego z samochodów zaparkowanych pod blokiem Florina wyskoczył zdezorientowany kierowca.

– Plazma, kur...

Okrzyk Parkera ocalił mężczyźnie życie. To nie był jeden z obserwatorów, a zwykły człowiek, który właśnie przyjechał do domu z siatką pełną zakupów.

Halickiemu ulżyło, ale tylko na moment. Na lewo od nich wyskoczył wysoki i chudy gość z HK53 w dłoniach. Tym razem to tamten był szybszy. Suchy trzask oddawanych strzałów rozszedł się we wszystkich kierunkach.

Halicki spodziewał się co najmniej dwóch trupów, Wolskiego i Parkera, lecz ci wciąż stali. Nawet nie zostali draśnięci. Zdaje się, że mieli więcej szczęścia niż rozumu.

Sierżant wykorzystał okazję bez najmniejszych skrępowań. Jemu, w przeciwieństwie do przeciwnika, wystarczył jeden strzał.

– Bierzemy tego. – Halicki wskazał na starego forda transita w niebieskim kolorze.

Florin jednym uderzeniem pięści wybił boczne okienko i sięgnął do klamki.

– Prędej! – Skinął na Lenę i Galińskiego.

Tej parze wszystko przychodziło z największym trudem. Kusz swoje ważył, a Lena nie była w najlepszej formie.

Zajęcie miejsc trwało minutę. W Halickim z tego powodu aż zwinęła się wątroba.

– Wyprowadź nas! – rzucił do telefonu, jak tylko komisarzowi udało się uruchomić silnik.

Spodziewał się, że odpowie Osmecki, ale...



– W prawo, dwadzieścia metrów prosto.

Tego nie mówił pułkownik, tylko jakaś laska. Skądś ją znał, ale nie potrafił sobie przypomnieć szczegółów. Czyżby chodził z nią do liceum? O rany, kiedy to było! Nie. Raczej nie.

Głos kojarzył mu się z dzieciństwem. Podstawówka? Przedszkole? Kompletnie bez sensu. Z tamtego okresu nie pamiętał nikogo.

Kogo oni tam zatrudniają? Musi o tym pogadać z Osmeckim.

– Masz jechać...

– Sam wiem. – Florin zerknął gniewnie na Halickiego.

OK. To w końcu jego teren.

– A co z tamtymi? – Galińskiego zaczęły gnębić wyrzuty sumienia względem osłaniających ich komandosów.

– Poradzą sobie.

\*\*\*

– Plazma, chcesz żyć?

– Nie.

– Jesteś bardziej pojebany ode mnie.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Ukryci za czerwonym fiatem punto właśnie szykowali się do ostatniego skoku.

– Ja pierwszy – powiedział Wolski.

– Jak chcesz.

Pistolety przeciwko automatom. To wyjątkowy akt desperacji. Nic innego im nie pozostało.

Pierwsze, co rzuciło się w oczy Parkerowi, to leżące na chodniku zwłoki. Do końca nie był pewny, ale... Kurwa mać, to przecież John Zapalniczka Ronson! Facet, z którym wypił morze gorzały, o piwsku nie wspominając. I co? Skończył jako trup, w jakimś zaszranym kraju. Kolejny dobry kumpel, który przeniósł się na tamten świat.

– Fuck!

– Czego się wkurwiasz?

Wolski był w oddziale zbyt krótko, aby rozpoznać w leżącym Ronsona.

– To John.

– Aha... – Teraz to i szeregowemu zmięła rura. – Gdzie Appelton?

– Pewnie gdzieś tam.

Przystanęli tuż przy rogu budynku, ostrożnie wyglądając zza muru. Niespełna pięćdziesiąt metrów dalej trwała kotłownia na całego.

– Bierzemy sukinsynów.

Parker, niczym wściekły buldog, wypadł na otwartą przestrzeń. Od najbliższego ukrycia dzieliło go z piętnaście metrów. To akurat dość, by posłać do piachu paru drani odwróconych do nich bokiem.

Człowiek w beżowych spodniach i piaskowym podkoszulku znajdował się najbliżej nich. Właśnie zmieniał pozycję, przeskakując pomiędzy poszczególnymi samochodami.

Miał z metr osiemdziesiąt wzrostu i ciało atlety. Ruda broda i wąsy okalały wąską twarz. Na jego nosie tkwiły ciemne okulary. Do złudzenia przypominał kogoś z JSOC, ale na pewno nie był jednym z nich.

– Hej.

Wróg znieruchomiał, czujnie unosząc głowę do góry, aż w końcu popatrzył w bok.

To była ostatnia czynność, jaką wykonał w życiu. Jeden strzał, jeden trup. Z dwudziestu metrów Parker nigdy nie chybiał.

– Osłaniasz mnie.

Sierżant rwał przed siebie, tak jak jeszcze nigdy w życiu. Ten Heckler & Koch to ich jedyna nadzieja na ocalenie.

Kolejny Niemiec pojawił się tuż za pierwszym. I ten dysponował antyterrorystyczną wersją automatu. W przeciwieństwie do swojego kolegi poruszał się z dużo większą ostrożnością, a przynajmniej nie szarżował, tylko próbował rozeznaczyć się w sytuacji. Widząc Parkera, nie wahał się ani sekundy.

Sierżant, rozplaszczony na chodniku, próbował zejść z linii ognia. Wolski

usiłował ratować kolegę, od samego początku wiedząc, że nic z tego nie będzie. Zanim wykona zwrot, po sierżancie pozostanie mokra plama.

Ratunek przyszedł z zupełnie niespodziewanej strony. Seria z karabinu dosłownie zmiotła funkcjonariusza FSW z ulicy. Parker wytrzeszczył oczy, nie bardzo wierząc w to, co widzi.

– Plazma?

– To nie ja.

Kapral James Appelton, tym razem uzbrojony w karabin maszynowy M249 SAW, wyskoczył spomiędzy samochodów niczym diabeł z pudełka. Tuż za nim podążał sierżant Castillo.

– Załatwili Ronsona.

Ani Appelton, ani tym bardziej Castillo nic nie odpowiedzieli. O śmierci kumpla musieli wiedzieć wcześniej od niego.

– Gdzie Fisher?

– Już jedzie.

W tym miejscu dłużej nie mogli zostać. Przewaga wroga wciąż była miazdząca. Gdyby chodziło tylko o tych durnych obserwatorów, to już dawno byłoby pozamiatane. Walki z ciężko uzbrojonym przeciwnikiem nikt nie przewidywał.

Skąd te bydlaki się tutaj wzięły? Nikt wcześniej nawet się nie zająknął o ich obecności.

– Odwrót.

\*\*\*

Sytuacja ogólna była bardziej niż zła. Co prawda, Halickiemu wraz z kompanami udało się wyrwać z zastawionej pułapki, ale reszcie zespołu komandosów groziło całkowite wybicie. To cud, że do tej pory zginął tylko jeden z nich.

Historia służby Johna Ronsona ukazała się na jednym z monitorów. Osmeczek mógł ją sobie przeglądać do woli, zapisując jej ostatni akt.

Urodzony w 1989 roku w jakiejś zapadłej dziurze nad wybrzeżem Atlanty-

ku. W 2006 roku, mając 17 lat, wstąpił do marines. Był tak dobry, że szybko znalazł się w szeregach zwiadu, a tam – jak wiadomo – nie przyjmowano byle kogo.

Taki talent nie mógł się zmarnować. Czarne operacje to następny krok w karierze Ronsona. Podczas przesłuchań trochę o nich opowiadał. Raz w Syrii wrzucili lokalnego przywódcę ruchu oporu do sieczkarni. Zbrodnia poszła na konto dżihadystów. Innym razem facet został wykopany ze śmigłowca. Podobnych zdarzeń odnotowano więcej.

Choć Ronson do świętych nie należał, Parker bił go na głowę. Teoretycznie nie powinien mieć względem nich wyrzutów sumienia. To, bez wyjątku, dranie bez sumienia. Zwykłe mięso armatnie.

Jak się zużyją, nikomu nie będzie ich żal. A jednak...

Śmierć Ronsona była dla Osmeckiego jak strata najwierniejszego druha. Czy to, że zostali przyjęci do służby w Wojsku Polskim, uczyniło z nich innych ludzi? Na pewno nie. Wszyscy zostali sukinsynami do kwadratu, ale przynajmniej byli ich sukinsynami. Już nie jankeskimi żołnierzami, ale ich towarzyszami broni.

– Ariadne, możesz coś dla nich zrobić?

– Nie.

No pewnie, że nie. Na obecnym etapie wpływ SI został ograniczony do minimum.

Parker i jego podwładni muszą poradzić sobie sami.

\*\*\*

Wolski wyszarpnął ostatni magazynek z kurtki i wcisnął go w rękojeść pistoletu. Tych piętnaście nabojów nie wystarczy na długo. Jeśli będzie oszczędny, to minuta, maksymalnie półtorej. W przypadku reszty ekipy musiało to wyglądać podobnie. Ci, którzy posiadali automaty, oddawali krótkie serie. Za to wróg naparzał tak, jakby dysponował nieograniczonymi zapasami amunicji.

Pisk opon sprawił, że Wolski obejrzał się za siebie. Szare audi Q5 pędziło tyłem, na pełnym gazie, w ich stronę. Kierowcą musiał być urodzony rajdo-

wiec.

Wóz przystanął niespełna dziesięć metrów od niego.

– Dajesz! – Okrzyk Parkera zmobilizował Wolskiego do działania.

Wychylił się zza osłony, oddał kilka strzałów, a następnie pobiegł w stronę audi. Wpadł na tylną kanapę i natychmiast zaczął wypatrywać niebezpieczeństwa.

Kolejni operatorzy zaczęli wskakiwać do środka. Ostatni na miejsce obok kierowcy załadował się Cyrus.

– Gaz!

Samochód wystrzelił jak z procy. Przez zestaw głośnomówiący dobiegły ich słowa o tym, w jakim kierunku mają podążać.

Ernest, pierwszy raz słysząc padającą komendę, zdębiał.

– Pilnujesz prawej strony.

– Tak jest.

Wolski otworzył okienko. Od siedzącego obok Casillo otrzymał M4, z którego w razie potrzeby mógł otworzyć ogień do ścigającego ich samochodu. Sam Portorykańczyk zabrał się za obwiązywanie ramienia. Rana nie była poważna, ale mocno krwawiła.

– Plazma, kurwa, czego się szczerzysz?

– Ja?

– Nie, ja!

Castillo nie był w nastroju do żartów.

– Uciekliśmy.

– I to ma być ten powód?

– Lepszego nie znam.

– Za dwadzieścia metrów skręć w prawo.

Wolskim rzuciło do przodu. Dobrze, że zapał się ramieniem, inaczej huknęłoby głową o zagłówek znajdującego się przed nim fotela.

Układ zawieszenia jęczał, gdy wchodzili w zakręt, ocierając się o centymetry o uliczną latarnię.

– Pięćset metrów prosto.

Samochód pomknął, ile było mocy w silniku.

– Niebieski ford transit za czterysta metrów. Pułkownik się pyta, czy wszyscy zdrowi.

– Jeden miał wypadek, i to śmiertelny! – wrzasnął Parker.

– Przykro mi. – Głosik wydawał się być szczery aż do bólu.

– Mnie, kurwa, też.

\*\*\*

Należało się poważnie zastanowić, co dalej. Uciekli z mieszkania Florina bez konkretnego celu.

Normalnie, pognaliby w stronę granicy, ile mocy w silniku, niestety w tej chwili nie było to takie proste. Miasto obstawiały armia i policja. Można bez końca lawirować pomiędzy patrolami, objeżdżając całe kwartały ulic, ale w końcu i tak nadzieją się na jakąś blokadę. Zresztą, w jakim kierunku mają jechać? Granica z Węgrami będzie obstawiona tak, że mysz się nie prześlizgnie, a pchać się do Serbii nie ma sensu. Kierunek zachodni też nie zachęcał, bo i po co mieliby łądować się do Konstancy?

Pozostawała północ albo południe. Ukraina znajdowała się daleko, jakieś czterysta kilometrów od Bukaresztu. Pewne możliwości dawała Mołdawia, choć najbliżej było do Bułgarii. W ciągu godziny mogą się znaleźć po drugiej stronie granicy. Tam już będzie prościej. Wystarczy przekazać Osmeckiemu, dokąd się kierują, a ten już zacznie działać. Wpływy Warszawy może nie były tak duże, ale jakoś sobie poradzą.

Na razie telefon milczał. Operator musiał usłyszeć warknięcie Florina, bo więcej się nie odezwał.

Za to jęczenie Kusza było coraz głośniejsze.

– Co z nim?

– Dostał gorączki. – Lena próbowała nasączyć wodą pasek materiału, a następnie przyłożyć go do czoła kierowcy.

– Sprawdź, czy nie krwawi. – Słowa, które wypowiedział, ledwo przeszły

Halickiemu przez gardło. Wizyta w szpitalu była ostatnią rzeczą, jakiej obecnie potrzebowali.

– Wszystko gra.

– Więc skąd ta gorączka?

– Przeszedł poważną operację. Powinien leżeć, a nie być wożony kradzionym samochodem.

– Lena ma rację...

– Ciebie nikt o zdanie nie pytał.

– Za siedemdziesiąt metrów skręć w lewo. – Telefon niespodziewanie odezwał się głosem wciąż niezidentyfikowanej kobiety.

– Nie lubię być poucany. – Florin oczywiście wiedział swoje.

– Za pięćdziesiąt metrów skręć w lewo.

– Ona ogłuchła.

– Lepiej będzie, jak się jej posłuchasz.

– Mowy nie ma.

– Za dwadzieścia metrów skręć w lewo.

– Wtedy zrobimy objazd jak jasna... – Transit przyhamował, płynnie wchodząc w zakręt. – Kurwa!

Transporter opancerzony TAB B33 i trzy Humvee blokowały dalszy przejazd jakieś trzydzieści metrów od nich. Pluton żołnierzy wraz paroma policjantami, którzy stali obok pojazdów, obrócił się w ich stronę.

– No ładnie – zajęczał Galiński.

Ford stanął, a Florin wrzucił wsteczny.

– Następnym razem...

– Nie chcę tego słyszeć.

Jeden nadgorliwy szeregowy i po nich. Z transita zostaną strzępy.

Ku nim ruszył biegiem młody porucznik, wymachując automatem. Coś tam krzyczał. Pewnie wezwanie do zatrzymania. Co z tego, skoro jego zawodzenie ginęło w huku silnika.

– Za piętnaście metrów skręć w lewo.

– Znowu w lewo?

– Rób, co mówią.

Furgonetka to nie osobówka, nie da się jej zawrócić w pełnym pędzie i zmienić kierunku jazdy.

Florin był blisko pełnego mistrzostwa. Na przeszkodzie stanął znak drogowy, w który zdrowo łupnęli.

Halickiemu zadzwoniło w uszach.

– Ja pier...

– Później. – Janco już uruchamiał silnik, który w międzyczasie zgasł, i zakręcił kierownicą.

– Za pięć metrów...

– Wiem, wiem.

– Szybciej.

– Robię, co mogę.

Od strony ulicznej blokady oderwała się jedna z terenówek i ruszyła w ich stronę.

Fordem w końcu szarpnęło w tył.

– Nie tak ostro!

– Przeklinam dzień, w którym pierwszy raz zobaczyłem was na lotnisku! – Rumun aż kipiał z gniewu.

– Doganiają nas.

– Widzę.

Strzelec przy Browningu M2, umieszczonym na dachu pojazdu, już teraz mógł z nich zrobić rzeszoto.

W końcu ruszyli, wbijając się w uliczkę, która okazała się osiedlową drogą prowadzącą, jak się wydawało, donikąd.

Komórka Halickiego zamilkła na dobre. Tyle z Osmeckiego i reszty pożytku, kiedy są potrzebni.

– Tam. – Wskazał Florinowi miejsce, gdzie – jak się wydawało – istniał możliwy przejazd przez trawnik, a później dalej, na najbliższą przelotówkę.



Janco zareagował odruchowo. Transita wybiło do góry na krawężniku, tak że o mało nie huknęli głowami o sufit. Galiński z tylnej kanapy kłął jak szewc. Wybitny orientalista i coś takiego?

Na dalsze przemyślenia zabrakło czasu. Zawieszenie jęknęło, a oni rozkraczyli się w miejscu.

– No to mamy przejebane!

\*\*\*

Podobno jedną z miar, jakimi określa się człowieka, są jego buty.

Eleganckie, dobrej jakości obuwie potrafi powiedzieć o tym, który je nosi, więcej niż reszta garderoby razem wzięta.

Najczęściej bywa zaś tak, że ta najwygodniejsza para jest kompletnie zniszczona, a ta najlepsza uwiera jak jasna cholera, i samo dojście do samochodu sprawia trudności, o dłuższych eskapadach nie wspominając.

Ion Iliescu popatrzył na swoje rozdeptane mokasyny i ciężko westchnął. Gdy jako młody policjant szlifował krawężniki, praca za biurkiem była szczytem marzeń. Obecnie tamten okres wspominał z rozrzewnieniem. Wtedy życie było prostsze i łatwiejsze, a on był młodszy i szczuplejszy. Obecnie, gdy przypatrywał się swojemu odbiciu w lustrze, widział steranego pracą i obowiązkami człowieka, a nie kogoś, kto brał z życia wszystko, co najlepsze. Po pięćdziesiątce zrobił się zgorzkniały i marudny. Powoli zaczynał się godzić z myślą o emeryturze, a może i znalezieniu sobie spokojniejszego zajęcia.

Kumple co i rusz rozkręcali biznesy. Jeden prowadził agencję detektywistyczną, drugi towarzyską, a trzeci sklep z bronią. Na pewno znajdą dla niego odpowiednie zajęcie. Oczywiście, nie w charakterze osoby towarzyszącej... Już sama ta myśl mocno rozbawiła Iona.

Tak, co tu mamy...

Siedzący naprzeciwko mężczyzna również wydawał się ubawiony.

– Pan, zdaje się, nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji. – To były pierwsze słowa, jakie padły podczas wstępnego przesłuchania.

– Nie – odpowiedział tamten hardo.

– Zarzuty są bardzo poważne, a pana sytuacja skomplikowana.

– Coś podobnego.

– Ja nie żartuję.

– Ja też nie.

– Z dokumentów wynika, że jest pan obywatelem polskim.

– Tak.

– Z tego, co widzę... – Iliescu zerknął w stronę komputerowego monitora – pomagał pan w śledztwie dotyczącym zamachu terrorystycznego z udziałem pańskich rodaków.

– Tak jest.

– W takim razie, dlaczego nie zatrzymaliście się na wezwanie? U siebie w kraju też pan łamie przepisy? Nie sądzę. Policjant...

– Żandarmeria.

– Tym bardziej.

– Tak wyszło.

– Wyszło? Tak po prostu wyszło? – Rumun pokręcił głową. – No dobrze, skoro pan tak twierdzi. Przejdźmy do tematu, który interesuje mnie bardziej.

– Proszę pytać.

– Całkiem niedaleko doszło do pewnego przykrego incydentu. Pan oczywiście wie, o czym mówię?

– Pojęcia nie mam.

Iliescu przesłuchiwał różnych drani, ale taki jak ten trafił mu się po raz pierwszy. Ten facet miał kompletnie wszystko w czterech literach. Normalnie każdy, kto siedział naprzeciwko, trząsał kolanami. Wystarczyło huknąć w biurko, a tamci już srali po nogach. Ci twardsi próbowali się odszczekiwać, ale wystarczyło ich zamknąć na dwadzieścia cztery godziny i im również miękła rura.

Zatwardziali kryminaliści zamykali się w sobie, trwając w uporczywym stuporze. Byli i tacy, którzy od początku próbowali się dogadać. Jeszcze inni straszili albo zemstą mafii, albo wysoko postawionymi znajomymi. Iliescu

przerabiał to wielokrotnie. Natomiast sprawa z tym Polakiem przedstawiała się w sposób znacznie bardziej skomplikowany.

Na dobrą sprawę on, przedstawiciel rumuńskiej policji, był wobec tamtego bezradny. To dziwne, że w tej sprawie nikt jeszcze nie interweniował. Zapewne odpowiednia informacja nie dotarła do zainteresowanych.

– Niedaleko mieszkania pańskiego kolegi Florina Janco znaleziono ciało nieznanego mężczyzny.

– O ile wiem, to Florin Janco jest również pańskim kolegą.

Iliescu udał, że nie dosłyszał słów Polaka.

– Mamy też informacje o intensywnej wymianie ognia w tamtej okolicy.

– Mogę zadać jedno pytanie?

– Słucham.

– Trup był tylko jeden?

Ion nie odpowiedział. Posiadał tak mało danych, że na dobrą sprawę nie wiedział, na czym stoi.

– To ja zadaję pytania.

– Doprawdy?

Żadna cięta riposta nie chciała przyjść Iliescu do głowy. Prawdę powiedziawszy, ta rozmowa zaczynała go nużyć. Nie posiadał punktu zaczepienia. Ucieczka spod wojskowej blokady to trochę mało. Na pięć zatrzymanych osób troje to Polacy, do tego glina z komisariatu w centrum i jakaś dziewczyna. Chcąc im cokolwiek udowodnić, musi posiadać mocne dowody, a na razie miał tylko poszlaki.

O tym zabitym nie wiedzieli kompletnie nic.

Przeszukanie baz danych nie dało rezultatu. Facet po prostu nie istniał. Na kilometr śmierdziało to tajną operacją.

– Jak mam rozumieć pytanie: czy trup był tylko jeden? Czy to sugestia, że mogło być ich więcej?

– Ależ skąd.

– Proszę być ze mną szczerym.

– A co ja będę z tego miał?

– Czyste sumienie.

– O moje sumienie dba ktoś inny.

Policjantowi chciało się wyć.

– Wykradliście pacjenta ze szpitala. To świadek.

– Wszedł na własne żądanie.

– Już nie wiem, jak mam z panem rozmawiać.

– To nie jest mój problem.

– Pan się nazywa?

– Tam jest napisane.

– Stopień służbowy?

– Podpułkownik.

– Podpułkownik żandarmerii, tak? Czyli glina, jak ja. I takie numery pan odstawia! Stoimy po tej samej stronie.

– Nie jestem tego taki pewien.

W międzyczasie na monitorze pojawiła się nowa informacja. Ktoś tam w końcu ruszył głową. Martwy mężczyzna zyskał tożsamość. To niejaki Aleksander Poskrebyszew, zamieszkały w Tyraspolu przy Prospekcie Lenina. Wcześniej nienotowany.

– Zna pan człowieka o nazwisku Poskrebyszew?

– Kogo?

– Aleksander Poskrebyszew.

– Nie przypominam sobie.

Po raz pierwszy od początku rozmowy Iliescu wyczuł, że jego rozmówca jest autentycznie zdziwiony.

– Skąd pan go wytrzasnął?

– Proszę nas nie traktować z góry. I tutaj pracuje masa inteligentnych ludzi.

– Przez grzeczność tego nie skomentuję.

Ion o mało nie zazgrzytał zębami. Swoją drogą, jaki może być związek obywatela Republiki Naddniestrzańskiej z ucieczką Florina Janco i tych Pola-

ków?

Relacje świadków w zasadzie były zgodne. Strzelanina szła na całego, a brało w niej udział co najmniej pięćdziesięciu bandytów.

Pięćdziesięciu, a tylko jeden zabity. Sporo elementów nie pasowało do całości. Znaleźli wiele łusek po wystrzelonych nabojach. Badań jeszcze nie zakończono, ale w akcji nie mogło uczestniczyć aż tylu przestępców.

Kolejna sprawa to, dlaczego nikt ich wcześniej nie powiadomił. Każdy zapytany stwierdzał lojalnie, że wykonał telefon, zgłoszenie zostało przyjęte i na tym koniec. Każdą rozmowę nagrywano, a skoro tak, to gdzie są zgłoszenia? Dyspozytorzy o niczym podobnym nie wspominali.

- Panie pułkowniku, ja jestem zwykłym gliną...
- Florin mówi tak samo.
- W naszym kraju, no sam pan wie, ostatnio sporo się dzieje.
- Zauważyłem.
- Ma pan ogromne szczęście, że rozmawia ze mną, a nie z kimś z armii.
- Bardzo to sobie cenię.
- Pan wciąż swoje – ciężko westchnął Ion.

Jedynym sposobem na skruszenie tego sukinsyna było chyba przyciśnięcie jego przyjaciół. Temu komisarzowi, jak na razie, nic nie groziło, ale ich słabym punktem mogła być dziewczyna. Polak miał charakter przywódcy, kontrolował podwładnych, jeśli będzie trzeba, weźmie ich winy na siebie. W psychologii to się pewnie jakoś nazywało. Sam Ion przeczytał kiedyś parę podręczników dla studentów. W sumie i tak każdy glina na swój sposób był po trochu jak psycholog i terapeuta.

– Nie wiem, czy pan zdaje sobie sprawę... Przepraszam. Na komórkę przyszła kolejna wiadomość. Lepiej, jeśli ją wcześniej odczyta. Może i tym razem chłopakom udało się posunąć do przodu.

Spodziewał się wszystkiego, ale nie tego, że więźniów przejmie Zarząd Bezpieczeństwa Wojskowego. Wszelkie papiery miały zostać przygotowane w parę minut.

– Przykro mi to mówić, ale będzie się pan tłumaczył przed wyższą instancją.

– Może pan mówić jaśniej? – Polak przestał się uśmiechać, nagle poważniejąc.

– Trzeba było współpracować, kiedy była na to pora.

Rumun otworzył odpowiedni folder i zaczął wpisywać dane. Nim zdążył dojść do daty urodzenia, telefon odezwał się ponownie.

Zerknął na numer. To chyba nie kumple, którzy właśnie próbowali się umówić na wódkę.

– Tak?

– Zarząd Bezpieczeństwa, pułkownik Călinescu.

Ion poczuł, jak na jego czole pojawiają się krople potu.

– W czym mogę pomóc?

– Pan oczywiście dostał informację o przygotowaniu więźniów do transportu?

– Już nad tym pracuję.

– Niedługo zgłosi się tam ktoś od nas.

– Będę przygotowany.

– Właśnie to chciałem usłyszeć.

Ion nie znosił, gdy się go popędzało. Jeszcze wczoraj... Eee... Jak słyszał, ten Radu to niezły pojeb. Nie warto z nim zadzierać. Ani z nim, ani z jego kundlami, bo ZBW to teraz wielkie szychy. Kto wie, co jednemu z drugim może strzelić do łba.

Określenie „strzelić” w tym kontekście chyba nie było najlepsze.

\*\*\*

– Co robimy? – zapytał Fisher.

– Czekamy.

– Kurwa, na co? Stoimy tu już dziesięć minut.

– Słyszałeś, co nam powiedzieli. – Stwierdzenie Parkera było jasne i stanowcze. – Ktoś się do nas zgłosi.

– Oby. – Palce snajpera zabębniły na kierownicy.

– Plazma. – Cyrus odwrócił głowę w stronę szeregowego. – Nie możemy tu tak siedzieć. Ktoś nas w końcu zakabluje.

– Wyjdę i się rozejrzę.

– Tak zrób.

Ernest sięgnął do klamki i otworzył drzwiczki. Czuł drżenie kolan. Podkoszulek, który miał na sobie, był tak wilgotny od potu, że dawało się go bez problemu wykręcić.

Zrobił parę kroków, stanął na chodniku i z ciekawością rozejrzał się we wszystkich kierunkach. Bukaresztu zupełnie nie znał. To w ogóle była jego pierwsza zagraniczna misja.

Do tej pory nie wiedział, jak im się udało opuścić zagrożoną strefę, urywając się agentom FSW. Przez kilkanaście minut błądzili po mieście, aż w końcu znaleźli się tutaj. Dalsze instrukcje były proste jak drut. Mieli czekać. Na kogo i na co – tego im już nie powiedziano.

Całkiem niedaleko musiała się znajdować jedna z komend. Do uszu Wolskiego regularnie dochodziły odgłosy jeżdżących na sygnale radiowozów. Na szczęście w tę okolicę patrole nie docierały.

– Żołnierzu.

Wolski zadygotał, gdy usłyszał dobiegający zza pleców głos. Kobieta, którą dostrzegł, była niska, przy kości, o mocno radiowej urodzie.

– Pani mnie zna?

– Jasne – odpowiedziała z kpiącym uśmiechem. – Szeregowy Wolski. Mam rację?

– Tak jest.

– Gdzie reszta?

Kciuk Plazmy wskazał kierunek. Nim zrobili choć krok, z samochodu wyskoczył Parker i zaczął szybko podążać w ich stronę.

– Z kim gadasz?

Wolski sapnął.

– Sierzancie... – Oczy kobiety zwęziły się w małe szparki.

Rozdrażnienie Cyrusa było wyraźnie widoczne. Za nim jako następny w kolejce ustawił się Appelton, tym razem bez maszynki, którą mógłby podziurawić każdego w promieniu stu metrów.

– Od tej pory panowie wykonują moje rozkazy.

– Kto tak powiedział?

– Niech się pan nie zgrywa.

– Podlegam wyłącznie...

– Wiem komu. Nie trzeba mi o tym przypominać.

W kieszeni sierżanta zawibrował telefon.

– Proszę odebrać.

Wystarczyło pół minuty, aby stosunek Parkera do nowego przełożonego zmienił się ze stanu neutralnego na raczej niechętny.

– Wszystko jasne? Jakies pytania?

– Jak się mamy do pani zwracać?

– Majorze.

\*\*\*

Jeżeli w przestrzeni krąży cała masa danych, a tak twierdzili informatycy, to dlaczego z takim trudem przychodziło im dowiedzieć się, co się tak naprawdę zdarzyło?

Tych polaczków mieli już na widelcu. Trzy minuty i po zabawie.

Teoretycznie wszyscy powinni być martwi i nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wszystko zaczęło się pieprzyć.

Co się stało, że drużyna KSK nie mogła poradzić sobie z kilkoma łachudrami? Stracił paru dobrych ludzi, niewiele zyskując w zamian.

Meyer uważał się za dobrego agenta, ale jednego nie przewidział – w jaki sposób przeciwnik dowiedział się, że jest obserwowany? Jeszcze teraz wspomnienie gostka z karabinem maszynowym budziło w Lotharze grozę. Ten typ niczym się nie przejmował, wałąc seriami, gdzie popadło. Ta cała potyczka, do której doszło pod blokiem rumuńskiego komisarza, nie była przypadkowa.



Stało się. Trudno. Należało iść dalej, a nie stać w miejscu. Polacy uciekli, ale przecież nie rozplłynęli się w powietrzu. Gorzej, że w żaden sposób nie był w stanie ich namierzyć. Na pewno odjechali dwoma samochodami, z tego jeden z nich to Q5. Tu nie było wątpliwości, bo to wóz, jaki wykorzystywali do obserwacji. Jego kierowca został zastrzelony, kolejny... Nie, to było zbyt bolesne, żeby o tym myśleć.

Jednocześnie w Meyerze rodziła się furia. Nie może pozwolić tak sobą pomiatać.

Jeżeli informatycy nie mogą poradzić sobie z problemem, to sprawę należało ugryźć z innej strony. Może należy wykonać parę telefonów, a w ostateczności przycisnąć Radu lub któregoś z jego koleśi? Niech się biorą za robotę.

Popatrzył na iPhone'a, którego trzymał w dłoni. Złożony przez specjalistów z Federalnej Służby Wywiadowczej posiadał wyjątkową właściwość – nie dawało się go podsłuchać.

Akurat w takie zapewnienia Lotharowi nie chciało się wierzyć. Od kiedy na masową skalę wprowadzono łączność radiową, wszyscy podsłuchiwali wszystkich. Zresztą, sami Niemcy posiadali w tym ogromną wprawę, łamiąc kody państw, z którymi prowadzili wojnę. Jak się później okazało, ich szyfry wcale nie były tak doskonałe, jak się wydawało. Po drugiej wojnie mistrzami w tej dziedzinie stali się Amerykanie.

Właśnie.

Myśl, że jego własny iPhone może go szpiegować, sprawiła, że pod Meyerem zatrzęszy się kolana. Ostatnio spotykało ich zbyt dużo niepowodzeń, aby nie brać tej możliwości pod uwagę. A skoro jego sprzęt jest trefny, to i telefony reszty zespołu są do niczego. Może pora wrócić do starych i wypróbowanych metod?

\*\*\*

Nie wszystko poszło tak pięknie, jak to sobie wyobrażał na początku. SI była dobra, ale nie doskonała, a Osmecki tak do końca nie wiedział, jak ma z nią postępować. Swój rozum miała. W sieci radziła sobie lepiej niż dziesięć-

ciu hakerów razem wziętych. Co tam dziesięciu! Stu. Łamała zabezpieczenia, a to, co wyczyniała z głosem, przechodziło ludzkie wyobrażenie. Osmecki nawet nie podejrzewał, że coś podobnego jest możliwe, nie zapominając oczywiście o fakcie, że Ariadne mówiła wszystkimi językami świata.

Mimo tych wszystkich zalet brakowało jej... sprytu? Chyba tak. Jak również przebiegłości i wyrachowania. Takie zachowania były jej obce. To w końcu program komputerowy. Taki bardziej skomplikowany, samouczący, ale tylko program.

Błędy, które popełniała, były tego najlepszym przykładem. Ucieczka Halickiego transitem pięknie wyglądała tylko w teorii. Praktyka niestety rządzi się swoimi prawami.

Z drona wszystko wydawało się proste. Była droga i przejazd. Furgon miał się tam zmieścić bez problemu. Ariadne „zapomniała” tylko o jednym – samochodem kierował człowiek, a nie komputer mający trasę wyliczoną w centymetrach. Florin walnął w znak drogowy, co było do przewidzenia, ale dalsza droga to też był mały tor przeszkód. Mogli się nie zmieścić pomiędzy słupkami oddzielającymi kwiatowe rabaty od chodnika lub też wjechać w kałużę i zaryć po same osie. Tych elementów z góry nie było widać, a Florin nie mógł ludzi porozjeżdżać ani wygrać wyścigu z karabinową kulą w głowie.

Zdaje się, że mocno przecenił jej możliwości.

Halicki i spółka wylądowali w końcu na komisariacie. I tak mieli szczęście. Tylko dzięki interwencji Ariadne nie skończyło się to przewiezieniem do budynku Ministerstwa Obrony.

Należało działać, dopóki cała paczka znajdowała się w jednym miejscu. Jak zostaną porozsyłani – Kusz do szpitala, a Florin na swój posterunek, celem złożenia wyjaśnień – już nie będzie tak przyjemnie.

Należało ich wyciągnąć z Bukaresztu. I trzeba było zrobić to szybko. Kusz nie przetrzyma jazdy samochodem do granicy. Już teraz był w ciężkim stanie. Większy wysiłek sprawi, że wykituje. Osmeckiemu przyszedł do głowy pewien pomysł, ale szybko go odrzucił. Ten jednak wracał, wydając się najbar-

dziej logicznym i jedynym dającym szansę powodzenia. Wiązał się jednak z olbrzymim ryzykiem. Na wszelki wypadek Osmecki sprawdził wcześniej to i owo, i właśnie nadarzała się znakomita okazja. W końcu się przełamał i zatelefonował do Banacha.

– Słucham cię, Stasiu.

– Mam plan.

– Naprawdę? Nie żartujesz? Nie dalej jak pięć minut temu para rumuńskich F-16 wleciała w przestrzeń powietrzną Węgier. Nasi madziarscy bracia nie namyślali się wiele i jedną z maszyn spuścili na ziemię.

– Co z pilotem?

– Chłopi w polu potraktowali go widłami.

– O w...

– Żyje. Ale stan jest ciężki.

– Będą do siebie grzać?

– Istnieje taka możliwość.

– Myślałem, że i jedni, i drudzy mają więcej rozumu.

– Wiesz, jak jest. Kręci tym ktoś inny.

– Dlatego koniecznie musimy wyciągnąć Kusza.

– Jeżeli tobie się wydaje, że w ten sposób zamkniesz Niemcom gębę, to się grubo mylisz.

– Tak czy inaczej...

– Dobra, mów, jaki masz pomysł.

\*\*\*

Kapitan Jacek Panasiuk nie znoślił otrzymywać w trakcie wykonywania rutynowego lotu nowych dyspozycji. Na przykład teraz, mając na pokładzie C-17 Globemastera całą kompanię spadochroniarzy z 6 Brygady Powietrzno-Desantowej, dokąd został skierowany?

Do Bukaresztu.

Po kiego wała miał się tam pchać, tego już nie wyjaśnili. Miały być ostre ćwiczenia, a wyszło cholera wie co.

Wkrótce do ich maszyny dołączyły kolejne oraz eskorta w postaci klucza Jastrzębi oraz pary A-10.

Panasiuk, mimo nalotu trzech tysięcy godzin na maszynach transportowych, za sterami C-17 nie czuł się najpewniej.

Z tym konkretnym egzemplarzem, który pilotował, wiązała się niecodzienna historia. Globemaster przyleciał do Polski wraz z dziesiątkami podobnych maszyn wypakowanych po same brzegi komandosami. Cel desantu – Warszawa. Niedaleko miejsca zrzutu zostali ostrzelani przez jeden z polskich F-16. Padł jeden z silników. Drugi dawał tylko pięćdziesiąt procent mocy. W szturmowcu musiało zabraknąć amunicji do działka, a rakiety zostały wystrzelone wcześniej. Tylko w ten sposób uniknięto katastrofy. Pilotom nie pozostało nic innego, jak wylądować w pierwszym sprzyjającym miejscu. Tym miejscem okazał się Modlin.

Właśnie tam szczęście opuściło ich na dobre. Nim komandosi zdążyli opanować terminal, pojawiło się co najmniej osiem śmigłowców szturmowych. Ci, którzy przeżyli pierwszy atak, wycofali się w kierunku najbliższego kompleksu leśnego. Wkrótce podążyła za nimi kompania wozów miejscowej jednostki OT. Szansy w starciu z doskonale uzbrojonymi Amerykanami nie mieli żadnej. Szarpanina trwała parę godzin, zanim w okolicę nie nadciągnęły lepiej wyposażone i wyszkolone jednostki. Część jankesów wybito, część się poddała. Paru uciekło.

Panasiuka interesował tylko samolot. Trwający parę tygodni remont został zwieńczony naniesieniem szachownic i wcieleniem maszyny do jednej z baz lotnictwa transportowego.

Przeniesienie z Herkulesa C-130 na Globemastera potraktował jako nowe wyzwanie. Cykl szkolenia nie był długi, tym bardziej że brakowało pilotów. Panasiuk poradził sobie znakomicie, mimo że wszystko trwało trzy tygodnie, a kurs podstawowy – jego zdaniem – był trochę za krótki. Trudno, jeżeli wymagają tego okoliczności, da radę.

Pierwotny plan wyglądał na prosty – ćwiczenia w okolicach Koszyc,

z udziałem Batalionu Powietrzno-Desantowego. Po manewrach powrót na lotnisko.

Nowe wytyczne wprowadziły w schemat element nieprzewidywalności. Z Koszyc do Bukaresztu było 600 kilometrów w linii prostej. Na pełnym ciągu to jakieś 35 minut lotu. Kogoś tam musiało nieźle przypilić, skoro wydał taki rozkaz.

Rumuni może nie byli dzikusami, ale na wlot całej armady na pewno zareagują. Przecież tak tego nie zostawiają.

\*\*\*

– Castillo zostaje, krwawi jak zarzynane prosię. Reszta idzie ze mną. Nic nie mówicie. Czy wszystko jest jasne? No chyba że któryś zna tutejszy dialekt i posługuje się nim bez problemu? Nie? Tak myślałam.

– A jak któregoś z nas zapytają o godzinę?

– Nie zapytają.

– A co z drugim samochodem? – Parker zadał konkretne pytanie. – Do jednego się nie zmieścimy.

– Stoi zaparkowany przecznicę dalej. Srebrny van opel vivaro. Idź po niego. – Kluczki powędrowały w stronę Wolskiego. – Za dziesięć minut podjedziesz pod główne wejście.

Wolski kiwnął głową. Zresztą, co miał do powiedzenia? Był od wykonywania rozkazów, a nie od ich kwestionowania.

Ta kobieta roztaczała wokół siebie aurę władzy, a z takimi należało postępować ostrożnie. Po skończonej akcji napisze taka raport i tak obsztorcuje człowieka, że nic z niego nie zostanie.

– Na co czekasz, Wolski? Do dzieła.

– Tak jest.

Szkoda, że nie zobaczy, jak ustawia Parkera do pionu.

– Reszta za mną.

Parker, Appelton i Fisher bez słowa sprzeciwu ustawili się na chodniku, jeden obok drugiego. Żaden z nich nawet nie pisnął. Ot, co znaczy autorytet.

Kolska tylko zagryzła usta. Nie spodziewała się, że ta banda zabijaków tak szybko się podporządkuje. Mieli opinię bezwzględnych morderców, a tu wystarczyło tupnąć nogą i tyle w temacie.

Robiła już w życiu różne numery, ale ten, do którego dojdzie niebawem, będzie jednym z grubszych w jej karierze.

Chyba za dużo o tym myślała. Najlepiej od razu wziąć byka za rogi. Język znała, papiery miała, niech ją tylko ktoś spróbuje powstrzymać. Obstawa w postaci tych zakapiorów... też robiła wrażenie.

Na komisariat weszli jak do siebie. Każdy z gliniarzy, widząc tę czwórkę, na wszelki wypadek odsuwał się na bok. Wystarczyło na nich spojrzeć, żeby przewidzieć kłopoty.

– Gdzie znajdzie Iona Iliescu? – Kolska machnęła legitymacją Zarządu Bezpieczeństwa Wojskowego przed oczami jednego z policjantów.

– Tam.

– Prowadź.

Do gabinetu Iliescu nie było daleko. Wystarczyło przejść przez hol, dochodząc do bocznego korytarza. Pokój śledczego znajdował się za trzecimi drzwiami na prawo.

Kolska nie zapukała, tylko od razu wpakowała się do środka. I tym razem legitymacja okazała się zbędnym rekwizytem.

– Wszystko przygotowane. – Iliescu z trudem powstrzymał się od przyjęcia postawy zasadniczej.

– Naprawdę? – Oczy Kolskiej omal nie zmiażdżyły policjanta.

– Tak jak powiedziałem...

– Gdzie więźniowie?

– Czekają na transport.

– Możecie ich przyprowadzić.

Iliescu skinął na kolegę, który czekał tuż za drzwiami.

– Dawaj ich tutaj.

Kolska bezceremonialnie wepchnęła się na miejsce Rumuna i zaczęła prze-

glądać poszczególne formularze. Sporo tego było. Plik liczył co najmniej pięćdziesiąt stron. Wszystko starannie wydrukowane i spięte zszywaczem.

Podpisała całość, jak leci. To akurat nie miało najmniejszego znaczenia. Niech się znajdzie odważny, który to sprawdzi..

– Co tak długo?

– Jeden z nich ma poważne obrażenia. To ten...

– Wiem. Nie o to pytałam.

– Zaraz wszystkiego dopilnuję.

Pierwszy do pomieszczenia wkroczył Halicki. Na widok Parkera pułkownik tylko skrzywił ironicznie usta. Zdaje się, że czegoś podobnego się spodziewał. Janco nawet nie drgnęła powieka. Lena, w przeciwieństwie do nich, cała się trzęsła. Również Galiński wydawał się oscylować na skraju paniki, a Krzysztof Kusz...

\*\*\*

Czasami rozmowa w cztery oczy jest najlepszym sposobem na rozwiązanie pewnych problemów.

Nicolai Radu był akurat zajęty, ale jeden z jego adiutantów już nie mógł się wykręcić nadmiarem służbowych zajęć.

Pogadali sobie od serca, co wyglądało tak, że Lothar opieprzył Rumuna, jak leci. Ten mocno się speszył. Niewiele osób zwracało się do niego w ten sposób. Gorzka pigułka była tym bardziej nieprzyjemna, że adiutant z całym zamieszaniem nie miał nic wspólnego. Niemniej zgodził się im pomóc.

Pełnomocnictwa, jakie otrzymał Meyer, nie miały ograniczeń. Wojsko, policja, wszelkie instytucje, całe państwo zostało podporządkowane interesom Meyera i jego kumpli. Wcześniej było podobnie, choć dla dobra operacji wolał stać w cieniu. Lothar bardzo żałował, że sprawy posunęły się do tego punktu. Pchanie się na pierwszą linię nie było dobrym sposobem załatwiania interesów.

Efekty pojawiły się niemal natychmiast. Każdy najdrobniejszy strzęp informacji zaczął spływać do hakerów i analityków. Sami nie daliby rady, ale od

czego mieli Karla?

\*\*\*

Krzysztof Kusz otworzył usta, zupełnie jak ryba wyrzucona na brzeg, a z jego gardła wydobył się głośny jęk, z wolna przechodzący w zawodzenie.

– A temu co się stało? – Iliescu zrobił parę kroków w stronę kierowcy.

– Proszę go zostawić. – Głos Kolskiej był zimny i bezosobowy.

– W tym stanie nie nadaje się do transportu.

– O tym to już ja zdecyduję.

– Szpital wydaje się odpowiednim rozwiązaniem.

– Proszę mi uwierzyć, że on tam trafi, i to szybciej, niż się panu wydaje.

Kolska wstała. Dalsze przebywanie na komendzie groziło poważnymi konsekwencjami.

Gest został zrozumiany przez wszystkich. Parker, z typową dla siebie nonszalancją, zaczął wypychać całe towarzystwo na zewnątrz. Appelton i Fisher dzielnie mu w tym sekundowali. I wszystko byłoby pięknie, gdyby nie postawa Kusza, który za nic w świecie nie chciał wyjść na korytarz.

Halicki, widząc, co się dzieje, podszedł bliżej, próbując przemówić tamtemu do rozumu.

Nic z tego. Atak hysterii nasilał się z każdą chwilą.

– To jest nie do wytrzymania. – Florin powiedział na głos to, o czym myślał.

– Czy mam... – Iliescu spróbował być pomocny.

– Proszę się nie mieszać. – Kolska wiedziała, że jeżeli szybko nie wyjdą, sprawy mogą przybrać zły obrót.

Florin wraz z Halickim zaczęli ciągnąć Kusza na siłę. W holu nie było lepiej. Co najmniej piętnastu gliniarzy stało, przyglądając się im w milczeniu. Na razie nikt nie próbował interweniować. Niektórzy rzucali do kolegów luźne uwagi, ale na tyle cicho, że niewiele z tego, co mówili, docierało do uszu opuszczających komendę.

Byle wyjść. Reszta jest bez znaczenia. Nikt nie musi ich lubić, byle się ich



bali.

– Gestapo.

Kolska zwolniła. Czegoś takiego płazem puścić nie mogła. Wykonała zwrot na pięcie i oto stanęła oko w oko z dryblasem, który najwyraźniej nie miał nic do stracenia.

– Co powiedziałaś?

– Że jesteście pierdolonym gestapo.

W otoczeniu kumpli facet miał przewagę, ale skoro zdecydowała się na działanie, nie mogła ustąpić.

– Wiesz, kim jestem?

– Nie, i gównu mnie to obchodzi!

– Twoja legitymacja.

Rumun kpił z niej na całego. Niby podał służbową blachę, ale tak niezręcznie, że ta upadła na podłogę.

Za jej plecami ustawili się Appelton i Fisher. Parker był na razie na zewnątrz, lecz szybko wrócił. Kusza przejęli Lena i Galiński. Wozy były podstawione, nic tylko wsiąść i odjechać. Halicki wraz z Janco przypatrywali się całej scenie z odległości kilkunastu metrów. Nie byli uzbrojeni, więc w razie zagrożenia niewiele mogliby pomóc.

– Podnieś.

– Spadaj.

– Nie lubię się powtarzać.

Ten koleś miał odwagę. W innych okolicznościach mogliby się zaprzyjaźnić. Ale nie dziś i nie tutaj.

To, że miał w dupie generała Radu, dobrze o nim świadczyło. Tylko dla czego za wszelką cenę próbował udowodnić, jaki jest odważny?

– Liczę do trzech.

Autorytet albo się ma, albo nie. I tak za długo z nim gadała.

– Raz.

– Pocałuj mnie...

– Dwa.

– W...

Nim wypowiedziała „trzy”, jej kolano z całej siły wbiło się podbrzusze policjanta. Byczek jęczał, opadając na kolana. W holu zapanowała grobowa cisza.

– Trzy.

Dla podkreślenia własnej przewagi przydałoby się kopnąć frajera w ten zakuty łeb. Niestety, jej obuwie zupełnie się do tego nie nadawało.

– Który następny?

Chętnych zabrakło.

Policzki jej płonęły. Ta draka do niczego nie była im potrzebna. Narobili sobie wrogów – oni konkretnie i cały Zarząd Bezpieczeństwa Wojskowego.

Gdy wychodzili, nikt z nich już nie szydził. Nauczka na pewno zostanie zapamiętana na długo.

\*\*\*

Na wyniki nie trzeba było długo czekać. Karl jest super. Karl jest kimś. Karl... Hmm. Karl nie do końca jest żywy. Właściwie to jest, ale nie w takim sensie, jak się reszcie wydaje.

Dziś działa wolniej niż zwykle, ale też daje radę. Coś się musiało popieprzyć w sieci. Powinni użyć Karla już na samym początku. Ktoś tam, u góry, miał opory. Jakiego rodzaju? W to już nie wnikał.

Pierwsza informacja to jeszcze nic takiego. Kilkaset metrów od mieszkania Florina Janco zatrzymano forda transita wraz pasażerami. O ile w sieci policji nie zaistniała o tym zdarzeniu najmniejsza wzmianka, to w obiegu armii ta wiadomość wciąż była dostępna.

Tylko dlaczego zbiegów przejęła policja? Nie ma w tym żadnej logiki.

Jest i numer komisariatu. To już na pewno będzie koniec tej zabawy.

\*\*\*

Generał Emil Banach nie miał zwyczaju ręcznego sterowania firmą. Na

wyznaczonych odcinkach pracowali kompetentni oficerowie, ponoszący całkowitą odpowiedzialność za wszystkie sukcesy i porażki.

Tym razem było jednak inaczej. Sama Ariadne i Osmecki mogą sobie nie poradzić. Choć, jak sam musiał obiektywnie przyznać, drugiego takiego duetu ze świecą szukać.

Słowa uznania należały się też Oskarowi. To on był niekwestionowanym ojcem sukcesu.

Ta SI to podobno broń doskonała. Jedyna w swoim rodzaju. Jeżeli tak było w istocie, to przewaga Polski nad pozostałymi mocarstwami wzrastała w sposób niewyobrażalny.

Prawdę powiedziawszy, jedna Ariadne sprawy nie załatwi. Im był potrzebny cały legion SI, albo i dwa. Najważniejsze to utrzymać sprawę jak najdłużej w tajemnicy.

Terenowy mercedes oraz dwa samochody z ochroną podjechały przed główne wejście instytutu. Banach wysiadł dopiero na znak szefa ochrony i od razu został otoczony przez czterech bodyguardów, z których każdy przewyższał go co najmniej o pół głowy.

Robota, jaka przypadła w udziale tym facetom, na pewno nie należała do bezpiecznych. Od kiedy Banach został szefem Agencji Wywiadu na służbie poległo już kilkunastu komandosów, dwa razy tyle wylądowało w szpitalach. Wielu nie powróciło w szeregi już nigdy.

Największa rotacja nastąpiła podczas próby zamachu stanu. Sporo się wówczas działo. Na samo wspomnienie dostawał migreny i ogarniało go takie wkurwienie...

W gabinecie Borzęckiego panowała cisza jak makiem zasiał. Spodziewał się ożywionej wymiany zdań, ekscytacji, być może nawet butelki krążącej pomiędzy Oskarem a Stasiem.

– Co jest? – zapytał od progu.

– Od paru minut cisza – odpowiedział Borzęcki.

– To dobrze czy źle?

– Nie bardzo wiemy, co się dzieje.

– Chcecie mnie dobić? – Banach poszukał sobie wolnego miejsca i z ulgą opadł na siedzenie. – Ta wasza Ariadne to gdzieś sobie poszła czy jak?

– To nie tak łatwo wytłumaczyć.

– Spróbuj.

– Sieć to sieć. Wydaje się, że SI może być we wszystkich miejscach jednocześnie.

– We wszystkich? Ciekawa teoria.

– Ona nie jest taka jak my.

– Domyślam się.

Przygnębienie Borzęckiego było wyraźnie widoczne, a generał nie chciał sponiewierać kumpla głupimi uwagami.

– Próbowaliście ją... No, jak to powiedzieć, wywołać?

– Tak.

– I co?

– Bez efektu.

– Jest wszędzie i nigdzie. Usnęła. Przeniosła się do innej rzeczywistości.

– Proszę popatrzeć na monitory. – Osmecki wskazał na rząd ekranów.

– Widzę.

– Ten sam obraz wyświetla się od pięciu minut.

– Jaki z tego wniosek?

– Zaryzykuję twierdzenie, że nasza Ariadne się zawiesiła.

– Może należy dać jej jakiś impuls, zresetować, poszerzyć pamięć, zresztą, mnie nie pytajcie, nie jestem elektronikiem.

Nagle obrazy na monitorach drgnęły, przeskakując o parę klatek do przodu.

– Nare... – Nim Borzęcki dokończył, wszystko wróciło do poprzedniego stanu.

– Ariadne...

Do niedawna taka elokwentna, pełna dobrych chęci, o ile można tak powiedzieć o SI, i gotowa do pomocy, w pewnym momencie zamilkła na dobre.

– Coś mi się wydaje, że ta wasza wunderwaffe okazała się cokolwiek przereklamowana.

– Emil, to naprawdę nie tak, jak myślisz.

– Z Marzenką sprawy wyjaśniłeś?

– Nie do końca.

– To znaczy, że masz co robić.

Osmecki uśmiechnął się półgębkiem. Zły humor sekretarki był łatwo zauważalny. To trzaskanie drzwiami, nieodbieranie telefonów, nadąsana mina.

– Rozumiem, że całą operację szlag trafił. Zamiast korzystać z pomocy SI, wracamy do dawnych procedur. Przynajmniej wiecie, co się tam dzieje?

– Udało się wyciągnąć Halickiego z aresztu.

– Z aresztu mówisz, Stasiu? Ja nawet nie wiedziałem, że był zamknięty.

– Mieli wypadek.

– Poważny?

– Dosyć. Rozbili samochód i w końcu dopadła ich armia – wyjaśnił Osmecki. – Nie pozostało mi nic innego, jak włączyć do działania naszą agentkę.

– Kolską?

– Tak.

– To ją zdekonspiruje. – Przez twarz Banacha przebiegł bolesny skurcz.

– Nikogo innego o podobnych kwalifikacjach nie mieliśmy w pobliżu. Perfekcyjnie zna język, układy i ma odpowiednie podejście.

Banach nie zamierzał podważać argumentów adiutanta. Osmecki miał oczywiście rację. Zatrzymanych należało ratować za wszelką cenę. Kolską znał i cenił. Miała trochę niekonwencjonalne podejście do tematu, ale w tej robocie liczyły się efekty. Infiltrowała środowiska polityków i finansistów. Znała słabe i mocne strony wielu z nich. Gdy było trzeba, nie wahała się sięgnąć po szantaż. Raz nawet pewnemu dyrektorowi banku podsunęła dziwkę. Oczywiście, nie wprost. Wymagało to trochę zachodu, ale w końcu poważny finansista pod siedemdziesiątkę oszalał na punkcie dwudziestopięciolatki.

Sprowadzenie go na ziemię omal nie doprowadziło mężczyzny do zawału. Dumny potomek arystokratycznego rodu przeżył, od tamtej pory chodząc na ich pasku.

I tak miał szczęście. Zadał się z kobietą, a nie transwestytą. Tak, kumple mogli mu pozazdrościć trafnego wyboru i ładnej partnerki. W tym drugim przypadku to już tylko sznurek i na gałąź. Żarty i kpiny potrafią zniszczyć nie tylko karierę.

– Ariadne, obudź się. – Błagalny szept Borzęckiego wydał się Banachowi aż nadto teatralny. On się gotów jeszcze rozkleić.

– Oskarze, proszę cię, przestań.

W pewnym momencie obrazki na ekranach zaczęły „iść” w przyśpieszonym tempie. Trzej siedzący przed nimi mężczyźni zdurnieli kompletnie.

– Ariadne?

Pisk z głośnika sprawił, że poderwali się na równe nogi.

– Ja pier...

– Później, Oskarze, później.

– Ariadne? – ostrożnie zapytał Osmecki.

– Tak, pułkowniku? – Głos Poli Raksy trochę się rozciągał.

– Gdzie się podziewałaś?

– Cały czas byłam tutaj.

– Jakoś nie potrafię w to uwierzyć.

– Mamy kłopoty.

– Poważne?

– Nawet bardzo.

Banach zamrugał oczami, Osmecki wytarł wilgotne dłonie o spodnie, a Borzęcki z jękiem osunął się na fotel.

– Nie jestem sama.

– A kto jest z tobą?

Nikt z nich nie potrafił wyobrazić sobie, co też SI może mieć na myśli.

– Karl.

– Niewiele nam to mówi.  
– Jest... taki jak ja.  
– To znaczy? – Borzęcki, czerwony na twarzy, sapał jak lokomotywa.  
– W sieci jest jeszcze jedna Sztuczna Inteligencja.  
– Czyja?  
– Nie chciał powiedzieć.  
– Co z nim?  
– Odszedł.  
– Dokąd?  
– Tam, skąd został wypuszczony.  
– Pokonałaś go?  
– Niezupełnie. Jest silny.  
– Masz pełną kontrolę?  
– Nie do końca. Karl wciąż próbuje mnie zablokować.  
– No to ładnie – Osmecki potarł brodę. – Karl? Kim on może być? Brzmi z hinduska.

– Nie próbuj dowcipkować, bo ci to nie wychodzi. – Banach nie do końca wiedział, jak rozwiązać problem. Jedna SI to duży ból głowy, ale dwie to recepta na nieszczęście. Niedługo okaże się, że internet, taki, jakim go znały miliardy użytkowników, przestanie istnieć.

Skoro oni mają SI i Niemcy też, to kto jeszcze? Jeśli kolejne państwo zacznie uaktywniać własne programy, dojdzie do wojny. Pierwszej informatycznej wojny światowej. Cywilizacja cofnie się w rozwoju o sto lat, albo też wprost przeciwnie – postęp ulegnie przyśpieszeniu.

Zanim do tego dojdzie, Banach w jakiś sposób musiał rozwiązać obecny kryzys. Kłopot był, i to poważny.

– Ariadne, możesz coś dla mnie zrobić?  
– Tak, generale.  
– Przybłokuj Karla, czy jak się ten sukinsyn nazywa.  
– Jak powiedziałam...

- Możemy ci jakoś pomóc? Potrzebujesz wspomagania?
- Poradzę sobie.
- W razie potrzeby możemy podłączyć Achillesa.

System dowodzenia sieciocentrycznym polem bitwy może nie był tak zaawansowany jak Ariadne, ale też nie wypadł sroce spod ogona. Sporo się nad nim napracowali. W kluczowym momencie rebelii zawiódł ich. Właściwie nie on sam, a ci, którzy mieli do niego swobodny dostęp. Przekonfigurowanie zajęło parę tygodni, podobnie jak wprowadzenie dodatkowych zabezpieczeń i ograniczeń. Czy zaproponowane zmiany wyszły Achillesowi na dobre, pokażą nie symulacje, ale działania w warunkach wojennych.

Mając Ariadne do pomocy, stoczenie batalii powinno przypominać partię szachów lub warcabów, zależy z kim przyjdzie im walczyć.

– Ja z tym Achillesem to bym uważał – powiedział Borzęcki. – Co się stanie, kiedy ten szwabski program spróbuje w nim namieszać? Przecież nie wiemy, jak jest doskonały.

- Achilles czy Karl?
- Karl, oczywiście.
- Oskarże, uspokój się. Zaczynasz siać defetyzm.
- Jak zwykle, jesteś bardzo miły.

– Wiesz, w czym tkwi problem? Najpierw opowiadasz niestworzone historie, które łykam, bo brzmią przekonująco. I wszystko jest OK. Później okazuje się, że są kłopoty.

– Teraz już wiemy, że Ariadne nie jest jedyną SI na świecie. – Zamiast Borzęckiego odpowiedział Osmecki.

- Ty mi, Stasiu, nie próbuj na siłę znaleźć usprawiedliwienia.
- Początek był obiecujący.
- Nie przeczę.
- I teraz nie damy plamy.
- Oby, Stasiu, oby.

\*\*\*



– Wyszli dziesięć minut temu.

– Kto na to pozwolił?

– Nikt. Z Zarządem Bezpieczeństwa nie ma rozmowy – odparł Ion Iliescu, przyglądając się facetowi, który ćmił jedną fajkę po drugiej.

– Nie wyobrażajcie sobie, że puszczę to płazem.

– Słucham?

– Każdy, kto miał z tym coś wspólnego, zostanie pociągnięty do odpowiedzialności.

– Proszę mnie nie straszyć. Papiery są w jak najlepszym porządku. – Ion nie zamierzał ustąpić nawet o cal.

– Jeżeli tak, to chyba nic nie stoi na przeszkodzie, abym je zobaczył.

Iliescu cofnął się o parę kroków, podchodząc do biurka. O nic nie musiał się bać. Dopilnował wszelkich szczegółów. Plik kartek powędrował w stronę palacza.

– Co to ma być?

– Czytać pan nie umie? – Iliescu pozwolił sobie na odrobinę luzu.

– Podpis nieczytelny. Czy ta osoba została wcześniej sprawdzona?

– Proszę wybaczyć, ale to nie leży w moich kompetencjach.

Iliescu po raz pierwszy przyjrzał się parafce na dole każdej ze stron. Faktycznie, pismo było mocno artystyczne. Rozszyfrowanie tego bazgrołu przychodziło policjantowi z dużym trudem. Nie szkodzi. Maila o przeniesieniu więźniów wciąż miał w komputerze, więc imię i nazwisko zleceniodawcy odczyta bez trudu. Usiadł za biurkiem i natychmiast zalogował się na swoją pocztę.

Było tam wszystko oprócz tej jednej konkretnej rzeczy.

Zaklął.

Pośpiech nie był tu wskazany. Jeszcze raz sprawdził po kolei każdą wiadomość.

Może przez nieuwagę skasował to, czego nie powinien. Zachodził przy tym w głowę, jak to się mogło stać. Aż takim kretyńcem nie był, a ponieważ słabo znał się na tej całej elektronice, nim cokolwiek nacisnął, zawsze zastanawiał

się dwa razy.

Parę sekund później zyskał pewność. W dokumentach nie pozostał ślad po instrukcjach Zarządu Bezpieczeństwa.

Ktoś mu wyciął niezły numer.

– Problemy?

– Nie wiem, jak to powiedzieć.

– No to sobie, człowieku, narobiłeś kłopotów.

Wydawało się, że Lothar Meyer zaraz wyjdzie z siebie i stanie obok. Tak wściekłego nie widział go jeszcze żaden z podwładnych. Kolejny raz został upokorzony. Swoją złość musi na kimś wyładować, inaczej krew go zaleje albo też zacznie strzelać na ulicy do każdego, kto stanie na jego drodze.

Spokojnie. Nerwy w niczym tu nie pomogą, a tylko przeszkadzają w logicznym myśleniu.

Uciekinierom przyświecał jakiś cel. Jeden z nich już jedną nogą stał na tamtym świecie. Jeżeli nie chcą go stracić, muszą posiadać zaciszną metę. Niedługo gdzieś wypłyną. Należy tylko cierpliwie poczekać.

Fala czystej, skoncentrowanej nienawiści, która wzbierała w Meyerze, nie znajdowała ujścia. Pojawiły się pierwsze zawroty głowy. Mężczyzna był tak wkurwiony, że jego ciśnienie oscyloowało gdzieś w okolicach dwieście pięćdziesiąt na sto osiemdziesiąt. Niedługo zostanie rozsadzony od środka. Czuł się tak, jakby w bebechach miał odbezpieczony granat.

Próbował oddychać przez nos, powoli i spokojnie. Dym z papierosa trochę w tym przeszkadzał.

Koniecznie musiał wyjść z komisariatu. Nie chciał już patrzeć na tych rumuńskich przygłupów.

Co się stało z ich mózgami? Goście byli pod kluczem, a ci ich wypuścili, i co, do cholery, ma z tym wspólnego Zarząd Bezpieczeństwa?

Gdyby faktycznie stała za tym wojskowa bezpieka, to on już by o tym wiedział. Rozkazy przekazane do poszczególnych jednostek były przecież wyraźne – jedyną osobą, która może odebrać więźniów, był on sam.

Kolejny niedopałek wylądował na chodniku. Meyer spróbował zebrać w ustach odrobinę śliny, lecz język miał wyschnięty na wiór.

Scheiss.

– Są nowe informacje, szefie. – Jeden z podkomendnych podszedł do Lothara z wydrukiem komputerowym w dłoni.

– Kiedy to przyszło?

– Dosłownie przed chwilą.

– Dobra, spływaj. – Meyer od razu zaczął przeglądać tekst.

Mobilny Punkt Dowodzenia to była świetna sprawa. Wciąż istniały problemy z łącznością, ale już nie takie jak na początku. Karl się spisał, choć w pewnym momencie zaczął działać wolno jak muł.

Informacje mieli i mieli, a technicy nie wiedzieli, jaka jest tego przyczyna. W końcu przyśpieszył, ale już bez początkowej werwy.

O samym Karlu krążyły fantastyczne plotki. Był to podobno mózg genialnego matematyka, który zachorował na chłoniaka śledziony. Nie chcąc rozstawać się z życiem, podłączył się do komputera i tak już zostało.

Te idiotyzmy tylko rozśmieszały Lothara. Jaki imbecyl zdobyłby się na coś takiego? Jak taka egzystencja w ogóle miałaby wyglądać? Oglądał internet od środka? Wszystko naraz czy po kawałku? Prawdziwy matrix, gdzie byle cherlak staje się herosem, a podstępne programy próbują go zniszczyć.

Dobra, Karl to nie jego broszka. Może wydruk sprawi, że spłynie na niego oświecenie. Info o starciach nad granicą olał zupełnie. Ten temat na razie nie istniał. Demonstracje w Târgu Mureș i w Segedynie – też nie o to chodziło.

Ktoś próbował rozwalić Gabora Farkasa. O, to ciekawe. Czyżby rząd Węgier zdecydował się na fizyczną eksterminację niewygodnych osób? Właściwie to i tak nie miało większego znaczenia. Farkas, tak czy inaczej, był do odstrzału. Przyszedł, zrobił swoje, a teraz wypad. Do solidnej roboty politycznej to on się nie nadawał. Był czystą destrukcją. Dalej jakieś bzdety o kochance Radu. Gdzieś tam dzwoniła. Co go to może, kurwa, obchodzić?! To problem samego Radu.

Na koniec ciekawostka. AWACS krążący wzdłuż wschodniej granicy Niemiec wykrył, jak w przestrzeń powietrzną Rumunii wleciała cała armada samolotów transportowych i szturmowych, grzejąc pełną mocą silników w stronę Bukaresztu. Rumuńska OPL-tka nawet się nie zająknęła o tym incydencie.

Skurwysyny! Więc to tak sobie wymyślili.

Nie podejrzewał Polaków o podobną bezczelność. Warszawa rządzi się tutaj jak u siebie w domu.

Zdarzenie miało miejsce dwadzieścia minut temu. Jeśli nie chce wyjść na kompletnego durnia, musi działać natychmiast.

Pędem pognął w stronę Mobilnego Punktu Dowodzenia. Z jedną drużyną, którą ze sobą zabrał, wiele nie zdziała. Tu były potrzebne o wiele większe siły.

\*\*\*

Major Gabriel Lupescu z 26 Batalionu Piechoty im. hospodara wołoskiego Neagoe Basaraba V, nazywanej popularnie czerwonymi skorpionami 2 Brygady Rovine, stał obok kołowego transportera opancerzonego Piranha IIIC, przecierając oczy ze zdumienia. Rozkazy, jakie otrzymał, brzmiały jak ponury żart. To, że od rana obstawiali port lotniczy Bukareszt – Otopeni, miało swoją ponurą wymowę, ale tym razem dowództwu musiało mocno odwalić.

Lotnisko miało zostać zamknięte w trybie pilnym, pas startowy należało zablokować, a pasażerów ewakuować w bezpieczne miejsce.

Łatwo powiedzieć, gorzej zrobić.

Wroga spodziewano się w ciągu paru minut, a wrogiem tym okazał się... Nie, to jakaś kpina.

Jakby tego było mało, należało przechwycić niebezpiecznych zbiegów, którzy narazili na szwank bezpieczeństwo państwa.

Parę tysięcy podróżnych. Desant i zbiegowie. Od czego zacząć? Lupescu dysponował czterystoma żołnierzami, ochroną obiektu i paroma policyjnymi radiowozami. Zadanie stanowczo przerastało jego siły, tym bardziej że wciąż odbywały się rutynowe przyloty i odloty maszyn rejsowych.

Jedyne, co w tej sytuacji przychodziło majorowi do głowy, to natychmiastowe uruchomienie syreny alarmowej. Jeżeli ma dojść do najgorszego, to lepiej jeśli w pobliżu będzie jak najmniej postronnych osób.

Wieża kontroli lotów znajdowała się stosunkowo niedaleko. Lupescu ruszył ku niej biegiem, pociągając za sobą kilku stojących najbliżej żołnierzy. Oby tylko wiadomość nie okazała się koszmarnym żartem. Już i tak czuł wyrzuty sumienia. Radu zdecydowanie nie był jego idolem, a z decyzją o wprowadzeniu stanu wyjątkowego nie zgadzał się zupełnie. To wybrani w demokratycznym głosowaniu cywile powinni stać na czele państwa, a nie wojskowi.

Stało się, jak się stało. Jeżeli uratują kraj przed wojną, to dobrze. Od czasu, kiedy wstąpił do armii, myślał, że wrogami będą Turcy czy Rosjanie. Węgrów nie lubił, ale z ich strony nie spodziewał się kłopotów, a tutaj nagle okazuje się, że staną do konfrontacji z Polakami. Gorzej być nie mogło.

Wpadł do budynku i pognął schodami do góry. Kiedy już zostanie opróżniony główny terminal, pogada z dowódcami kompanii. Oby tylko nie było za późno.

Dawno się tak nie zmachał. Nim stanął na samym szczycie, musiał głębiej odetchnąć, zanim wymówił choć słowo. Wcześniej wysłał tutaj jednego z młodych podporuczników, by miał wszystko na oku. Dostrzegł go od razu, stojącego w kręgu pozostałych pracowników lotniska.

- Panie majorze...
- Natychmiast ogłosić alarm!
- Niech pan pozwoli zameldować...
- Alarm! – warknął zziębnięty major. – To rozkaz.

Dosłownie parę sekund później nad lotniskiem rozległ się modulowany dźwięk sygnału przeciwlotniczego.

Komunikaty, które do tej pory rozlegały się w budynku odlotów, urwały się w pół słowa. Z barów i kawiarni wypełnionych różnorodnym gwarem wypadli zdezorientowani ludzie. Tam, gdzie przed chwilą panował ład i porządek, zapanował chaos. Wśród czekających na odlot w większości znajdowały

się matki z dziećmi oraz ci, dla których była to ostatnia szansa na ucieczkę przed represjami, którymi Radu straszył niepokornych.

Zator, do jakiego doszło na głównych schodach, szybko przerodził się w koszmar. A wszystko przez walizkę na kółkach, o którą przewracali się kolejni uciekinierzy. Wrzask przygniatanych ludzi wzbijał się aż po same niebiosa.

Obsługa robiła, co w jej mocy, ale na leżących wciąż wpadali kolejni próbujący jak najszybciej znaleźć się na zewnątrz. Nieprzemyślana decyzja Lupescu skazała na śmierć czternaście osób; ponad pięćdziesiąt zostało rannych. A był to dopiero początek dramatu.

– Panie majorze...

– Mów.

– Kilka minut temu samoloty znajdujące się na ścieżce podejścia zaczęły odlatywać na lotniska zapasowe.

– Jak to możliwe?

– Wydaje się, że nasze częstotliwości zostały przejęte przez wroga.

– Bredzisz.

– Oni mogą to potwierdzić. – Kilku stojących w pobliżu pracowników ochoczo przytaknęło.

W tym momencie z majora zeszła część napięcia. Myśli stały się jasne i przejrzyste. Wróg zaatakował jego kraj, a – jak wiadomo – dla wroga nie ma litości. Wszystko było jasne. Właśnie dlatego został żołnierzem.

Nim Lupescu zdążył ponownie otworzyć usta, w wieżę kontroli lotów uderzył pocisk AGM-65 G2 Maverick, wystrzelony przez jeden z polskich szturmowców. 135-kilogramowa głowica zabiła wszystkie znajdujące się w środku osoby. Po majorze pozostał jedynie fragment małego palca lewej dłoni. Cała reszta została przemielona przez ciśnienie i temperaturę.

Lupescu nigdy nikomu nie zrobił krzywdy, podobnie jak cała reszta tych, którzy znajdowali się wraz z nim. Po prostu był tym, kim był i znalazł się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie.

Mimo przejścia częstotliwości, na jakich pracował port lotniczy Bukareszt – Otopeni, istniało ryzyko utraty przewagi. I niekoniecznie chodziło tutaj o rumuńskie systemy walki radioelektronicznej. W grze brały udział siły, o których wiedzieli nieliczni, więc lepiej było przeprowadzić operację według klasycznego schematu, niepotrzebnie nie narażając własnych żołnierzy na śmierć.

Cały problem tkwił w tym, że Rumunia nie była krajem Trzeciego Świata. Nie lecieli do Angoli czy innego Mozambiku. Paradoks polegał na tym, że część wyposażenia została tu dostarczona przez Polskę w ramach pomocy wojskowej.

Wraz z Amerykanami do kraju nad Wisłą trafiło sporo sprzętu, który w jakiś sposób należało spożytkować. Wysłanie go do Rumunii wydawało się idealnym rozwiązaniem. W rezultacie było to jak zaciśnięcie pętli na własnej szyi. Sporym niefartem będzie spotkanie rumuńskich F-16 z bazy w Fetești. Na dodatek Bukareszt już wcześniej postawił armię w stan pogotowia. Cofnięto przepustki, szeregi systematycznie uzupełniano rezerwistami, wykroczenia karano jak w warunkach wojennych.

Jeżeli szybki skok na Otopeni ma się nie przerodzić w krwawą jatkę, muszą uderzyć z wykorzystaniem wszelkich środków.

\*\*\*

Kapitan Jacek Panasiuk położył dłoń na manetce ciągu i przesunął ją w tył. Globemaster zaczął zwalniać. Cztery turbowentylatorowe silniki Pratt & Whitney F117-PW-100 o ciągu 180 kN przestały pożerać paliwo w przyśpieszonym tempie.

Zwarta formacja transportowców leciała dokładnie w stronę największego rumuńskiego portu lotniczego. Para F-16 i A-10, mająca oczyścić przedpole z ewentualnych intruzów, pomknęła do przodu już wcześniej. Panasiuk nie narzekał, ale eskorta w postaci pary Jastrzębi wydawała się w tej chwili mocno niewystarczająca.

Pięćdziesiąt kilometrów do celu. Napięcie wśród spadochroniarzy musiało sięgać zenitu. Manewry przekształciły się w prawdziwą akcję, która tak na-

prawdę była czystą improwizacją. Plan lotniska mogli sobie obejrzyć co najwyżej na tabletach. Oficerowie i podoficerowie wiedzieli tak samo mało jak ich podkomendni, a w zapewnienia wywiadu, że Rumuni nie stawią oporu, nikt nie chciał uwierzyć.

Owszem, już parę razy w historii nagły desant pozwolił opanować lotnisko zajęte przez wroga. Tak się zdarzyło w Pradze w 1968 roku i w Entebbe w 1976.

Podobno tym razem miało być jeszcze łatwiej. Przewaga technologiczna, jaką dysponowali, miała wybić przeciwnika z butów. Będą jak szturmowcy imperium masakrujący bezbronnych rebeliantów, jak jankeska kawaleria wybijająca czerwonoskórych...

Panasiukowi, który jednym uchem łowił przez interkom to, co się działo w ładowni, od razu przypomniała się bitwa nad Little Bighorn. Tam też był taki jeden generał, którego nedorzeczny plan skazał na śmierć cały regiment jazdy. Prawdziwy, kurwa, geniusz! Oby ci w Warszawie mieli więcej oleju w głowach, inaczej połowa z tych, co siedzą tam z tyłu, pójdzie pod rzeźnicki nóż.

Finał tej misji też miał być nieskomplikowany – zapakują do ładowni kilka osób i prysną z powrotem do domu.

Tym idiotom pracującym w wywiadzie wydaje się, że to będzie takie łatwe. Przylecą, wylądują, poczekają na podróżnych i polecą do Koszyc. Proste jak świński ogon.

Jeżeli taki był prawdziwy powód tej misji, ten, kto wpadł na taki pomysł, musiał być prawdziwym kretyńcem. Operacja z pewnością posiadała drugie dno. Może chciano w ten sposób przytrzeć nosa Radu, temu palantowi, który niedługo ogłosi się ojcem narodu, Słońcem Karpat i kim tam jeszcze, zupełnie jak jeden z poprzedników? A może próbowano sprawdzić, na ile Rumuni są zdeterminowani do obrony własnego kraju? Każda możliwość wydawała się kapitanowi prawdopodobna.

Trzydzieści kilometrów do celu.



Podobno ścieżka podejścia została oczyszczona. Niedługo okaże się, czy jest to prawda. Inaczej groziła im jedna z większych katastrof lotniczych w dziejach żeglugi powietrznej. Skasują nie tylko Globemastera, ale i jedną z krążących nad lotniskiem maszyn, a akcja zakończy się, nim tak naprawdę się rozpocznie.

Panasiuk zaczął się denerwować. Nic w tym zresztą dziwnego. Wiedział, że maksymalna koncentracja to warunek sukcesu.

Od siedzenia trochę rozbolały kapitana pośladki. Pasy, którymi był przypięty do fotela, nie pozwalały na gwałtowne ruchy. Na ile mógł, wyprostował plecy i spojrzał przez szybę w dół. Wzbijający się w niebo czarny słup dymu dostrzegł od razu. Polskie szturmowce już tam były.

Nie potrzebował przyrządów. Minimalnie skorygował kurs. Pas do lądowania znajdował się na wprost niego. Drugi pilot, przejęty równie mocno, co i rusz przenosił wzrok z radaru na niego.

– Spokojnie, młody.

C-7 opadł parę metrów, gdy dostali się w rejon turbulencji. Mimo pracujących na pełnych obrotach wentylatorów, pod pachami i na plecach Panasiuka pojawiły się wilgotne plamy.

Omali nie dostał zawału, gdy na powierzchni ziemi zaczął dostrzegać wykwitające pióropusze dymu. Zdaje się, że „wykańczano” wszystko, co mogło im zagrozić. Miał tylko nadzieję, że Rumunom nie przyszło do głowy zainstalować w pobliżu bardziej wyrafinowanych systemów przeciwlotniczych.

Za mniej niż pół minuty przekonają się, czy tak w istocie jest.

\*\*\*

Cyrus Parker nie był dobrym człowiekiem. Cyrus Parker stanowił zagrożenie, a za kierownicą rozpędzonego audi Q5 Cyrus Parker był zmierzającym ku zatraceniu jeźdźcem apokalipsy.

Dobrze, że chociaż nawigacja działała bezbłędnie. Jechali tam, gdzie kierował ich głos operatora. Lewo, prawo, prosto. Najmniejszych komplikacji. Przed nimi zawsze zielone światła i żadnej blokady.

W końcu znikła zwarta zabudowa miasta, a oni znaleźli się na północnych przedmieściach Bukaresztu.

Wolski, który siedział obok kierowcy, wbił nogi w podłogę, a prawą dłoń przytrzymał się uchwyty pod sufitem. Akurat weszli w ostrzejszy wiraż.

Wcześniejsze emocje gdzieś uleciały. Na tym etapie misji Parker czuł czystą adrenalinę. Gdy wstępował w szeregi JSOC, właśnie tak wyobrażał sobie kolejny dzień w pracy. Jest ryzyko, jest zabawa. Z automatem M4 na kolanach był niepokonanym bohaterem z czasów własnego dzieciństwa. To, zdaje się, nieodpowiedni dobór książek i filmów sprawił, że stał się tym, kim się stał.

– Zwolnij. – Kobieta, która nimi kierowała, wydała kolejną dyspozycję.

Parker posłusznie wcisnął hamulec.

– Skręć w prawo.

Audi z dobrej asfaltowej drogi wpadło na wysypaną żwirem ścieżkę. Przejechali obok magazynu firmy budowlanej, nagle znajdując się na zapchanym samochodami parkingu i przemykając tuż przed nosami zdumionych pracowników.

– Skręć w lewo.

Sierżant poczekał, aż wyminie ich samochodowy żuraw, i wykręcił w stronę niskiego baraku. Srebrny van podążał ich śladem, utrzymując odległość niepełna dziesięciu metrów.

Audi przechyliło się mocno, gdy wjechali w większą koleinę. Zamiast drogą, jechali błotnistą gruntówką. Zielone chaszczki wyrosły po obu stronach samochodu.

– Skręć w prawo.

Parker obserwował w lusterku, jak van z trudem pokonuje kolejny zakręt. Właśnie dojechali do płotu wykonanego z betonowych płyt.

– No i... – Sierżant niemal leżał na kierownicy, próbując dostrzec wszystko, co znajdowało się przed nimi.

– Skręć...

Pojechali wzdłuż ogrodzenia, aż do znajdującej się niedaleko bramy.

- Kurwa, co to ma być? – jęknął kompletnie zdegustowany Appelton.
- Otwórz bramę. – Głos był bezlitosny.
- Plazma, dajesz.

Wolski wraz z Parkerem opuścili wnętrze samochodu, podchodząc do wykonanej z kątowników i metalowej siatki konstrukcji. Wrota spinał łańcuch z zardzewiałą kłódką. Klucz znajdował się oczywiście na portierni.

- Spróbuję przestrzelić – powiedział cicho Wolski.
- Tylko nie zrób sobie krzywdy. – Parker odsunął się o parę kroków.

M4 w tym przypadku nie będzie skuteczny. Plazma sięgnął po pistolet i przyłożył lufę do metalu. Odsunął głowę, a twarz osłonił prawą dłonią, lewą pociągając za spust. Huk wystrzału wydał się Ernestowi nad wyraz głośny. Efekt był jednak taki jak przy podrapaniu hartowanej stali przez kocie pazurki.

Rozczarowany, ponowił próbę, waląc raz za razem w to samo miejsce. Dopiero za piątym podejściem metal rozprysł się na kawałki. Jeden z odłamków rozorał Ernestowi dłoń i mężczyzna aż jęknął z bólu.

W międzyczasie Parker rozwiązał splątany łańcuch i kopniakiem spróbował otworzyć wierzeje.

Nic z tego nie wyszło. Zardzewiałe zawiasy nie chciały puścić.

- Łap się! – Sierżant był bezlitosny.

Przez kolejne pół minuty szarpali się z opornym metalem, aż w końcu brama została otworzona na pełną szerokość.

Ernest przystanął na rozjeździe, rozglądając się dookoła. Z jednej strony pole, z drugiej drzewa. Ciekawe, dokąd pojedą teraz.

Audi właśnie podjechało i już miał wsiąść, gdy przez okolicę przebiegło echo dalekiej eksplozji. Było to tak niespodziewane, że Plazma skulił się w sobie. Tak napierdalać mogła tylko artyleria bądź... Nalot? Tutaj?

Dym wystrzelił ponad drzewami.

- Wskakuj.

Nim na dobre zajął miejsce w fotelu, wóz wystrzelił, syjąc piachem spod kół.

Wolski nie usłyszał poprzedniego komunikatu, ten musiał paść przed chwilą, ale i tak było to nieistotne. Jechali w stronę pobliskiego zagajnika.

– Właściwie to co się tam znajduje? – zapytał Cyrus.

– Lotnisko – odpowiedział Florin z drugiego samochodu.

Problemów z łącznością nie mieli, bo w obu pojazdach zainstalowano zestawy głośnomówiące. Załogi jednego i drugiego samochodu słyszały się wzajemnie – tyle że w vanie prawie cały czas panowała cisza, przerywana od czasu do czasu jękami Kusza.

– Plazma, słyszałeś?

– Jasne.

– Banach musi nas bardzo lubić.

Audi wykonało krótki skok i mocno zaryło przednimi kołami w miękką ziemię. Zatrzęsło nimi solidnie.

– Za sto metrów...

Wjechali w zagajnik. Tym razem oprócz zielska wszędzie dookoła dawało się dostrzec sterty śmieci, zupełnie jak na jakimś wysypisku.

– ...zatrzymaj się.

Stanęli niemal w miejscu. To, że kierujący vanem Halicki w nich nie uderzył, było głównie dziełem przypadku.

– Co dalej? – Parker zacisnął dłonie na kierownicy.

– Proszę czekać.

\*\*\*

Tym razem obraz na ekranach wyświetlał się bez zakłóceń. Osmecki widział każdy detal w jakości full HD. To było lepsze od seksu; prowadził wojnę, rozwalął wroga i nie była to tylko durna gra komputerowa, tylko prawdziwa rzeź.

Jeżeli się nie opanuje, to zwariuje. Emocje też można przedawkować.

A-10 miały dziś pracowity dzień. Ich działka bez najmniejszego problemu rozbiły pancerze poszczególnych wozów bojowych. Tych parę serii wystrzelonych przez Rumunów w ich stronę nie mogło zrobić krzywdy solidnie opan-

cerzonym Thunderboltom II. Niedługo nad lotniskiem rozsypią się spadochroniarze. Do tego czasu wszelki opór miał zostać stłumiony.

Dopiero teraz pomyślał o ewentualnych stratach. Przecież nie uda się sprowadzić chłopaków z powrotem bez najmniejszego zadrapania. Ten przykry fakt zaskoczył Osmeckiego.

Życie straci z pewnością wielu niewinnych ludzi, a jedynym powodem tej masakry będzie przedstawienie świata Kusza i jego zeznań. Berlin oczywiście oskarży ich o manipulację i nieodpowiednią interpretację faktów. Nastąpi wymiana not, a paru dyplomatów zostanie wydalonych. W końcu wzajemne stosunki zostaną zawieszane, a Polska znajdzie się w kleszczach pomiędzy Niemcami a Rosją.

Zdaje się, że ten wariant już kiedyś przerabiali. Dla jednych i drugich Polska to kłopot, a będąca mocarstwem – to już zagrożenie. Federacja Rosyjska i Republika Federalna Niemiec mogą przetrwać jedynie wtedy, gdy Polska będzie słaba lub kiedy jej w ogóle nie będzie. Gdy dojdzie do najgorszego, sojusznicy nie kiwną palcem, ostatecznie układając się z tym, kto wygra starcie. Im to bez różnicy. W tych warunkach powtórka z '39 wydawała się całkiem realna.

Osmecki doskonale wiedział, jakie środki oba kraje wpakowały w ostatnim czasie w zbrojenia. Te niby nic nie znaczące wizyty na szczeblu miast i miasteczek, nawiązywanie współpracy między poszczególnymi zakładami i firmami, i to we wszystkich branżach. Wymiana doświadczeń i technologii, wspólne przedsięwzięcia – jak choćby budowa nowego samochodu z napędem hybrydowym czy też zakup przez Rosgwardię, na własne potrzeby, kilkuset celowników optycznych.

Oba kraje łączyły też wspólne problemy, z których na pierwszy plan wysuwała się obecność mniejszości muzułmańskich. Żywioł czcicieli Allaha robił się coraz mniej przewidywalny. Jeżeli czegoś z tym nie zrobią, obywatele wyręczą w tym władze. Rumunia w takim kontekście wydawała się nic nie znaczącym elementem.

Zdaniem Osmeckiego to był tylko pierwszy ruch. Berlin chciał zobaczyć, co zrobią. Od tego, jak postąpią, będą zależały dalsze kroki. W tym przypadku nie mogli oddać pola. Desant to minimum tego, co należało zrobić. Jeżeli uratują Kusza w ten jakże spektakularny sposób, pokażą, że trzeba się z nimi liczyć. Władze federalne im tego nie zapomną. Należało więc odpowiedzieć, i to w taki sposób, żeby tamci wylądowali na deskach. W głowie pułkownika zaczął kiełkować pewien pomysł. Musi go koniecznie podsunąć Banachowi. Do dopracowania pozostały szczegóły, ale jak przyjdzie pora, uporają się i z tym.

– Rumuni poderwali samoloty z Fetești. – Obwieszczenie Ariadne sprawiło, że w Osmeckim ścieła się krew.

A więc, kurwa, stało się. Ariadne nie potrafiła uporać się ze wszystkim. Ta baza miała zostać zablokowana do końca trwania operacji. Jak się okazuje, nic z tego nie wyszło. Wystarczy parę wystrzelonych rakiet powietrze – powietrze i z Globemasterów pozostaną wraki.

Ekran, który do tej pory pokazywał lotnisko, nagle zmienił się w cyfrową mapę z naniesionymi ikonkami poszczególnych maszyn. Przewaga Rumunów może nie była miażdżąca, ale wyraźnie widoczna. Osmeckiego naszły czarne myśli. Zdaje się, że spróbował ugryźć o wiele większy kawałek tortu, niż był w stanie.

W pewnym momencie u góry ekranu pojawiło się kilka ciemnych kropek. Odrzutowce pruły równo w stronę rumuńskiej formacji.

– Ariadne...

– Proszę nie panikować, to nasi.

– Nasi?

– F-35 w trakcie rutynowych ćwiczeń.

– Kiedy zostali poderwani do działania?

– Kwadrans temu – odpowiedziała SI. – Przyda się nam każda pomoc.

Szkoda, że on o tym nie pomyślał. Właściwie to nie wiedział, czy ma się cieszyć, czy nie. Ariadne okazała się bardziej przewidująca od niego.

No dobrze, to w końcu jej operacja, od początku do końca. On był doradcą, a Borzęcki ekspertem od strony technicznej. Osmeckiego złościło właściwie jedno – ten niemiecki program, który utrudniał Ariadne zadanie. Przy pierwszej nadarzającej się okazji należy go przejąć lub zniszczyć. Jeżeli tego nie zrobią, tracą wypracowaną z takim trudem przewagę. A na to oczywiście nie można było pozwolić.

\*\*\*

Gdyby nie Karl, Lothar Meyer byłby ślepy i głuchy. Polakom w jakiś sposób udało się sparaliżować rumuński system dowodzenia i łączności. Do niemieckiego na razie nie próbowali się dostać, bo ten działał bez najmniejszych zakłóceń. Dobrze, że wcześniej pewne jego elementy zostały Meyerowi dostarczone, tak na wszelki wypadek. Teraz przydały się idealnie. Mając pod ręką batalion komandosów z KSK, czułby się szczęśliwy. Niestety, do dyspozycji miał ich tylko dwudziestu, plus paru miejscowych, którzy przeszli odpowiednie szkolenie. Nadzieję pokładał w czerwonych skorpionach, bo to podobno jeden z najlepszych oddziałów w całych rumuńskich siłach zbrojnych. Jeżeli im się nie uda powstrzymać najazdu, to już nikt nie będzie w stanie tego zrobić.

Cała grupa, którą dysponował, pędziła właśnie w stronę portu lotniczego. „Pędziła” to słowo mocno na wyrost. Co kilkaset metrów utykali w blokadach drogowych i korkach. Trąbienie nic nie pomagało, po prostu samochodów na szosie było zbyt dużo.

Zniszczenie wieży kontroli lotów nie uszło uwadze Lothara. Dym dawało się dostrzec z odległości wielu kilometrów. Spóźnili się, lecz nie wszystko było stracone.

– Jedź poboczem. – Meyer wskazał kierunek.

Pomknęli wzdłuż osobówek, których w żaden sposób nie dało się wymiąć.

Przyczyna zatoru okazała się prozaiczna. Kolumna wojskowych ciężarówek i transporterów opancerzonych rozkraczyła się na drodze, blokując prze-

jazd.

– Zwolnij.

Jeżeli nie chce zrobić sobie z Rumunów wrogów, nie może ich porozjeżdżać. Zbyt wielu z nich kręciło się przy pojazdach. W sercu Lothara pojawiła się iskierka nadziei.

– Stój.

Wyskoczył z samochodu i podszedł do najbliższego podoficera.

– Gdzie dowódca?

Tamten wydawał się zaskoczony pytaniem.

– Tam.

– Prowadź.

Pełnomocnictw nie pokaże byle łajzie.

Meyer ruszył śladem żołnierza ku czołu kolumny. Wszyscy stali w korku z jednego powodu. Jeden z ośmiokołowych transporterów TAB B33 wjechał w tył lanosa, który – co tu dużo mówić – uległ całkowitemu zniszczeniu. Kierowcy osobówki wciąż jeszcze nie wyciągnięto z wraku. Do tego brakowało specjalistycznego sprzętu. W końcu nie byli strażą pożarną, tylko oddziałem wojskowym.

Trochę z boku stał szpakowaty mężczyzna ze starannie przystrzyżonym wąsikiem ozdabiającym pociągłą twarz. Jego beznamiętne spojrzenie nie wyrażało żadnych uczuć.

– Pan tu dowodzi? – Meyer w trzech krokach znalazł się tuż przy nim.

Rumun już otwierał usta, ale glejt z podpisem samego Nicolai Radu od razu ustawił oficera w zależności służbowej do Lothara.

– Co to za oddział?

– 3 kompania, 2 batalion, 4 brygada – bez zająknięcia odparł zapytany. – Kapitan Aleksandru.

– Przechodzi pan pod moje rozkazy.

– Nie wiem, czy...

– Szybko mogę kogoś znaleźć na pańskie miejsce. Kogoś, kto nie będzie



miał obiekcji.

Twarz kapitana stężała.

– Lotnisko zostało zaatakowane. Polacy właśnie bombardują pański kraj, a pan ma obiekcje? Co z pana za oficer?

Aleksandru wyrwał papier z ręki Meyera i przysunął bliżej oczu. Złość w nim buzowała.

– Co mam robić? – zapytał, jak tylko upewnił się, że dokument jest oryginałem.

– Musimy dotrzeć na Otopeni.

– Co dalej?

– Ale nie tędy. – Ręka Meyera wskazała drogę wiodącą w stronę lotniska.

– Ich samoloty nas zmasakrują, zanim znajdziemy się w pobliżu.

– Może objazd?

– Doskonały pomysł.

Aleksandru skinął na jednego ze stojących w pobliżu poruczników. W dobie powszechnej elektroniki widok zwykłej sztabowej mapy robił wrażenie. Można i tak. Właściwie nie było to aż tak głupie. Ten cały efekciarski chłam potrafił zawieść. Kompas i precyzyjnego planu nikt nie oszuka. Czyżby dotarli do takiego punktu, że wrócą do starych metod?

Zlokalizowanie lotniska przyszło Meyerowi bez trudu. Jest i droga. Zabudowania dochodziły prawie pod sam pas startowy. Może to i lepiej. Jeżeli skręcą w prawo, to wśród budynków nie będą tak widoczni. Zwłaszcza ulica 24 Sierpnia wyglądała na obiecującą.

Postanowione. Nic lepszego nie wymyśli. Zjazd tylko kilkadziesiąt metrów od miejsca, gdzie stali.

– Pojedziemy tędy...

– A ten lanos?

– Do rowu z nim.

Wydawało się, że kapitan odmówi wykonania polecenia. W końcu chodziło o ludzkie życie. Oficer jednak przełamał się i wydał rozkaz. Meyerowi ulżyło.

Miał ważniejsze sprawy na głowie niż szarpaninę z mającym dylematy moralne matołkiem.

– Do wozów.

Z silników odpalanych transporterów wzbily się w powietrze kłęby spalin. TAB B33 to nic innego jak produkowany na licencji rosyjski BTR-80. Maszyna mocno już przestarzała, choć zgodna ze standardami NATO.

Meyer nie zamierzał narzekać. I tak miał farta. 14,5-milimetrowy wkm, zamontowany w wieżyczce, posiadał większą siłę ognia niż zwykły piechur z automatem, a on takich pojazdów przygarnął dziesięć. Niby niewiele, ale na więcej w tym momencie nie mógł liczyć.

\*\*\*

Rumuni nie byli tak bezbronni, jak się z pozoru wydawało. Owszem, poszczególne Piranhie systematycznie zmieniały się w kule ognia, nim załogi zdały sobie sprawę, co tak naprawdę zaszło, lecz żołnierzy było dosyć, by – kierowani przez doświadczonych podoficerów – nie ulegli panice i zajęli pozycje obronne na terenie terminalu, hangarów i warsztatów lotniczych. Lekką bronią nie mogli zrobić krzywdy krążącym nad nimi szturmowcom, ale tych parę ręcznych wyrzutni rakiet przeciwlotniczych, jakie udało się im ocalić, znalazło się w dobrych rękach.

Biały dym z silnika jednej z nich poszedł w ślad za jednym z Jastrzębi, który właśnie dokonywał przelotu na niskiej wysokości, tuż nad pasem startowym. Pocisk pomknął z prędkością ponad dwóch machów.

Pilotowi na bardziej wymyśle manewry zabrakło czasu i miejsca. Jedyne, co mógł zrobić, to wyrwać świecą w górę, licząc, że w ten sposób zmyli czujniki naprowadzające w głowicy.

Nic z tego nie wyszło. Rakiet eksplodowała parę metrów od dyszy wylotowej silnika, tnąc ostrymi jak brzytwa odłamkami. Jeden z nich sięgnął instalacji paliwowej, co sprawiło, że maszyna została rozerwana od środka. Nastąpiło to tak szybko, że pilot nie zdążył się katapultować. Zginął w tej samej sekundzie, w której eksplodował prowadzony przez niego samolot.

Porucznik James Steward z kabiny A-10 doskonale zapamiętał miejsce, skąd wystrzelono rakietę. Pocisków do 30-milimetrowego działka pozostało niewiele, ale od czego są bomby. Lekka korekta kursu i kilka ważących 227 kilogramów ładunków odłamkowo-burzących poszybowało ku ziemi.

Seria eksplozji targnęła okolicą. Warsztaty i magazyny stanęły w ogniu, a szyby we wszystkich oknach w promieniu pół kilometra wyleciały z ram. Po ludziach znajdujących się wewnątrz hal, cywilach i żołnierzach, nie pozostał ślad. Na dodatek w płonieniach stanął Airbus A-330 Air France, którego wcześniej odholowano na bok w celu usunięcia usterki układu hydraulicznego.

Pasażerski odrzutowiec zapłonął jak pochodnia. Nic zresztą dziwnego, skoro w zbiornikach znajdowało się 40 ton paliwa. Po czymś takim wydawało się, że nikt nie będzie w stanie logicznie myśleć, a co dopiero organizować dalszą obronę. I jak zwykle w takich przypadkach bywa, emocje wygrały. Jeżeli giną kumple i przyjaciele, to co należy zrobić?

Walczyć. To oczywiste. Choćby sam diabeł wylazł z piekła i prowadził ze sobą zastępy demonów, to nie ustąpimy!

Pojawienie się w polu widzenia olbrzymiego C-17 przyjęto z niedowierzaniem. Wydawało się, że transportowiec chce na przekór wszystkiemu wylądować. Tylko niektórzy zorientowali się od razu, o co tu może chodzić.

Globemaster, zamiast przyziemić, trzymał wysokość dwustu metrów. Tylne rampa została opuszczona, a na ziemię zaczęli sypać się jeden za drugim skoczkowie.

Lepszy cel trudno było sobie wyobrazić. Huk silników rozrywał bębni w uszach, zagłuszając wszelkie inne dźwięki. Dymy, które do tej pory unosiły się niemal prosto ku niebu, zaczęły zwijać się w spirale.

Pierwszych stu spadochroniarzy zaczęło opadać ku ziemi.

\*\*\*

Wolski przykucnął za drzewem, wyraźnie czując, jak drży pod nim ziemia.

Parker wysłał go na mały rekonesans. Nikt z nich nie chciał wpakować się na patrol ochrony lotniska.

Do skraju lasu pozostało najwyżej trzydzieści metrów. Dalej rozciągało się pole, za nim siatka, a następnie już tylko betonowe pasy wzlotów i lądowania.

Ernest wstał. Z M4 swobodnie przewieszonym przez ramię nie bał się niczego. Pochylony w przód, ostatni odcinek pokonał zdecydowanym krokiem.

Co najmniej pół horyzontu zasnuwał dym. Znaczna część zabudowy lotniska stała w ogniu. Swąd spalenizny docierał aż tutaj. Jeżeli w ten sposób chciano im pomóc, to ktoś ten problem wziął sobie mocno do serca.

Obejrzał się w prawo, słysząc dźwięk samochodowego silnika. Radiowóz nie jechał szybko, a siedzący w nim policjanci nie bardzo wiedzieli, co mają robić. Rutynowy patrol, którego nie chcieli, ocalił im życie, bo kto by chciał tkwić w budynku terminala, gdy dookoła spadały bomby?

Na cofnięcie się Ernestowi zabrakło sposobności. Jeśli zacznie uciekać, ci frajerzy naszpikują go ołowiem. Najlepiej pozostać na miejscu. Może pojedą dalej. Tylko co zrobić z automatem?

Wolski opuścił wzrok, przypatrując się broni. Wystarczyło skierować karabinek w stronę pojazdu i pociągnąć serię. Sprawa zostanie załatwiona.

Wóz zwolnił, aż w końcu zatrzymał się przy Ernestcie.

Dwójka funkcjonariuszy nie miała więcej jak po dwadzieścia parę lat. Kierowca wysiadł i drżącym głosem powiedział parę słów. Widać było, że się boi. Miał dawać przykład innym, walcząc z bandytami, a drżał jak osika.

Tych parę słów skierowanych do Wolskiego z powodzeniem można było wymówić w swahili.

Znalazłeś sobie, chłopie, nieodpowiedniego rozmówcę.

Gdyby teraz wsiedli i odjechali, puściłby ich wolno, ale nie – im się zachciało gadać. Zdaje się, że chodziło o automat. Pewnie chcieli, by go odłożył. Im też nie zależało na ofiarach; problem w tym, że on już zabijał, a oni nie.

Telefon w kieszeni Wolskiego odezwał się skoczną melodyjką.

– Sorry.

Rumuni nie mieli przy nim najmniejszych szans. Kierowcę skosił trzema pociskami, z których dwa utkwily w piersi, a trzeci sięgnął krtani. Policjant

zginął, nim zdążył upaść na ziemię.

Drugiego z funkcjonariuszy sparaliżowało. Nie na długo zresztą. Wolski nie musiał nawet składać się jakoś szczególnie do strzału. Za pierwszym razem trafił w czoło. Tyle wystarczyło. Mężczyzna upadł na plecy.

Egzekucja, bo tak to należało nazwać, wzbudziła w Plazmie zniechęcenie. Chciał być żołnierzem, a nie katem. Wiedział, że nie miał wyjścia, a mimo to czuł niesmak.

Telefon wciąż wariował. Ernest odebrał połączenie, zastanawiając się, co też Parker będzie miał do powiedzenia.

- Hallo.
- Co tak długo?
- Zlikwidowałem patrol.
- Słyszeliśmy strzały. Wszystko gra?
- Tak.
- Czekaj tam, gdzie jesteś.
- Dobra.

Sierżant nawet nie zapytał, czy z nim wszystko w porządku. Właściwie nie musiał. Został tak wyszkolony, żeby poradzić sobie w każdych warunkach.

Huk silników przelatującego w pobliżu odrzutowca sprawił, że Wolski skulił się w sobie. Pilot może i dojrzał stojący radiowóz, chociaż akurat to wydawało się mało prawdopodobne, lecz kursu nie zmienił. Zniszczenie zwykłego samochodu nie miało sensu. Amunicję do działka należało zachować na grubego zwierza.

Na ekipę nie czekał długo. Audi i van nadjechały z lewej, niecałą minutę później.

Parker wysiadł z wozu i pierwsze, co zrobił, to przyjrzał się leżącym gli-niarzom. Pewnie sprawdzał, czy żyją, bo jeżeli tak, to wpakowanie każdemu z nich dodatkowej kuli to najmniejszy problem.

- Czego od ciebie chcieli?
- Nie wiem. Zdaje się, że pytali o drogę.

Florin na widok martwych policjantów nie powiedział ani słowa, choć spojrzenie miał ciężkie. Całej reszty zdarzenie nie obchodziło. Ratunek zdawał się być na wyciągnięcie ręki, po co więc zawracać sobie głowę zastrzelonymi funkcjonariuszami?

Tylko Wolski zauważył niezadowolenie Rumuna. Na wszelki wypadek będzie miał komisarza na oku. Wolał nie zaliczyć kuli w plecy, gdy będzie biegł do samolotu.

– Co teraz z nami będzie, panie pułkowniku? – Kapral James Appelton wyciągnął z samochodu swój ulubiony sprzęt, czyli karabin maszynowy M249, i zastygł tuż obok Halickiego i Kolskiej.

– A co ma być?

– Kusz zaraz wykituje.

– Wiem – odpowiedział cicho żandarm.

– Castillo też robi bokami. Jeszcze się nam wykrwawi.

– Odlatujemy stąd za dziesięć minut. – Halicki zaczął wypatrywać transportowca widocznego na niebie. – O właśnie.

– Będą lądować?

– Nie mam pojęcia.

– Zupełnie jak na pokazach – odezwał się Fisher. Miał sporo racji. C-17 płynął po niebie niczym lewiatan. Wydawał się niezniszczalny, lecz każdy z nich wiedział, jak złudne jest to wrażenie.

Małe ludzkie figurki zaczęły opuszczać przedział ładunkowy i wkrótce setka białych czasz rozkwitła nad lotniskiem. Ten system desantowania nie oddawał najnowszych trendów, ale przynajmniej był sprawdzony. Nowsze wynalazki dopiero wchodziły na wyposażenie.

Zamarli z przerażenia, gdy spod hangaru wzbiły się w niebo krechy pocisków smugowych. Incydent trwał najwyżej trzy sekundy. Jeden z krążących w pobliżu Thunderboltów zmłócił ogniem 30-milimetrowego działka jedną z ostatnich, niedobitych do tej pory Piranhi. Niestety, najgorsze już się stało. Półcalowe pociski dosięgły kadłuba, wbijając się w aluminiową konstrukcję.

– Jasny gwint – wyszeptał ktoś stojący za Ernestem.

– Leć, maleńki! – To z kolei Halicki dopingował pilotów trafionej maszyny.

Słów wypowiedzianych przez dziewczynę Plazma nie zrozumiał ni w ząb. Równie dobrze Lena mogła przeklinać Polaków, jak i życzyć im wszystkiego najlepszego.

Ernest popatrzył na nią z ukosa. Wybitną urodą się nie odznaczała, ale było w niej coś pociągającego. Może to, w jaki sposób patrzyła na tego mazgajowego kapitana. Od kiedy ich poznał, cały czas trzymali się razem.

Prawdę mówiąc, to im trochę zazdrościł. Nawet więcej niż trochę.

\*\*\*

Lothar Meyer z Federalnej Służby Wywiadowczej z niepokojem wpatrywał się w przestrzeń przed sobą. Z mapy jednoznacznie wynikało, że poruszają się drogą równoległą do lotniska. Jaką tam zresztą drogą, to była ulica, po której obu stronach stały wille. Gdyby teraz pojawił się nad nimi choć jeden szturmowiec, z całej kompanii pozostałyby wióry. Parę bomb i po nich.

Swoją drogą, reakcja Polaków mocno zaniepokoiła Lothara. Ci zawsze grali ostro, ale żeby aż tak?

Tym razem wszelki opór łamali bez zastanowienia. Na Otopeni należało ściągnąć nie kompanię czy batalion, ale całą brygadę, z czołgami i artylerią. Do tego samoloty i śmigłowce szturmowe. Posiłków niestety nie było skąd wziąć.

Każda dostępna jednostka, która nie patrolowała ulic i nie pomagała policji, była przerzucana nad granicę węgiersko-rumuńską. Właściwie to strzelili sobie w kolano. Chciał konfliktu i go dostał. Szkoda tylko, że nie o to tak do końca chodziło.

Najpierw był problem z dwoma Polakami, później z całą ich grupą, a teraz miał na karku regularną inwazję. Jeżeli chodzi o Warszawę, wszelkie złudzenia się rozwiały – szli do celu po trupach.

I po co ta cała mowa o ideach, współczuciu, o... Jak oni to, kurwa, nazy-

wali? Mesjanizm! Meyer czytał o tym w jednym z opracowań. Żyją i cierpią za miliony. Akurat! Żyją – to fakt, ale cierpią pozostali. Polacy mieli wizję wiecznego sponiewierania przez innych. Pytanie, czy nie zadają komuś bólu, jakoś nie zakiełkowało w ich pustych głowach. Byli okrutni okrucieństwem frustratów. Jeśli się ich przycisnęło, wychodziły z nich najgorsze cechy. W szale dobijali rannych, a tych, którzy chcieli się poddać, nabijali na bagnety. Później twierdzili, że są wspaniałomyślni, a sterty zwłok – to tak przez przypadek. Ich sumienia są czyste.

Do średniowiecznego barbarzyństwa ich sojusznicy dodali czyste wyrażenie. Dobrali się jak w korcu maku. Jeżeli teraz Rumuni nie dobiją tego gada w sercu Europy, będzie źle.

Kolumna minęła kolejne skrzyżowanie. I jeszcze jedno. Oby tylko batalion majora Lupescu wytrzymał ten niszczycielski atak. Dobiegające od strony lotniska strzały i eksplozje dodawały Meyerowi otuchy.

W pewnym momencie u Lothara pojawił się inny problem. Jako funkcjonariusz wywiadu nigdy nie prowadził żołnierzy do boju. Od tego byli oficerowie liniowi. Jego specjalność to tajne operacje, a nie szturm na gniazda karabinów maszynowych. Jedno z drugim nie miało nic wspólnego.

Dobrze, że wiatr wiał z południa, spychając ciężką, mdłą kotarę z dala od nich, inaczej potrzebowaliby masek przeciwgazowych.

Nad ich głowami przemknął jeden z rumuńskich AH64 Apache, z tych przekazanych niedawno z polskich nadwyżek. Maszyna leciała tak nisko, że prawie szorowała brzuchem o kominy i telewizyjne anteny. Pilot wystrzelił kilka niekierowanych 70-milimetrowych rakiet i od razu położył śmigłowiec w ciasny zwrot. Wydawało się, że rotor musnął szczyt rosnącej w pobliżu topoli, choć do zderzenia z drzewem nie doszło. Helikopter rwał teraz na wschód, próbując ująć przeznaczeniu.

Dla Lothara był tylko cieniem, mrocznym aniołem, który na chwilę wychylił się z otchłani, by pokazać, że istnieje.

Meyer o tym nie wiedział, bo wiedzieć nie mógł, ale pociski wystrzelone



z Apache'a trafiły w halę przylotów, dokładnie w przebywającą tam gromadę cywili.

Ci odrętwiali z przerażenia ludzie, którzy przez zupełny przypadek znaleźli się w przedsionku piekła, zostali zasypani przez odłamki i fruwające w powietrzu fragmenty gruzu. Większość z nich, już i tak podduszona dymem, próbowała wyrwać się na otwartą przestrzeń, tam szukając ratunku.

Na swoje nieszczęście dostali się w ogień krzyżowy prowadzony przez jeden z plutonów 26 batalionu piechoty i podchodzących pod terminal spadochroniarzy.

Kanonada na chwilę ustała, by po chwili wybuchnąć ze zdwojoną siłą. Paru rumuńskich żołnierzy próbowało wmieszać się w tłum i w ten sposób ujść przeznaczeniu. Broni nie porzucili i gdy tylko się dało, oddawali w kierunku wroga serię za serią. W efekcie chaotycznej wymiany ognia postrzelonych zostało co najmniej trzydzieści osób, z których większość stanowiły kobiety i dzieci. Zrobione dzień później zdjęcie martwej siedmioletniej Andrei stało się symbolem okrucieństwa Polaków, podobnie jak wrak zestrzelonego nad lotniskiem F-16, z szachownicą na usterzeniu.

Od czasu krwawej rozprawy z reżimem Ceaușescu Rumunia nie znalazła się w tak dramatycznej sytuacji. Wojna toczyła się niemal na wyciągnięcie ręki, a oni przegrywali, osaczeni ze wszystkich kierunków. Część z tych, którzy bronili portu lotniczego, do końca myślała, że walczy z węgierskim desantem i nikt ich z tego błędu nie wyprowadził. Wszelkie wyjaśnienia musiały zachećkać.

\*\*\*

– Jazda.

Kusz, Castillo, Lena, Kolska oraz Janco przesiedli się do audi. Po polu van za szybko nie pojedzie. Pojazd porzucili przy radiowozie, nie zawracając sobie nim więcej głowy. Cała reszta otoczyła SUV-a i ruszyła biegiem wprost przed siebie. Wolski drżał z emocji. Na otwartej przestrzeni byli doskonale widoczni. Jeden dobrze wystrzelany karabin maszynowy i po nich. To raz. Go-

rzej, że spadochroniarze przez nieuwagę mogą poczęstować ich ołowiem.

– Trzysta metrów prosto – odezwał się telefon Halickiego. Pułkownik splunął pod nogi.

Parę kilometrów do nich Globemaster C-17 zataczał właśnie koło, mając podejść do lądowania i zabrać kogo trzeba z tego rumuńskiego domu wariatów.

Niebo cięży białe krechy smug kondensacyjnych silników odrzutowych. Nikt na ziemi nie miał bladego pojęcia, do kogo należą maszyny. Skoro ich nie atakowały, wszystko grało.

Bieg przez łąkę, w trawie po kolana, wcale nie był taki łatwy. Należało patrzeć pod nogi i jednocześnie wypatrywać niebezpieczeństwa.

Parę razy wydawało się, że audi zaryje oponami w miękkim podłożu. Florin kręcił kierownicą na wszystkie strony, próbując ominąć co większe wykroty. Oby tylko nie trafili na rów odwadniający, bo wtedy Kusza trzeba będzie nieść na plecach.

Fisher potknął się i przewrócił. Parker pomógł kumpłowi wstać. Przekleństwom nie było końca.

Siatka oddzielająca lotnisko od reszty wciąż znajdowała się daleko.

Galiński, który biegł tuż za Ernestem, zaczął odstawać. Z początku nie było to nic niepokojącego. Kapitan zwalniał i przyśpieszał, starając się nie odłączyć od grupy.

Plazma obejrzał się za siebie raz i drugi. To, zdaje się, nie był najlepszy dzień dla oficera wywiadu.

– Pułkowniku.

Halicki, nie przestając biec, spojrzął w tył.

– Jeszcze tego brakowało! – Złość wykrzywiła twarz dowódcy. – Dostał?

– To tylko zawał.

Galiński padł na trawę, ciężko dysząc. Każdy oddech sprawiał mu ból.

– Wstawaj!

Parker i Fisher również przystanęli, czekając na decyzję Halickiego.

– Nie dam rady.

– Lena patrzy.

– Chciałbym...

– Ruszaj, kurwa, dupę!

Kapitan spróbował wstać, drżał przy tym i miotał przekleństwa.

– Plazma...

– Jasne, panie pułkowniku.

Ernest, zły na cały świat, zawrócił. Ten dupek wpędzi ich wszystkich do grobu. To kompletny kretyn! Jeżeli rozbolały go nogi, to mógł o tym powiedzieć wcześniej.

W paru susach znalazł się przy kapitanie.

– Co jest?

– Nie mogę...

– Każdy, kurwa może! – Plazma pochylił się nad leżącym i spróbował przerzucić ramię tamtego przez własny kark. – Musisz, człowieku, przebierać nogami!

– Jasne.

– Nogami!

Z Galińskiego kompletnie uszło powietrze.

– Na trzy!

– Uciekaj!

– Ja, w przeciwieństwie do pana, chcę żyć, a jeśli nie wykonam rozkazu, to pułkownik gotowy mnie zastrzelić.

– Boli.

– Każdego coś boli... A to żeś się pan urządził!

Koszula oficera zaczęła się po lewej stronie lepić od krwi.

No to mają przesrane na całego. Galiński został postrzelony, a musiało się to zdarzyć w ciągu ostatnich paru minut. To pewnie wtedy, gdy potknął się pierwszy raz. Na razie nikt do nich nie strzelał, więc trudno było się zorientować, kto jest temu winny. Kule przelatowały nad nimi jak wściekłe osy. Od

strony płonących hal dudniły serie karabinów maszynowych.

Ciężar Galińskiego sprawił, że pod Ernestem ugięły się nogi. Niby chudy, a sukinsyn swoje ważył. Zupełnie, jakby Wolski targał na plecach wór z ziemniakami.

Reszta, widząc, co się wyprawia, podążyła Wolskiemu z pomocą. Tylko audi nabrało prędkości, szykując się do staranowania bocznego wjazdu na lotnisko.

– Dostał, i to mocno – wystękał zziębnięty do granic możliwości szeregowiec.

– Dasz radę?

– Spoko, panie pułkowniku. – Jedyne, czego Ernest nie chciał, to zaliczyć kulki w tyłek, tachając ten kawał krwawiącego mięcha.

Ruszył truchtem, z oczami wbitymi w dal. Parker, Fisher i Halicki zaczęli go ubezpieczać.

Wolski nie raz biegał na ćwiczeniach ze sporym obciążeniem, ale tam było trochę inaczej. Kapitan zaczął rzezić, co nie było najlepszą wróżbą na przyszłość. Krew, która z niego wypływała, wsiąkała w ubranie Ernesta.

– Kurwa!

– Co mówiłeś? – Halicki przysunął się bliżej.

– Nic takiego.

– Może cię zmienić?

– Nie ma potrzeby.

Wolski mocniej zacisnął zęby. Jak da plamę, Parker go oleje. Maszeruj albo zdychaj. Dopóki przestawiał nogi, wszystko było w porządku.

Audi właśnie wbiło się w płot, czego on oczywiście nie usłyszał, dysząc jak parowóz. Dopiero klepięcie w ramię sprawiło, że przestał myśleć o przygniatającym go ciężarze.

– Patrz. – Pułkownik wskazał kierunek.

Globemaster właśnie podchodził do lądowania. To, zdaje się, na jego poleceniu mieli polecieć do domu.

Ten widok dodał Ernestowi sił. Coś, co do niedawna wydawało się czystą abstrakcją, właśnie nabrało realnych kształtów.

Może się uda i Florin podjedzie po nich, wybawiając ich z kłopotu. Wóz stał teraz jakieś sto pięćdziesiąt metrów dalej, gdy nagle dostrzegł wykwitające wokół niego gejzery ziemi.

Ernest osłupiał, pozostali zresztą też. SUV potoczył się powoli do przodu. Trwało to krótko. W następnej sekundzie grad pocisków unieruchomił wóz na dobre.

– Pan to...

– Na ziemię, do cholery!

Z ciałem Galińskiego na barkach było to proste jak nigdy wcześniej. Dobrze, że przy okazji nie wybił sobie zębów, gdy zarył twarzą w glebę.

– Kto widział, co się stało? – Halicki momentalnie zaczął wypatrywać nowego niebezpieczeństwa.

– Strzelali z boku. – Fisher uniósł głowę o parę centymetrów.

– Raczej z tyłu. – Parker, oparty na jednej ręce, lustrował okolicę.

Wolski w końcu zrzucił ciężar z pleców. Lewe ucho, policzek i kark miał wymazane krwią kapitana. Spróbował się wytrzeć, lecz efekt starań był mizerny.

Iskierka nadziei, jaka się pojawiła wraz z widokiem C-17, została zdmuchnięta. Nigdy się nie wydostaną z tego przeklętego pola, zostaną tu na zawsze, a Rumuni pochowają ich w głębokim dole. To, co im zrobili, to zwykłe świństwo.

Warto było dla jednego dupka narażać życie setek ludzi?

\*\*\*

– No... no... I, kurwa, musiało się spierdolić! Widzisz to samo co ja? – Borzęcki w amoku zaczął się miotać po własnym gabinecie.

– Tak.

– Skąd ta banda złamasów przyjechała? Ja nie wiem, czy my to jeszcze kontrolujemy, czy już jesteśmy biernymi obserwatorami.

Również dla Osmeckiego widok nadciągającej kolumny był niemiłym zaskoczeniem. Chyba za bardzo skoncentrowali się na samym lotnisku, teren wokół niego pozostawiając bez należytej obserwacji. Ariadne popełniła kolejny błąd. A może nie była w stanie przetrwać nadmiaru informacji? W końcu musiała kontrolować cały kraj, wyłapując zagrożenia i w miarę możliwości je eliminując. Myśliwce z Fetești wykryła w samą porę. Ich przylot na Otopeni mógł spowodować na nich katastrofę.

Ta jedna kompania mogła ujść jej uwadze. Nie powinno się tak stać, ale się stało. Zazwyczaj jeden przelot thunderboltów i po sprawie. Samoloty niestety musiały zwrócić. Większość uzbrojenia została zużyta, a paliwa było wystarczająco jedynie na bezpieczny powrót do bazy. Kolejna zmiana jeszcze nie nadleciała. To był krytyczny moment operacji.

Osmeckiego zaczęły nawiedzać wątpliwości. Dlaczego SI nie zareagowała wcześniej? Podobno jest tak dobra, że przewiduje na dziesięć ruchów do przodu, a tu nie potrafiła zgrać wylotu i powrotu szturmowców. Takie zaniebdanie nie mieściło się pułkownikowi w głowie. Najgorsze było jednak to, że nie udało się do końca sparaliżować rumuńskiego systemu dowodzenia. Wkrótce okaże się, że na Otopeni ciągnie cała armia.

– Dziesięć BTR-ów. Cele podświetlone. – Borzęcki z nosem przed monitorem śledził przebieg wypadków.

– To TAB-y, czy też Zimbry, jak je nazywają.

– Zimbry?

– Żubry.

– Wszystko jedno. – Oskar wzruszył ramionami. – Oni ich zmasakrują.

– Mam nadzieję, że nie – odpowiedział Osmecki.

– Znasz tego całego Halickiego? – Dyrektor instytutu zmienił temat.

– Poznaliśmy się.

– I co?

– Bestia kuta na cztery nogi i ma dobrych ludzi do pomocy.

– Jak zaczną w nich grzać z... Chryste Panie!

Osmecki doskoczył do monitora, tuż obok Borzęckiego. I jemu zrobiło się słabo na widok trafionego audi. Masakra na całej linii.

- Zrób coś!
- Niby co? – Teraz to oficer wywiadu nie wiedział, jak zareagować.
- Gadaj do nich. Niech wiedzą, że nad nimi czuwamy.
- Nie bardzo nam to wychodzi.
- Ariadne...
- Tak, dyrektorze.
- Pomóż im.
- W tej chwili... Zobaczę, co da się zrobić.

Borzęckiemu ze zdumienia omal nie wypadła szczęka.

- Co powiedziałaś?
- Wszelkie zasoby zostały skierowane do działania. Musimy czekać.

Transportery właśnie rozwijały się w linie. Pomiędzy nimi w tyraliere ustawili się żołnierze. Na flankach Humvee i jakieś terenówki.

Zgniotą ich w pół minuty.

\*\*\*

Czterdzieści metrów nad szosą szturmowy AH-64 Apache wykonał ostry zwrot na wschód. Prowadzący maszynę porucznik lotnictwa wciąż nie potrafił wyjść z podziwu dla tego cudu techniki. Ten dar Polaków wprowadził go w zachwyt. Do tej pory mógł sobie polatać na treningowych Alouette III albo treningowych IAR 330 Puma. Helikopterów bojowych do niedawna Rumuni nie posiadali. Pierwszeństwo w zakupach dotyczyło samolotów, okrętów czy sprzętu wojsk lądowych. Śmigłowce to ostatnia rzecz, jaka miała znaleźć się na wyposażeniu.

Ale od czego ma się sojuszników. Dar Warszawy był wyjątkowo szczodry – dwanaście maszyn wraz z częściami zamiennymi i uzbrojeniem. Maszyny nie nowe, ale zmodernizowane do najnowszej, mocno spolonizowanej wersji. Nowa awionika, radar i cała masa bajerów, których wykorzystanie należało sobie dopiero przyswoić.

Dywizjon, w którym służył, niemal w całości został skierowany nad granicę. W Bukareszcie pozostały tylko dwa AH-64. Ich złowieszcze sylwetki pojawiające się nad stolicą miały uświadomić wszystkim narwańcom, że z generałem Radu nie ma żartów.

Rozkaz przelotu nad Otopeni mocno go zaskoczył. Podobno na lotnisku doszło do ataku. Porucznik spodziewał się kłopotów, ale nie aż takiej rozpierduchy.

Pierwszy atak wykonał z marszu, nie do końca wiedząc, w co celuje. Uciekł, nim został ostrzelany, a teraz nie bardzo wiedział, co ma robić. Na dodatek Apache zaczął wykonywać dziwne harce. Do tej pory maszynę pilotowało się wspaniale, aż nagle przestała słuchać sterów. Na pewno doszło do awarii. Może oberwali, a on nawet tego nie poczuł? Najlepiej będzie, jak zresetuje komputer i uruchomi go ponownie.

W międzyczasie helikopter wykonał obrót wokół własnej osi, ustawiając się ponownie przodem w kierunku lotniska.

Teraz powinno być dobrze. Pchnął wolant w przód, jednocześnie próbując wykonać skręt.

Przeraził się, gdy stery ani drgnęły, a maszyna zaczęła przyśpieszać. Oto ziścił się największy koszmar porucznika: prowadził śmigłowiec, lecz na nic nie miał wpływu.

Drugi pilot, który do tej pory starał się zachować zimną krew, zaczął niespodziewanie wydawać niespokojne okrzyki. Porucznik kompletnie osłupiał, gdy na dodatek uruchomił się system uzbrojenia, a podwieszane pod krótkimi skrzydełkami rakiety AGM-114 Hellfire zaczęły schodzić z prowadnic.

Przez moment oficer odniósł wrażenie, że znajduje się we wnętrzu obcej istoty, która za nic ma jego starania. Cud techniki w istocie okazał się koniem trojańskim.

\*\*\*

Na Lothara Meyera spłynął błogi spokój. Właśnie tak to sobie wyobrażał – puste pole i podziurawiony pociskami samochód. Niech nikt nie myśli, że zdo-



ła ujść przeznaczeniu. Dorwał, kogo miał dorwać. Desant nie liczył się zupełnie. Chłopcy mogą do siebie strzelać, ile wlezie, a na koniec odpowiedni przekaz i tak zostanie spreparowany i puszczony do mediów.

Meyer zacisnął usta. Nie lubił Polaków, tej bandy brudnych, wiecznie czegoś chcących złodziei samochodowych i oszustów. Niedługo zrobią z nimi porządek. Paru pośle do dołów śmierci już dzisiaj.

Seria wybuchów z lewego skrzydła sprawiła, że przeniósł spojrzenie właśnie w tamtą stronę.

O co tym razem może chodzić?

– Zatrzymaj się – polecił kierowcy.

Terenówka posłusznie stanęła, a Lothar opuścił jej wnętrze.

Widząc nadlatującego Apache'a, zdreptał z przerażenia. Ten jeden helikopter mógł unicestwić kompanię kapitana Alexandru. Mając rakiety powietrze – ziemia, to żaden kłopot.

Spokojnie. To nie może być maszyna Polskich Sił Powietrznych, bo niby skąd miałyby się tu wziąć? Samoloty jak najbardziej, ale śmigłowce pozostały na terenie Słowacji. Rozpoznanie było precyzyjne. To był na pewno jeden z tych, które posiadali Rumuni. Nie powinien mieć powodu do niepokoju, a jednak szalone zwroty AH-64 sprawiły, że wciąż odczuwał lęk.

Pilot niechybnie oszalał, atakując swoich. Coraz więcej transporterów stało w ogniu. Działko pod kadłubem wypluwało pociski, potęgując dzieło zniszczenia. Piechurzy obracali się, koncentrując ogień karabinków na wirującej nad nimi bestii.

Wszelkie starania na nic. Tylko przy dużej dozie szczęścia broń małokalibrowa mogła uszkodzić Apache'a.

Wśród wybuchów i serii broni maszynowej szalał kapitan Alexandru, próbujący zaprowadzić jaki taki porządek wśród panującego chaosu. Meyer widział dokładnie, jak z pistoletem wyciągniętym do góry próbował poderwać na nogi szeregowca, który za nic w świecie nie chciał wstać. W pewnym momencie Alexandru zachwiał się, zrobił krok w przód, potem drugi, po czym ręka

mu opadła. Gdy w końcu 20-milimetrowy pocisk trafił kapitana w głowę, ta eksplodowała, a tkanka i kości rozprysnęły się na wszystkie strony.

Lotharowi żołądek podjechał do gardła. Przebiegający w pobliżu żołnierz został ugodzony kawałkiem blachy prosto w czoło. Wyglądało to tak groteskowo, że Meyer nie potrafił uwierzyć w to, co widzi.

Kolejna seria z AH-64 przeorała terenówkę, którą przyjechał, uśmiercając znajdujące się wewnątrz osoby. Dziwnym trafem Lotharowi ponownie nic się nie stało.

Mężczyzna poczuł taką euforię, że miał ochotę krzyczeć. Nic innego nie było już ważne. Przeżył i tylko to się liczyło.

Pełen uniesienia odbiegł w bok, wpadając prosto pod koła cofającego TAB-a, którego kierowca nawet nie zauważył, że kogoś potracił. W panującym zamieszaniu Lothar próbował wydostać się z pułapki, jaką stało się znajdujące się nieopodal lotniska pole.

Meyer wył, lecz przy huku wkm-u i wysokoprężnego silnika był niesłyszalny. Uderzenie powaliło Niemca na ziemię, a koła poruszającego się pojazdu przygniotły mu nogi. Rozpaczliwie próbował je wyszarpnąć, lecz nie było to możliwe. Leżał tak niefortunnie, że następnie zmiżdżeniu uległa miednica. Takiego bólu nie czuł nigdy wcześniej. Wiedział, że umiera, a jednocześnie nie chciał przyjąć tego do wiadomości. Teraz już krzyczał bez przerwy, jakby próbował nadrobić wszystkie dotychczasowe chwile milczenia. Śmierć w ostateczności była wybawieniem. Świadomość zagasła w nim jak ciśnięty w kałużę niedopałek ostatniego papierosa.

On przestał istnieć, ale świat kręcił się dalej.

\*\*\*

– Biegiem! – Halicki rzucił hasło.

Taka okazja mogła się już więcej nie powtórzyć. Jeżeli chcą uciec, to tylko w tym momencie. Za pół minuty może być za późno.

Każdy z nich złapał ранnego Galińskiego za jedną kończynę i ruszyli biegiem w stronę ostrzelanego audi.

Teraz Wolskiemu było o wiele łatwiej. Trzymał lewą nogę kapitana, starając się nie odciąć biegnącego przed nim Fishera. Oby tylko ten cały trud nie poszedł na marne. Galiński gdzieś odpłynął. Już nie mamrotał do siebie pojedynczych wyrazów i nie jęczał, lecz ucichł na dobre.

Strzelanina za ich plecami zaczęła słabnąć. Wolski tak do końca nie wiedział, co tam zaszło. Wyjechała na nich kolumna transporterów, a później pojawił się nad nimi helikopter. Pilot maszyny na pewno został przekupiony. Jak inaczej wytłumaczyć fakt masakry dokonanej wśród Rumunów? Nie jego sprawa, ale ktoś z wywiadu spisał się na medal, interweniując w tak dramatycznej chwili.

Do SUV-a dopadli w parę sekund później. Drzwi z lewej strony zostały przebite. Szyba poszła w drobny mak. W środku nikt się nie ruszał. Ostrożnie ułożyli Galińskiego na trawie i zabrali się do oględzin pojazdu.

Każdy z nich uważał się za twardziela, który widział nie takie rzeczy, ale tym razem widok powalał na kolana.

Komisarz Janco Florin wpatrywał się szeroko otwartymi oczami w przestrzeń przed sobą.

Co z tego, skoro odłamek przewiercił się przez jego głowę, wychodząc z drugiej strony.

Podobnie rzecz się miała z Patrycją Kolską, której pocisk urwał ramię. Nim ktokolwiek zdołał jej pomóc, wykrwawiła się na śmierć.

Sierżant Castillo miał więcej szczęścia. W jakiś sposób zdołał wyczołgać się na zewnątrz, a teraz leżał zwinięty w kłębek, krwawiąc z rany w boku. Krzysztof Kusz został zbryzgany krwią i wyglądał jak osoba zanurzona w zbiorniku z czerwoną farbą i wyciągnięta na jego skraj. Tylko szeroko otwarte oczy i spazmatyczny oddech świadczyły o tym, że żyje.

Lena wydawała się cała, choć jej stan psychiczny był daleki od normy.

– Ostrożnie.

Halicki pomógł dziewczynie wstać. Nie przewidział tylko jednego. Na widok ciężko postrzelonego Roberta teraz to ona wpadła w histerię.

W czymś takim Wolski nie brał jeszcze udziału. Już sam Kusz to wrzód na dupie, ale ta parka przekraczała wszelkie granice. Jak nie z nim był kłopot, to z nią.

– Lena. – Pułkownik próbował przemówić jej do rozumu. – Mówię do ciebie.

Wszystko na nic. Szybciej dogadają się ze Stwórcą niż z dziewczyną.

Galiński umierał. Nie było co do tego wątpliwości. Wielkie czerwone bańki krwi pojawiające się na ustach świadczyły o poważnych urazach wewnętrznych. Jemu nie był już potrzebny lekarz, ale ksiądz z ostatnim namaszczeniem, lub właśnie Lena. Może przejście na tamtą stronę w obecności kogoś bliskiego, kto czuwał tuż obok, było tym, czego kapitan pragnął najbardziej?

Dalsze rozważania Wolskiego zostały przerwane przez zbliżającą się do nich grupę spadochroniarzy.

– Porucznik Zięba – przedstawił się dowodzący nimi oficer.

– Pułkownik Halicki.

– Kogo zabieramy?

– Zaraz się okaże.

Sanitariusze od razu zajęli się rannymi. Kusz wylądował na noszach. Castillo też.

– A oni? – Zięba wskazał na martwych Florina i Kolską.

Janco w zasadzie był u siebie. Nie było sensu ciągnąć jego ciała ze sobą. Kolska to zupełnie co innego.

– Ją to koniecznie.

Dwóch żołnierzy wyciągnęło zwłoki kobiety, wcisnęło je w czarny worek i pokłusowało z nim w stronę szarego kadłuba C-17.

Galińskiego też należało zabrać, niezależnie od tego, w jakim stanie się znajdował. Wolskiemu serce się krajało, gdy obserwował, jak sanitariusze, delikatnie lecz stanowczo, odsuwają Lenę od jego ciała.

– Idziemy – zdecydował w końcu Halicki.

– A ona?

Na siłę jej ciągnąć nie będą, a nie wyglądała na taką, która dałaby się zapakować do transportowca. Dla niej wszystko kończyło się tu i teraz.

– Plazma, nie ociągaj się. – Głos Parkera wybił szeregowego z odrętwienia.

– Szkoda...

– Wiem. – Sierżant pociągnął chłopaka za rękaw.

– Pułkownik... – Wolski spróbował ostatniej interwencji.

– Tak będzie najlepiej – odpowiedział Halicki.

– Dla kogo?

– Dla wszystkich.

\*\*\*

– Może mi pan wytłumaczyć, jak mogło do tego dojść?! – Premier rządu RP Antoni Zeguła, nie bacząc na nic, zaczął wymachiwać przed oczami generała Emila Banacha plikiem gazet. – Pan mi obiecał!

– Co takiego, panie premierze? – Banach pozornie pozostawał spokojny, choć w środku aż się trząsał.

– Ten cały cyrk to pańska wina! Proszę spojrzeć tutaj! Dzieci, dzieci... My zabijamy dzieci?

– Pewnych...

– Proszę mi oszczędzić swoich mądrości. Nie są wiele warte! – Zeguła trzasnął pismami o biurko, aż echo poszło dookoła.

– Niemniej uratowaliśmy...

– Tego bęcwała, co to nie potrafi poprawnie skleić jednego zdania?

– Kusz złożył zeznania.

– Te jego zeznania są gównem warte!

– Ja tak nie uważam.

– Proszę mnie nie pouczać.

– Przecież tego nie robię. Wyraziłem tylko własną opinię.

Zeguła, zrezygnowany, opadł na fotel.

– Powiem krótko. Pana nieodpowiedzialne decyzje nadszarpnęły zaufanie

naszych sojuszników względem nas. Samych cywilów zginęło przeszło stu pięćdziesięciu! Plują na nas z prawa i z lewa. To najpoważniejszy kryzys, z jakim mieliśmy do czynienia od...

– Proszę powiedzieć.

– Pan doskonale wie od kiedy.

– Panie premierze, nie chciałbym się powtarzać, ale pan wie, jak to jest. Nic na tym świecie nie jest dane raz na zawsze. Silniejsi jak świat światem będą narzucać słabszym warunki gry. Tak właśnie stało się w tym przypadku. Niemcy spróbowali nas przechytrzyć. Skończyło się, jak się skończyło, i nie ma co wylewać łez.

– Radu dalej rządzi.

– Ale się opamiętał i cofnął jednostki znad granicy. Do wojny nie dojdzie i to jest najważniejsze. Konflikt na Bałkanach do niczego nie jest nam potrzebny. Ja wiem. Potencjały Rumunii i Węgier nie są duże, ale proszę sobie przypomnieć, co się dzieje w Afryce, o Wołyniu to już nawet nie chcę wspominać. Wystarczy siekiera albo maczeta, już nawet nie karabin, ale zwykły nóż! Tam, gdzie panuje nienawiść, nie ma miejsca na zdrowy rozsądek.

Zeguła spod pochylonej głowy spoglądał na generała.

– Ja to się nawet z panem zgadzam, ale opozycja chce krwi.

Wszystko stało się jasne. Po co ta cała przemowa? Zeguła miał gdzieś sojuszników, Berlin i Moskwę. Jego problemem było to, że akcja w Bukareszcie zakończyła się medialną klapą. Politycy w kraju zamiast piąć z zachwyty nad tym, jaki to rząd jest zdecydowany w obronie polskich interesów, przerazili się nagłego wzrostu jego popularności. Zegułę za wszelką cenę należało zniszczyć, a o akcji nie mówić inaczej niż „masakra”. Straty własne, choć relatywnie niewielkie (osiemnastu zabitych żołnierzy 6 BPD oraz pilot F-16), przedstawiono jako największą klęskę od czasu kampanii wrześniowej. Tłumaczenia nikogo nie obchodziły, a Nicolaia Radu przedstawiono jako męża opatrnościowego.

Banacha trafiał szlag, ale co miał zrobić?

– W takim razie...

– Tak będzie najlepiej. – Zeguła nie pozwolił szefowi wywiadu skończyć zdania. – W ciągu 24 godzin wyznaczę pańskiego następcę.

– Jeżeli mogę...

– Panie generale, ja bardzo pana proszę, nie przedłużajmy tej przykrej dla nas obu sytuacji. Stało się, co się stało. Ani pan, ani ja nie jesteśmy przyspawani do stanowisk. Ja rozumiem, że to niełatwe, ale w imię wyższych racji... No, co ja mam powiedzieć? Zgadzam się z opinią, że przez ostatnie lata był pan niezastąpiony, ale czasy się niestety zmieniły.

Banach nie pokazał po sobie, jak jest rozgoryczony. Nie miał nic więcej do powiedzenia temu dupkowi. Został odsunięty, i to całkowicie. Propozycja przeniesienia na jakieś inne stanowisko nie zakiełkowała w głowie premiera. Zresztą i tak by jej nie przyjął. Poczucie przyzwoitości nie pozwalało mu zadowolnić się jałmużną.

– Proszę uporządkować swoje sprawy.

– Wiem, co mam zrobić.

– To nic osobistego. – Na koniec Zeguła spróbował załagodzić wcześniejszą niefortunną wypowiedź.

– Obaj doskonale wiemy, że jest inaczej.

Dalsze przebywanie w towarzystwie tego dwulicowego osła Banach uznał za uwłaczające.

– Proszę zaczekać.

– Nie mamy już sobie nic do powiedzenia.

Nim zostanie pozbawiony uprawnień, upłynie godzina, może dwie. Należało się śpieszyć, doprowadzając niektóre sprawy do końca.

Banach wyszedł z gabinetu premiera i sięgnął po telefon. Informacja, jaką przekazał, była krótka i zwięzła.

\*\*\*

Osmecki zamieszał łyżeczką kawę w filiżance. Zrobił to od niechcienia, myślami krążąc wokół zupełnie innych tematów. Mimo starań... Nie miał so-

bie nic do zarzucenia. Wraz z Borzęckim zrobili wszystko, co mogli. Tylko jak powiedzieć innym, że całość została zaplanowana przez Sztuczną Inteligencję? Kto im w to uwierzy? Plan to jedno, wykonanie to coś innego.

Teraz miał napisać raport. Tylko dla kogo? Banacha usunęli, a on znalazł się na rozdrożu. Służba pod rozkazami jakiegoś kretyna wyznaczonego przez Zegulę nie uśmiechała się Osmeckiemu. Na pewno zostanie przeniesiony, o ile wcześniej nie postawią go przed komisją mającą wyjaśnić tragedię w Budapeszcie.

Im dłużej nad tym myślał, tym większy ogarniał go pesymizm, a jego źródłem była Ariadne.

Początkowy entuzjazm względem niej gdzieś się ulotnił. Była zbyt nieprzewidywalna, a przy tym nie znała uczucia lęku. Jak z kimś takim planować wojskowe operacje? Dla niej ludzie się nie liczyli. Nie miało znaczenia, o kogo chodzi: kobietę, dziecko czy uzbrojonego policjanta. Cel to cel, a zadanie jest najważniejsze.

Zamoczył usta w brązowej lurze i pociągnął łyk. Obrzydliwa. To nie kawa, lecz jej namiastka. Niedługo pewnie nie będzie i tego. Zniechęcony, odsunął od siebie filiżankę i sięgnął do notatek.

Od czego się zaczęło? Chyba od ćwiczeń pod Koszycami.

– Kurwa mać! – Z ust Osmeckiego wyrwało się przekleństwo, na tyle głośne, że siedzący najbliżej zaczęli się przyglądać samotnej postaci w mundurze.

Manewry to manewry. Uczestniczący w nich żołnierze raczej nie używają ostrej amunicji, a ci z batalionu, który został zrzucony na Otopeni, mieli jej pod dostatkiem. Jak do tego doszło?

Operacja niby się udała, ale nie tak do końca. Były straty wśród spadochroniarzy, a i rozpoznanie mocno szwankowało. Od samego początku za wszystkim stała Ariadne, a Ariadne to nic innego...

Osmecki wstał i wyszedł z kawiarni na ulicę. Borzęcki twierdził, że SI objawiła się zupełnie niespodziewanie. A co, jeżeli nie było w tym przypadku? Ariadne jest SI, bronią doskonałą, lecz nienależącą do nich, tylko sprytnie



podrzuconą przez wroga.

Borzęcki był w niej zakochany i na pewne rzeczy nie patrzył obiektywnie. Ariadne jest dla niego czymś, a właściwie kimś, wyjątkowym.

Osmecki bardzo nie chciał, aby tym razem afera z SI skończyła się tak samo jak afera ze ściąganiem Amerykanów do Polski. Oni komuś zawierzyli, a ten ktoś w konsekwencji okazał się lisem w kurniku.

Ariadne zyskała dostęp do najtajniejszych informacji. Potrafiła też wyrećzyć Achilleśa na polu bitwy. Przynajmniej poczyniła obiecujący wstęp.

W tej chwili trudno było powiedzieć, dla kogo stanowi większe zagrożenie: dla otaczających Polskę wrogów, czy dla nich.

Na razie pracami nad SI zajmowano się w Instytucie Wysokich Technologii. Być może Borzęcki przejrzy na oczy i podejdzie do tematu jak profesjonalista. Koniecznie należało się dowiedzieć, skąd Ariadne się wzięła. Ten problem martwił Osmeckiego najbardziej.

Niewykluczone, że kolejna dobra zmiana zatoczy szerszy krąg i oprócz Banacha w odstawkę pójdą jego najbliżsi współpracownicy. Z nowym przełożonym nigdy nic nie wiadomo. Borzęcki również może pójść do odstrzału, bo co go niby miało chronić? Przyjdzie nowy dyrektor, zaczną się prace nad nowymi projektami, życie potoczy się dalej. Halicki wyląduje w jakieś pipidowie lub zostanie emerytem. Akurat w jego przypadku to nie będzie najgorsze wyjście. Oddział JSOC zostanie rozwiązany. Chociaż... Trudno rozwiązać coś, co nie istnieje. Ludzi należy ukryć, nadać im nową tożsamość i wysłać na odpoczynek.

Zegule nie należało się dziwić. Za wszelką cenę chronił siebie. Był w końcu politykiem i lepiej, żeby oberwali wszyscy oprócz niego. Do niedawna czekały na nich nagrody i medale, a dziś dostali kopniaka w tyłek. Spieprzyłeś, musisz za to odpowiedzieć, a twoje dawne zasługi są gównem warte!

Jeżeli tak ma być, to niech będzie. On się z tym pogodzi. Nie było nic więcej do dodania.

\*\*\*

Gabor Farkas dopiął zamek kurtki, a bejsbolówkę wcisnął głębiej na oczy. Instynktownie czuł, że zbliża się koniec. Wiedział też, że się nie podda. Postawił całe swoje życie na jedną kartę i przegrał. Trudno, tak się zdarza. Żał mógł mieć wyłącznie do siebie.

W pewnym momencie wydawało się, że jest bliski osiągnięcia zamierzonego celu. Ostatni zryw i obalą znienawidzony rząd. Nastanie nowa era, a stary, spróchniały świat rozpadnie się na kawałki. Tego, co nastąpiło później, Gabor tak do końca nie ogarniał. Koncentrował się na misji, którą miał wypełnić. Jeśli osiągną cel, stanie w pierwszym szeregu obrońców kraju. Innego życia sobie nie wyobrażał.

Na ulicy Farkas obejrzał się we wszystkich kierunkach, lecz nie dojrzał niczego podejrzanego. Do umówionego spotkania pozostał kwadrans. Spotka się tam z najbliższymi współpracownikami i postanowią, co dalej. Zdaje się, że formuła ulicznych protestów już się wyczerpała. Od kiedy na granicy trwały zbrojne potyczki, ludzie mniej chętnie chodzili na demonstracje. Jeżeli dalej będą osłabiać państwo, nie wygrają konfrontacji z Rumunami. To przecież oczywiste dla każdego obywatela.

Gabor w zasadzie się z nimi zgadzał. Nikt przecież nie chciał przegranej na froncie.

Od lokalu kontaktowego dzieliło Farkasa najwyżej parę kroków. Ulica wyglądała na niemal pustą. Spacerowało po niej zaledwie parę osób, lecz żadna z nich nie wydawała się podejrzana. Gabor mocniej ścisnął telefon w kieszeni i stanął przed oszkloną witryną. Nikt z przechodniów nie zwracał na niego uwagi.

Dobrze, wystarczy tej konspiracji. Wszedł do opuszczonego bloku, z którego wysiedlono mieszkańców pod pretekstem kapitalnego remontu. Wspiął się po trzeszczących schodach na trzecie piętro i zastukał w umówiony sposób do drzwi obitych grubą blachą.

Usłyszał szcękającą zasuwę i znalazł się oko w oko z ochroniarzem. Wyminęli się bez słowa. O pomyłce nie mogło być mowy. W odrapanym salonie

czekała już piątka najwierniejszych towarzyszy. Przywitał się, od razu przechodząc do meritum sprawy. Nowe okoliczności wymagały nowego podejścia do zagadnienia.

Dwie i pół minuty później w budynek uderzyła rakietą wystrzelona z drona. Na tych, którzy przetrwali eksplozję, zwały się mury, grzebiąc zgromadzonych pod tonami gruzu.

Przybyłe na miejsce zastępy ratowników nie odnalazły nikogo żywego.

Oficjalnego komunikatu o rozszczelnionej instalacji gazowej nikt nie podał w wątpliwość. Zresztą po co? Takie zaniedbania się zdarzają i – tragiczne w skutkach – powinny być ostrzeżeniem na przyszłość.

\*\*\*

W lokalu panowały ciemności i niesamowita wprost duchota.

Najczęściej przychodzili tu studenci, których do knajpy przyciągały niewygórowane ceny alkoholi i swobodna atmosfera. Było tu tyle zakamarków, że zawsze dawało się gdzieś zaszyć i spokojnie pogadać. Nikt nikomu nie stał nad głową i nie pieprzył smutnych kawałków.

Wolski wyszedł z toalety, omijając łukiem obmacującą się parkę. Facet był cherlakiem, niższym od dziewczyny o dobre pół głowy. Wyglądało to trochę dziwnie, ale to zdecydowanie nie jego interes. Skoro im ze sobą dobrze, cała reszta się nie liczyła.

Z bocznego korytarza dobiegł go wymuszony śmiech większego towarzystwa. Swoją drogą, czy rodzice wiedzą, gdzie też podziewają się ich pociechy? Bo na studentów chłopcy i dziewczynki raczej nie wyglądali.

Z głośników poleciał stary, dobry kawałek *Fuck The System The Exploited*. Zdaniem Ernesta, jak najbardziej na czasie. Gitara i perkusja napierdalały, ile wlezie.

Ciekawe, czy ci gnoje przy stolikach kumali, w czym rzecz?

Rodzice dadzą forszę, panienka przytuli... Będzie dobrze.

Taki chuj.

Plazma czuł się wyruchany przez system jak nigdy wcześniej.

To całe towarzystwo przebywające w środku było żalosne. Nic nie wiedzieli. Nawet nie próbowali się dowiedzieć.

Pozerzy. Życie im nigdy nie przypierdoliło. O, słodka ignorancjo! On też by tak chciał.

Naprzeciw Ernesta stanęło trzech frajerów, którzy właśnie szli hurtem do kibla załatwić własne potrzeby. Na widok miny szeregowego posłusznie ustawili się pod ścianą.

Plazma ostentacyjnie otarł się ramieniem o pierwszego z nich. Chujek nawet nie pisnął.

Ktoś przy barze miał dzisiaj wenę. *Sex and Violence*. Czego więcej w życiu trzeba? Ekipa siedziała w bocznym odgałęzieniu. Obok piw shoty. Żadne tam drinki, tylko tequila w dużej ilości.

Parker gapił się w ścianę. Appelton, z ręką na temblaku, kontemplował butelkę po jasnym niefiltrowanym, a Fisher klepnął w tyłek panienkę przechodzącą obok. Jej towarzysz nie odezwał się słowem.

– Głupi chuj.

Wzrok chłopaka dalej penetrował przestrzeń korytarza.

– Cwel.

W dalszym ciągu kompletny brak reakcji.

– I czego się czepiasz? – Wolski ciężko usiadł i natychmiast sięgnął po kufel.

– Mam ochotę komuś przywalić.

– Zmieńmy lokal. Jestem pewien, że w okolicy znajdziemy odpowiednią budę. Co wy na to?

– Innym razem – odezwał się Parker. – Ja na razie mam dość.

– Ja też. – Appelton, którego na ostatniej prostej, w drodze do luku transportowego Globemastera, drasnął w ramię pocisk, również nie wykazywał morderczych chęci.

Brakowało im sierżanta Castillo, który wciąż znajdował się na oddziale intensywnej terapii szpitala wojskowego w Krakowie. Rana okazała się paskud-

niejsza, niż się na początku wydawało.

Przynajmniej wiedzieli, co się z nim dzieje. Od Halickiego nie było żadnych wiadomości. I prędko się to nie zmieni. Od kiedy wrócili, traktowano ich jak zadżumionych. Niby dalej służyli w armii, ale jedną nogą byli już poza nią. Dużo się mówiło o zasileniu przez nich szeregów jednej z firm ochroniarskich rekrutujących wysokiej klasy specjalistów, lecz jak do tej pory konkretów nie było.

– Kiedy pogrzeb tego kapitana? – zapytał Wolski.

– Podobno odbył się dzisiaj rano.

– Skąd wiesz?

– Chowali go razem z tymi, co nas... ratowali. Nie widziałeś w telewizji? Piękna uroczystość. Aż się popłakałem. Sztandary, przemówienia i ten kutas, jak mu tam...

– Zegula.

– Mówił długo i kompletnie bez sensu.

– Jest politykiem. Oni tak zawsze.

– Niech ich szlag!

– Piękny toast – powiedział Appelton.

Wzniesli kieliszki do góry. Stuknęło szkło.

Ernest nie przepadał za smakiem meksykańskiej gorzały, ale nie chciał się wyłamywać z szeregu.

– My żyjemy.

– W sumie niewielki sukces.

– Uratowaliśmy Kusza.

– Ale zginął Ronson, Janco, kapitan i ta kobieta, która wyciągnęła pułkownika z pudła. Moim zdaniem ta akcja to kompletna porażka.

Appelton i Fisher zgodzili się z Parkerem bez zastrzeżeń. Tylko Wolskim targały wątpliwości. Siedział w tym od początku, a wciąż nie znał większości szczegółów. Był wykonawcą rozkazów, cynglem, który ma robić to, do czego został wyszkolony.

Akurat w tym przypadku ta wielka polityka nie miała znaczenia. Liczyli się ludzie tacy jak Parker i Halicki oraz reszta drużyny. Jeżeli ma zginąć, to dla nich. Innych niech piekło pochłonie. ■

## Spis treści

[KARTA TYTUŁOWA](#)

[KARTA REDAKCYJNA](#)

[TRZECIA SIŁA](#)